

MARINA NEMAT

UWIEŻIONA
W TEHERANIE

Tłumaczenie: Katarzyna Dałkowska

Projekt okładki: Amadeusz Targoński
Korekta: Sabina i Tomasz Korpyszowie
Redakcja techniczna: Monika Strachowska

Tytuł oryginału: „Prisoner of Tehran”
Copyright © Marina Nemat, 2008
Copyright © for the polish editions by wydawnictwo „Duc In Altum”, 2008
Copyright © for the polish translation by Katarzyna Dałkowska
AU rights reserved

ISBN 978-83-60710-11-1
ISBN 978-83-7557-063-2



Wydawnictwo „Duc In Altum”
05-091 Zabki, ul. Lotnicza 34
e-mail: ducinaltum@poczta.fm; www.ducinaltum.pl



Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
26-606 Radom, ul. Wiejska 21
tel./fax (48) 366 56 23, 384 66 66
e-mail: polwen@polwen.pl; <http://www.polwen.pl>

Druk i oprawa:
Zakład Graficzny COLONEL sp. j.
30-532 Kraków, ul. Dąbrowskiego 16
tel. (12) 423 66 66, e-mail: biuro@colonel.com.pl

*Andre, Michaelowi i Tomasowi;
wszystkim politycznym więźniom Iranu,
szczególnie Sh.EM., M.D., A.Sk, i KM.;*
oraz Zahrze Kazemi

*A jeśli modlić się, to modlitwa jedna
Na usta me zawita:
Zapomnij serce, które noszę w sobie,
Niech wolność mi zaświta!
U celu dni mych, u ich kresu
O jedno tylko proszę:
Wolną od więzów w śmierci, w życiu
Odważną,
Niechaj zachowam duszę!*

„The Old Stoic” Emily Bronte

Choć niniejszą książkę należałoby zaliczyć do literatury faktu, to w trosce o bezpieczeństwo moich towarzyszek z celi, zmieniałam tożsamość bohaterów, a także dodałam do ich życiorysów pewne szczegóły, które w rzeczywistości należą do osobistej historii innych więźniów. Innymi słowy, pozwoliłam tym opowieściom wzajemnie się przeniknąć i nabrać nowych kształtów. W ten sposób, bez narażania kogośkolwiek na niebezpieczeństwo czy też naruszania cudzej prywatności, mogłam bezpiecznie opowiedzieć o życiu i śmierci za murami Evin, pozostając jednocześnie naocznym świadkiem tego, co tam przeszliśmy. Jestem jednak pewna, że - mimo wspomnianych zabiegów - moje towarzyszki z celi z łatwością odnajdą siebie na kartach tej książki.

Pracując nad nią, musiałam oprzeć się na własnej pamięci, która — jak wiadomo - często nas zwodzi i oszukuje. Niektóre wspomnienia są wyraźne, jakby odcisnięte tydzień temu; inne wydają się fragmentaryczne i mgliste. W końcu minęło ponad dwadzieścia lat.

W codziennym życiu podstawowym sposobem komunikowania się pozostaje dialog. Jestem przekonana, że pamiętnik - by był wiarygodny i żywy — nie może obejść się bez niego. W mojej książce starałam się odtworzyć minione rozmowy w sposób tak bliski prawdzie, jak to tylko po ludzku było możliwe.

ROZDZIAŁ

PIERWSZY

Stare perskie przysłowie mówi: „Dokądkolwiek się udasz, niebo będzie miało ten sam kolor”. Jednak niebo nad Kanadą było inne niż to, które pamiętałam z Iranu: miało głębszy odcień błękitu i wydawało się nieskończone, jakby rzucało wyzwanie horyzontowi.

Wylądowaliśmy na lotnisku Pearson w Toronto 28 sierpnia 1991 roku: mój mąż, nasz dwuipółletni syn oraz ja. Był piękny, słoneczny dzień. Czekał na nas mój brat, u którego mieliśmy zatrzymać się do czasu znalezienia mieszkania. Choć nie widziałam go od dwunastu lat - byłam czternastoletnią dziewczynką, gdy wyjechał do Kanady - to natychmiast go rozpoznałam. Posiwiął nieco i przeredziła mu się czupryna, ale górował nad podekscytowanym tłumem dzięki swojemu imponującemu, przekraczającemu dwa metry wzrostowi.

Podczas drogi z Pearson obserwowałam zza szyby samochodu przesuający się krajobraz i zaskoczyła mnie jego rozległość. Przeszłość odeszła i najlepsze, co mogłam zrobić - dla siebie i dla innych - to pozostawić ją daleko za sobą. Musieliśmy zacząć nowe życie w tym obcym kraju, który zaoferował nam schronienie, gdy nie mieliśmy dokąd pójść. Byłam to winna mojemu mężowi i synowi.

I rzeczywiście, zaczęliśmy żyć na nowo. Mąż znalazł dobrą pracę, doczekaliśmy się drugiego syna, a ja nauczyłam się prowadzić samochód. W lipcu 2000 roku, dziewięć lat po przyjeździe do Kanady, wreszcie kupiliśmy na obrzeżach Toronto dom z czterema sypialniami i dołączyliśmy w ten sposób, pełni dumy, do miejscowej klasy średniej, z jej zadbanymi ogródkami, lekcjami pływania, piłki i pianina dla dzieci, z przyjacielskimi spotkaniami wokół grilla.

Wtedy właśnie przestałam sypiać.

Zaczęło się od przebłysków wspomnień, gdy kładłam się do łóżka. Próbowałam z nimi walczyć, lecz przesładowały mnie zarówno w dzień, jak i w nocy. Przeszłość wracała z całą mocą i nie byłam w stanie temu zapobiec. Miałam do wyboru: albo stawić jej czoła, albo stracić rozum. Jeśli nie mogłam zapomnieć, być może kluczem miała być właśnie pamięć. Zaczęłam pisać: o moich dniach w Evin - słynnym teherańskim miejscu przetrzymywania więźniów politycznych; o torturach, bólu, śmierci; o cierpieniu, pomijanym we wszystkich rozmowach. Moje wspomnienia przerodziły się w słowa, wychodząc z narzuconego im stanu hibernacji. Wydawało mi się, że przelanie ich na papier będzie dla mnie lekarstwem. Myliłam się. Potrzeba było czegoś więcej. Nie mogłam tak po prostu zagrzebać mojego rękopisu w jakiejś przepastnej szufladzie. Musiałam podzielić się moim świadectwem.

Pierwszym moim czytelnikiem był mąż - podobnie jak inni, nie znał szczegółów mojego pobytu w więzieniu. Gdy dałam mu rękopis, schował go gdzieś po swojej stronie łóżka, gdzie przeleżał nietknięty przez trzy dni. Byłam zdesperowana. Czy przeczyta? Czy zrozumie? Czy mi wybaczy, że tak długo milczałam?

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? - spytał, przeczytawszy wreszcie mój tekst.

Byliśmy wówczas małżeństwem od siedemnastu lat.

- Próbowałam, ale nie mogłam... wybaczysz mi? - powiedziałam.

- Nie mam czego. Ale czy TY wybaczysz MI?

- Co miałabym ci wybaczyć?

- To, że nigdy nie spytałem.

Jeśli wcześniej miałam opory, by mówić, to zniknęły one latem 2005 roku. Wtedy na jakimś przyjęciu poznałam irańskie małżeństwo. Przypadliśmy sobie do gustu i zaczęliśmy rozmawiać o typowych codziennych sprawach: o pracy, rynku nieruchomości, edukacji dzieci. Gdy na zewnątrz zrobiło się zbyt chłodno, weszliśmy do domu na deser. Gospodyni, serwując kawę, spytała mnie o postępy nad książką, a nowo poznana Iranka - Parisa, zainteresowała się jej tematem.

- Gdy miałam szesnaście lat, zostałam aresztowana i spędziłam dwa lata jako więzień polityczny w Evin. O tym właśnie piszę - wyjaśniłam.

Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

- Czy wszystko w porządku? - spytałam.

Po chwili milczenia wyznała, że sama spędziła kilka miesięcy w Evin.

W pokoju zaległa cisza. Oczy wszystkich zwrócone były na nas dwie.

Okazało się, że byliśmy przetrzymywane w tym samym czasie, ale w innych częściach więzienia. Wspomniałam imiona kilku moich towarzyszek z celi, ale były one obce Parisie. Podobnie jej przyjaciele z więzienia byli mi nieznani. Miałyśmy jednak wspólne wspomnienia pewnych wydarzeń, znanych większości osób przetrzymywanych w Evin. Parisa przyznała, że to pierwszy raz, gdy rozmawia z kimkolwiek o tamtych przeżyciach.

- Ludzie po prostu o tym milczą - powiedziała.

Właśnie to milczenie było moim udziałem przez ponad dwadzieścia lat.

Gdy wypuszczono mnie z Evin, moja rodzina udawała, że wszystko jest w porządku. Nikt nie wspominał więzienia. Nikt nie spytał: „Co się z tobą działo?”. Miałam ogromną potrzebę opowiedzenia im o moim życiu w Evin, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Czekałam, aż ktoś zada mi jedno pytanie - pytanie, które byłoby jakimś punktem wyjścia. Życie jednak toczyło się dalej, jak gdyby nic szczególnego się nie wydarzyło. I wtedy dokonałam odkrycia: moja rodzina chciała widzieć we mnie nadal tamtą niewinną dziewczynę, jaką byłam przed uwięzieniem. Przerazała ich myśl o mojej pełnej cierpieniu i koszmaru przeszłości, więc ją ignorowali.

Namówiłam Parisę, by do mnie zadzwoniła, i tak udało nam się porozmawiać kilka razy. Głos jej drżał za każdym razem, gdy wspomnieliśmy nasze koleżanki z celi, przyjaźnie, które pomogły nam przetrwać.

Kilka tygodni później Parisa powiedziała mi, że nie chce już ze mną rozmawiać, nie chce pamiętać.

- Nie mogę tak dalej. To jest za trudne. Za bardzo boli - wyznała i czułam, jak tłumy łyzy.

Zrozumiałam i nie nalegałam. Ona dokonała swojego wyboru, ja dokonałam swojego.

ROZDZIAŁ

DRUGI

Zostałam aresztowana 15 stycznia 1982 roku, około dziewiętej wieczorem. Miałam szesnaście lat. Wcześniej tego samego dnia obudziłam się przed świtem i nie mogłam już zasnąć. Moja sypialnia wydawała mi się ciemniejsza i zimniejsza niż zwykle, więc leżałam pod moją kołdrą z wielbłądziej wełny, czekając na wschód słońca, który jakby się spóźniał. W tak chłodne dni jak tamten żałowałam, że nasze mieszkanie nie ma lepszego ogrzewania - dwa naftowe grzejniki były zdecydowanie niewystarczające - lecz moi rodzice zawsze twierdzili, że jako jedyna skarżyłam się zimą na chłód w domu.

Sypialnia rodziców znajdowała się obok mojej, a kuchnia po przeciwnej stronie wąskiego korytarza, który łączył obydwie końce naszego mieszkania. Słyszałam, jak mój ojciec szykował się do pracy. Choć poruszał się lekko i cicho, słabe odgłosy pozwalały mi śledzić jego kroki - najpierw do łazienki, potem do kuchni. Gwizdek czajnika. Drzwi lodówki. Pewnie robił sobie kanapkę z masłem i dżemem.

Wreszcie słabe światło zaczęło sączyć się do mojego pokoju. Ojciec już wyszedł do pracy, a matka nadal spała. Zwykle nie wstawała wcześniej niż o dziewiętej. Kręciłam się więc w łóżku

i czekałam. Co się stało ze słońcem? Próba zaplanowania nowego dnia spełzała na niczym. Czułam się jakby wyrzucana poza normalne ramy czasu. Wstałam z łóżka. Linoleum na podłodze było przeraźliwie zimne, a kuchnia jeszcze ciemniejsza niż moja sypialnia. Wydawało mi się, że już nigdy się nie rozgrzeję. Może słońce nigdy nie wstanie... Gdy wypiałam kubek herbaty, jedyne co przyszło mi do głowy, to pójście do kościoła. Założyłam długi brązowy płaszcz z wełny, uszyty przez matkę, owinęłam głowę dużym beżowym szalem i zeszałam po dwudziestu czterech szarych kamiennych stopniach, które poprzez drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio na ruchliwą ulicę w centrum miasta. Sklepy były jeszcze zamknięte, a ruch niewielki. Szłam do kościoła, nie rozglądając się wokół. W końcu nie było na co patrzeć - portrety Ajatollaha Chomeiniego i pełne nienawiści slogany typu „Śmierć Ameryce”, „Śmierć Izraelowi”, „Śmierć komunistom i wszystkim wrogom islamu” czy „Śmierć wrogom rewolucji” pokrywały większość ścian.

Droga do kościoła zajęła mi pięć minut. Właśnie w chwili, gdy miałam popchnąć ciężkie drewniane drzwi, poczułam na nosie płatek śniegu. Teheran zawsze wyglądał tak niewinnie i zwodniczo pięknie, okryty płaszczem śniegu. Choć islamski reżim zakazał większości pięknych rzeczy, to nie był w stanie powstrzymać płatków śniegu. Rząd nakazał kobietom chować włosy pod chustą, wydał edykty skierowane przeciwko muzyce, makijażowi, obrazom niezawołowanych kobiet oraz zachodnim książkom, które zostały w całości uznane za dzieło szatana i tym samym za nielegalne. Weszłam do kościoła, zamykając za sobą drzwi, i usiadłam w kącie. Przed oczami miałam obraz Jezusa Ukrzyżowanego. Kościół był pusty. Próbowałam się modlić, ale słowa bezładnie wirowały w mojej głowie. Po około pół godziny poszłam do zakrystii, by przywitać się z księżmi, i stanęłam

twarzą w twarz z Andre - przystojnym organistą, którego często widywałam w kościele. Poznaliśmy się kilka miesięcy wcześniej. Wszyscy wiedzieli, że się lubimy, ale oboje byliśmy zbyt nieśmiali, by to przyznać. Może z powodu różnicy wieku: Andre był ode mnie o siedem lat starszy. Rumieniąc się, spytałam, co robi w kościele o tak wczesnej porze. Wyjaśnił, że przyszedł naprawić zepsuty odkurzacz.

- Od dawna cię nie widziałem - powiedział. - Co się z tobą działo? Dzwoniłem do ciebie kilka razy i twoja mama mówiła, że nie czujesz się najlepiej. Planowałem dziś do ciebie wpaść.

- Faktycznie byłem trochę chora; przeziębienie czy coś takiego.

Andre zdecydował, że jestem zbyt blada i powinnam jeszcze zostać w łóżku przez parę dni. Musiałam przyznać mu rację. Zaproponował, że mnie odwiezie, ale potrzebowałam świeżego powietrza, więc wróciłam do domu spacerem. Gdybym nie była tak zmartwiona i przygnębiona, chętnie spędziłabym z nim trochę czasu, ale od dnia, gdy moi szkolni przyjaciele: Sara, jej brat Sirius, i Gita zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu Evin, nie byłam w stanie normalnie żyć. Sara i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od pierwszej klasy, a z Gitą przyjaźniłam się od trzech lat. Gitę aresztowali w połowie listopada, a Sarę i jej brata drugiego stycznia. Pamiętałam Gitę, z jej jedwabistymi, długimi włosami w kolorze brązu i uśmiechem Mony Lizy, siedzącą na ławce obok boiska do koszykówki. Ciekawe, co stało się z Raminem, chłopcem, który tak jej się podobał. Od lata 1978 roku, ostatniego lata przed rewolucją i nowym porządkiem świata, nie miała o nim żadnych wiadomości. Teraz była w Evin od ponad dwóch miesięcy, a jej rodzicom nie udzielono zgody na widzenie. Dzwoniłam do nich raz w tygodniu i jej matka zawsze płakała w słuchawkę. Codziennie godzinami wy-

stawała w drzwiach swojego domu, przyglądając się twarzom przechodniów w nadziei, że wśród nich zobaczy Gitę. Rodzice Sary wielokrotnie chodzili do więzienia, prosząc, by pozwolono im zobaczyć się z dziećmi, ale na próżno.

Evin było więzieniem politycznym od czasów szacha, Sama nazwa budziła przerażenie w ludzkich sercach, oznaczała bowiem tortury i śmierć. Budynki więzienne rozproszone były na rozległym terenie na północ od Teheranu u podnóża gór Alborz. O Evin się nie mówiło - było otoczone pełnym lęku milczeniem.

Tego wieczoru, gdy Sara i Sirus zostali aresztowani, leżałam na łóżku, czytając zbiór poezji Forough Farrokhzada. Nagle drzwi do mojej sypialni gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich moja matka.

- Właśnie dzwoniła mama Sary... - powiedziała.

Miałam wrażenie, jakby nagle powiało chłodem.

- Przed godziną strażnicy rewolucji przyszli po Sarę i Sirusa i zabrali ich do Evin.

Nie czułam własnego ciała.

- Co oni zrobili? — spytała mnie matka.

Biedni Sara i Sirus. Musieli być przerażeni. Ale wszystko będzie dobrze. Musi być.

- Marina, odpowiedz mi. Co oni zrobili?

Matka zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Nic. Sara nie zrobiła nic, ale Sirus należy do mudzahedinów.

Mój własny głos wydawał mi się słaby i odległy. Organizacja Mojahedin-e Khalgh była lewicowym ugrupowaniem muzułmańskim, które od lat 60. zwalczało szacha. Po zwycięstwie rewolucji islamskiej jego członkowie przeciwstawiali się nieograniczonej władzy Ajatollaha Chomeiniego, najwyższego wodza rewolucji, nazywając go dyktatorem. W rezultacie rząd islamski zdelegalizował partię.

- W takim razie może zabrali Sarę z powodu Sirusa.
- Może.
- Biedna kobieta. Odchodzi od zmysłów.
- Czy strażnicy powiedzieli cokolwiek?
- Powiedzieli rodzinie, żeby się nie martwiła, i że chcą jedynie zadać dzieciom kilka pytań.
- To może szybko ich wypuszczą?
- Po tym, co mi powiedziałaś, jestem pewna, że wkrótce uwolnią Sarę, ale Sirus... To nie było rozsądne z jego strony. Nie martwmy się jednak na zapas.

Matka wyszła z pokoju, a ja próbowałam się skoncentrować, ale na próżno. Zmęczona zamknęłam oczy i zapadłam w płytki sen.

Następne dwanaście dni prawie w całości przespałam. Sama myśl o najprostszych nawet zajęciach wydawała się ponad moje siły. Nie odczuwałam głodu ani pragnienia. Nie chciałam czytać, wychodzić czy rozmawiać z kimkolwiek. Co wieczór matka informowała mnie o braku wiadomości na temat Sary i Sirusa. Od chwili ich aresztowania wiedziałam, że będę następna. Moja nauczycielka chemii *Khanoom*¹ Bahman zauważyła przez przypadek listę, znajdującą się w gabinecie naszej dyrektorki *Khanoom* Mahmoodi, która należała do strażników rewolucji. W swojej dobroci *Khanoom* Bahman ostrzegła mnie, że na liście figuruje moje nazwisko i adres i że jest ona skierowana do Sądu Rewolucji Islamskiej. Nie pozostawało mi jednak nic innego, tylko czekać. Nie miałam dokąd pójść ani gdzie się ukryć. Strażnicy rewolucji byli bezlitośni. Gdy zjawiali się, by kogoś aresztować, a poszukiwany był poza domem, zabierali dowolną inną osobę. Nie mogłam narażać życia rodziców, ratując swoje własne. W ciągu poprzednich kilku miesięcy setki ludzi zosta-

¹ Zgodnie z tekstem angielskim zachowano oryginalną pisownię.

ło uwięzionych pod zarzutem takiego czy innego działania na szkodę rewolucji.

O dziewiątej wieczorem poszłam wziąć kąpiel. Właśnie odkręciłam kurek i gorąca woda zaczęła parować, gdy w całym domu rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych. Zamarłam. Nikt nigdy nie dobijał się do domu o tak późnej porze.

Zakręciłam wodę i usiadłam na brzegu wanny. Usłyszałam, jak rodzice otwierają drzwi, a po chwili głos wołającej mnie matki. Otworzyłam drzwi do łazienki. W holu stali dwaj brodaci strażnicy, w ciemnozielonych, przypominających mundury wojskowe uniformach. Jeden z nich wycelował we mnie karabin. Miałam wrażenie, że opuściłam własne ciało i oglądam film. To, co widziałam, nie dotyczyło mnie, tylko kogoś zupełnie obcego.

- Zostań tutaj, a ja przeszukam mieszkanie - powiedział drugi strażnik do swojego kolegi i zwracając się do mnie, spytał o mój pokój. W jego oddechu czuć było cebulę i zrobiło mi się niedobrze.

- W końcu korytarza, pierwsze drzwi po prawej.

Matka, biała jak ściana, trzęsła się na całym ciele. Dłonią zamykała usta, próbując stłumić nieustający krzyk. Ojciec nie spuszczał ze mnie wzroku. Wyglądało to tak, jakbym umierała na jakąś nieuleczalną chorobę, a on był całkiem bezsilny. Po twarzy płynęły mu łzy. Po raz pierwszy od śmierci babci widziałam go płaczącego.

Strażnik, który przeszukiwał mieszkanie, wrócił z kilkoma moimi książkami - wszystkie były zachodnimi powieściami.

- Czy to są twoje książki?
- Tak.
- Zatrzymamy kilka jako dowód rzeczowy.
- Dowód czego?

- Twojej działalności przeciwko islamskim władzom.
- Mogę nie zgadzać się z polityką tego rządu, ale nic przeciwko niemu nie zrobiłam.

- Nie przyszedłem tu, by decydować, czy jesteś winna, czy nie; mam cię aresztować. Załóż czador.

- Jestem chrześcijanką. Nie mam czadom.

To ich zaskoczyło.

- W takim razie weź szal i idziemy.

- Dokąd ją zabieracie? - spytała matka.

- Do Evin.

Mając za plecami jednego ze strażników, poszłam do pokoju, chwyciłam mój beżowy kaszmirowy szal i schowałam pod nim włosy. Noc była bardzo zimna i pomyślałam, że dzięki temu nie zmarznę. Właśnie miałam wyjść z pokoju, gdy zauważyłam leżący na biurku różaniec. Wzięłam go ze sobą.

- Zaczekaj! Co to jest? - zatrzymał mnie strażnik.

- Moje korale do modlitwy. Mogę je zabrać?

- Pokaż.

Podaliśmy mu różaniec. Studiował dokładnie każdy z błado-niebieskich paciorków i srebrny krzyżyk.

- Możesz go wziąć ze sobą. Będziesz potrzebowała dużo modlitwy w Evin.

Schowałam różaniec do kieszeni.

Strażnicy zaprowadzili mnie do czarnego mercedesa, zaparkowanego pod naszymi drzwiami. Otworzyli tylne drzwi i wsiadłam. Ruszyliśmy. Obróciłam głowę i uchwyciłam w ciemności jasne plamy naszych okien i sylwetki moich rodziców, stojących w drzwiach. Wiedziałam, że powinnam być przerażona, ale nie byłam. Otaczała mnie zimna pustka.

- Dam ci dobrą radę - powiedział jeden ze strażników.
— W twoim interesie jest mówić prawdę w odpowiedzi na każde

zadane pytanie, inaczej pożałujesz. Pewnie słyszałaś', że w Evin mają sposoby, by zmusić ludzi do mówienia. Możesz uniknąć bólu, jeśli będziesz mówić prawdę.

Samochód mknął na północ w stronę Gór Elbrus. O tej porze ulice były niemal puste. Nie zauważyłam żadnego przechodnia, jedynie kilka samochodów. Widoczne z daleka światła na skrzyżowaniach zmieniały się z czerwonego na zielony, z zielonego na czerwony. Po około pół godziny w bladym świetle księżycy zobaczyłam na wzgórzach zygzakowate mury Evin. Jeden ze strażników opowiadał drugiemu o nadchodzącym ślubie jego siostry. Był wyraźnie zadowolony, gdyż pan młody należał do wysokich rangą strażników rewolucji, a do tego pochodził z dobrze sytuowanej, tradycyjnej rodziny. Pomyślałam o Andre. W żołądku, w kościach czułam tępy ból, ale było tak, jakby to jemu, a nie mi, przydarzyło się coś strasznego.

Wjechaliśmy w wąską, krętą uliczkę. Po jej prawej stronie wznosiły się wysokie, ceglane ściany więzienia. Co kilkanaście metrów ogromne reflektory wież strażniczych rozświetlały noc. Samochód zatrzymał się przed potężną metalową bramą. Wszędzie pełno było uzbrojonych brodatych strażników. Druk kolczasty, biegnący szczytem murów, rzucał pokręcone cienie na chodnik. Kierowca wysiadł, a strażnik siedzący obok niego dał mi kawałek szmaty, którym miałam zawiązać sobie oczy.

- Zrób to dokładnie, bo inaczej pożałujesz - warknęła.

Gdy już miałam na oczach przepaskę, samochód przejechał przez bramę i po kilku minutach znów się zatrzymaliśmy. Otworzono drzwi i kazano mi wysiąść. Ktoś związał mi sznurkiem nadgarstki i wyciągnął z samochodu. Potknęłam się o coś i upadłam.

- Ślepa jesteś? - usłyszałam pytanie i ryk śmiechu.

Zaraz potem poczułam ciepło, co oznaczało, że weszliśmy do budynku. Spod opaski widziałam wąski strumień światła - szliśmy długim korytarzem. Powietrze wypełniał odór wymiocin i potu. Kazano mi usiąść na podłodze i czekać. Czułam siedzących obok innych ludzi, ale nie mogłam ich zobaczyć. Mileczeli, a zza zamkniętych drzwi dochodziły stłumione, pełne złości głosy. Co jakiś czas udawało mi się wychwycić pojedyncze słowa: „Kłamiesz!”, „Mów!”, „Nazwiska!”, „Napisz to!”. Czasami słyszałam krzyk bólu. Moje serce zaczęło szybko bić, waliło mi w piersi tak mocno, że musiałam przykryć je rękami. Po chwili, jakiś ostry głos kazał komuś usiąść obok mnie. To była dziewczyna. Płakała.

- Cemu płaczesz? - spytałam szeptem.

- Boję się! Chcę wracać do domu - odpowiedziała.

- Wiem, ja też, ale nie płacz. To nic nie da. Jestem pewna, że wkrótce wypuszczą nas do domu - skłamałam.

- Nieprawda! Umrę tutaj! Wszyscy tutaj zginieją!

- Musisz być dzielna - powiedziałam i w tej samej chwili pożałowałam swoich słów. Może ją torturowano. Jakie mam prawo udzielać jej lekcji odwagi?

- To bardzo interesujące - powiedział męski głos. - Marina, idziesz ze mną. Wstań i zrób dziesięć kroków do przodu. Potem skreć w prawo.

Dziewczyna płakała teraz na głos. Zrobiłam, co mi kazali. Przeszłam kolejne cztery kroki. Zamknęły się za mną drzwi i powiedziano mi, żebym usiadła.

- Byłaś tam bardzo odważna. Odwaga to rzadkość w Evin. Widziałem silnych mężczyzn, którzy się tutaj załamywali. Więc jesteś Ormianką?

- Nie.

- Ale strażnikom powiedziałaś, że jesteś chrześcijanką.
- Jestem chrześcijanką.
- To w takim razie Syryjką?
- Nie.
- Mówisz bez sensu. Chrześcijanami są albo Ormianie, albo Syryjczycy.

- Większość irańskich chrześcijan tak, ale nie wszyscy. Obie moje babcie trafiły do Iranu z Rosji po rewolucji.

Moje babcie wyszły za mąż za Irańczyków, którzy pracowali w Rosji przed rewolucją bolszewicką w 1917 roku. Po rewolucji zostali oni zmuszeni do opuszczenia Związku Radzieckiego, ponieważ nie byli obywatelami rosyjskimi. Moje babcie postanowiły pojechać ze swoimi mężami do Iranu.

- To znaczy, że są komunistkami.
- Gdyby tak było, po co miałyby opuszczać swój kraj? Wyjechały, bo nienawidziły komunizmu. Obie były gorliwymi chrześcijankami.

Przesłuchujący mnie mężczyzna powiedział, że Koran wspomina w pewnym miejscu o Maryi, matce Jezusa. Powiedział też, że dla muzułmanów Jezus był wielkim prorokiem, i że mają wiele szacunku dla Maryi. Zaproponował mi wysłuchanie fragmentu Koranu. Słuchałam, jak czytał arabski tekst. Miał głęboki, miły głos.

- I co o tym myślisz? - spytał na koniec. Chciałam, żeby nie przerywał czytania. Wiedziałam, że jestem bezpieczna tak długo, jak on będzie czytał. Ale wiedziałam też, że nie mogę mu ufać. Był prawdopodobnie strażnikiem rewolucji, który bez skrępowań torturował i mordował niewinnych ludzi.

- To było bardzo ładne. Studiowałam Koran i czytałam wcześniej ten fragment - odpowiedziałam. Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło.

- Studiowałaś Święty Koran? To robi się coraz ciekawsze! Odważna chrześcijanka, która zna naszą księgę! I nadal jesteś chrześcijanką, mimo że poznałaś nauczanie naszego proroka?

- Tak.

Moja matka zawsze twierdziła, że najpierw mówiłam, a dopiero potem myślałam. Zwłaszcza wtedy, gdy odpowiadałam na pytania zgodnie z prawdą, gdy zależało mi, by nie być źle zrozumianą.

- Ciekawe! - skomentował ze śmiechem właściciel Koranu. - Chętnie kontynuowałbym tę rozmowę w bardziej sprzyjających warunkach, ale w tej chwili brat Hamehd czeka, by zadać ci kilka pytań.

Wyglądało na to, że rozmowa ze mną naprawdę go rozbawiła. Być może byłam jedyną chrześcijanką, jaką kiedykolwiek widział w Evin. Prawdopodobnie spodziewał się typowej muzułmańskiej dziewczyny z tradycyjnej rodziny - cichej, nieśmiałej i posłusznej. Ale ja nie miałam żadnej z tych cech.

Zorientowałam się, że wstał i wyszedł z pokoju. Byłam otępiała. Być może znajdowałam się już poza granicą strachu, gdzie wszystkie ludzkie emocje zostają zdławione i gdzie nawet nie ma mowy o luksusie, jakim jest stawianie oporu.

Czekałam i myślałam o tym, że nie mają powodu, by mnie torturować. Tortury stosowano zwykle, by wydobyć informacje. Ja nie wiedziałam o niczym, co mogłoby mieć dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Nie należałam przecież do żadnego ugrupowania politycznego.

Podsłoczyłam, gdy drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Wrócił znawca Koranu. Przedstawił się jako Ali, dodając, że Hamehd jest zajęty przesłuchiowaniem kogoś innego. Okazało się, że pracuje dla szóstego wydziału Sądu Rewolucji Islamskiej, który bada moją sprawę. Wydawał się spokojny i cierpliwy, ale

ostrzegł, że muszę mówić prawdę. To było bardzo dziwne: rozmawiać z kimś, kogo się nie widzi. Nie miałam pojęcia jak wygląda i w jakim jest wieku. Nie wiedziałam też, co mnie otacza.

Powiedział mi, że wie o moich antyrewolucyjnych poglądach wygłaszanych w szkole oraz o antyrządowych artykułach, które publikowałam w szkolnej gazetce. Nie zaprzeczyłam tym faktom. W końcu nie były ani tajemnicą, ani przestępstwem. Spytał, czy współpracowałam z jakimś ugrupowaniem komunistycznym i odpowiedziałam, że nie. Wiedział o strajku w szkole, którego byłam inicjatorką, i uważał za niemożliwe, by tego typu akcję dało się zorganizować w pojedynkę, bez udziału jakiejś nielegalnej partii politycznej. Powiedziałam mu, że niczego nie zorganizowałam, co było zgodne z prawdą. Jedynie poprosiłam nauczycielkę matematyki, by zgodnie z programem wykladała matematykę, a nie politykę. Kazała mi wyjść z klasy, co też zrobiłam, tyle że koledzy i koleżanki poszli w moje ślady. Zanim się zorientowałam, większość uczniów wiedziała o całym zajściu i odmówiła powrotu na lekcje. Ali nie mógł uwierzyć, że było to tak proste. Okazało się, że według jego informacji miałam silne powiązania z ugrupowaniami komunistycznymi.

- Nie wiem, skąd bierze pan te informacje - powiedziałam - ale są błędne. Studiowałam komunizm w taki sam sposób, w jaki poznawałam islam, i nie zrobiło to ze mnie komunistki w większym stopniu niż muzulmanki.

- Coraz bardziej mi się to podoba! - odpowiedział ze śmiechem. - Podaj mi nazwiska wszystkich komunistów i wrogów rewolucji z twojej szkoły, to uwierzę, że nie kłamiesz.

Dlaczego chciał, żebym podała mu nazwiska szkolnych kolegów i koleżanek? Wiedział przecież o strajku i gazetce szkolnej, więc *Khanoom* Mahmoodi musiała z nim rozmawiać i dać mu zrobioną przez siebie listę. Nie mogłam jednak ryzykować, gdyż

nie wiedziałam, które nazwiska - oprócz mojego - znalazły się na liście.

- Nie podam żadnych nazwisk - powiedziałam.

- Wiedziałem, że jesteś po ich stronie.

- Nie jestem po niczyjej stronie. Jeśli podam wam nazwiska, aresztujecie te osoby. Nie chcę, żeby tak się stało.

- Owszem, zatrzymamy ich. Musimy się upewnić, że nie prowadzą działalności antyrządowej. Jeśli są niewinni, wypuścimy ich. Jeśli nie, musimy ich powstrzymać. Będą mogli mieć pretensje tylko do samych siebie.

- Nie podam żadnych nazwisk.

- A co wiesz o Shahrzad? Czy zaprzeczysz, że ją znasz?

W pierwszym momencie nie wiedziałam, o kogo chodzi. Kim była Shahrzad? Po chwili wróciła mi pamięć. To przyjaciółka Gity, należąca do komunistycznego ugrupowania o nazwie *Fadayian-e Khalgh*. Jakies dwa tygodnie przed letnimi wakacjami Gita poprosiła mnie, żebym się z nią spotkała. Miała nadzieję, że dziewczyna namówi mnie, abym przyłączyła się do jej ugrupowania. Spotkałam się z nią raz i wyjaśniłam, że jestem praktykującą chrześcijanką i w związku z tym nie interesuje mnie przynależność do jakiegokolwiek grupy komunistycznej.

Ali powiedział mi, że od jakiegoś czasu obserwowali Shahrzad, póki się nie zorientowała i nie zniknęła. Szukali jej i podejrzewali, że mogła się ze mną kontaktować. Według Alego dziewczyna musiała mieć ważniejszy powód niż tylko agitacja do partii, by się ze mną spotkać. Nie traciłaby w ten sposób swojego czasu - była na to zbyt ważną osobą. Bezskutecznie próbowałam go przekonać, że nie mam z Shahrzad nic wspólnego. Nie wierzył mi.

- Musimy wiedzieć, gdzie przebywa. - powiedział.

- Nie pomogę panu, bo nie wiem.

Przez całe przesłuchanie był spokojny i ani razu nie podniósł głosu.

- Marina, posłuchaj uważnie. Widzę, że jesteś odważną osobą i szanuję to. Ale muszę wiedzieć to, co wiesz ty. Jeśli nie zechcesz współpracować, brat Hamehd będzie bardzo niezadowolony. Nie należy do cierpliwych. Nie chcę, żebyś cierpiała.

- Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia.

- W taki razie, mnie też jest przykro — powiedział i wyprowadził mnie najpierw z pokoju, potem przez trzy lub cztery korytarze. Jakiś człowiek krzyczał. Kazano mi usiąść na podłodze. Ali powiedział, że - podobnie jak ja - człowiek, którego krzyk słyszałam po drodze, też nie chciał mówić, ale że wkrótce zmieni zdanie.

Przepełnione bólem krzyki wypełniały przestrzeń wokół mnie. Głośne, głębokie i rozpaczliwe dostawały mi się pod skórę, wypełniając każdą komórkę ciała. Ten biedny człowiek był rozszarpywany. Świat stał się ołowianym ciężarem na mojej piersi.

Głośne, silne uderzenie pejcza. Krzyk. Cisza, trwająca ułamek sekundy. I wszystko od początku.

Po kilku minutach ktoś spytał torturowanego, czy jest gotowy mówić. Odpowiedzią było „nie”. Znowu bicie. Chociaż miałam związane nadgarstki, próbowałam schować uszy między ramionami, by odepchnąć od siebie te krzyki, ale na próżno. Uderzeniom nie było końca. Podobnie jak krzykom.

- Przestańcie... Proszę... Będę mówił... - wykrzyknął wreszcie mężczyzna.

Bicie ustało.

Nic nie miało znaczenia poza faktem, że zdecydowałam nie podać żadnego nazwiska. Nie byłam bezradna. Miałam zamiar podjąć walkę.

- Jak się masz, Marina? - spytał głos, który przesłuchiwał torturowanego mężczyznę.

- Ali powiedział mi o tobie. Zrobiłaś na nim wrażenie. Nie chce cię skrzywdzić, ale business is business. Słyszałaś tego człowieka? Na początku nie chciał mi nic powiedzieć, ale w końcu powiedział. Byłabyś dużo mądrzejsza, gdybyś od razu powiedziała to, co chcę wiedzieć. To jak, jesteś gotowa mówić?

Wzięłam głęboki oddech:

- Nie.

- Tym gorzej. Wstań.

Chwycił sznurek owinięty wokół moich dłoni, pociągnął kilka kroków i popchnął na podłogę. Ściągnięto mi z oczu opaskę. Chudy, niski mężczyzna z wąsami i krótkimi brązowymi włosami stał nade mną, trzymając w ręce moją opaskę. Był po czterdziestce. Miał na sobie brązowe sportowe spodnie i białą koszulę. Pokój był pusty z wyjątkiem gołego drewnianego łóżka z metalowym zagłówkiem. Rozwiązał mi ręce.

- Sznurek to za mało. Potrzebujemy czegoś twardszego i mocniejszego - powiedział. Z kieszeni wyjął kajdanki i założył mi je na nadgarstki.

Do pokoju wszedł inny mężczyzna, o krótkich czarnych włosach i przystrzyżonej czarnej brodzie. Musiał mieć około trzydziestki, ponad dwa metry wzrostu i jakieś dziewięćdziesiąt kilo.

- Hamehd, powiedziała coś? - spytał.

- Nie. Jest dość uparta, ale nie martw się; niedługo zacnie mówić.

- Marina, to twoja ostatnia szansa - powiedział brunet. Rozpoznałam jego głos. Ali. Trochę za duży nos. Wyraziste brązowe oczy z długimi, gęstymi rzęsami.

- W końcu i tak będziesz mówić, więc może lepiej zacznij już teraz. Podasz nam nazwiska?

- Nie.

- To, na czym mi naprawdę zależy, to miejsce pobytu Shahrzad.

- Nie wiem, gdzie ona jest.

- Ali, zobacz, ona ma takie małe nadgarstki! Wysuną się z kajdanek - zauważył Hamehd. Wcisnął mi dłonie w jedno z metalowych oczek i pociągnął w stronę łóżka. Obręcz kajdanek wpiła mi się w kości i mimowolnie krzyknęłam. Nie stawiałam jednak oporu, wiedząc, że moja sytuacja była wystarczająco beznadziejna, a wszelka próba podjęcia walki tylko by ją pogorszyła. Przymocował wolną obręcz do metalowego zagłówka łóżka. Potem, ściągnął mi buty i przywiązał do łóżka za kostki.

- Mam zamiar bić cię po stopach tym kablem - powiedział Hamehd, wymachując mi przed twarzą kawałkiem czarnego kabla, grubego na około ćwierć centymetra.

- Ali, jak myślisz, ile uderzeń trzeba będzie, żeby zaczęła śpiewać?

- Niewiele.

- Obstawiam, że dziesięć.

Z ostrym, złowrogim świstem kabel przeciął powietrze i wyładował na moich stopach.

Ból. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego bólu. Nawet nie byłabym w stanie wyobrazić go sobie. Wybuchł we mnie nagle jak błyskawica.

Drugie uderzenie i oddech stanął mi w gardle. Jak możliwy jest taki ból? Próbowałam znaleźć sposób na jego przetrzymanie. Nie krzyczałam, bo w płucach brakowało mi powietrza.

Trzeci raz: świst kabla i zaraz po nim przeraźliwy ból. W głowie miałam „Zdrowaś Mario”.

Uderzenia następowały rytmicznie, a ja modliłam się, walcząc z bólem. Chciałam stracić przytomność, ale nie było mi to dane. Przyjmowałam kolejne razy w pełnej świadomości.

Dziesiąte uderzenie: błagałam Boga, by zmniejszył ból.

Boże, proszę, nie zostawiaj mnie samej. Nie zniosę więcej.

Bicie nie ustawało. Ani moja agonía bez końca.

Przestaną, jeśli podam im kilka nazwisk... Nie, nie przestaną. Chodzi im o Shahrzad. I tak nic o niej nie wiem. Bicie nie może przecież trwać bez końca. Będę liczyć.

Po szesnastym uderzeniu straciłam rachubę.

Ból.

- Gdzie jest Shahrzad?

Powiedziałabym, gdybym wiedziała. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko przestali.

Uderzenie.

W przeszłości doświadczyłam różnego rodzaju bólu. Kiedyś złamałam ramię. Ale to było gorsze. Znacznie gorsze.

- Gdzie jest Shahrzad?

- Naprawdę nie wiem!

Ból nie do zniesienia.

Głósy.

Gdy Hamehd skończył, znalazłam w sobie siłę tylko na to, by odwrócić głowę i zobaczyć, jak wychodzi z pokoju. Ali zdjął mi kajdanki i uwolnił kostki. Bolały mnie stopy, ale najgorszy ból minął, a jego miejsce zajęła łagodna pustka, wypełniająca moje żyły. Kilka chwil później prawie przestałam odczuwać własne ciało, a moje powieki stały się ciężkie. Poczulałam na twarzy coś zimnego. Woda. Potrząsnęłam głową.

- Mdlejesz, Marina. Chodź, wstań. - powiedział Ali. .

Pociągnął mnie za ramiona i usiadłam. Stopy piekły mnie teraz jak po ukąszeniach całego roju pszczoł. Spojrzałam na nie. Były czerwono-sine i bardzo spuchnięte. Zdziwiło mnie, że skóra na nich nie pękła.

- Czy masz mi teraz coś do powiedzenia? - spytał Ali.

- Nie.

- To nie ma sensu! — Spojrzał na mnie ze złością. — Chcesz kolejnego bicia? Twoje stopy będą wyglądały dużo gorzej, jeśli nie zaczniesz mówić.

- Nic nie wiem.

- To już nie jest odwaga! To głupota! Możesz łatwo sprowadzić na siebie karę śmierci, jeśli odmówisz współpracy z rządem. Nie rób sobie tego.

- Nie róbcie mi tego — poprawiłam go.

Pierwszy raz popatrzył mi prosto w oczy i przyznał, że mają wszystkie nazwiska ze szkoły. *Khanoom* Mahmoodi dała im listę. Dodał, że moja współpraca i tak nie może już bardziej zaszkodzić szkolnym kolegom, ale może oszczędzić mi dalszych tortur. I że moi przyjaciele i tak zostaną aresztowani, bez względu na to, czy będę współpracować, czy nie. Jeśli jednak napiszę ich nazwiska, skończą się moje cierpienia.

- Wierzę, że mówisz prawdę, jeśli chodzi o Sharzad — powiedział. - Nie próbuj być bohaterem, bo możesz z tego powodu stracić życie. Hamehd jest pewny, że należysz do Fadayan, ale nie sądzę. Członek Fadayan nie modliłby się do Maryi w trakcie tortur.

Nie miałam pojęcia, że modliłam się na głos.

Spytałam, czy mogę iść do łazienki. Wziął mnie pod ramię i pomógł wstać. Kręciło mi się głowie. Na podłodze przed łóżkiem postawił gumowe klapki. Były dla mnie co najmniej cztery numery na duże, ale z powodu opuchlizny okazały się za ciasne. Założenie ich było wyzwaniem. Ali pomógł mi przejść przez pokój. Z trudem utrzymywałam równowagę. Gdy dotarliśmy do drzwi, puścił moje ramię i kazał mi zawiązać przepaskę na oczach. Włożył mi w rękę jakąś linę i poprowadził w ten sposób do drzwi łazienki. Weszłam, odkręciłam kurek i umyłam twarz

zimną wodą. Ogarnęła mnie nagle fala mdłości, poczułam skurcz żołądka i zwymiotowałam. Czułam się jakby przecinana na pół nożem. W uszach miałam dzwoniący hałas, a potem była już tylko ciemność.

Gdy otworzyłam oczy, nie wiedziałam, gdzie się znajduję. W miarę, jak rozjaśniał mi się umysł, zrozumiałam, że nie jestem już w łazience, ale leżę na łóżku, na którym wcześniej mnie torturowano. Ali siedział na krześle, obserwując mnie. Bolała mnie głowa i gdy jej dotknęłam, wyczułam duży guz po prawej stronie czoła. Spytałam Alego, co się stało. Powiedział, że przewróciłam się w łazience i uderzyłam w głowę. Zdaniem lekarza, który mnie oglądał, mój stan nie był zbyt poważny. Ali pomógł mi usiąść na wózku inwalidzkim, założył mi opaskę na oczy i opuściliśmy pokój. Gdy zdjął mi przepaskę, znajdowaliśmy się w bardzo małym pomieszczeniu bez okien, tylko z umywalką i sedesem w rogu. Na podłodze leżały dwa wojskowe koce. Z pomocą Alego położyłam się na jednym z nich, a drugim przykryłam. Był szorstki, sztywny i śmierdział pleśnią, ale nie miało to znaczenia. Czułam przeraźliwe zimno. Ali spytał, czy coś mnie boli. Kiwnęłam głową, zastanawiając się, czemu jest dla mnie miły. Wyszedł, ale po chwili wrócił z ubranym w wojskowy mundur mężczyzną w średnim wieku, którego przedstawił jako doktora Sheikha.

Lekarz dał mi jakiś zastrzyk w ramię i wyszedł razem z Alim. Zamknęłam oczy i pomyślałam o domu. Marzyłam, by wdrapać się do łóżka babci, jak to często robiłam w dzieciństwie, i usłyszeć od niej, że nie ma się czego bać i że to tylko zły sen.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jako dziecko uwielbiałam senną ciszę i nierealne barwy wczesnych poranków w Teheranie: sprawiały, że czułam się lekka i wolna, prawie niewidzialna. To była jedyna chwila dnia, gdy mogłam wejść do salonu piękności, należącego do mojej matki. Chodziłam pomiędzy fotelami i suszarkami, nie denerwując jej. Pewnego ranka, w sierpniu 1972 roku, wzięłam do ręki ulubioną popielniczkę matki, Rozmiarami przypominała obiadowy talerz. Matka wielokrotnie zabraniała mi dotykać popielniczki, ale była tak piękna i bardzo chciałam poczuć pod palcami jej delikatny wzór. Mogłam przekonać się na własne oczy, dlaczego matka tak ją lubiła. Była jakby ogromnym płatkim śniegu, który nigdy się nie topił. Jak daleko sięgam pamięcią, popielniczka stała pośrodku szklanego stolika, a klientki z długimi, czerwonymi paznokciami, siedzące na okrytych puszystym, białym materiałem krzesłach w oczekiwaniu na swoją kolej, strzepywały nad nią swoje papierosy. Czasami robiły to nieuważnie i popiół lądował na stoliku. Matka nie cierpiała, gdy stolik był brudny. Gdy tylko nabrudziłam, krzyczała na mnie i kazała mi sprzątać. Ale jaki sens miało to sprzątanie? Rzeczy brudziły się przecież na okrągło.

Podniosłam popielniczkę. Delikatne złote światło sączyło się do środka przez jedyne okno w salonie, które zajmowało ponad połowę południowej ściany. Światło odbijało się od białego sufitu i rozchodziło po mieniącym się, przezroczystym wnętrzu popielniczki. W chwili, gdy uniosłam ją lekko, by spojrzeć pod innym kątem, wyślizgnęła mi się z rąk. Próbowałam ją złapać, ale było za późno - uderzyła o podłogę i rozbiła się.

- Marina! - krzyknęła moja matka z sypialni rodziców, która przylegała do salonu.

Rzuciłam się w lewo, przez drzwi prowadzące do ciemnego, wąskiego korytarza, wpadłam do swojego pokoju i wczołgałam się pod łóżko. W powietrzu unosił się kurz i kręciło mnie w nosie, więc wstrzymałam oddech, żeby nie kichnąć. Choć nie mogłam widzieć matki, to słyszałam dźwięk jej gumowych kłapek, stukających o linoleum. Ich złowrogi rytm sprawił, że ściślej przylgnęłam do ściany.

Ponownie mnie zawołała i jeszcze raz, ale siedziałam nieporuszona. Gdy weszła do mojego pokoju i stanęła obok łóżka, usłyszałam Babcie, która spytała, co się stało. Matka odpowiedziała, że stłukłam popielniczkę, a Babcia na to, że to nie ja, tylko ona upuściła popielniczkę w trakcie sprzątania. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Babcia mówiła mi, że kłamcy idą po śmierci do piekła.

- Ty ją stłukłaś? - dopytywała się matka.

- Tak. Ścierałam kurz ze stolika. To był wypadek. Za moment posprzątam - odpowiedziała jej Babcia.

Po krótkiej chwili łóżko zaskrzypiało pod czymś ciężarem. Uniosłam odrobinę moją starą, beżową kapę i ujrzałam brązowe kaptcie mojej babci i jej szczupłe kostki. Wyczołgałam się spod łóżka i usiadłam obok niej. Jak zawsze jej siwe włosy zebrane

były w ciasny koczek z tyłu głowy. Miała na sobie czarną spódnice i idealnie wyprasowaną białą bluzkę. Patrzyła prosto przed siebie na ścianę i nie wyglądała na złą.

- *Bahboo*, skłamałaś - powiedziałam.
- Skłamałam.
- Bóg nie będzie na ciebie zły.
- Dlaczego nie? - uniosła jedną brew.
- Bo mnie uratowałaś.

Uśmiechnęła się. Rzadko się uśmiechała. Była poważną kobietą, która wiedziała, jaki jest porządek rzeczy. Zawsze знаła odpowiedź nawet na najtrudniejsze pytania i miała niezawodne środki na ból brzucha.

Babcia była matką mojego ojca i mieszkała z nami. Każdego ranka około ósmej chodziła po zakupy do sklepu spożywczego, zwykle zabierając mnie ze sobą. Tamtego dnia, jak zawsze, wzięła torebkę, a ja pospieszyłam za nią w dół po schodach. W momencie, gdy otworzyła różowe drewniane drzwi na dole, hałas samochodów, przechodniów i handlarzy wdarł się do środka. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był bezzębny uśmiech Akbar *Aghi*, który miał przynajmniej osiemdziesiąt lat i sprzedawał banany z zepsutego wózka.

- Banany na dzisiaj? - spytał.

Babcia obejrzała banany: były zdrowe, żółte, bez jednej plamki. Kiwnęła głową, podniosła w górę osiem palców i Akbar *Agha* dał nam osiem bananów.

Skręciłyśmy w lewo w Aleję Rahzi, wąską, jednokierunkową ulicę z brudnym chodnikiem. Na północy widziałam szaro-niebieskie Góry Elbrus, wyraźnie odcinające się na tle nieba. Lato zbliżało się ku końcowi i nie było na nich śladu po śnieżnych czapach. Jedynie na górze Damavand, uśpionym wulkanie, dostrzec można było białą plamę. Po drugiej stronie ulicy otoczyła

nas przesiąknięta zapachem czystego, prasowanego płótna para, która wydobywała się z otwartej na oścież pralni.

- *Bahboo*, dlaczego nie powiedziałaś „osiem” po persku? Przecież umiesz.

- Wiesz bardzo dobrze, że nie lubię mówić po persku. Rosyjski jest dużo lepszym językiem.

- Ja lubię perski.

- My mówimy tylko po rosyjsku.

- Jesienią, kiedy pójde do szkoły, nauczę się czytać i pisać po persku. Potem nauczę ciebie.

Babcia westchnęła.

Wybiegłam do przodu. Ulica była spokojna, ruch samochodów minimalny. Dwie kobiety przeszły obok mnie, machając pustymi torbami na zakupy. Gdy weszłam do małego marketu, jego właściciel *Agha-yeh* Rostami, którego grube czarne wąsy wyglądały dziwnie na szczupłej, miłej twarzy, rozmawiał z kobietą okrytą od stóp do głów czarnym czadorem. Tylko jej twarz była widoczna. Inna kobieta w minispódniczce i obcisłym podkoszulku czekała na swoją kolej. Były to czasy szacha i kobiety nie musiały ubierać się zgodnie z zasadami islamu.

Choć sklep był niewielki, jego półki zapełniały rozmaite towary: długoziarnisty ryż, przyprawy, suszone zioła, masło, mleko, górski ser, słodczyce, skakania i plastikowe piłki do futbolu. Podając mi karton czekoladowego mleka, a kobiecie w czadorze papierową torbę z zakupami, *Agha-yeh* Rostami uśmiechnął się do mnie zza lady. Piłam dużymi łykami swoje czekoladowe mleko, rozkoszując się jego jedwabistym chłodem, gdy Weszła Babcia i pokazała palcem wszystko, czego potrzebowała. W drodze do domu zobaczyłyśmy starego *Agha* Tagi, który zawsze o tej porze roku chodził po ulicach, wykrzykując: „Wełna wielbłądzia i bawełna!”. Kobiety otwierały okna i zapraszały go do środka,

gdyż był to czas przygotowywania zimowych kołder, które wypełniało się wełnianymi lub bawełnianymi włóknami.

Gdy wróciłyśmy ze sklepu, poszłam za Babcią do kuchni. Nasza dwupalnikowa, olejowa kuchenka stała po lewej stronie, biała lodówka - po prawej, a szafka na naczynia pod ścianą na wprost drzwi. Gdy obie z Babcią byłyśmy w kuchni, robiło się całkiem ciasno. Małe okno kuchenne znajdowało się pod sufitem, tak że nie mogłam go dosięgnąć, a wychodziło na dziedzińiec szkoły dla chłopców. Babcia postawiła na kuchence stary, ale idealnie czysty stalowy czajnik, żeby zrobić herbatę, po czym otworzyła szafkę.

- Twoja matka znów tutaj była i niczego nie mogę znaleźć! Gdzie jest patelnia?

Z drugiej strony kredensu wypadły na podłogę garnki i rondle. Rzuciłam się, żeby pomóc Babci odstawić je na miejsce. Kuchnia była domeną Babci. Do niej też należała opieka nad mną i wszystkie prace domowe. Matka pracowała prawie dzień-dziennie w swoim salonie piękności i nienawidziła gotować.

- Nie martw się, *Bahboo*, pomogę ci.
- Ile razy jej mówiłam, żeby trzymała się z daleka od kuchni.
- Dużo razy...

Wkrótce wszystko było na swoim miejscu.

- Kola! - babcia zawołała tatę, który był pewnie w swoim tanecznym studiu.

Nie odpowiedział.

- Marina, idź i zapytaj ojca, czy chce herbaty — powiedziała Babcia, wkładając zakupy do lodówki.

Przeszłam ciemnym korytarzem na wprost salonu mamy i weszłam do studia ojca, które było dużym pokojem w kształcie litery L, z brązowym linoleum na podłodze i rozwieszonymi na

ścianach zdjęciami eleganckich, tańczących par. Pośrodku poczekalni - którą stanowiła podstawa wspomnianego L - znajdował się stolik kawowy zarzucony czasopismami, a wokół niego cztery skórzane fotele w kolorze czarnym. Ojciec siedział w jednym z nich i czytał gazetę. Miał około 160 cm wzrostu, szczupłą sylwetkę, siwe włosy, oczy koloru piwnego i zawsze starannie ogolony zarost.

- Dzień dobry, tato. *Bahboo* pyta, czy chciałbyś filiżankę herbaty.

- Nie - rzucił ojciec, nie podnosząc na mnie wzroku. Obróciłam się i wyszłam.

Czasami, gdy budziłam się wcześniej rano i wszyscy jeszcze spali, szłam do sali tanecznej ojca. Wymyślałam sobie muzykę - zwykle był to walc, mój ulubiony taniec - robiłam piruety i tańczyłam, wyobrażając sobie, że w rogu stoi mój ojciec i klaszcze: „Brawo, Marina! Naprawdę umiesz tańczyć!”.

Gdy weszłam do kuchni, Babcia kroїła cebulę, a łzy spływały jej po policzkach. Zapiekły mnie oczy.

- Nie cierpię surowej cebuli - powiedziałam.
- Docenisz ją, gdy się zestarzejesz. Wtedy, gdy będziesz chciała sobie popłakać tak, żeby inni o tym nie wiedzieli, po prostu zaczniesz siekać cebulę.
- Ale ty nie płaczesz naprawdę?
- Nie, oczywiście, że nie.

Gdy moi rodzice pobrali się w czasie II wojny światowej, wynajęli skromne mieszkanie w centrum Teheranu, na północny zachód od skrzyżowania alei Shah i Rahzi. Teheran był stolicą i największym miastem Iranu. Tam właśnie, nad małym sklepem meblowym i restauracją ojciec otworzył swoją szkołę tańca. Ponieważ podczas wojny w kraju znalazło się wielu żoł-

nierzy amerykańskich i brytyjskich, kultura Zachodu zyskiwała popularność wśród Irańczyków wyższych klas i ojciec znalazł wielu pilnych uczniów, którzy chcieli nauczyć się tańczyć jak na Zachodzie.

W roku 1951 urodził się mój brat. Gdy miał około dwóch lat, matka - choć nie znała języka - pojechała na sześć miesięcy do Niemiec na kurs fryzjerski. Po powrocie potrzebowała lokalu, by otworzyć salon urody. Do mieszkania rodziców przylegał drugi, identyczny apartament, wynajęli go więc i połączyli w całość obydwu mieszkań.

Ja urodziłam się 22 kwietnia 1965 roku. Od 1941 autokratycznym władcą Iranu był wtedy prozachodni Mohammad Reza Shah-eh Pahlavi. Cztery miesiące przed moim urodzeniem premier Iranu Hassan Ali-eh Mensur został zamordowany przez już wówczas znanych zwolenników szyickiego fundamentalisty - Ajatollaha Chomeiniego, który zmierzał w stronę państwa teokratycznego. W 1971 roku Amir Abbas-eh Hoveida, ówczesny szef rządu irańskiego, zorganizował wśród starożytnych ruin Persepolis wystawne uroczystości, które miały upamiętniać 2500. rocznicę założenia imperium perskiego. Dwadzieścia pięć tysięcy gości z całego świata, w tym koronowane głowy, prezydenci, premierzy i dyplomaci, wzięło udział w obchodach, których koszt sięgnął 300 milionów dolarów. Szach obwieścił, iż celem całego przedsięwzięcia było zademonstrowanie światu postępu, jaki w minionych latach stał się udziałem Iranu.

Gdy skończyłam cztery lata, mój brat opuścił dom, by studiować na Uniwersytecie Pahlavi w mieście Shiraz, znajdującym się w centralnej części Iranu. Byłam z niego niezwykle dumna - z mojego wysokiego, przystojnego brata, który jednak odwiedzał nas sporadycznie i zawsze na krótko. Tym cenniejsze były dla mnie te rzadkie chwile, gdy przyjeżdżał. Stawał wów-

czas w drzwiach mojej sypialni i z uśmiechem pytał: „Jak się ma moja mała siostrzyczka?”. Uwielbiałam zapach jego wody kolońskiej, który nasyczał wówczas powietrze wokół mnie. On i Babcia byli jedynymi osobami, od których dostawałam prezenty na gwiazdkę. Rodzice uważali, że Boże Narodzenie było kompletną stratą czasu i pieniędzy.

Babcia zabierała mnie w każdą niedzielę do kościoła. Jedyna rosyjska cerkiew prawosławna w Teheranie znajdowała się w odległości dwóch godzin spacerem od naszego mieszkania. Droga do kościoła wiodła przez wysadzone starymi klonami ulice dolnego Teheranu, wzdłuż których znajdowały się sklepy i stragany. Cudowna woń prażonych nasion słonecznika i dyni unosiła się w powietrzu. Moim ulubionym odcinkiem była aleja Nahderi - ulica sklepów z zabawkami i piekarni. Zapach świeżo upieczonych ciast, wanilii, cynamonu i czekolady był odurzający. Rozmaite dźwięki mieszały się tam ze sobą, niejako zawieszane nad ulicą: klaksony samochodów, krzyki sprzedawców zachwalających swoje towary i targujących się z klientami, wreszcie głośne dźwięki tradycyjnych melodii. Babcia nie była zwolenniczką kupowania zabawek, ale i tak zawsze dostawałam od niej jakiś drobiazg.

Pewnej niedzieli wyruszyliśmy nieco wcześniej, by odwiedzić jedną z przyjaciółek Babci, która mieszkała w niewielkim apartamencie. Była starą, kapryśną Rosjanką o krótkich, kręconych blond włosach, zawsze z czerwoną szminką na ustach i błękitnym cieniem na powiekach. Pachniała jak kwiaty. Jej mieszkanie wypełniały stare meble i mnóstwo bibelotów - miała najpiękniejszą kolekcję porcelanowych figurek. Były wszędzie: na stolikach, półkach, parapetach, nawet na blatach kuchennych. Szczególnie podobały mi się aniołki z delikatnymi skrzydłami.

Podawała herbatę w filiżankach z chińskiej porcelany - najcudowniejszych jakie kiedykolwiek widziałam. Były białe,

błyszczące, z wymalowanymi różyczkami. Obok każdej filizanki znajdowała się maleńka złota łyżeczka. Uwielbiałam wrzucać do herbaty kostki cukru i mieszając, obserwować wypływające na wierzch bąbelki.

Spytałam przyjaciółkę Babci, dlaczego ma tyle aniołków. Powiedziała mi, że dotrzymują jej towarzystwa. Spytała, czy wiem, że każdy człowiek ma swojego anioła stróża, a ja odpowiedziałam, że Babcia mi o tym mówiła. Patrząc na mnie swoimi bładniebieskimi oczami, które z powodu grubego szkła okularów wydawały się nienaturalnie duże, wyjaśniła, że każdy kiedyś widział swojego anioła stróża, ale zapomniał już, jak wygląda.

- A teraz powiedz mi - ciągnęła - czy zdarzyło ci się, że w chwili, gdy miałas zrobić coś złego, usłyszałas w głębi serca szept, który cię przed tym przestrzegał?

- Tak.., chyba tak - pomyślałam o popielniczce.

- No więc to właśnie anioł stróż mówił do ciebie. Im uważniej słuchasz, tym więcej usłyszysz. .

Pomyślałam, że chciałabym pamiętać o swoim aniele. Przyjaciółka babci namawiała mnie, bym się przyjrzała wszystkim figurkom i wybrała tę, która najbardziej mi się podoba. Była pewna, że mój anioł stróż wygląda dokładnie tak samo. Przez chwilę oglądałam wszystkie figurki aż wreszcie znalazłam tę najbardziej: był to przystojny młody mężczyzna w długiej białej szacie. Pokazałam go Babci. Jej zdaniem figurka nie do końca przypominała anioła, ponieważ brakowało jej skrzydeł, ale wyjaśniłam, że skrzydła są niewidzialne.

- Możesz ją zatrzymać, kochanie - zaproponowała przyjaciółka Babci. Byłam zachwycona.

Każdego dnia babcia zabierała mnie do parku. Był to duży park o nazwie Parh-eh Yaliahd, w odległości mniej więcej dwu-

dziestu minut od naszego domu. Godzinami zwiedzałyśmy go, podziwiając stare drzewa i pachnące kwiaty. Gdy było gorąco, siadałyśmy w chłodnym cieniu, zjadając lody. W centrum parku znajdowała się płytka fontanna, która strzelała wysokim słupem wody do góry, a wokół niej bulgotało wiele mniejszych fontann. Zawsze stawałam obok zbiornika i pozwalałam, by wiatr rozpylał na mnie wodę. Wokół fontanny stały figury młodych chłopców z brązu, każda inna. Jeden z nich stał — wysoki, wpatrujący się w niebo; inny klęczał nad wodą wpatrując się w nią jakby w poszukiwaniu zagubionego klejnotu; następny wskazywał wodę mosiężną laską. Był też taki z uniesioną nogą, który jakby szykował się do skoku. Aura niezwykłego smutku i opuszczenia otaczała te posągi. Wyglądały jak żywe, a jednak na wieczność zastygłe w ciemnej, stałej materii, od której nigdy nie mogły się uwolnić.

Największą frajdą była huśtawka. Babcia wiedziała, że lubię huścić się bardzo wysoko, więc popychała mnie najmocniej jak mogła. Uwielbiałam czuć wiatr we włosach i to, jak świat znikał mi przed oczu, gdy byłam wysoko. Miałam siedem lat i wydawało mi się, że życie pozostanie właśnie takie na zawsze.

Pewnego popołudnia, gdy biegałam po parku, Babcia zawołała mnie z oddali, gdyż miałyśmy już iść do domu. Użyła jednak przez pomyłkę innego imienia: Tamara. Zbita z tropu zapytałam ją, kim jest Tamara. Babcia przeprosiła mnie i dodała, że zrobimy lepiej, wracając do domu, gdyż upał był dla niej za duży. Ruszyłyśmy w drogę powrotną. Wyglądała na zmęczoną, co wydało mi się dziwne, ponieważ do tej pory nigdy nie widziałam jej chorej czy zmęczonej.

- Kim jest Tamara? - spytałam ponownie.

- Tamara jest moją córką.

- Ale ty nie masz córki, *Bahboo*, tylko mnie, swoją wnuczkę.

Wtedy powiedziała mi, że owszem, miała kiedyś córkę, cztery lata starszą od mojego ojca, i że ja bardzo ją przypominam, jakbyśmy byli bliźniaczkami. W wieku szesnastu lat Tamara poślubiła pewnego Rosjanina i wróciła z nim do Rosji. Spytałam, dlaczego nigdy nas nie odwiedziła, a Babcia odpowiedziała, że Tamara nie może opuścić Rosji - radziecki rząd nie pozwalał swoim obywatelom podróżować bez przeszkód do innych krajów. Przez pewien czas babcia wysyłała Tamarze lepsze ubrania, mydło czy pastę do zębów, gdyż tam trudno było je dostać; do momentu, gdy otrzymała list z SAVAK - tajnej policji szacha. List zakazywał utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z osobami mieszkającymi w Związku Radzieckim.

- Dlaczego? - chciałam wiedzieć.

— Tutejszy rząd uważa, że Rosja to zły kraj, więc nie wolno nam pisać do Tamary ani wysyłać jej paczek.

Próbowałam oswoić się z tą informacją o ciotce, której nigdy nie poznałam - babcia mówiła dalej, jakby do siebie. Nie bardzo mogłam ją zrozumieć. Wspominała imiona osób i miejsca, o których nigdy wcześniej nie słyszałam, używając obcych, nieznanymi mi słów, więc wychwytywałam tylko pojedyncze fragmenty jej zdań. Powiedziała, że mając osiemnaście lat, zakochała się w młodym mężczyźnie, który następnie zginął podczas rewolucji. Opowiadała o domu z zielonymi drzwiami, wychodzącymi na wąską ulicę, o szerokiej rzece i dużym moście, wreszcie o żołnierzach na koniach, krzyczących do tłumu.

- ...odwróciłam się i zobaczyłam, jak upadł - mówiła babcia. - Trafili go. Wszędzie była krew. Trzymałam go... umarł na moich rękach.

Nie chciałam jej dalej słuchać, ale nie przestawała mówić. Nie mogłam zatkać uszu - byłoby to niegrzeczne i babcia zdenerwowałaby się. Może należało iść szybciej i zostawić ją trochę

w tyle, ale coś było nie tak — nie czuła się dobrze i musiałam się nią zająć. Wreszcie zaczęłam mruczeć do siebie i tak mój własny głos zagłuszył słowa babci. Zawsze opowiadała mi historie na dobranoc, ale wszystkie miały szczęśliwe zakończenie i nikt w nich nie ginął. Wiedziałam, że dobrzy ludzie idą po śmierci do nieba, więc śmierć nie mogła być aż takim złem - a jednak przerażała mnie. To było jak chodzenie w całkowitych ciemnościach, gdzie wszystko, co najgorsze, może ci się przytrafić. Zdecydowanie nie lubiłam ciemności.

Szłyśmy w stronę domu. Babcia wreszcie przestała mówić i rozejrzała się dokoła. Wyglądała na zagubioną i zmieszaną. Chociaż byłyśmy prawie na miejscu, musiałam wziąć ją za rękę i prowadzić przez resztę drogi. Ta silna kobieta, którą znałam przez całe swoje życie, która była moim niezawodnym przyjacielem, na którą zawsze mogłam liczyć, stała się nagle bezbronna. Jak dziecko, jak ja sama. Ta, która zawsze umiała słuchać, a odzywała się rzadko, opowiedziała mi nagle historię swojego życia. Jej słowa o krwi, przemocy i śmierci były dla mnie prawdziwym szokiem. Mój własny świat był przy niej zawsze bezpiecznym miejscem, a tymczasem ona mówiła mi, że nic nie trwa wiecznie. Przeczuwałam, że Babcia umiera. Widziałam to w jej oczach i słyszałam jakby powierzony szeptem sekret.

W domu pomogłam jej położyć się do łóżka. Nie dołączyła do nas przy obiedzie. Nie wstała też następnego dnia. Rodzice zabrali ją do lekarza, a po powrocie Babcia poszła prosto do łóżka. Rodzice nie chcieli odpowiedzieć na żadne moje pytanie, dotyczące jej choroby.

Poszłam do jej pokoju. Spała, więc usiadłam przy niej na krześle i długo czekałam, aż się poruszy. Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę z tego, jak stała się szczupła i krucha.

- Co się dzieje, **Bahboól** - spytałam.

- Umieram, Marina - odpowiedziała, jakby to było coś zwykłego i powszedniego.

Spytałam, co dzieje się z nami w chwili śmierci. Kazała mi spojrzeć uważnie na obraz, wiszący od zawsze na ścianie jej sypialni. Chciała, żebym opowiedziała jej dokładnie, co widzę na obrazie. Przedstawiał on starszą panią o siwych włosach, z laszczką. Szła ścieżką przez ciemny las, w stronę jasnego światła.

Babcia wyjaśniła, że — podobnie jak tamta pani z obrazu - przez wiele lat szła ścieżką swojego życia i teraz czuje się zmęczona. Jej życie było ciemne i pełne trudności, ale ona nigdy się nie poddała.

- Teraz - powiedziała - jest moja kolej, by odejść i ujrzeć oblicze Boga.

— Ale, *Bahboo* — zaprotestowałam - dlaczego nie możesz zobaczyć Boga tutaj ze mną? Obiecuję, że pozwolę ci odpoczywać i nie będziesz musiała nigdzie iść.

Uśmiechnęła się.

— Dziecko, nie możemy zobaczyć oblicza Boga tymi oczami - powiedziała, dotykając moich rąk drżącymi palcami - ale duszą. Musisz wiedzieć, że śmierć jest tylko krokiem, który musimy zrobić, by znaleźć się po drugiej stronie i żyć dalej, choć inaczej.

- Nie chcę niczego zmieniać. Chcę, by wszystko było jak dawniej.

- Musisz być dzielna, Marina.

Nie chciałam być dzielna. Bałam się i było mi smutno. Bycie dzielnym brzmiało jak oszukiwanie, że wszystko jest w porządku. Ale nie było w porządku.

Babcia wzięła słaby oddech i poprosiła, bym podeszła do jej toaletki i otworzyła lewą górną szufladkę. Wewnątrz znajdowała się złota szkatułka. Potem kazała mi wejść pod łóżko i wyjąć

parę czarnych pantofli. W lewym bucie znalazłam mały złoty kluczyk.

Podawała mi szkatułkę i kluczyk, a łzy płynęły jej po policzkach.

- Marina, spisałam historię swojego życia i złożyłam w tym pudełku. Teraz należy do ciebie. Chcę, byś ją wzięła i pamiętała o mnie. Czy zrobisz to dla swojej *Bahboo*?

Kiwnęłam głową.

- Schowaj pudełko w bezpiecznym miejscu. Teraz idź i nie martw się. Muszę odpocząć.

Babcia nigdy się nie obudziła. Zabijał ją rak wątroby. Matka powiedziała mi, że jest w śpiączce. Pozostawała w tym stanie przez prawie dwa tygodnie, a mój ojciec chodził w tę i z powrotem po korytarzu i płakał. Spędzałam co najmniej dwie godziny dziennie przy Babci, dotrzymując jej towarzystwa i uciekając od własnej samotności. Jej twarz była spokojna, ale bardzo wychudzona i blada. Mijały dni. Walczyłam ze łzami, bojąc się, że przypieczętują one jej śmierć.

Któregoś ranka obudziłam się wcześniej i nie mogłam znów zasnąć, więc poszłam do pokoju Babci. Zapaliłam światło i zobaczyłam ją. Jej twarz pozbawiona była wszelkiego koloru. Jej ręka była zimna. Stałam w ciszy, wiedząc, że nie żyje, ale nie miałam pojęcia, co robić. Czułam, że muszę jej coś powiedzieć, ale nie miałam pewności, czy mnie usłyszy. O ile w ogóle cokolwiek mogło przeniknąć barierę śmierci pomiędzy nami.

- Do widzenia, *Bahboo*. Mam nadzieję, że będziesz miała dobre życie z Panem Bogiem, gdziekolwiek On jest.

Miałam dziwne wrażenie, że ktoś jeszcze był z nami w pokoju. Pobiegłam do siebie, wskoczyłam na łóżko i odmówiłam wszystkie modlitwy, jakie pamiętałam.

Następnego dnia ciało Babci zostało zabrane. Przez cały dzień słyszałam szloch ojca. Zakryłam uszy dłońmi i rozgląda-

łam się po pokoju - nie miałam dokąd pójść. To babcia była dla mnie schronieniem, gdy działo się coś złego, a teraz jej zabrakło. Wreszcie chwyciłam moją figurkę anioła i schowałam się pod łóżko. Zaczęłam się modlić: „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.”

Kapa na łóżku uniosła się z jednej strony i do mojej kryjówki wlało się światło. Miałam przed sobą nieznaną twarz. Była to twarz młodego mężczyzny z czarnymi, kręconymi włosami i czarnymi oczami — najciemniejszymi, jakie kiedykolwiek widziałam. Jego cera była niezwykle biała pod czarnymi lokami, a uśmiech ciepły i miły. Chciałam zapytać, kim jest, ale nie mogłam.

— Witaj — powiedział.

Miał łagodny i miękki głos, który dodał mi otuchy. Wypełzłam spod łóżka. Mężczyzna miał na sobie długą, białą szatę i białe stopy. Dotknęłam jego palców u nóg. Były ciepłe. Pochylił się, podniósł mnie i siadając na łóżku, wziął mnie na kolana. Poczutałam w nozdrzach delikatny zapach, przypominający żonkile.

— Wołałaś mnie, więc przyszedłem — powiedział, gładząc mnie po głowie. Zamknęłam oczy. Jego palce przesuwaly się po moich włosach jak powiew wiosennego wiatru, który przeplata słoneczne promienie między budzącymi się do życia gałęziami drzew. Podniosłam wzrok, a on uśmiechnął się do mnie, ciepło i serdecznie.

— Dlaczego nie masz kapci? — spytałam.

— Tam, skąd przychodzę, kapcie nie są potrzebne.

— Czy jesteś moim aniołem stróżem?

— A jak mylisz?

Spojrzałam a niego. Tylko anioł mógł mieć takie oczy.

— Ty naprawdę jesteś aniołem stróżem.

— Masz rację.

— Jak się nazywasz?

— Jestem Aniołem Śmierci.

Moje serce prawie przestało bić.

— Śmierć jest czasami trudna, ale nie zła czy straszna. Jest podróżą ku Bogu, a ponieważ ludzie umierają zwykle tylko raz, nie znają drogi. Więc ja jestem ich przewodnikiem i pomagam im ją przebyć.

— Czy jesteś tu, by mnie ze sobą zabrać?

— Nie, nie teraz.

— Czy pomogłeś Bahboo?

— Tak, pomogłem.

— Czy ona jest szczęśliwa?

— Tak. Bardzo.

— Czy zostaniesz przy mnie chwilę?

— Zostanę.

Oparłam głowę na jego piersi i zamknęłam oczy. Zawsze zastanawiałam się, co czują ptaki, gdy szybują na wietrze w słonecznym blasku, wtapiając się w niebo. Teraz już wiedziałam.

Obudziłam się następnego ranka w swoim łóżku. Obok nie było żadnych aniołów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Z pustego snu obudził mnie ostry ból w prawym ramieniu. Ktoś mnie wołał. Mój wzrok był jak za mgłą. Hamehd stał nade mną, kopiąc mnie w ramię. Przypomniałam sobie, że Ali zostawił mnie w celi, ale nie miałam pojęcia, jak długo tam leżałam.

- Już, już! - powiedziałam.

- Wstawaj!

Kolana trzęsły się pode mną, a stopy paliły żywym ogniem.

- Pójdiesz z nami zobaczyć, jak aresztujemy twoich przyjaciół - powiedział Hamehd. - Tych, których próbowałeś chronić. Cały czas mieliśmy ich nazwiska i adresy. Chcieliśmy tylko dowiedzieć się więcej o tobie i okazało się, że jesteś wrogiem rewolucji. Stanowisz zagrożenie dla islamskiego społeczeństwa.

Znowu założono mi opaskę na oczy. Hamehd związał mi nadgarstki kawałkiem liny i pociągnął za sobą. Wepchnęli mnie do samochodu i po pięciu minutach ktoś zdjął mi opaskę. Wyjechaliśmy z więzienia. Nie byłam pewna, jaki to dzień tygodnia ani jaka pora, ale wyglądało na wczesne godziny wieczorne - niebo było zachmurzone i szare, ale nie zupełnie ciemne. Zmierzaliśmy na południe wąską wijącą się ulicą. Z rzadka pojawiał się jakiś samochód czy przechodzień. Wzdłuż obu stron drogi

biegły stare gliniane i ceglane mury, otaczające rozległe posesje, które czyniły z ulicy jakby wyschnięte koryto rzeki. Drzewa wznosiły ku niebu gołe gałęzie, drżące na wietrze. Wkrótce wjechaliśmy na autostradę Jordan, kierując się nadal na południe. To była nowsza, ekskluzywna dzielnica. Wysokie kondominium wznosiło się na jednym ze wzgórz, otoczone dwupiętrowymi domami i rozległymi willami. Spojrzałam na kierowcę. Miał gęstą, czarną brodę. Ubrany był w zielony uniform w militarnym stylu, typowy dla strażników rewolucji. Hamehd siedział obok niego. Nie odzywali się, patrząc przed siebie. Gdy zatrzymaliśmy się na światłach, siedząca na tylnym siedzeniu w samochodzie obok mała dziewczynka - trzy, może czteroletnia - uśmiechnęła się do mnie. Siedzący z przodu mężczyzna i kobieta, rozmawiali ze sobą. Pomyślałam o moich rodzicach, o tym, co teraz robią. Czy próbują mi pomóc, czy porzucili wszelką nadzieję? Bardzo dobrze wiedziałam, że niczego nie mogli zrobić. A co z Andre? Czy myślał o mnie?

Wjechaliśmy do centrum. Tutaj panował całkiem spory ruch, pełno ludzi kręciło się po ulicy i w sklepach. Każdy kawałek ściany pokryty był sloganami islamskiego rządu i cytatami z Chomeiniego. Jeden z nich zwrócił moją uwagę: „Jeśli pozwolimy, by niewierny nadal korumpował świat, jego moralność tym bardziej ucierpi. Jeśli zabijemy niewiernego, powstrzymując go w ten sposób przed szerszymi nieprawościami, jego śmierć okaże się dla niego błogosławieństwem”. Tak, w świecie Chomeiniego morderstwo mogło być dobrym uczynkiem, nawet „błogosławieństwem”. Więc Hamehd miał prawo przystawić mi do skroni pistolet, pociągnąć za spust i mieć pewność, że oddaje mi przysługę, a sam trafi za to do nieba.

Piesi przechodzili przez ulicę, przemykając między samochodami. Na skrzyżowaniu jakiś młody człowiek zajął do naszego

samochodu, po czym, widząc za kierownicą strażnika, zrobił krok do tyłu i przyglądał mi się. Zaczął padać śnieg.

Samochód zatrzymał się. Byliśmy przed domem mojej szkolnej koleżanki Minoo. Z parkującego obok nas innego czarnego mercedesa wysiadło dwóch strażników, którzy zadzwonili do drzwi. Ktoś otworzył. To była matka Minoo. Strażnicy weszli do domu. Hamehd obrócił się i podał mi kartkę papieru. Spojrzałam. Było na niej około trzydziestu nazwisk. Znałam je - dzieciaki z mojej szkoły. Rozpoznałam widniejący u dołu podpis mojej dyrektorki. Trzymałam w ręce listę najbardziej poszukiwanych z mojej szkoły.

- Nie wszystkich zdołamy aresztować dziś wieczór, ale będziemy ich mieć nie później niż w ciągu trzech dni - powiedział z uśmiechem Hamehd.

Po około pół godzinie strażnicy wyszli z domu. Minoo była z nimi. Hamehd wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i kazał jej usiąść obok mnie. Widziałam jej płaczącą matkę, która mówiła coś do jednego ze strażników. Hamehd powiedział Minoo, że ja zostałam aresztowana kilka dni wcześniej. Kazał mi nakłonić Minoo do współpracy, jeśli chciałam oszczędzić jej cierpień.

Minoo patrzyła na mnie wielkimi z przerażenia oczami.

- Powiedz im wszystko, czego chcą się dowiedzieć - powiedziałam, wskazując na moje stopy. - Oni...

- Wystarczy - przerwał Hamehd.

Minoo spojrzała na moje stopy, zakryła twarz rękami i zaczęła płakać.

- Dlaczego płaczesz? - spytał Hamehd, ale nie odpowiedziała.

Spędziłyśmy w samochodzie chyba kilka godzin, jeżdżąc od domu do domu. Tamtej nocy aresztowano czwórkę moich znajomych ze szkoły. Próbowałam powiedzieć szeptem Minoo,

żeby podczas przesłuchania podała kilka nazwisk. Próbowałam jej przekazać, że mają listę i wiedzą wszystko, ale na koniec nie byłam pewna, czy mnie zrozumiała.

Gdy tylko dotarliśmy pod bramę więzienia, zasłonięto nam oczy. Samochód stanął, drzwi po mojej stronie otworzyły się i Hamehd kazał mi wysiąść. Pokuśtykałam za nim do budynku, gdzie w korytarzu miałam usiąść na podłodze. Siedziałam tam długo, słuchając krzyków więźniów i wrzasków strażników. Strasznie bolała mnie głowa i było mi niedobrze.

- Marina, wstawaj - głos Hamehda sprawił, że podskoczyłam. Musiałam zapaść w drzemkę.

Opierając się o ścianę, złapałam równowagę. Hamehd kazał mi chwycić się czadoru dziewczyny, która stała przede mną. Zaczęła iść, a ja, kuśtykając, za nią. Stopy bolały mnie tak, jakbym szła po tłuczonym szkłe. Po chwili znalazłyśmy się na zewnątrz i poczułam powiew zimnego wiatru. Dziewczyna przede mną zakaszła. Leżący na ziemi śnieg wypełnił wkrótce moje gumowe klapki, dzięki czemu zdrętwiały mi stopy i poczułam ulgę w bólu. Powoli jednak traciłam czucie w nogach i każdy kolejny krok był trudniejszy od poprzedniego. Potknęłam się na kamieniu i upadłam. Z głową na zmarzniętej ziemi zlizywałam śnieg, rozpaczliwie próbując pozbyć się gorzkiej suchości w ustach. Nigdy jeszcze nie czułam takiego zimna i takiego pragnienia. Nie byłam w stanie kontrolować drżenia całego ciała, a dźwięk moich dzwoniących zębów wypełniał mi głowę. Ktoś szarpnięciem podniósł mnie z ziemi i postawił na nogi.

Dokąd mnie zabierają?

- Idź jak trzeba albo zastrzelę cię od razu - warknął Hamehd.

Z wysiłkiem szłam dalej. Wreszcie ktoś kazał nam się zatrzymać i zdjęto mi opaskę z oczu. Zobaczyłam błysk jasnego światła, który mnie oślepił, wywołując nową falę ostrego bólu

w głowie. Po chwili rozejrzałam się wokół. Światło reflektora przecinało noc jak biała, mieniąca się rzeka. Otaczały nas czarne wzgórza, upiorne wśród kładących się cieni. Byliśmy jakby w środku pustki. W pobliżu nie było widać żadnych zabudowań. Nocne niebo usiane było chmurami, a pojedyncze płatki śniegu, jak lekkie kryształki, kołysały się w powietrzu, jakby w nadziei wydłużenia tego lotu ku oznaczającej ich koniec ziemi. Oprócz mnie szło jeszcze czterech innych więźniów: dwie dziewczyny i dwóch młodych mężczyzn. Czterech strażników celowało w nas z karabinów, a ich twarze, jakby wyrzeźbione w ciemności, pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu.

- Podejść do słupów! - krzyknął Hahmed, a jego głos odbił się echem od okolicznych wzgórz. W odległości jakiś sześciu metrów wyrastało z ziemi kilka drewnianych słupów, mniej więcej mojej wysokości. To było miejsce egzekucji. Poczulałam w piersi lodowate zimno. Stałam jak sparaliżowana.

To jest chwila mojej śmierci. Nikt nie powinien tak umierać.

Jeden z więźniów, młody chłopak, zaczął recytować po arabski fragment Koranu, prosząc Boga o wybaczenie. Miał głęboki i silny głos. Drugi mężczyzna wpatrywał się w słupy. Jedno oko miał zamknięte z powodu opuchlizny, a na jego białej koszuli widoczne były ślady krwi.

- Do słupów, natychmiast! - powtórzył Hamehd i w ciszy wykonaliśmy jego rozkaz. Żal wypełniał moje serce i płuca jak gęsty, tłumiący oddech płyn.

Dobry Jezu, pomóż mi. Nie pozwól, by moja dusza zagubiła się w ciemności. „Choć idę przez ciemną dolinę, nie ulękę się, bo Ty jesteś ze mną”.

Jedna z dziewcząt zaczęła uciekać. Ktoś krzyknął „Stój!”, ale ona biegła dalej. Wystrzał karabinu przeciął noc i upadła na ziemię. Zrobiłam krok do przodu, ale nogi odmówiły mi posłu-

szeństwa. Dziewczyna przewróciła się na bok, kuląc się z bólu. - Proszę, nie zabijajcie mnie... - jęczała. Śnieg na jej czadorze lśnił w czystym, białym świetle. Hamehd stał nad nią, przykładając jej do głowy rewolwer. Zakryła się ramionami.

Stojąca obok mnie dziewczyna zaczęła płakać. Głębokie krzyki zdawały się rozrywać jej piersi. Upadła na kolana.

- Przywiążcie pozostałych do słupów! - zawołał Hamehd.*

Jeden ze strażników podniósł mnie z ziemi, a inny przywiązał do słupa. Lina wżynała mi się w ciało.

Czułam się taka zmęczona.

Czy umieranie jest tak bolesne jak bicie?

Hamehd nadal celował w ranną dziewczynę.

- Straże! Gotów!

Śmierć to tylko miejsce, którego jeszcze nie znam. Anioł pomoże mi odnaleźć drogę. Musi. A za tą straszną ciemnością jest światło. Gdzieś tam, poza gwiazdami, wstaje słońce.

Skierowali na nas lufy karabinów. Zamknęłam oczy.

Mam nadzieję, że Andre wie, że go kocham. Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...

Usłyszałam nadjeżdżające z dużą prędkością auto i otworzyłam oczy. Przez moment pomyślałam, że nas rozjedzie. Głośny pisk hamulców i czarny mercedes zatrzymał się tuż przed strażnikami. Wysiadł z niego Ali. Podszedł od razu do Hamehda i podał mu jakiś papier. Przez chwilę rozmawiali. Hamehd skinął głową. Z utkwionym we mnie wzrokiem Ali ruszył w moją stronę. Chciałam uciekać. Chciałam, żeby Hamehd strzelił i zakończył moje życie. Ali odwiązał mnie od słupa. Upadłam. Chwycił mnie, podniósł i skierował się do samochodu. Czułam bicie jego serca. Bezskutecznie próbowałam uwolnić się z jego ramion.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Już w porządku, nie zrobię ci krzywdy - wyszeptał.

Moje oczy spotkały się z oczami dziewczyny, przywiązanej do sąsiedniego słupa.

- Boże... - krzyknęła i zamknęła oczy.

Ali wrzucił mnie na miejsce pasażera i zatrzasnął drzwi samochodu. Sam wskoczył na siedzenie kierowcy. Zebrawszy resztki sił, próbowałam go uderzyć, ale przytrzymał mnie jedną ręką. Gdy oddalaliśmy się z dużą prędkością, usłyszałam strzały.

Kiedy otworzyłam oczy, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była słabo świecąca nade mną żarówka. Potem szary sufit. Próbowałam się poruszyć, ale nie czułam własnego ciała. Ali siedział w kącie i przyglądał mi się. Byliśmy w małej celi. Leżałam na podłodze.

Zamknęłam oczy. Chciałam, żeby sobie poszedł, ale gdy po kilku chwilach spojrzałam, nadal tam był. Pokręcił głową, mówiąc, że sama do tego doprowadziłam przez swój upór. Powiedział, że poszedł do Ajatollaha Chomeiniego - który był bliskim przyjacielem jego ojca - i poprosił o zmianę wyroku z kary śmierci na dożywotnie więzienie. Ajatollah wydał rozkaz, by darowano mi życie.

Nie chciałam zawdzięczać życia Ajatollahowi. Nie chciałam nikomu go zawdzięczać. Chciałam umrzeć.

- Przyniosę ci teraz coś do jedzenia. Od dawna nic nie jadłaś - powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku. Ale się nie poruszył. Czując na sobie ciężar jego spojrzenia, tak szczerze otuliłam się kocem, że poczułam ból ściskających koc palców. Wreszcie wstał. Poczułam, jak napinają się we mnie wszystkie mięśnie.

- Boisz się mnie? - spytał.

- Nie - przełknęłam ślinę.

- Nie powinnaś.

Tęsknota w jego oczach była prawdziwa i głęboka. Poczułam ból w żołądku. W gardle rodził mi się krzyk, ale w tym momencie Ali obrócił się i wyszedł z celi. Trzęsłam się na całym ciele, a po twarzy płynęły mi łzy. Nienawidziłam go.

Ali wrócił z miską zupy i usiadł przy mnie.

- Przestań płakać, proszę.

Nie mogłam przestać.

- Chcesz, żebym wyszedł?

Kiwnęłam głową.

- Wyjdę, jeśli mi obiecasz, że skończysz zupę. Obiecujesz?

Znów kiwnęłam głową.

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił, mówiąc: „Zajrzę później” ciężkim, zmęczonym głosem.

Dlaczego zabrał mnie sprzed plutonu egzekucyjnego? Co się ze mną stanie?

Ostatnią osobą, o której pomyślałam przed zaśnięciem, była Sara. Miałam nadzieję, że jest bezpieczna. Jedyną rzeczą, jaką mogłam zrobić, to pomodlić się za nią, za siebie, za Sirusa, Gite i wszystkich moich przyjaciół, których aresztowano.

Nie tak dawno byliśmy w szkole, bawiąc się w berka i chowanego na przerwach. Teraz staliśmy się więźniami politycznymi.

ROZDZIAŁ

PIĄTY

Chodziłam do szkoły podstawowej z czerwonymi, ceglastymi ścianami, po których pięły się pędy winorośli. Było to za czasów szacha. Szkoła znajdowała się w odległości dziesięciu minut od domu, więc chodziłam do niej i wracałam sama. Stary budynek szkolny był kiedyś dwupiętrową kamienicą. Wszyscy moi przyjaciele mówili, że dyrektorka *Khanoom Mortazavi* po powrocie z zagranicznych studiów zamieniła tę kamienicę w szkołę. W każdej klasie były wysokie okna, ale z powodu rosnących na dziedzińcu starych klonów wewnątrz panowała zawsze ciemność i zwykle musieliśmy zapalać światło, żeby widzieć tablicę. Codziennie po ostatnim dzwonku Sara i ja wychodziłyśmy ze szkoły, przechodziłyśmy przez ulicę, po czym Sara skręcała w lewo, ja - w prawo. Szłam dalej Aleją Rahzi, wzdłuż wysokiego ceglanego muru, otaczającego ambasadę Watykanu, mijałam restaurację Asana, z której dochodziła woń aromatycznego ryżu i wołowiny z rusztu. Dalej był niewielki sklep z bielizną, który na wystawie prezentował delikatne koronkowe koszulki nocne. Bez matki, która zwykle mnie poganiała i czyniła nieustannie uwagi na temat prostych pleców, udawałam czasami, że jestem białą chmurką, sunącą po

błękitnym niebie, baleriną, tańczącą przed wielką widownią, albo łódeczką płynącą po magicznej rzece.

Póki nie groziło mi zbyt późne dotarcie do domu, nie musiałam się spieszyć. Zawsze jednak uważałam, by nie zdenerwować matki. Jeśli akurat miała klientki, czekałam na zewnątrz salonu, jeśli nie - musiałam być bardzo cicho z powodu jej częstych bólów głowy. Byłam niezdara, więc zawsze musiałam uważać, żeby czegoś nie potłuc czy nie zrobić bałaganu podczas przygotowywania kanapek. A gdy nalewałam sobie do kubka mrożoną herbatę czy Pepsi, musiałam uważać, by nic nie rozlać. Moja matka była nerwową i piękną kobietą. Miała brązowe oczy, idealny nos, pełne usta, długie nogi i uwielbiała nosić sukienki z dekoltem, które wydobywały zalety jej gładkiej, bladej cery. Każdy kosmyk jej krótkich, ciemnych włosów znajdował się na swoim miejscu. Gdy ją zezłościłam, zwykle zamykała mnie na balkonie, który łączył się z moim pokojem. Balkon był otoczony bambusowymi matami, opartymi na dwóch poziomych i kilku pionowych metalowych palikach. Stamtąd obserwowałam samochody i przechodniów na ulicy, sprzedawców zachwalających swoje towary i żebraków. Czteropasmowa jezdnia kipiała ruchem w czasie godzin szczytu, a powietrze było ciężkie od spalin. Po drugiej stronie ulicy *Hassan Agha*, jednoręki sprzedawca, oferował kwaśne zielone śliwki na wiosnę, brzoskwinie i morele latem, smażone buraki jesienią, a zimą różnego rodzaju ciasteczka. Uwielbiałam smażone w głębokim tłuszczu buraki - powoli pykały w wielkim płaskim rondlu nad przenośnym palnikiem a ich kleisty sok bulgotał i parował, napełniając słodczą powietrze. Po przeciwnej stronie, na rogu skrzyżowania stary, niewidomy mężczyzna w podartym, brudnym garniturze wyciągał do przechodniów swoje kościste ręce, krzycząc od rana do wieczora: „Wimieć miłości Boga, pomóż

mi!". Na wprost naszego domu znajdował się piętnastopiętrowy biurowiec z wielkimi, lustrzanymi oknami, w których odbijały się sunące po niebie chmury i promienie słoneczne. A w nocy ciemność rozświetlały kolorowe lampy neonów na budynku.

Pewnego razu doszłam do wniosku, że każda kara jest lepsza od tego zamknięcia na balkonie. Spojrzałam w dół - o skakaniu nie było mowy. Mogłam co prawda zacząć krzyczeć, ale nie chciałam robić sceny i pozwolić, by wszyscy sąsiedzi zobaczyli, że matka zamknęła mnie na balkonie. Rozejrzałam się wokół i wzrok mój zatrzymał się na małej plastikowej torebce, w której mama trzymała drewniane spinacze do bielizny. Jeszcze raz spojrzałam na zatłoczony chodnik. Jeśli teraz zacznę rzucać spinaczami w przechodniów, żadnemu nie stanie się krzywda, ale ich wzrok powędruje ku górze, by sprawdzić, co spada im z nieba. W ten sposób będę mogła kogoś ubłagać, by zadzwonił do drzwi i poprosił moją matkę o wpuszczenie mnie do środka. Wiedziałam, że matka się zdenerwuje, ale było mi wszystko jedno. Dłużej nie mogłam znieść tego odosobnienia. Była zima i zaczął wiać ostry wiatr. Wkrótce zaszło słońce, a na twarzy poczułam płatki śniegu. Zebrałam w sobie całą odwagę, chwyciłam spinacz i opierając się na bambusowych matach, wychyliłam się nad chodnik. Wzięłam głęboki oddech i upuściłam spinacz. Potem następny. Kobieta w średnim wieku z długimi, brązowymi włosami zatrzymała się, dotknęła głowy i rozejrzała się wokół. Potem, pochyliwszy się, znalazła spinacz i przyjrzała się mu. Wreszcie, podnosząc głowę, spojrzała mi prosto w oczy.

- Co robisz, dziecko? - spytała, czerwona na twarzy.

- Przepraszam, nie zamierzałam zrobić pani krzywdy, ale mama zamknęła mnie tutaj na balkonie, a chcę wejść do środka. Jest zimno. Czy mogłaby pani zadzwonić do drzwi i poprosić ją, żeby wpuściła mnie do środka?

- Ani mi się śni. To nie moja sprawa, jakie kary stosuje twoja matka. A poza tym wygląda na to, że na nie zasługujesz — dodała i poszła dalej. Ja jednak nie zamierzałam się poddawać.

Następny spinacz wylądował na głowie starszej kobiety, ubranej w ciemny czador. Ta od razu spojrzała w górę.

- Co robisz? - spytała, więc powtórzyłam swoją historię.

Zadzwoniła do drzwi. Po chwili na sąsiednim balkonie pojawiła się moja matka i spojrzawszy w dół, spytała kto to.

W miarę, jak kobieta wyjaśniała matce, co robiłam i dlaczego, obserwowałam, jak jej oczy ciemnieją od gniewu. Po minucie otworzyły się drzwi mojego balkonu. Zawahałam się.

- Wejść - rozkazała mi matka przez zaciśnięte zęby.

Wesłam do swojej sypialni.

- Jesteś okropnym dzieckiem! - powiedziała.

Trzęsłam się. Spodziewałam się, że mnie uderzy, ale zamiast tego obróciła się i wyszła.

- Odchodzę. Jestem zmęczona. Nienawidzę takiego życia. Nie chce cię więcej widzieć!

Poczułam ból w żołądku. Przecież nie mogła tak po prostu odejść. A jednak jej słowa zabrzmiały poważnie. Co zrobiłabym bez matki? Wybiegłam za nią i chwyciłam ją za spódnice. Nie zatrzymała się.

- Proszę, nie odchodź! Przepraszam! - błagałam. - Wróć na balkon i będę tam siedzieć spokojnie. Obiecuję.

Ignorując mnie, matka weszła do kuchni, chwyciła torebkę i ruszyła w stronę schodów. Przerazona zaczęłam płakać, ale i to jej nie powstrzymało. Złapałam ją za nogę - nadal szła po schodach, ciągnąc mnie za sobą. Schody były twarde i zimne. Błagałam, żeby została. Wreszcie zatrzymała się przy drzwiach.

- Jeśli chcesz, żebym została, idź do swojego pokoju, zostań tam i bądź cicho.

Nie odrywałam od niej wzroku.

- No już! - krzyknęła, więc pobiegłam do pokoju.

Przez jakiś czas po tym wydarzeniu za każdym razem, gdy matka wychodziła z domu po zakupy czy żeby coś załatwić, siadałam przy oknie i trzęsłam się ze strachu. A jeśli już nie wróci?

Postanowiłam nie wchodzić matce w drogę, a najlepszym sposobem na to było pozostawanie we własnym pokoju. Codziennie, zaraz po powrocie do domu ze szkoły, szłam na palcach do kuchni, żeby sprawdzić, czy ona tam jest. Jeśli kuchnia była pusta, robiłam sobie kanapkę z mortadellą. Jeśli natomiast natrafiałam na matkę, szybko się z nią witałam, po czym wędrowałam do pokoju i siedziałam tam, czekając, aż sobie pójdzie. Po posiłku odrabiałam u siebie lekcje i czytałam książki pożyczone ze szkolnej biblioteki. W większości były to przekłady: „Piotruś Pan”, „Alicja w Krainie Czarów”, „Mała syrenka”, „Królowa śniegu”, „Dzielny ołowiany żołnierz”, „Kopciuszek”, „Śpiąca królewna”, „Jaś i Małgosia” i „Roszpunka”. Ponieważ nasza biblioteka była niewielka, wkrótce musiałam przeczytać wszystkie książki nie jeden raz, lecz trzy lub cztery. Każdego wieczoru matka zaglądała do mnie kilka razy i - widząc, że czytam - uśmiechała się. W pewnym sensie książki okazały się dla nas obu ratunkiem.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i spytałam mamę, czy zgodziłaby się kupować mi książki. Powiedziała, że owszem, ale tylko jedną w miesiącu, ponieważ książki były drogie i nie mogliśmy sobie pozwolić na wydawanie w ten sposób wszystkich pieniędzy. Jedna książka na miesiąc to było jednak za mało. Kilka dni później, gdy wracałyśmy do domu po wizycie u jej ojca, zauważyłam mały sklep z książkami. Był to antykwariat. Wiedziałam, że używany znaczy tańszy, ale nie śmiałam prosić matki, by to sprawdziła.

Tydzień później, gdy powiedziała mi, że mamy znów odwiedzić dziadka, wymówiłam się kiepskim samopoczuciem i pozwolono mi zostać w domu. Ojciec był w pracy. Wkrótce po śmierci Babci zamknął swoje taneczne studio i znalazł pracę w jednym z departamentów Ministerstwa Kultury i Sztuki, gdzie zajmował się zespołami tańca ludowego. Polubił nową pracę i czasami wyjeżdżał za granicę z tancerzami reprezentującymi Iran na różnych imprezach międzynarodowych. Gdy tylko matka wyszła z domu, pobiegłam do sypialni rodziców, po czym wzięłam z szuflady jej toaletki zapasowe klucze do domu. Przez tydzień oszczędzałam pieniądze przeznaczone na mleko czekoladowe i miałam nadzieję, że wystarczy ich na książkę.

Pobiegłam do antykwariatu. Przez cały dzień późnowiosenne słońce nagrzewało asfalt, który teraz oddawał pulsujące fale gorąca. Czułam, jak mnie ogarniają. Gdy dotarłam do księgarni, pot spływał mi kroplami z czoła do oczu, aż poczułam pieczenie. Wytarłam twarz koszulką, popchnęłam szklane drzwi i weszłam do środka. Kiedy już moje oczy oswoiły się ze słabym światłem wewnątrz, nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Wokół mnie stopy książek zapełniały wznoszące się aż do sufitu półki, oddzielone od siebie wąskimi tunelami, które znikwały gdzieś w ciemnościach. Otaczały mnie tysiące książek. Powietrze było ciężkie od zapachu papieru, od opowieści i fantazji, żyjących w zapisanych słowach.

Zawołałam „Dzień dobry!”, ale nikt mi nie odpowiedział.

- Dzień dobry! - spróbowałam ponownie, tym razem trochę głośniej.

Z przepastnej głębi jednego z korytarzy odezwał się męski głos z silnym ormiańskim akcentem:

- W czym mogę ci pomóc?

Zrobiłam krok do tyłu.

- Gdzie pan jest?

Dokładnie na wprost mnie zmaterializował się szary cień.
Wstrzymałam oddech.

Cień roześmiał się.

- Wybacz mi, dziewczynko, nie chciałem cię wystraszyć.

Czego szukasz?

Musiałam przypomnieć sobie o nabraniu powietrza w płuca.

- Chcę... Chcę kupić książkę.

- Jaką?

Wyjęłam z kieszeni wszystkie pieniądze i pokazałam je szczupłemu, staremu mężczyźnie, który stał przede mną.

- To wszystko, co mam. Nieważne, jaką książkę, byle dobrą.

Uśmiechnął się i przejechał dłonią po siwych włosach.

- Dlaczego nie pójdziesz do piekarni obok i nie kupisz zamiast tego kilku pączków?

- Ale ja chcę książkę. Czy to za mało pieniędzy?

- Młoda damo, problem polega na tym, że wszystkie moje książki napisane są po angielsku. Czy mówisz po angielsku?

- Jestem bardzo dobra z angielskiego. W szkole codziennie mamy godzinę angielskiego. Jestem w trzeciej klasie.

- W porządku. Zobaczmy, co mogę dla ciebie znaleźć - powiedział, wzdychając, i zniknął za górą książek.

Czekałam, zastanawiając się, jak w ogóle możliwe jest znalezienie czegokolwiek w podobnym bałaganie, ale, o dziwo, mężczyzna wynurzył się z tego czarnego chaosu. Trzymał książkę.

- Proszę - zwrócił się do mnie, podając książkę. - „Lew, czarownica i stara szafa”. To wspaniała książka, pierwsza w serii.

Obejrzałam ją. Miała szaroniebieską okładkę, której środek zajmował obraz lwa oraz dosiadających go dzieci: chłopca i dziewczynki. Lew przedstawiony był w skoku. Książka wyglądała na starą, ale niezbyt zniszczoną.

- Ile kosztuje?

- Pięć tomanów.

- Ale ja mam tylko cztery! - powiedziałam, łykając łzy.

- Cztery wystarczą.

Podziękowałam mu i jak na skrzydłach pobiegłam do domu.

Trzy dni później przeczytałam książkę dwukrotnie i zachochałam się w niej. Chciałam więcej. Z dwoma zaoszczędzonymi tomanami nie byłam jednak pewna, czy właściciel antykwariatu okaże się znów tak hojny, jak poprzednio, a bałam się prosić matkę o pieniądze. I tak postanowiłam sprzedać swój piórnik Sarze. Na początku roku szkolnego Sara spytała mnie, gdzie kupiłam piórnik. Wyjaśniłam jej, że mama znalazła go w dużym domu handlowym na rogu alej Shah i Pahlavi. Ale gdy matka Sary udała się tam, by kupić podobny piórnik, okazało się, że towar był już wyprzedany, i Sara czuła się bardzo rozczarowana. Było to plastikowe niebieskie pudełko z magnetycznym zamkiem, który klikał przy zamykaniu wieczka. Tamtego dnia w drodze do szkoły spotkałam Sarę. Miała wielkie ciemnobrązowe oczy, gęste, kręcone włosy opadające na ramiona i była właścicielką fantastycznego zegarka z obrazkiem Kopciuszka i Księcia na cyferblacie. Książę przymierzał jej właśnie szklany pantofelek: Kopciuszek siedział na krzeselku, ze skrzyżowanymi nogami, przy czym jedna noga co sekundę miarowo unosiła się i opadała. Matka kupiła Sarze ten zegarek podczas wakacji w Anglii. Spytałam, czy nadal podoba się jej mój piórnik, a gdy potwierdziła, zaproponowałam jej kupno. Dosyć nieufnie spytała się, dlaczego. Wówczas powiedziałam jej o księgarni. Postanowiła dać mi pięć tomanów pod warunkiem, że dorzucę jeszcze pachnącą gumkę. Zgodziłam się.

Po szkole ruszyliśmy biegiem do domu Sary. Dotarliśmy tam w mniej niż pięć minut. Dom znajdował się na osiedlu mieszkaniowym, które kształtem przypominało półksiężyc, a każda posesja posiadała niewielkie podwórko, oddzielone od sąsiadów wysokim ceglany murem, który chronił prywatność mieszkańców. Uwielbiałam ulicę Sary, ponieważ - bez samochodów, sklepów, sprzedawców i żebraków - była cicha. Powietrze wypełniał smakowity zapach smażonej cebuli i czosnku. Najprawdopodobniej ktoś w sąsiedztwie gotował obiad. Sara miała klucze do domu, ponieważ jej rodzice pracowali do popołudnia i wracali później. Otworzyła drzwi i weszliśmy na podwórko. Jego prawą stronę zajmował klomb, z którego wprost wylewały się czerwone, zielone i purpurowe kwiaty geranium i bratków.

Moim skrytym marzeniem było mieszkanie w takim domu. Matka Sary, która pracowała w banku i zawsze nosiła elegancki kostium oraz czarne, błyszczące szpilki, była korpulentną kobietą o krótkich, ciemnych włosach. Zawsze, gdy odwiedzałam Sarę, jej mama ścisnęła mnie, mówiąc, jak wspaniale, że się zjawiam. Ojciec Sary, inżynier, był postawnym mężczyzną, który zawsze żartował, głośno się śmiał i potrafił recytować piękne stare poematy. Jedyne brat Sary, Sirius, miał dwanaście lat i był o trzy lata starszy od niej i ode mnie, a ja - w przeciwieństwie do całej rodziny Sary - byłam wyjątkowo nieśmiała. Ich dom był zawsze hałaśliwy i rozbrzmiewał śmiechem.

Dałam Sarze piórnika, a ona mi pieniądze. Potem zadzwoniłam do mamy i uprzedziłam, że zostaję u Sary, by pomóc jej w lekcjach. Matka nie miała nic przeciwko temu. Podziękowałam Sarze i ruszyłam biegiem do antykwariatu, który - podobnie jak za pierwszym razem - był mroczny, zakurzony i tajemniczy. W taki sam także sposób jego właściciel wynurzył się z ciemności.

- Niech zgadnę: nie zrozumiałaś ani słowa i chcesz z powrotem swoje pieniądze — powiedział, mrużąc oczy.

- Nie. Przeczytałam książkę dwa razy i strasznie mi się podobała! Tych kilka słówek, których nie rozumiałam, znalazłam w słowniku mojego ojca. Przyszłam kupić drugą część. Czy ma ją pan? Sprzedałam piórnika i pachnącą gumkę mojej przyjaciółce Sarze, więc tym razem mam dość pieniędzy.

Stary człowiek wpatrywał się we mnie bez ruchu. Serce we mnie zamarło. Czy to możliwe, żeby nie miał drugiej części?

- No więc, czy ma ją pan?

- Owszem, mam. Ale... nie musisz za nią płacić. Możesz pożyczyć książkę, jeśli obiecasz, że jej nie zniszczysz i zwrócisz po przeczytaniu. Dwukrotnym.

Pomyślałam o moim aniele. Być może udawał tego starego mężczyznę. Spojrzałam w jego oczy, które wydały mi się tak ciemne, głębokie i miłe jak oczy anioła. Mój wzrok powędrował do książki - to był „Książę Kaspian”.

- Jak masz na imię? - spytał właściciel antykwariatu.

- Marina. A pan?

- Albert - odpowiedział.

Hmm. Anioł Albert.

Odtąd co najmniej raz w tygodniu odwiedzałam Alberta i pożyczalam od niego książki.

W wieku jedenastu lat poszłam do gimnazjum. W tym czasie rząd finansował wszystkie szkoły i uniwersytety w Iranie, przy czym niektóre okazały się lepsze od innych, tak jak Anoshiravan-eh Dadgar - zaratusztriańskie liceum i gimnazjum dla dziewcząt. Rodzice nie wybrali dla mnie tej szkoły z powodu jej wysokiego poziomu, lecz ze względu na jej lokalizację blisko naszego mieszkania.

Zaratusztrianie kierowali się naukami swojego proroka Zaratustry. Urodzony w Persji ponad trzy tysiące lat temu, rozpowszechnił wiarę w jednego Boga: Ahura Mazda. W czasie, gdy chodziłam do szkoły, większość uczniów stanowili zaratusztrianie lub muzułmanie, aczkolwiek byli też bahaici, żydzi i tylko trójka czy czwórka chrześcijan.

Za sprawą wysokiego sufitu i licznych okien w czterdziestoletnim budynku szkoła wydawała się bardzo przestronna. Długo korytarze zdawały się nie mieć końca, a dwie szerokie klatki schodowe łączyły parter z piętrem. Wysokie na dwie kondygnacje filary stały po obu stronach głównego wejścia, nad którym znajdował się wielki napis: „Dobre myśli. Dobre słowa. Dobre czyny” - główne motto religii zaratusztriańskiej. W osobnym budynku mieliśmy halę sportową oraz dwa boiska: do siatkówki i do koszykówki. Wysoki ceglany mur otaczał brukowany dziedziniec szkolny.

Przez trzy lata regularne wizyty w księgarni Alberta stanowiły centrum całego mojego życia. Albert znał wszystkie książki piętrzące się setkami na półkach jego antykwariatu, wiedział dokładnie, gdzie każda z nich się znajduje, i uwielbiał o nich opowiadać. Miał żonę i syna, który wraz ze swoją rodziną: żoną i dwoma synami wyjechał kilka lat wcześniej do Ameryki. Na pierwsze po naszym spotkaniu Boże Narodzenie Albert podarował mi prezent opakowany w czerwony papier. W środku znalazłam całe „Opowieści z Narnii” oraz piękny niebieski piórnik z kolorowymi kredkami i gumki, które pachniały jak guma balonowa.

Ostatni raz widziałam Alberta kilka dni po moich dwunastych urodzinach. Był piękny wiosenny dzień, wypełniony śpiewem ptaków i ciepłem słońca. Z radosnym uśmiechem popchnęłam ciężkie szklane drzwi księgarni, przyciskając do serca „Małe kobiety”.

- Cześć, Al...

Cząsteczki kurzu unosiły się w promieniach słonecznych, padających na podłogę z linoleum. Było tak, jakbym stała na skraju pustyni. Czując coś w rodzaju gwałtownego podmuchu wiatru, z trudem łapałam oddech. Albert siedział na wielkim kartonowym pudle pośrodku tej straszliwej pustki, patrząc na mnie ze smutnym uśmiechem.

- Gdzie są książki? - spytałam.

Powiedział mi, że większość z nich sprzedał do innego antykwariatu, ale zachował wszystkie moje ulubione. Były w pudle, na którym siedział. Obiecał przynieść mi je później do domu. Chciał uprzedzić mnie wcześniej, ale nie miał odwagi: wraz z żoną zamierzali opuścić Iran i dołączyć do syna w Ameryce. Albert nie chciał wyjeżdżać, ale jego żona nie czuła się najlepiej i pragnęła spędzić resztę swoich dni wraz z synem i wnukami. Nie mógł jej odmówić. Byli małżeństwem od pięćdziesięciu jeden lat i takie było jej ostatnie życzenie.

Albert wyjął z kieszeni koszuli białą chustkę i wytarł nos. Moje ręce i nogi były bezwładne. Wstał, podszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach.

- Widziałem, jak dorastasza. Wniosłaś w moje życie radość i szczęście. Będę za tobą tęsknił. Jesteś dla mnie jak córka.

Objęłam go ramionami i mocno uścisnęłam. Jego przeprowadzka do Ameryki wydała mi się tak rozdzierająca i ostateczna jak śmierć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O budziłam się ze smakiem rosołu w ustach. Próbowałam usiąść. Świat, zasnuty jakby gęstą mgłą, wirował wokół mnie. Żadnych konkretnych kształtów, tylko rozmyte kolory. Ktoś wołał mnie po imieniu. Znowu rosół. Zakaszlałam.

- Połknij. To ci dobrze zrobi.

Ciepły płyn spłynął mi do gardła. Był smaczny. Przełknęłam. Próbowałam się poruszyć.

- Nie ruszaj się. Połknij.

Każdy ruch wywoływał ból. Przełknęłam. Trochę zupy spłynęło mi po brodzie.

Powoli moje oczy rozpoznały celę.

- Teraz pozwolę ci się położyć - powiedział głos. To był Ali.

Siedział na podłodze około metra ode mnie. Powiedział, że zamierza odesłać mnie do żeńskiego budynku w Evin, o numerze 246, gdzie znajdę kilkoro moich przyjaciół i poczuję się lepiej. Ali znał jedną ze strażniczek, odpowiedzialną za 246, i obiecał, że poprosi ją o opiekę nade mną. Miała na imię Siostra Maryam.

- Wyjeżdżam na trochę... - powiedział, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby w oczekiwaniu na to, że coś powiem. Nie

miałam pojęcia, czym było 246. Czy rzeczywiście Ali wspomniał coś o dożywociu czy to był tylko sen?

- Naprawdę dostałam dożywocie? - spytałam.

Kiwnął głową, z cieniem smutnego uśmiechu na twarzy.

Próbowałam powstrzymać płacz, ale na próżno. Chciałam spytać, dlaczego ocalił mnie przed egzekucją. Chciałam mu powiedzieć, że śmierć jest lepsza od kary dożywotniego więzienia. I że nie miał prawa zrobić tego, co zrobił — ale nie mogłam.

Wstał i mówiąc: „Niech Bóg ma cię w opiece”, wyszedł z celi.

Zasnęłam.

Po kilku godzinach Ali wrócił i zabrał mnie do małego pomieszczenia, w którym około dwudziestu dziewcząt spało pokodem na podłodze.

- Musisz tutaj zaczekać, aż przyjdą, żeby cię zabrać do 246. Uważaj na siebie. Będzie lepiej. Jak usiądziesz, załóż opaskę na oczy.

Zauważyłam trochę wolnego miejsca w odległym kącie pokoju. Cały czas kręciło mi się w głowie, a stopy niezmiennie bolały, więc nie mało wysiłku kosztowało mnie przemieszczenie się w głąb pokoju, z uwagą, by nie potrącić żadnej z leżących dziewcząt. Nikt nie zareagował na moje przyjście. Ponieważ nie miałam dość miejsca, by się położyć, podciągnęłam kolana, oparłam się o ścianę i płakałam.

Po chwili jakiś mężczyzna wywołał około dziesięciu nazwisk, w tym moje.

- Wszystkie wywołane osoby mają odrobinę podnieść opaski, tak by widzieć, gdzie postawić nogę, i ustawić się w szeregu przed drzwiami. Każda z was ma trzymać się czadoru osoby z przodu. Pamiętajcie - unieście opaski tylko trochę. Jeśli zobaczę, że któraś z was za bardzo rozgląda się dookoła, będzie tego

załować. Gdy tylko znajdziecie się w szeregu, macie z powrotem założyć opaski na oczy i upewnić się, że ciasno przylegają do głowy.

Chwyciłam się czadoru stojącej przede mną dziewczyny, a ktoś za mną złapał mój szal. Przeszliśmy dwa korytarze i wkrótce znaleźliśmy się na zewnątrz. Było zimno. Modliłam się, byśmy dotarli czym prędzej na miejsce, ponieważ czułam się bliska omdlenia. Wszystko, co mogłam zobaczyć, to szary chodnik, czador i stopy dziewczyny przede mną. Jej nogi nie były spuchnięte, ale miała na nich gumowe klapki, podobne do moich i przynajmniej dwa numery za duże. Zaczęłam się zastanawiać, co się stało z moimi butami. Weszliśmy do budynku, minęliśmy hol i po przejściu kilku stopni strażnik kazał nam się zatrzymać. Następnie wywołał moje imię i kazał mi wyjść z szeregu.

- Chwyć tę linę i idź za mną - powiedział.

Złapałam linę i przeszłam za nim przez próg.

- *Salam aleikom*, Siostrzo. Dzień dobry. Przyprowadziłem ci nową: Marina Morami-Bakht. Tu są papiery.

- Witaj, Bracie. Dziękuję - odpowiedział kobiecy głos.

Drzwi zamknęły się z kliknięciem. W pokoju czuć było zapach świeżo parzonej herbaty. Zdałam sobie sprawę, że umieram z głodu.

- Marina, zdejmij opaskę - powiedziała kobieta stanowczym głosem i zrobiłam, co mi kazała. Miała około dwudziestu pięciu lat, przewyższała mnie o ponad dwadzieścia centymetrów. Wielkie ciemne oczy, duży nos i wąskie usta czyniły jej twarz wybitnie surową. Miała na sobie czarny czador. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek się uśmiechała.

Pokój był czymś w rodzaju biura. Mniej więcej trzy i pół metra na cztery, z czterema metalowymi krzesłami i prostym

metalowym biurkiem, na którym piętrzyły się papiery. Przez zakratowane okno wlewało się do środka żółte poranne światło.

- Marina, jestem Siostrą Maryam - powiedziała. - Brat Ali mówił mi o tobie.

Wyjaśniła mi, że budynek 246, w którym się znajdowałyśmy, miał dwa poziomy. Na parterze było sześć pokoi, a na piętrze - siedem. Ja miałam trafić do sali numer 7 na piętrze. Potem przez głośnik wymieniła jakieś imię i po chwili do biura weszła dziewczyna, mniej więcej w moim wieku. Siostra Maryam przedstawiła ją jako Soheilę. Była więźniarką i reprezentowała salę 7. Soheila miała brązowe włosy, ubrana była w niebieski sweter i czarne spodnie, a jej włosy pozostawały odkryte. Domyśliłam się, że skoro 246 był budynkiem kobiecym, nie musiałyśmy nosić hidżabu przez cały czas. Drzwi biura otwierały się na pusty przedsionek, mniej więcej osiem metrów na trzy, i po drodze zauważyłam schody prowadzące na parter. Kuśtykając za Soheilą, zostałam w tyle. Zatrzymała się i obróciwszy, zauważyła moje stopy.

- Wybacz... Nie miałam pojęcia... Połóż mi rękę na ramionach. Pomogę ci — powiedziała.

Doszliśmy do zakratowanych metalowych drzwi. Soheila popchnęła je i weszliśmy w wąski korytarz. Wszędzie było pełno dziewcząt. Minęliśmy trzy pokoje, trzymając się nadal korytarza, który w pewnym momencie zakręcał pod kątem prostym. Jeszcze trzy wejścia i dotarliśmy do pokoju na samym końcu: sala nr 7. Rozejrzałam się. Pomieszczenie miało jakieś pięć na siedem i pół metra. Podłogę przykrywał zniszczony brązowy dywan. Nieco powyżej linii moich oczu przez całą ścianę biegła metalowa półka, na której upchnięto plastikowe torby z ubraniami, a pod spodem na gwoździach wisały mniejsze torebki. Beżowa farba, pokrywająca ściany i metalowe drzwi,

była odrapana i brudna. W jednym kącie stało piętrowe łóżko. Kubki i pojemniki rozmaitych kształtów i rozmiarów zalegały na jednym poziomie, a torby wypełnione ubraniami - na drugim. W drugim kącie, obok zakratowanego okna, piętrzyły się prawie pod sufit szare, wojskowe koce. W pokoju panował zadziwiający porządek i czystość. W grupkach po trzy lub cztery na podłodze siedziało około pięćdziesięciu dziewcząt. Wszystkie były mniej więcej w moim wieku. Gdy weszłam, przerwały rozmowy, przyglądając mi się z ciekawością. Nie mogąc dłużej ustać, upadłam pod własnym ciężarem.

- Dziewczyny, zróbcie jej miejsce, żeby mogła odpocząć! - krzyknęła Soheila i uklękła obok mnie. - Wiem, jak bardzo bołą cię stopy, ale wszystko będzie w porządku. Nie martw się.

Kiwnęłam głową, a oczy zaszczyły mi łzami.

- Marina! — wykrzyknął znajomy mi głos.

Spojrzałam do góry i przez moment nie mogłam rozpoznać stojącej nade mną dziewczyny.

- ...Sara! Dzięki Bogu! Tak się o ciebie martwiłam!

Wyglądała mizernie. Jej niegdyś lśniąca jasna cera stała się matowa, a wokół oczu miała ciemne kręgi. Objęliśmy się, aż zabrakło nam sił.

- Z tobą wszystko w porządku? — spytała Sara, patrząc na moje stopy.

- Nic mi nie jest. Mogło być gorzej.

Ściągnęłam z głowy szal i przejechałam palcami po sklejonych kosmykach włosów. W całym swoim życiu nie byłam jeszcze tak brudna.

- Dlaczego masz na czole wypisane swoje imię? - spytała Sara.

- Co takiego?

- Czarnym markerem ktoś wypisał ci na czole twoje imię.

Dotknęłam czoła, prosząc o lusterko, ale Sara wyjaśniła mi, że tutaj nie mają luster. Powiedziała, że jak długo jest w Evin, nigdy czegoś podobnego nie widziała. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak to się stało. Potem spytała o ranę na mojej głowie i opowiedziałam jej o omdleniu w łazience.

- Marina, co u moich rodziców? Kiedy ich ostatnio widziałas? - oczy Sary wpatrywały się we mnie z nieznaną mi dotąd intensywnością, jakby należały do osoby błakającej się przez wiele dni po pustyni, a ja byłabym bulgoczącą od wody fontanną.

Opowiedziałam jej więc, jak bardzo martwili się jej rodzice, jak na próżno usiłowali zobaczyć się z nią i Sirusem. Spytałam, czy wie, gdzie jest Sirus, i czy nic mu nie jest. Nie wiedziała. Potem spytałam, czy ją bili.

W dniu aresztowania strażnicy zmusili Sarę, by przyglądała się, jak bili Sirusa. Chcieli wyciągnąć z niego nazwiska przyjaciół, ale odmawiał. Zamykała oczy, żeby nie patrzeć, co robią jej bratu, ale wówczas bili ją i kopali, więc musiała się przyglądać. Potem rozwiązali Sirusa, a w jego miejsce przywiązali do łóżka Sarę. Powiedzieli mu, że jeśli poda nazwiska, oszczędzą siostrę. Nie powiedział ani słowa, więc zabrali się do torturowania Sary. Pytali, czy zna jakichkolwiek znajomych Sirusa, ale żadnego nie znała. Potem pytali o jej własnych przyjaciół.

- Podałam im twoje nazwisko, Marina... Tak mi przykro... Nie mogłam tego znieść — powiedziała. Nie obwiniałam jej. Sama podałabym Hamehdowi wszystkie nazwiska, jakie chciał, gdyby bicie potrwało chwilę dłużej. Chciała wiedzieć, dlaczego wcześniej nie powiedziałam jej o liście. Wyjaśniłam, że nie miałam pojęcia, kto jeszcze na niej był, i nie chciałam nikogo martwić.

- Widziałas Gitę? - spytałam.

- Zanim zaczęli mnie torturować, Brat Hamehd powiedział, że Gita dała im moje nazwisko i adres. Uwierzyłam mu i byłam na nią wściekła. Obwinałam ją o moje aresztowanie. Potem Hamehd bił mnie i w końcu powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam. Znienawidziłam samą siebie za nienawiść do Gity.

Sara zakryła usta, by uciszyć ból, który dotąd nie znalazł ujścia. Objęłam ją i pozwoliłam, by krzyczała, płacząc w moich ramionach.

Wreszcie podniosła głowę.

- Tuż zanim mnie tutaj wysłali, Hamehd powiedział mi, że Gita została stracona poprzedniej nocy. I że, gdyby Sirius odmówił współpracy, to samo stałoby się i z nim. Tak więc wiedziałam, że Hamehd skłamał, mówiąc mi, że Gita dała mu moje nazwisko i adres. Gdyby Gita zgodziła się mówić, przeżyłaby. Nie chciała, więc ją zabili. To nie była jej wina.

- Gita nie żyje?

Sara kiwnęła głową.

To nie mogło być prawdą.

Jakiś głos mówił mi w głowie: „Żyjesz i na to nie zasługujesz”.

Dokładnie pamiętałam dzień, w którym Gita i ja stałyśmy się przyjaciółkami. Było to trzy i pół roku wcześniej, latem 1978, w domu letniskowym mojej rodziny. Wtedy, gdy poznałam Arasha.

ROZDZIAŁ

SIÓDMY

W roku, w którym się urodziłam, rodzice kupili niewielki dom w miasteczku Ghazian, graniczącym przez most z Bandar-eh Pahlavi, nad Morzem Kaspijskim. Życie toczyło się tam wolno, wśród zieleni. Choć posiadanie domu nad Morzem Kaspijskim było w tamtych czasach znakiem zamożności, moja rodzina nie była bogata. Ojciec uwielbiał spokój i piękno północnego Iranu do tego stopnia, że zamiast kupić dom w Teheranie, zdecydował się na kupno dachy. Jednakże, nie mając dość pieniędzy, dokonał tego zakupu wspólnie z przyjacielem, jowialnym pół-Ormianinem, pół-Rosjaninem o imieniu Partef, który był właścicielem fabryki stali nierdzewnej w Teheranie. Wujek Partef - jak go nazywałam - nie miał żony, należał do osób bardzo zajętych i rzadko przyjeżdżał do Ghazian, w związku z czym przez większość czasu mieliśmy dachę tylko dla siebie.

Dom znajdował się pośrodku zalesionego terenu na tyłach portu, przy spokojnej ulicy, która prowadziła na plażę. Jego pierwszym właścicielem był rosyjski lekarz, bliski przyjaciel moich rodziców, który zresztą sam go wybudował z wytrzymałego rosyjskiego drewna. Dom składał się z czterech sypialni, salonu-

jadalni, małej kuchni i łazienki. Zewnętrzne ściany pomalowane były na jasnozielono, a do drzwi wejściowych prowadziło dwanaście kamiennych stopni.

Droga z Teheranu na daczę samochodem zajmowała około pięciu godzin. Wyruszając ze stolicy w kierunku zachodnim,jechało się przez płaskie tereny aż po miasto Ghazvin, gdzie droga skręcała na północ w stronę Gór Elbrus, które przypominały potężny, prawie pionowy mur, oddzielający pustynie centralnego Iranu od Morza Kaspijskiego. Tunelami, niezliczonymi zakrętami, ostro pod górę i w dół droga przebiegała się przez górski masyw. Następnie wiodła wzdłuż doliny rzeki Seid Rud, gdzie gęste lasy pokrywały wzgórza, a wiatr przynosił zapach ryżowych pól.

Ażurowy metalowy płot, pomalowany na błękitno i wyższy nawet od mojego brata, otaczał naszą posesję. Gdy dojeżdżaliśmy, ojciec zatrzymywał naszego niebieskiego oldsmobile'a przed bramą, a ja wyskakiwałam, żeby ją otworzyć i wpuścić samochód. Długi, niebrukowany podjazd dochodził do samego domu, znikając wśród klonów, sosen, topoli i drzew morwo-wych. Pod moimi stopami kolorowe kamyki wyłaziły spod warstwy ziemi i piachu, migocząc w promieniach słońca, którym udało się przebić przez gęstą zasłonę liści. Podjazd kończył się na otwartej przestrzeni, która przez moment wydawała się zbyt jasna dla oczu. Nagle pojawiały się białe, kamienne schody, prowadzące do domu.

Budynek zawsze witał nas znajomym zapachem wilgoci, która nasączała zamknięte powietrze przez wszystkie miesiące naszej nieobecności. Podłogi przykrywał ciemnozielony dywan. Zanim weszliśmy, matka kazała nam zdejmować buty i dokładnie wycierać stopy tak, by ani odrobina piachu nie dostała się do środka. Rodzice wyposażyli salon w komplet mebli z ku-

tego żelaza, kupiony na „garażowej” wyprzedaży; był pomalowany na biało, miał aksamitne, purpurowe poduszki, a w jego skład wchodził też kryty szkłem stolik. Sypialnie były bardzo prosto urządzone, ze zwykłymi łózkami i starymi drewnianymi komódkami. W oknach wisały zasłony uszyte z jasnych kwiecistych materiałów. Wieczorem, gdy kładłam się spać, zwykle zostawiałam otwarte trzy okna mojego pokoju, by rano witało mnie pianie kogutów. W czasie deszczu kwakały bawiące się w kałużach kaczki, a zapach dzikich drzew cytrynowych spływał wraz z wodą po ich mięsistych liściach.

Na terenie posesji było jedno specjalne miejsce, gdzie - jak nauczyła mnie babcia - co rano odmawiałam „Ojcze nasz”. Z daleka przypominało dużą, pokrytą mchem skałę, ale przy bliższych oględzinach okazywało się jakby blokiem z drobnych kamieni, wysokim na ponad metr i szerokim na około dwa. W jednym rogu wystawał gruby, pokryty rdzą metalowy pręt. Należał do dawnych czasów, gdy morze przykrywało jeszcze ten kawałek ziemi. Kiedyś praktyczne miejsce, w którym rybacy przywiązywali swoje łodzie, teraz wyglądało dziwnie, gdy je odkryłam w zapomnianej części ogrodu. Uwielbiałam tam stać z ramionami otwartymi na łagodny powiew i z zamkniętymi oczami wyobrażać sobie otaczające mnie morze, jego szklistą powierzchnię w nieustającym ruchu, który słoneczne światło przemieniał w płynne złoto obmywające brzeg, gdzie piaszczyste wzgórza były jak bąble na gorącej skórze ziemi.

Nazwałam ten dziwny pomnik „skałą modlitwy”.

Zwykle budziłam się o wschodzie słońca i wychodziłam na dwór. Pomiędzy drzewami, nad wysokimi trawami unosiła się mgła, w której brodziłam jak w rzece. Gdy dochodziłam do skały modlitwy, wydawało się, że słońce tchnęło swój oddech w mgliste opary, nadając im różową poświatę. Wierzchołek

mojej skały wyglądał jak wyspa na lśniącem morzu. Wówczas kładłam się na kamieniu, w pełnym słońcu, które sprawiało, że czułam się lekka, jakby utkana z mgły i światła.

Każdego lata matka spędzała około dwóch miesięcy na daczycy, ale ojciec, który nie mógł pozwolić sobie na tak długą nieobecność w pracy, zostawał z nami tylko przez dwa tygodnie. Potem przyjeżdżał mniej więcej co weekend. Pobyt na wsi upływał mi na budowaniu zamków z piasku, jeździe na rowerze, gonieniu kaczek i zabawach z miejscowymi dziećmi. Wolno mi było robić wszystko, na co miałam ochotę, więc do domu wracałam tylko po to, by zjeść obiad i spać. Mijały lata, dorastałam, a wakacyjne dni wyglądały zawsze tak samo, z jednym wyjątkiem: moje codzienne eskapady zataczały coraz szersze kręgi i coraz bardziej oddalałam się od domu. W wieku dwunastu lat mogłam w pół dnia objechać na rowerze nasze miasteczko. Jadąc starymi, wąskimi uliczkami, wzdłuż małych, białych domów, docierałam na rynek. W piekarni kupowałam ryżowe ciasteczka i *kolochehs* - rodzaj wypełnionych słodką orzechową masą ciastek, które pozwalały mi przeżyć dzień, gdy rezygnowałam z lunchu w domu. W pobliżu zawsze hałaśliwego targu rybnego unosił się silny zapach ryb i świeżych ziół.

Jednym z moich ulubionych miejsc był most łączący dwie części portu. Stojąc na nim, obserwowałam przepływające łodzie i statki. Morze rozciągało się po horyzont, duże statki pruły błękitną wodę, zostawiając za sobą białą pianę, a nasycone słoną wodą powietrze wypełniało mi płuca. Szczególnie lubiłam mgłę - odrealniała ona port, czyniąc go podobnym do sennych obrazów. Ponieważ mój wzrok nie mógł przebić się przez mgłę, słyszałam tylko wiosła, tnące powierzchnię wody, po czym, jak z innego świata, wyłaniała się łódź.

Gdy miałam około dziesięciu lat, najstarsza siostra mojej matki, Zenia, kupiła dom jakieś dwa i pół kilometra od Ghazian, w zupełnie nowej dzielnicy, wyposażonej w boiska do koszykówki, restauracje i baseny. Drogie domy, otoczone idealnie przystrzyżonymi trawnikami i niewysokimi metalowymi płotkami, lśniły tutaj świeżą farbą, a dzieciaki jeździły rowerami po czystych uliczkach.

Ciotka Zenia nie wyglądała jak reszta rodziny. Była blondynką o niebieskich oczach i wszystko, co jej dotyczyło, miało duże rozmiary. Do niej należał duży dom w Teheranie i duży samochód, którego szofer też był duży. Mąż ciotki, który zginął w wypadku samochodowym dwa lata po śmierci Babci, był właścicielem fabryki przetwórstwa mięsnego w mieście Rasht, oddalonym o około trzynaście kilometrów od naszej daczycy. Po jego śmierci ciotka przejęła interes i szło jej całkiem dobrze. Jej córka, też Marina, na którą jednak wszyscy mówili Marie, była ulubienicą mojej matki. Starsza ode mnie o dwadzieścia lat, była drobną kobietą, która zawsze wydawała się spięta, gdy w pobliżu znajdowała się jej matka. Obie odznaczały się uporem, stanowczością i wiecznie się o wszystko kłóciły.

W roku 1978, gdy miałam trzynaście lat, Marie z mężem prawie przez całe lato mieszkała w domu ciotki, tak że odwiedzałyśmy ją z mamą niemal codziennie. Ciotka Zenia pojawiała się tam rzadko, spędzając większość czasu w fabryce, gdzie miała wygodne mieszkanie, lub w Teheranie.

Podczas moich przejażdżek rowerowych zauważyłam na jednym z boisk do koszykówki grupę nastolatków. Pojawiali się tam codziennie, około piątej po południu. Chłopcy grali w piłkę, a dziewczyny siedziały w cieniu, plotkując i kibicując kolegom. Któregoś razu postanowiłam do nich podejść. Około piętnastu

dziewcząt siedziało na trawie w niewielkich dwu-, trzyosobowych grupkach. Oparłam rower o drzewo i podeszłam. Wydawało się, że nikt mnie nie zauważył. Przy ogrodowym stoliku zauważyłam siedzącą samotnie dziewczynę, więc usiadłam obok. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Proste jasnobrązowe włosy sięgały jej do pasa. Miała na sobie białe szorty i biały T-shirt. Wydawała mi się znajoma. Przedstawiłam się, a w jej szeroko otwartych oczach dostrzegłam, że mnie poznała. Okazało się, że chodzimy do tej samej szkoły lecz, ponieważ była ode mnie dwa lata starsza, nigdy dotąd nie rozmawialiśmy ze sobą. Podobnie jak ja, miała ciotkę, która kupiła dom w okolicy i u której czasami mieszkała wraz z rodziną. Nazywała się Gita.

Jeden z chłopców zdobył punkt, wywołując brawa i entuzjastyczne okrzyki dziewczyn. Obrócił się i zawołał do siedzącej obok nas koleżanki:

- Neda, przyniesiesz mi colę? Umieram z pragnienia.

Chłopak miał około 180 cm wzrostu i ciemne oczy, osadzone nad wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Gdy biegł, jego prosta czarna czupryna podnosiła się i opadała. Neda niechętnie podniosła się i otrzepała z białych szortów źdźbła skoszonych trawy. Długie do ramion brązowe włosy założyła za uszy.

- Kto idzie ze mną? - krzyknęła do koleżanek i kilka z nich dołączyło do niej. Przeszły na drugą stronę wąskiej ulicy, gdzie znajdował się bar szybkiej obsługi o nazwie Moby Dick.

Szeptać mi do ucha, Gita wskazała młodego mężczyznę, który stał po drugiej stronie boiska. Miał jakieś 190 cm wzrostu, 90 kilogramów wagi i wyglądał na co najmniej 20 lat. Drobną blondynką stojącą obok niego nie sięgała mu nawet do ramienia. Gita powiedziała, że chłopak ma na imię Ramin i że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

- Którego dnia go dostanę. Jest mój — powiedziała.

Moje koleżanki miały tyle samo lat, co ja, a moje doświadczenia z chłopcami były dość ograniczone. Nigdy nie zastanawiałam się nad „posiadaniem” chłopaka.

- Cześć! — powiedział ktoś za naszymi plecami. - Gita, kim jest twoja nowa koleżanka?

To była Neda. Gita przedstawiła nas sobie. Okazało się, że Neda ma kuzyna, który chodzi do naszej szkoły i którego całkiem dobrze znałam. Pod koniec naszej rozmowy zaprosiła mnie na swoje przyjęcie urodzinowe, które miało się odbyć następnego dnia.

Miałam idealną sukienkę na przyjęcie u Nedy. Kilka miesięcy wcześniej mama zdecydowała się zamówić dla siebie trochę ubrań z niemieckiego katalogu i przy okazji zaproponowała kupno czegoś dla mnie. Wybrałam białą sukienkę. Nie była droga, ale bardzo piękna: ze zwiewnego i lekkiego jak koronka materiału, z dekoltem. Przyjęcie u Nedy przewidywało najpierw pójście nad morze i pływanie, a potem powrót do jej domu na obiad i tańce. Gita poradziła mi, żebym pod zwykłe ubranie założyła kostium kąpielowy, a sukienkę przyniosła ze sobą.

W dniu przyjęcia obudziłam się jeszcze wcześniej niż zwykle i spędziłam godziny w łazience. Przymierzałam po kolei moje kostiumy kąpielowe i za każdym razem, patrząc w lustro, dostrzegałam z przerażeniem wszystkie możliwe wady: moje ramiona były zbyt chude, uda za duże, a piersi zbyt płaskie. Ostatecznie zdecydowałam się na białe bikini, które dostałam od Marie. Ponieważ ze swojej ostatniej wycieczki do Europy przywiozła sobie nowe kostiumy, oddała mi swoje stare. Zawinęłam w plastikową torebkę białe sandały, złożyłam sukienkę i wszystko zapakowałam do płóciennej plażowej torby. Była dziesiąta rano. Najczęs-

ciej wychodziłyśmy z mamą do Marie około 10:30. Mama nie prowadziła samochodu, więc gdy akurat nie było ojca, brałyśmy taksówkę. Słyszałam, jak matka krząta się po kuchni, co wydało mi się dziwne - nigdy nie siedziała w kuchni o tej porze.

- *Maman*, jestem gotowa - powiedziałam, stając w drzwiach do kuchni z torbą plażową w ręce.

Pachniało rybą. Matka myła właśnie dużą deskę do krojenia i spojrzała na mnie kątem oka.

- Gotowa na co? Nigdzie dziś nie idziemy.

Blaty kuchenne zavalone były miskami wszelkich rozmiarów, garnkami i rondlami.

- Ale...

- Żadnych „ale”! Twój wujek Ismael z żoną przyjechali z Teheranu odwiedzić Marie. Jest też ciocia Zenia. Wszyscy przychodzą do nas na lunch i obiad, potem zagramy w karty. Prawdopodobnie zostaną na noc.

- Ale ja zostałam zaproszona dziś wieczorem na przyjęcie urodzinowe!

- Cóż, nie pójdziesz.

- Ale...

Obróciła się do mnie. Czułam, jak jej złość wypełnia kuchnię.

- Czy nie rozumiesz, co znaczy „nie”?

Odwrociłam się, poszłam do swojego pokoju i rzuciłam się na łóżko. Mogłam sama wziąć taksówkę - miałam dosyć pieniędzy. Ale matka nie pozwoliłaby mi na to. Może powinnam wymknąć się z domu. Ale wówczas musiałabym wrócić przed zmrokiem, co było moją godziną policyjną, jeśli nie uprzedzałam matki, dokąd idę. Usłyszałam samochód parkujący na podjeździe, zgrzyt opon na mokrym piachu. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak szofer ciotki Zeni, Mortezah, uprzejmy mężczyzna około trzydziestki, otwiera tylne drzwi jej nowiutkiego

chevroleta. Matka zbiegła po kamiennych schodach, by uściskać siostrę. Mortezah otworzył bagażnik i wyjął małą walizkę. Wszyscy weszli do domu. Stałam nadal przy oknie, z sercem walącym z powodu mojej bezsilności.

- Roohi, daj mi szklankę zimnej wody! - usłyszałam, jak ciotka zwraca się swoim władczym tonem do matki. — Marie zabrała Ismaela i Kahmi po coś do miasta. Niedługo będą. Gdzie jest Marina? Mam coś dla niej.

- Jest gdzieś tutaj. Pewnie siedzi obrażona w swoim pokoju.

Drzwi do mojego pokoju gwałtownie się otworzyły.

- O co chodzi, Marina? Nie witasz się już z ciotką?

Podeszłam do niej i objęłam ją, całując w obydwa policzki. Jej skóra, wilgotna od potu, pachniała nadal Chanel No.5. Przytuliła mnie do swojej potężnej piersi. Gdy wreszcie uwolniła mnie ze swego uścisku, wyjęła z torby delikatną bransoletkę i założyła mi ją na rękę. Była śliczna. Ciotka Zenia zawsze dawała mi piękne rzeczy. Wytarłam oczy wierzchem dłoni.

- Płakałaś? Dlaczego?

- Mam zaproszenie na wieczorne przyjęcie i nie mogę iść.

Roześmiała się:

- A dlaczego nie możesz pójść?

- No bo...

- Ponieważ ja tu jestem?

- Tak - spuściłam oczy.

- Wiesz, może jestem już stara, ale kiedyś byłam młoda. Młoda i piękna. Możesz mi wierzyć albo nie, ale pamiętam, jak to było.

Wstrzymałam oddech.

- Mortezah odwiezie cię na to przyjęcie i potem odbierze.

- Naprawdę?

- Tak, Kopciuszk. Ale bądź przed północą.

Podziękowałam Mortezahowi, gdy wysadził mnie pod domem Nedy, i obiecałam czekać na niego dokładnie w tym samym miejscu o północy. Pomachałam mu na pożegnanie. Po szarych, wystających z trawy kamiennych płytach skierowałam się w stronę domu. Neda stała na ganku, obiegającym wokół parterowy dom, rozmawiając z dwiema dziewczynami. Tył posesji wychodził na morze i słyszałam fale obmywające piaszczysty brzeg. Wkrótce zjawili się wszyscy. Dziewczyny zostawiły swoje torby w sypialni Nedy, a chłopcy - u jej brata i pobiegliśmy na plażę. Bawiliśmy się w berka i graliśmy w piłkę wodną, póki nie dopadł nas głód. Wtedy wróciliśmy do domu. Gdy w pokoju Nedy otworzyłam torbę, żeby wyjąć sukienkę, zorientowałam się, że nie mam ze sobą bielizny na zmianę. Musiałam zostać w kostiumie, co zresztą nie stanowiło większego problemu, ponieważ - choć trochę wilgotny - był biały, a dzięki temu niewidoczny pod sukienką.

Po obiedzie, złożonym z zimnych mięs, świeżego chleba oraz rozmaitych sałatek, zepchnęliśmy na boki meble w salonie i dom wypełniła muzyka grupy Bee Gees. Neda tańczyła z Aramem - przystojnym koszykarzem, który poprosił ją wtedy na boisku o colę. Idealna opalenizna Nedy fantastycznie kontrastowała z jej białą sukienką. Aram rozbawił ją, szepcząc jej coś do ucha. Większość gości utworzyła wkrótce pary, a ja znalazłam się sama w kącie, sącząc z butelki colę. Gdy ją skończyłam, zaraz zabrałam się za następną, przy okazji napełniając talerz chipsami. Jedna piosenka goniła drugą, a ja pochłaniałam takie ilości chipsów, że wreszcie poczułam ból brzucha. Nikt nie poprosił mnie do tańca. Gita tańczyła z Raminem - tamtym potężnym facetem z boiska. Jego dłonie wędrowały z góry na dół po jej plecach. Gita miała wypieki na twarzy. Spojrzałam na zegarek: dziesiąta. Stałam już tak od godziny i przez cały ten czas nikt się

do mnie słowem nie odezwał. Czując się nie na miejscu, zażenowana i rozgoryczona jednocześnie, chciałam wyjść z salonu.

Drzwi wychodzące na tylną część ganku były tylko o kilka kroków. Otworzyłam je i ostatni raz rozejrzałam się po pokoju - nikt nie zareagował. Wyszłam na zewnątrz. Na morzu kładło się światło księżycy, a powietrze było bardzo spokojne. Musiałam coś zrobić. Na przykład popływać. Pływanie zawsze poprawiało mi nastrój. Wiele razy kąpałam się w nocy. W świetle księżycy morze zlewało się w jedno z niebem, znikając w ciepłej, srebrzystej ciemności. Zeszłam po schodkach łączących ganek z podwórkiem i zaczęłam odpinać sukienkę, ale w chwili, gdy zsunęła się na ziemię, poderwał mnie czyjś głos:

- Co robisz?

Obok leżaka, w rogu podwórka stał młody człowiek, zasłaniając rękami oczy.

- Wystraszyłeś mnie! - powiedziałam, podczas gdy moje serce próbowało odzyskać swój normalny rytm. - Czemu się tam schowałeś?

- Nie schowałem się! Siedzę sobie tutaj, na tym leżaku, oddychając świeżym powietrzem, aż nagle zjawia się dziewczyna, która rozbiera się na moich oczach! - Wydawał się wystraszony bardziej ode mnie, co było dość zabawne. Nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat i cały czas zakrywał sobie oczy.

- Założyłaś z powrotem sukienkę?

- O co ci chodzi? Nie jestem goła. Mam na sobie kostium kąpielowy. Zamierzam popływać.

- Zwariowałaś? - powiedział, odrywając wreszcie ręce od oczu.

- Masz zamiar pływać w środku nocy w tej ciemnej wodzie?

- Nie jest ciemno - wyszedł księżyc.

- O nie! Utopisz się, a ja nigdy sobie tego nie daruję.

- Nie utopię się.

- Nie puszczę cię dalej.

- Dobrze. Poddaję się. Nie idę - powiedziałam, wciągając z powrotem sukienkę.

Jego duże ciemne oczy patrzyły na mnie znad lekko uniesionych kości policzkowych. Drobne, jakby dziecięce usta kontrastowały z resztą twarzy o zdecydowanych rysach. Był o kilka centymetrów wyższy ode mnie. Miał bardzo krótko przystrzyżone brązowe włosy. Tym, co zwróciło moją uwagę, było jego spojrzenie, pod którym poczułam się wyjątkowa i piękna. Nazywał się Arash.

Ponieważ nie mogłam iść popływać, postanowiłam posiedzieć na zewnątrz. Zapadłam się w wygodnym leżaku, świadoma jednak przez cały czas obecności Arasha. Słyszałam jego oddech. Po około dziesięciu minutach wstał, a ja podskoczyłam.

- Sprawia ci przyjemność straszenie mnie?

- Przepraszam, nie chciałem. Muszę lecieć. Nie pływaj, dobra?

- Dobrze.

, Patrzyłam, jak się oddala i wchodzi do domu. Po chwili wyszła Neda i zawołała mnie do środka - zabierała się właśnie do krojenia tortu.

Kilka dni po przyjęciu jechałam rowerem na plażę, gdzie miałam spotkać się z Gitą. Z powodu prac budowlanych jezdnia miejscami pokryta była warstwą piachu. Gdy wzięłam zakręt ze zbyt dużą prędkością, rower niebezpiecznie przechylił się i spadłam. Udało mi się wstać, ale jedno kolano i łokieć krwawiły. Była mniej więcej druga po południu i bardzo gorąco, więc ulica kompletnie opustoszała. Przynajmniej nikt nie zauważył takiego głupiego upadku. W chwili, gdy próbowałam zejść z rowerem z drogi, zdałam sobie sprawę, że ktoś za mną stoi. Obróciłam się. To był Arash, równie zaskoczony jak ja.

- Zawsze pojawiaasz się jak duch? - spytałam.

- A ty lubisz ryzyko? - zaśmiał się, oglądając moje zadrapania. - Musimy to przemyć. To dom mojej ciotki - wskazał posesję na rogu.

Wzięłam mój rower, a ja poszłam za nim. Zadrapania szczypały. Miałam łzy w oczach, ale wzięłam głęboki oddech i nie narzekałam. Nie chciałam, żeby myślał o mnie jak o małej słabej dziewczynce.

- Siedzę sobie na ganku, obserwując ulicę, i nagle widzę, jak jedziesz sto na godzinę i trach! Masz szczęście, że nie złamałaś karku - powiedział.

Błękitne hortensje i bladoczerwone róże pięły się po ścianach domu, a srebrzystozielone gałęzie ogromnej płaczącej wierzby muskały kryty czerwoną dachówką dach.

Arash przytrzymał otwarte drzwi i weszłam do środka. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonych ciasteczek.

- Babciu, mam gościa! - krzyknął.

Przystojna starsza pani o siwych włosach wyszła z kuchni. Miała na sobie niebieską sukienkę oraz biały fartuch, w który właśnie wycierała ręce. Bardzo przypominała mi moją Babcię.

- Co się stało? - spytała po rosyjsku, widząc krew. Biorąc mnie za rękę, poprowadziła nas do kuchni, słuchając wyjaśnień Arasha. Podobnie jak Babcia, robiła dużo zamieszania i zanim się spostrzegłam, moje zadrapania były oczyszczone, zdezynfekowane i zabandażowane. Po chwili siedziałam przy stole przed filiżanką herbaty i domowymi ciastkami.

- Poczęstuj się, proszę - powiedziała gospodyni po persku, ale z silnym rosyjskim akcentem.

- Dziękuję - odpowiedziałam po rosyjsku.

W jej oczach błysnęło zdziwienie:

- Rosjanka! - powiedziała z szerokim uśmiechem - Jak miło! No to masz dziewczynę! I to nie byle jaką, ale miłą Rosjankę!

Twarz Arasha zrobiła się purpurowa.

- Babciu, przestań! Ona nie jest moją dziewczyną!

Zaśmiałam się.

- Mów, co chcesz, ale to takie miłe. Masz szczęście. Zostawię was młodych samych - dodała i wyszła do kuchni, powtarzając co chwilę: „Cudownie!”.

- Musisz wybaczyć mojej babci - zwrócił się do mnie Arash - jest wiekowa i czasami się gubi.

- Pokazałeś jej swój flet? - krzyknęła babcia z drugiego pokoju.

Arash znów zmienił się na twarzy.

- Jaki flet? - spytałam.

- Nieważne. Dla zabawy grywam na flecie. To nic wielkiego.

- Nie znam nikogo, kto grałby na flecie. Zagrzasz coś dla mnie?

- Jasne - zgodził się bez specjalnego entuzjazmu.

Poszłam za nim do jego pokoju, gdzie z długiego, czarnego futerału wyjął srebrny flet, przebiegając placami po smukłym instrumencie. Wkrótce smutna melodia wypełniła pokój. Siedziałam na łóżku oparta o ścianę. Arash stał przede mną, poruszając się w takt muzyki, jakby stanowiła ona jego część, jakby powoływał ją do życia. Patrzył przed siebie, widząc coś, czego nikt inny nie potrafiłby dostrzec. W otwartym oknie tańczyła biała zasłona, chwytając na przemian światło słoneczne i cień. Nigdy przedtem nie słyszałam tak pięknej muzyki. Skończył grać, szukając wzrokiem moich oczu. Milczałam, jak zakłęta. Utwór okazał się kompozycją samego Arasha, który jednak był zbyt skromny, by o tym mówić. Chciał wiedzieć, czy na czymś gram i zgodnie z prawdą powiedziałam mu, że nie. Potem spytał, ile mam lat, a gdy dowiedział się, że trzynastie, wyglądał na zaskoczonego. Myślał, że mam co najmniej szesnaście. Dla mnie natomiast niespodzianką było jego osiemnaście lat.

Podobało mi się, jak na mnie patrzył, gdy do niego mówiłam. Siedział wygodnie na krześle, z łokciem na oparciu, podtrzymując dłońią podbródek, i uśmiechał się, a cała jego uwaga skupiona była na mnie. Sposób, w jaki zastanawiał się za każdym razem, gdy miał odpowiedzieć na moje pytanie, sprawił, że w moim odczuciu nasza rozmowa miała dla niego znaczenie. Spytałam, czy zechce następnego dnia pójść ze mną rano na spacer. Zgodził się.

Następnego ranka babcia Arasha pomachała nam z ganku.

- Zwariuję z nią. Ciągłe myśli, że jesteś moją dziewczyną, i chce, żebyś przyszła dzisiaj na lunch.

- Bardzo chętnie przyjdę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Spojrzał na mnie pytająco.

- To znaczy, jeśli to tylko pomysł twojej babci, a ty sam nie masz ochoty, żebym przyszła, możesz mi powiedzieć.

- Oczywiście, że chcę, żebyś przyszła.

- To dobrze, bo chciałabym znowu posłuchać, jak grasz na flecie.

Dotarliśmy do cichej, oddalonej części plaży. Z daleka widać było kilka osób leżących na piasku oraz kilka w morzu. Spienione fale załamywały się i rozbijały o brzeg. Zdjęłam sandały, pozwalając, by woda wciskała mi się przez palce. Była chłodna i delikatna. Poprosiłam Arasha, żeby opowiedział mi o swojej rodzinie. Jego ojciec był biznesmenem, matka zajmowała się domem. Rodzice jeździli każdego lata do Europy, zaś Arash z bratem i babcią przyjeżdżał do domu ciotki. Wspomniał, że jego brat ma na imię Aram i jest o dwa lata młodszy.

- Żartujesz... Aram to twój brat? - byłam zaskoczona.

- Tak, znasz go?

- Tylko go poznałam. Wygląda na bardzo towarzyskiego. Zawsze trzyma się z innymi dzieciakami, za to ciebie nigdy nie widziałam przed przyjęciem u Nedy. Gdzie się ukrywałeś?

Powiedział mi, że nie jest tak towarzyski, jak młodszy brat, i że woli czytać albo grać na flecie. Do Nedy poszedł tylko dlatego, że jest ich sąsiadką w Teheranie i dziewczyną Arama.

Arash miał bardzo dobre wyniki w liceum i właśnie ukończył pierwszy rok medycyny na uniwersytecie teherańskim. Powiedziałam mu, że też jestem dobrą uczennicą i - podobnie jak on - chcę studiować medycynę. Zaproponowałam, żeby poszedł ze mną popływać, ale wolał siedzieć na plaży i czytać.

Babcia Arasha, Irena, przygotowała na lunch prawdziwą ucztę. Był piękny dzień, więc ustawiła stół przykryty idealnie wyprasowanym białym obrusem na podwórku, pod płaczącą wierzbą. Patrzyłam, jak nalewała mi do szklanki lemoniadę, a kosmyki jej srebrnych włosów tańczyły na wietrze. Nałożyła mi na talerz ryż, upieczoną na ruszcie rybę i sałatkę, nie zważając na moje protesty.

- Powinnaś więcej jeść, Marina. Jesteś za szczupła. Matka nie karmi cię właściwie.

Od chwili, gdy Irena zorientowała się, że znam rosyjski, ani razu nie zwróciła się do mnie po persku. Podobnie jak moja babcia, była dumną kobietą i choć umiała mówić po persku, odmawiała posługiwania się tym językiem, chyba że było to absolutnie konieczne. Mój rosyjski pozostawiał już wówczas wiele do życzenia. Co prawda rodzice mówili w domu po rosyjsku, ale ja od śmierci Babci nie używałam go, ponieważ w moim przekonaniu był czymś szczególnym, co chciałam dzielić tylko nią i z nikim innym. Umiejętności językowe Arasha w tym względzie nie były dużo lepsze od moich, więc nie czułam się

zbyt skrępowana. Rozmowa po rosyjsku z Ireną sprawiała mi przyjemność, przypominając czasy dzieciństwa.

Po lunchu Irena położyła się, a my poszliśmy do kuchni pozmywać. Wkładałam do zlewu brudne talerze, a Arash zamykał pozostałe jedzenie w szczelnych pojemnikach, które następnie układał na półkach lodówki. Widać było, że nie czuje się w kuchni obco. Gdy skończył z pojemnikami, stanął obok mnie ze ścierką i gdy podałam mu do wytarcia pierwszy splekany talerz, nasze oczy spotkały się. Poczulałam nieodpartą potrzebę wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego twarzy.

- Muszę odmówić wieczorną modlitwę przed zachodem słońca - powiedział mi Arash, gdy siedzieliśmy u niego na podwórku.

- Mogę popatrzeć?

- Masz dziwne pomysły - powiedział. Zgodził się jednak i obserwowałam go, nie mówiąc ani słowa. Stanął z twarzą zwróconą w stronę Mekki, po czym wykonał wszystkie elementy przewidziane przez *namaz*. Zamknął oczy, odmówił szeptem modlitwy po arabsku, ukląkł, podniósł się i dotknął czołem swojego modlitewnego kamienia.

- Dlaczego jesteś muzułmaninem? - spytałam, gdy skończył.

- Jesteś najdziwniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem - powiedział, śmiejąc się, ale wyjaśnił, że według jego przekonań, islam może ocalić świat.

- A co z twoją duszą? - spytałam.

Moje pytanie zaskoczyło go.

- Jestem pewien, że ocali również moją duszę. Jesteś chrześcijanką?

- Tak.

- Dlaczego? Ponieważ twoi rodzice są chrześcijanami?

Wyjaśniłam mu, że moi rodzice są niepraktykujący.

- W takim razie dlaczego? - nalegał.

Zdałam sobie wówczas sprawę, że sama nie znam odpowiedzi. Powiedziałam mu, że studiowałam islam i że to nie było dla mnie, chociaż nie umiałam wyjaśnić, dlaczego. Prawdopodobnie wiedziałam więcej o Mahomecie niż o Jezusie. Więcej razy czytałam Koran niż Biblię, ale Jezus w jakiś sposób był mi bliższy. Arash uśmiechał się do mnie. Domyśliłam się, że oczekiwał ode mnie jakiegoś silnego argumentu, tymczasem niczego takiego mu nie zaprezentowałam. Dla mnie to była sprawa serca.

Spytałam, czy jego rodzice są religijni. Ojciec pochodził z muzułmańskiej rodziny i wierzył w Boga, ale nie w Mahometa, Jezusa czy innego proroka. Rodzina babki była wyznania chrześcijańskiego, ale sama Irena z całą pewnością nie była religijną osobą. Jej mąż, ojciec matki Arasha, który zmarł dwa lata wcześniej, nigdy nie wierzył w Boga. Matka Arasha była natomiast chrześcijanką i choć nigdy nie chodziła do kościoła, zawsze modliła się w domu. Chciałam wiedzieć, co rodzina sądzi o jego przekonaniach religijnych. Przyznał, że odkąd skończył trzynaście lat, nigdy nie opuścił żadnej z codziennych modlitw, a rodzina była przekonana, że to mu minie z wiekiem.

Następnego dnia wieczorem siedziałam na schodach naszej daczki, obserwując zachód słońca. Chmury na horyzoncie, podświetlane ostatnimi promieniami słonecznymi, nabrały odcienia wściekłej czerwieni. W miarę jak zbliżała się noc, czerwień przechodziła w purpurę. Nie przestawałam myśleć o Arashu. Byłam w jego obecności szczęśliwa szczęściem, które przewyższało całą resztę, a świat czyniło małym i nic nie znaczącym. Zamknęłam oczy, wsłuchując się w noc. Słyszałam wyruszające

na nocne łowy nietoperze i dźwięk okrętowej syreny w porcie. Arash czytał mi wcześniej poezje. Jego głęboki, łagodny głos przydawał wierszom Hafeza, Sadięgo i Rumiego więcej magii, niż gdy czytałam je sama dla siebie. Recytował je z taką mocą, jakby należały do niego; jakby sam komponował każdy wers jak idealną melodię. Może to była miłość. Może go pokochałam.

Chciałam, żeby Arash zobaczył moją skałę modlitwy, więc pewnego ranka zaprosiłam go do naszego domu.

- Dlaczego nazywasz to miejsce skałą modlitwy? - zapytał, gdy szliśmy w jej kierunku.

- Kiedyś, gdy byłam małą dziewczynką, odmówiłam tam swoją modlitwę, a ponieważ wydało mi się to zupełnie wyjątkowe, od tego czasu zawsze wracam na to miejsce. Jest dla mnie czymś szczególnym.

Wkrótce byliśmy na miejscu. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłam. Przez moment ogarnęły mnie wątpliwości, czy dobrze zrobiłam. W końcu był to tylko stos pokrytych mchem kamieni.

- Uważasz, że jestem pomyłona? - spytałam.

- Nie. Podejrzewam, że - podobnie jak ja - desperacko poszukujesz sposobu, by być bliżej Boga. Moim sposobem jest gra na flecie, twoim - modlitwa na tej skałe.

- Pomódlmy się razem - zaproponowałam. - Może też to poczujesz. To jest jak otwieranie okna do nieba.

Wspięliśmy się oboje na skałę, podnieśliśmy w górę ręce, i zaczęłam recytować fragment dwudziestego trzeciego Psalmu Dawida: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. / Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. / Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: / orzeźwia moją duszę. / Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach / przez wzgląd na moje imię. / Chociażbym chodził ciemną doliną, / zła się nie ulękę,

/ bo Ty jesteś ze mną. / Twój kij i Twoja laska / są tym, co mnie pociesza.²

- Piękne! - powiedział, gdy skończyłam. - Co to było?

Wyjaśniłam mu, że Psalmy Dawida są częścią Biblii. Nigdy o nich nie słyszał. Powiedziałam mu o Babci, która zwykle mi je czytała i o tym, że ten był moim ulubionym.

Siedzieliśmy na skale. Jego wzrok błędził gdzieś daleko.

- Zastanawiałś się kiedyś, co dzieje się z nami po śmierci? - spytał.

Przyznałam, że tak. Powiedział wtedy, że śmierć jest tajemnicą, której nie da się rozwikłać; że jest tym jedynym miejscem, o którym - gdybyśmy je nawet odwiedzili - nie umielibyśmy powiedzieć ani słowa; i że nie ma przed nią ucieczki.

- Nienawidzę, gdy ludzie, których kochasz, umierają. Taki ból nigdy nie mija — powiedziałam.

- Tak naprawdę nigdy nikogo nie straciłem. Mój dziadek umarł, gdy byłem małym dzieckiem, i nic z tego nie pamiętam.

- Ja pamiętam śmierć mojej Babci.

W oczach miał łzy. Tak jak przedtem chciałam dotknąć jego twarzy, poczuć pod palcami każdą jej rysę. Chciałam go pocałować. Nie mogąc dłużej tego znieść, wstałam. Poderwał się na nogi i stanął na wprost mnie. Przez jeden krótki moment jego wargi dotknęły moich. Odsunęliśmy się od siebie jak rażeni gromem.

- Przepraszam - powiedział.

- Za co?

- To wbrew nakazom Boga, żeby mężczyzna dotykał w ten sposób kobiety, jeśli nie są małżeństwem.

² Fragment psalmu 23 według „Pisma Świętego Nowego i Starego Testamentu” wydawnictwo Pallottinum, Poznań-warszawa 1988.

- W porządku.

- Nie, to nie jest w porządku. Chcę, żebyś wiedziała, że zależy mi na tobie i że cię szanuję. To nie powinno było się zdarzyć. Poza tym jesteś o tyle młodsza. Musimy poczekać.

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz?

- Tak, kocham cię.

Nie do końca mogłam zrozumieć, dlaczego czuł się winny z powodu naszego pocałunku. Domyślałam się, że ma to związek z jego religijnymi przekonaniem. Tamtego lata nie raz widziałam całujące się w ukryciu pary, zastanawiając się, jak to jest. Gdyby to zależało ode mnie, pocałowałabym go jeszcze raz, ale nie chciałam zrobić niczego niewłaściwego ani go zdenerwować. Był starszy i wiedział lepiej, a ja mu ufałam.

Tamtej nocy spałyśmy z mamą w domu ciotki Zeni. Obudziłam się o szóstej rano i na palcach udałam się do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Z kubkiem w ręce weszłam do salonu, gdzie ze zdziwieniem natknęłam się na ciotkę, siedzącą przy zawalonym stosami papierów stole. Podeszłam bliżej. Miała na sobie różową bawełnianą koszulę nocną, bardziej odpowiednią dla młodej dziewczyny niż dla potężnej sześćdziesięcioletniej kobiety. Robiła notatki w niewielkim kalendarzu. Zatrzymałam się, nie wiedząc, czy powinnam przywitać się, czy nie, gdyż ciotka wydawała się całkowicie pochłonięta swoją pracą.

- Dlaczego tak wcześnie jesteś na nogach, Marina? Zakochałaś się, czy co? - spytała tak głośno, że prawie wylałam herbatę.

- Dzień dobry, ciociu - wymamrotałam.

- Może dobry dla ciebie.

Nie przestawała pisać.

- Wychodzisz? - spytała.

- Tak. .

- Dokąd?
Matka rzadko pytała, dokąd idę.

- Niedaleko.

- Czy twoja matka wie, że wychodzisz tak wcześnie?

- Nie wiem.

Patrzyła na mnie swoimi bladoniebieskimi oczami.

- Nie będzie łatwo, ale jestem twardsza.

Kompletnie nie wiedziałam, o co jej chodzi.

- Nie jesteś głupia, nie patrz tak na mnie! Wiesz, co mam na myśli. Twoja matka i moja córka są ulepione z tej samej gliny. Bóg nie zwracał widać większej uwagi na to, co robi, stwarzając je obie. Przynieś mi filiżankę herbaty.

Odwróciłam się i zrobiłam to, o co mnie prosiła. Lekko drżącymi rękami postawiłam przed nią herbatę.

- Usiądź - powiedziała władczym tonem, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. - Ile masz lat?

- Trzyznaście.

- Nie straciłaś jeszcze dziewictwa?

- Słucham? - wyszeptałam.

- Dobrze - uśmiechnęła się - znam cię lepiej niż twoja matka. Patrzę i widzę, podczas gdy ona patrzy i nie chce widzieć. Widzę, że dzisiaj po raz pierwszy nie masz przy sobie książki. Chcesz, żebym je wymieniła?

- Co wymieniła?

- Książki, które przeczytałaś.

Czułam, jak oblewa mnie pot.

- „Hamlet”, „Romeo i Julia”, „Przeminęło z wiatrem”, „Małe kobiety”, „Wielkie nadzieje”, „Doktor Żiwago”, „Wojna i pokój” i wiele innych. Czego dowiedziałaś się z tych książek?

- Wielu rzeczy.

- Nie zrób czegoś głupiego. Mam nadzieję, że nie masz niczego wspólnego z całą tą rewolucją?

- Ciociu, o czym mówisz? Jaką rewolucją?

- Masz mnie za głupią?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Cieszę się, że słyszysz to ode mnie, ponieważ sporo wiem na temat rewolucji. Posłuchaj mnie uważnie. Coś paskudnego dzieje się w tym kraju - czuję to w powietrzu, a jest to zapach krwi i nieszczęścia. Miały miejsce protesty i wiece przeciwko szachowi. Ten Ajatollah - zapomniałam, jak się nazywa — od lat przeciwstawiał się rządowi i wierz mi, nie ma dobrych intencji. Jedna dyktatura odejdzie, przyjdzie następna, jeszcze gorsza - taka sama jak w Rosji, tylko inaczej będzie się nazywać. Dużo bardziej niebezpieczna, ponieważ ta rewolucja toczy się w imię Boga. Wykształceni ludzie popierają dziś tego Ajatollaha. Nawet Marie i jej mąż, moja własna rodzina. Jest teraz na emigracji, ale to ich nie powstrzymuje. Trzymaj się od niego z daleka, Marina. Marie twierdzi, że szach jest zbyt bogaty. Szach to szach. Nie jest doskonały, ale w końcu, kto jest? Według tamtego Ajatollaha, w Iranie jest zbyt wielu biednych, ale biedni są na całym świecie. Spójrz, co stało się w Rosji. Zabili cara i myślisz, że jest im teraz lepiej? Myślisz, że wszyscy ludzie w Rosji są wolni, bogaci i szczęśliwi? Komunizm nie jest odpowiedzią na problemy społeczne. Ani religia. Rozumiesz?

Zaskoczona przytaknęłam, mając mętlik w głowie, a ciotka wróciła do swojej pracy.

Jakiś czas później, tego samego ranka, wybrałam się z Arashem na spacer. Aram zawołał nas z ganku, pytając, dokąd idziemy.

- Czemu chcesz wiedzieć? - spytał Arash.

Aram nudził się i chciał iść z nami. Arash kazał mu wracać do łóżka, ale brat nalegał, więc w końcu się zgodził. W drodze na plażę Aram spytał, co robimy razem po całych dniach. To zdenerwowało Arasha i wywołało między nimi kłótnię, która mnie rozbawiła.

Gdy dotarliśmy na plażę, Aram poszedł ze mną popływać, natomiast Arash, który nie lubił wody, został na brzegu z książką. Obserwując go, zauważyłam, że lektura niespecjalnie go interesuje. Przyglądał się mi i Aramowi.

Przez resztę dnia był cichy. Wieczorem poszliśmy do jego pokoju, gdzie grał mi na flecie. Zamknęłam oczy. Nagle przetrwał w środku swojego ulubionego utworu. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego zdziwiona.

- Co się stało? - spytałam.

- Nic.

Patrzył w dół, unikając mojego wzroku.

- Arash, powiedz mi, o co chodzi.

Usiadł na łóżku obok mnie.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Tak, kocham cię. Co jest nie w porządku?

- Wyglądałaś dzisiaj na taką szczęśliwą z moim bratem. Do-brze się bawiłaś i pomyślałem, że może... nie wiem...

- Pomyślałeś, że coś do niego czuję.

- A nie jest tak?

- Powinieneś znać mnie lepiej. Jest zabawny, ale nie w moim typie.

- Co znaczy „w moim typie”?

- Ty jesteś w moim typie, Aram nie. To wszystko. Nie kocham twojego brata, ale ciebie.

- Wybacz mi, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Aram zawsze miał powodzenie. Dziewczyny go lubią. Nie chcę cię stracić.

- Nie stracisz.

Ciągle wyglądał na niezbyt szczęśliwego.

- Nie wierzysz mi? — spytałam.

- Wierzę.

Wstał i podszedł do okna. Było dość wietrznie i huk fal zagłuszał inne dźwięki. Nagle wyznał, że musi mi powiedzieć coś bardzo ważnego. Nie wiedziałam, czego oczekiwać. Arash powiedział mi o wielkim ruchu wymierzonym przeciwko szachowi; o tym, że toczy się rewolucja i że miały miejsce liczne protesty oraz liczne aresztowania.

- Tego właśnie ranka - powiedziałam mu - ciotka Zenia opowiadała mi o rewolucji.

Spytałam, dlaczego będzie rewolucja przeciwko szachowi, a Arash wyjaśnił mi, że szach, jego rodzina i rząd są skorumpowani i że codziennie bogacą się kosztem większości Irańczyków, walczących z biedą. Powiedziałam mu, że według ciotki w Iranie stanie się to, co stało się w Rosji.

- Rewolucja w Rosji nie miała właściwych podstaw. Komunizm nie był rozwiązaniem ich problemów. Przywódcy komunistyczni nie wierzyli w Boga, i sami wkrótce stali się skorumpowani - przekonywał Arash.

- Skąd możesz mieć pewność, że ktokolwiek, kto zastąpi szacha, będzie lepszy?

Spytał mnie, czy słyszałam o Ajatollahu Chomeinim.

- Ciotka mówiła o jakimś Ajatollahu, ale nie pamiętała imienia. Kim jest Chomeini?

Powiedział mi wówczas, że Chomeini jest Bożym wybrańcem, którego szach wydalili z kraju. Ajatollah chciał, żeby mieszkańcy Iranu żyli zgodnie z zasadami islamu; żeby w bogactwach kraju mieli udział wszyscy, a nie tylko wąska grupa ludzi. Przez wiele lat stał na czele opozycji wobec szacha.

Powiedziałam Arashowi, że mam złe przeczucia w związku z tą rewolucją. O ile się orientowałam, ani moja, ani jego rodzina nie należały do bogatych. Nasi rodzice nie zajmowali co prawda ważnych pozycji w rządzie, ale prowadziliśmy wygodne życie. Otrzymaliśmy za darmo dobre wykształcenie, Arash studiował medycynę na uniwersytecie. Po co nam rewolucja?

- Nie chodzi tylko o nas, Marina - odpowiedział mi podniekcytowany. - Chodzi o tych, którzy żyją w biedzie. Rząd zarabia góry pieniędzy na eksporcie ropy, która jest własnością narodu irańskiego, i znaczna część tych funduszy trafia na prywatne konta szacha i jego ministrów. Czy wiedziałaś, że od lat ludzie, którzy krytykują szacha i jego rząd, są zatrzymywani przez tajną policję SAYAK, torturowani, a nawet skazywani na śmierć?

- Nie.
- Taka jest prawda.
- Skąd to wszystko wiesz?
- Poznałem kilku więźniów politycznych. Robią im straszne rzeczy w więzieniu; od samego słuchania o nich robi się niedobrze.
- To straszne! Nie miałam pojęcia.
- No, to teraz już masz.

Byłam niespokojna. Nie chciałam, żeby przytrafiło mu się coś złego. Poczułam zimny dreszcz. Arash trzymał mnie za rękę.

- Marina, nie martw się. Nic mi nie będzie. Obiecuję.

Próbowałam mu wierzyć. Próbowałam być dzielna. W końcu miałam trzynaście lat.

Przez resztę lata omijałam polityczne dyskusje z Arashem. Chciałam zapomnieć o rewolucji; miałam nadzieję, że sprawa ucichnie. Arash codziennie grał dla mnie na flecie. Chodziliśmy

na długie spacerunki, jeździliśmy rowerami na plażę i siedząc na huśtawce obok jego domu, czytaliśmy poezję.

Arash musiał wrócić do Teheranu dwa tygodnie przede mną. Matka i ja zwykle wracałyśmy na początku września, co dawało mi wystarczająco dużo czasu na przygotowania do szkoły. Rok szkolny zaczynał się 21 września, pierwszego dnia jesieni. Patrzyłam, jak Arash odjeżdża sprzed domu swojej ciotki białym paykanem ojca, z babcią siedzącą z przodu i bratem na tylnym siedzeniu auta. Pomachali mi na pożegnanie, a ja machałam do chwili, gdy całkiem zniknęli mi z oczu.

Przyjechałam do Teheranu w czwartek 7 września i natychmiast zadzwoniłam do Arasha. Mieliśmy się spotkać za dwa dni w księgarni.

Dziewiątego września obudziłam się przed świtem. Czując podniecenie, wyszłam na balkon. O tak wczesnej porze zwykle ruchliwa ulica była opustoszała, a delikatny wiatr szeleścił zakurzonymi liśćmi klonów. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Arasha i umówić się na wcześniejszą godzinę, ale to byłoby wariactwem. Musiałam zaczekać. Nagle usłyszałam dziwny, syczący dźwięk. Spojrzałam w ciemność. Po drugiej stronie ulicy coś się poruszyło. Wytężyłam wzrok. Ciemna postać weszła w płamę ulicznego światła i zaczęła pisać coś na ceglanej ścianie sklepu, używając farby w sprayu. Ktoś krzyknął „Stać!”, ale nie zorientowałam się z której strony, ponieważ słowo odbijało się echem od okolicznych budynków. Ciemna postać ruszyła biegiem. Usłyszałam głośny, podobny do grzmotu dźwięk. Uciekający człowiek zniknął za rogiem, a w jego miejsce pojawiły się sylwetki dwóch uzbrojonych żołnierzy. Szybko wróciłam do środka.

Po wschodzie słońca znów wyszłam na balkon. Szara ceglana ściana po drugiej stronie ulicy pokryta była wielkimi czerwonymi literami: „Skończyć z szachem”.

Do księgarni dotarłam kilka minut przed czasem i zajęłam się przeglądaniem książek na półkach. Kwadrans po dziesiątej rozjeżdżałam się - Arash nigdy się nie spóźniał. Co chwila spoglądałam na zegarek. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi i ktoś wchodził, na moment nadzieja wstępowała mi w serce. Jednak Arash nie zjawił się. Czekałam do jedenastej, powtarzając sobie w duchu, że wszystko w porządku, że nic mu nie jest i że prawdopodobnie utknął w korku lub zepsuł mu się samochód.

Wróciłam do domu i natychmiast zadzwoniłam do Arasha. Odebrał Aram, a po sposobie, w jaki odpowiedział mi „cześć”, zorientowałam się, że coś jest nie tak. Powiedziałam, że Arash miał spotkać się ze mną w księgarni, ale nie przyszedł.

- Aram, gdzie on jest? - spytałam najspokojniej, jak mogłam.

Nie wiedział. Arash wyszedł z domu poprzedniego ranka i miał wrócić tego samego dnia na obiad, ale nie wrócił. Rodzice obdzwońili wszystkich znajomych, ale nikt nie wiedział, gdzie jest. Tego dnia na placu Jaleh miała miejsce wielka manifestacja przeciwko szachowi, zorganizowana przez zwolenników Chomeiniego. Wojsko otworzyło ogień do uczestników i wiele osób zostało rannych. Ojciec Arasha poszedł nawet do Evin, ale nie znalazł go tam.

Robią straszne rzeczy więźniom politycznym; od samego słuchania o nich robi się niedobrze. Odsuwałam od siebie tę myśl. Zobowiązałam Arama, żeby do mnie zadzwonił, gdy tylko czegoś się dowie.

Pokój, w którym się znalazłam, przyniatał mnie lodowatą pustką. Czułam się, jakby samo życie odepchnęło mnie od siebie. Stłumiony szum jadących ulicą samochodów wydawał się dziwny i obcy. Znałam ten ból. To był smutek.

Następnego dnia rano zadzwoniłam do drzwi domu Arasha i czekałam. Otworzył Aram. Objęliśmy się i żadne z nas nie mogło przerwać tego uścisku. Otworzyłam oczy i zobaczyłam przyglądającą się nam Irenę. Musiałam być silna. Puściłam Arama i objęłam Irenę. Potem pomogłam jej przejść do salonu i usiąść na kanapie. Do pokoju wszedł ojciec Arasha i Aram przedstawił nas sobie. Arash był bardzo podobny do ojca.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział - Arash wszystko mi o tobie opowiedział. Żałuję, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Usiadłam obok Ireny i wzięłam ją za rękę. Płakała. Weszła matka Arasha, więc wstałam i ucałowałam ją. Jej twarz była zimna, a oczy spuchnięte. Wszędzie pełno było rodzinnych zdjęć. Nie miałam żadnego wspólnego zdjęcia z Arashem.

Poprosiłam Arama, żeby pokazał mi pokój brata. Był bardzo prosto urządzone. Na ścianach nie wisiały żadne obrazy ani plakaty. Na biurku leżał czarny futerał na flet, a obok mała biała kasetka na biżuterię. Aram podniósł ją i podał mi.

- Kupił to dla ciebie kilka dni temu - wyjaśnił.

Otworzyłam pudełko. Wewnątrz znajdował się piękny złoty naszyjnik. Zamknęłam kasetkę i odstawiłam na biurko.

- W jednej z jego szuflad znalazłem list. Nie zamierzałem grzebać w jego osobistych rzeczach, ale musiałem poszukać jakichś wskazówek, które pomogłyby go odszukać - powiedział Aram, podając mi kartkę papieru. Poznałam charakter Arasha. List adresowany był do jego rodziców, babci, brata i mnie. Pisał w nim, że musi dać wyraz temu, co uważa za słuszne. Czuł potrzebę przeciwdziałania wszystkiemu, co jest złe. Wyjaśniał, że na miarę swych możliwości popierał rewolucję islamską przeciwko szachowi i że miał świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. W jego własnym odczuciu nigdy nie był odważny, ale - jego

zdaniem — nadszedł czas, by przewyciężyć strach, nawet za cenę życia, w imię własnych przekonań. Na koniec wspomniał, że jeśli czytamy ten list, to oznacza, że prawdopodobnie nie żyje. Prosił o wybaczenie, przepraszając za ból, jaki nam wyrządza.

Spojrzałam na Arama.

- Rodzice nie mieli pojęcia, jak daleko był zaangażowany w tę głupią rewolucję, ale ja wiedziałem. Próbowałem go powstrzymać, ale go znasz - nigdy mnie nie słuchał. Jestem tylko małym braciszkiem, który nic nie wie.

Usiadłam na łóżku Arasha i oddałam list Aramowi. Na poduszce leżał niebieski T-shirt. Podniosłam go. To był jeden z jego ulubionych, miał go na sobie wiele razy tego lata. Zachował jeszcze jego zapach. Wydało mi się, że Arash za moment wejdzie do pokoju, ze swoim ciepłym uśmiechem i wypowiedzie moje imię miłym, łagodnym głosem.

Poprzedniego wieczoru oglądałam wiadomości. Nie było w nich żadnej wzmianki o manifestacji na placu Jaleh ani o ofiarach. Jednak wszystkie kanały telewizyjne były kontrolowane przez państwo, więc pomijały większość aktualnych wydarzeń. Nie mogłam pojąć, dlaczego szach wydał rozkaz strzelania do ludzi. Dlaczego nie wysłuchał żądań protestujących i dlaczego nie chciał z nimi rozmawiać?

Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz, zastanawiając się, czy Arash kiedykolwiek myślał o mnie, gdy podobnie jak ja w tej chwili, stał przy oknie i obserwował ulicę. Obok mnie stał Aram i poczułam dla niego wielkie współczucie. Ón i jego brat byli tak różni, a przecież tak sobie bliscy.

W salonie zwróciłam uwagę na jedno ich zdjęcie: dwaj mali chłopcy, może siedmio i dziewięcioletni, roześmiani, obejmujący się ramionami za szyje.

ROZDZIAŁ

ÓSMY

Dziś wieczorem naszemu budynkowi przypada ciepła woda - powiedziała mi Sara.

To była moja pierwsza noc w 246. Wyjaśniła, że ciepła woda jest raz na dwa, trzy tygodnie i zawsze przez nie więcej niż dwie albo trzy godziny. Kolej naszego pokoju wypadła około drugiej nad ranem.

- Każda ma dziesięć minut na prysznic. Obudzę cię - obiecała.

Była pora, żeby iść spać. Światła w pokojach gaszono o jedenastej wieczorem, ale lampy na korytarzu paliły się zawsze. Sarah poznała mnie z dziewczyną odpowiedzialną za „łóżka”. Każda z nas dostawała trzy koce. Wszystkie spałyśmy obok siebie na podłodze, na przydzielonych miejscach, które od czasu do czasu rotacyjnie zmieniano. Było tyle dziewcząt, że czasami wykorzystywano do spania nawet korytarz. Dostałam miejsce w sali, obok Sary. Złożyłam na trzy jeden koc, robiąc z niego materac, drugi wykorzystałam jako poduszkę, a trzecim nakryłam się. Dojście w nocy do toalety bez nadeptywania kogoś po drodze było prawdziwym wyzwaniem. W czasach szacha w budynku 246, na obu kondygnacjach razem przetrzymywano około pięćdziesięciu więźniów. Teraz liczba ta dochodziła do 650.

Sara obudziła mnie zgodnie z obietnicą. W pierwszej chwili byłam dezorientowana, nie wiedziałam, gdzie jestem. Po chwili uświadomiłam sobie, że nie jestem w swoim łóżku w domu. To było Evin. Szum wody płynącej z pryszniców mieszał się z głosami dziewcząt. Sara pomogła mi dokuśtykać na miejsce. Łazienka z prysznicami miała cementowe, pomalowane na ciemnozielony kolor podłogi i ściany. Grube plastikowe panele dzieliły ją na sześć kabin. Dwie dziewczyny musiały dzielić jedną kabinę przez dziesięć minut. Powietrze nasycone było parą i zapachem taniego mydła. Nacieralam nim skórę i płakałam.

Od chwili, gdy zdjęłam z oczu przepaskę w tamtą noc egzekucji, moje życie uległo kompletnej zmianie. Wcześniej nie brakowało ciężkich doświadczeń, ale żadne nie wpłynęło zasadniczo na jego istotę. Straciłam najbliższych, zostałam aresztowana i poddana torturom, ale tamtej nocy przekroczyłam jakąś granicę. Mój czas na tym świecie skończył się, a jednak nadal żyłam. Może to była granica między życiem a śmiercią. Teraz nie znajdowałam się po żadnej z tych dwóch stron.

Po prysznicu wróciliśmy na nasze miejsca do spania. Było tak ciasno, że leżąc na plecach, przeszkadzałabym sąsiadce. Położyłam się więc twarzą do Sary, prostując kolana ile się dało. Sara otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Marina, nie zrozum mnie źle, wiem, że to brzmi głupio, ale cieszę się, że jesteś tu ze mną. Byłam taka samotna, zanim przyszłaś.

- Też się cieszę, że nie jestem sama.

Zamknęła oczy, podobnie jak ja. Chciałam jej powiedzieć o egzekucjach, ale nie mogłam. Nie znajdowałam słów, by opisać tamtą noc. Poza tym nie chciałam jej mówić o moim dożyciu, gdyż to tylko by ją przybiło. Czy faktycznie zamierzają trzymać mnie przez całe życie w Evin? Oznaczałoby to, że nigdy

nie obejmę matki, nie zobaczę Andre, nie pójde do kościoła ani nie pojadę nad Morze Kaspijskie. Nie, chcieli mnie tylko nastraszyć, doprowadzić do rozpacz. Powinnam długo i cierpliwie modlić się. Prosić Boga o wybawienie. Nie tylko mnie, ale także Sary. Wkrótce wrócimy do domu.

Wydawało się, że leżałyśmy tylko przez chwilę, gdy przez głośniki w pokoju rozległ się głos muezina: *Allaho akbar. Allaho akbar...* Był to moment porannej modlitwy, którą należało odmawiać przed wschodem słońca. Sara, podobnie jak większość dziewcząt, poszła do łazienki, by spełnić rytuał *voozo*: obmycia dłoni, rąk i stóp, poprzedzający *namaz*. Nareszcie mogłam się rozprostować. Ktoś dotknął mojego ramienia. Otworzyłam oczy. To była Soheila.

- Nie wstajesz na *namaz*? - spytała.

- Jestem chrześcijanką - uśmiechnęłam się.

- Jesteś pierwszą chrześcijanką, jaką tu widzę! Miałyśmy tu... to znaczy mamy po sąsiedzku chrześcijan. Są w pokoju obok. Mają na nazwisko Jalalian. Przyjaźnię się z ich córką Nancy. Kiedyś zaprosili nas na kawę po turecku do swojego domu. Znasz ich?

Zaprzeciłam.

Przeprosiła za to, że mnie obudziła, pytając, czy chrześcijanie się modlą. Wyjaśniłam, że tak, ale w przeciwieństwie do muzułmanów, nie muszą tego robić o konkretnych porach dnia.

Na siódmą rano przewidziane było sprzątanie sali. Przebiegło z zadziwiającą dla mnie sprawnością: złożone koce szybko utworzyły pokaźny stos w jednym rogu. Dwie dziewczyny odpowiedzialne za organizację posiłków rozłożyły na podłodze cienkie plastikowe podkładki o nazwie *sofreh* - każda miała około 45 centymetrów szerokości, a na nich metalowe łyżki oraz plasti-

kowe talerze i kubki. Nie miałyśmy widelców ani noży. Potem obie dziewczyny wyszły na korytarz i wróciły z dużym cylindrycznym pojemnikiem z metalu, w którym była herbata. Naczynie musiało być bardzo ciężkie, ponieważ z trudem je niosły, trzymając za uchwyty po obu jego stronach. Śniadanie składało się z porcji chleba i fety. Ustawiliśmy się w kolejce i otrzymawszy jedzenie, usiadłyśmy wokół rozłożonych mat. Umierałam z głodu, więc przełknęłam w jednej chwili swoją porcję. Chleb był całkiem świeży - ponoć więzienie miało swoją własną piekarnię. Natomiast herbata, choć gorąca, raziła bardzo dziwnym zapachem. Sara wyjaśniła mi, że strażnicy zawsze dodawali do niej kamforę, która powstrzymywała menstruację u więzionych kobiet. Większość dziewcząt w ogóle nie miesiączkowała. Jednak kamfora miała swoje efekty uboczne, takie jak opuchlizna ciała i depresja. Chciałam wiedzieć, dlaczego zahamowanie menstruacji było tak ważne. Okazało się, że przyczyną był wysoki koszt podpasek. Po posiłku dziewczyny, którym przypadało zmywanie, zebrały brudne naczynia do plastikowych kubków, po czym zmyły je pod prysznicami w zimnej wodzie.

Wkrótce poznałam wiele obowiązujących w więzieniu zasad. Nie wolno nam było przechodzić obok okratowanych drzwi w końcu korytarza, chyba że wzywano nas przez głośniki. Miało to miejsce jedynie przy okazji odwiedzin czy dalszych przesłuchań. Odwiedziny przewidziane były raz w miesiącu, a następne wypadały za dwa tygodnie. Do Sary nikt do tej pory nie przyszedł, ale miała nadzieję, że wkrótce jej rodzice otrzymają zezwolenie na wizytę. Dowiedziałam się również, że prawo do odwiedzin miała jedynie najbliższa rodzina i tylko ona mogła dostarczać nam ubrania. W każdej sali znajdował się telewizor, ale dostępne programy miały charakter wyłącznie religijny. Miałyśmy też książki - wszystkie dotyczyły islamu.

Na lunch zwykle dostawałyśmy trochę ryżu lub zupy, a na obiad - chleb i daktyle. W zupie czy ryżu podobno miało znajdować się trochę mięsa z kurczaka, ale jeśli komuś udawało się znaleźć chociażby jego ślad, uważany był za szczęściarza i chwalił się wszystkim wokół. Przedstawicielki każdego pokoju - wyznaczone czasami przez koleżanki, czasami przez strażniczki - organizowały rozdział posiłków, przydzielały obowiązki związane ze sprzątaniami i zgłaszały przypadki poważnych zachorowań oraz innych problemów do biura.

Pewnego razu, około dziesięciu dni po moim aresztowaniu, siedziałam w kącie sali, obserwując modlące się w południe dziewczyny. Stały w rzędach, z twarzami zwróconymi do Mekki. Pierwszym muzułmaninem, którego widziałam z bliska kiedy odmawiał modlitwę, był Arash, tamtego lata w domu jego ciotki. Uwielbiałam patrzeć, jak kłania się, klęka i wyznaje szeptem to wszystko, w co wierzy. Czy zaakceptowałyby obecny rząd i wszystkie okropieństwa, których dopuszcza się w imię Boga? Nie. Arash był dobry i łagodny, nigdy nie zgodziłby się na taką niesprawiedliwość. Być może oboje skończylibyśmy w Evin.

Pogrążona w myślach aż podskoczyłam, gdy zwróciła się do mnie jedna z moich współtowarzyszek. To była Taraneh, dwudziestoletnia szczupła dziewczyna z wielkimi bursztynowymi oczami i takimi samymi, przystrzyżonymi włosami. Przez większość czasu siedziała w kącie, czytając Koran. Za każdym razem, gdy wstawała na modlitwę, zakrywała twarz czadorem. Potem zdejmowała go, a oczy zawsze miała czerwone i spuchnięte. Jednak nie przestawała się uśmiechać.

- Wyglądałaś jak posąg. Nawet nie mrugnęłaś - powiedziała.
- Myślałam.
- O czym?

- O przyjacielu.

Spytałam, dlaczego została aresztowana, ale odpowiedziała tylko, że to długa historia.

- Cóż, wygląda na to, że mamy przed sobą dużo czasu - uważałam.

- Nie ja - odpowiedziała.

Poczułam strach. Sara powiedziała mi wcześniej, że dwie dziewczyny z pokoju miały wyrok śmierci, ale Taraneh do nich nie należała.

- Ale Sara mówiła mi...

- Nikt nie wie — wyszeptła.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?

- Po co? Ludzie tylko uzalają się wówczas nad tobą. Nie cierpię tego. Proszę, nie mów nikomu.

- Dlaczego mówisz to właśnie mi?

- Ty też dostałaś wyrok śmierci, prawda?

Serce we mnie zamarło. Nie mogłam przed nią kłamać. Zebrałam wszystkie siły i opowiedziałam jej o nocy egzekucji i o tym, jak Ali zabrał mnie w ostatniej chwili. Spytała, dlaczego to zrobił i powiedziałam jej, że nie wiem. Wtedy dopiero zadała mi pytanie, które najbardziej ją dręczyło.

- Czy kiedykolwiek cię dotknął?

- Nie, o co ci chodzi?

- Wiesz, o co. Mężczyzna nie powinien dotykać kobiety, jeśli nie są małżeństwem.

- Nie.

- To dziwne.

- Co takiego?

- Słyszałam...

- Co słyszałaś?

- Kilka dziewczyn powiedziało mi, że zostały zgwałcone. Zagrożono im, że jeśli komukolwiek o tym powiedzą, to czeka je śmierć.

Miałam słabe pojęcie o tym, co znaczyło być zgwałconym. Wiedziałam, że było to coś strasznego, co mężczyzna może zrobić kobiecie; coś, o czym nie należało nawet mówić. I choć chciałam wiedzieć więcej, nie miałam śmiałości spytać.

- A co było, zanim zabrali cię na egzekucję? Wtedy cię nie tknęli? - dopytywała się Taraneh.

- Nie!

Wówczas przeprosiła, że mnie zdenerwowała. Próbowałam nie płakać. Powiedziała jej, jakie to bolesne, gdy inni giną, a ty jesteś jedyną osobą, która wychodzi cało. Taraneh powiedziała, że moja śmierć nie odwróciłaby ich losu.

- Skąd wiedziałaś o moim wyroku śmierci? - spytałam.

- Kiedy przyszedł, miałas na czole wypisane swoje imię.

Nie zrozumiałam.

- Po moim aresztowaniu bili mnie z przerwami przez dwa dni, ale nie chciałam współpracować. Wówczas, jednej nocy wyciągnęli mnie na zewnątrz i zdjęli przepaskę z oczu... Były tam ciała... całe we krwi. Dziesięć czy dwanaście osób - wszyscy rozstrzelani. Zwymiotowałam. Strażnik ostrzegł mnie, że to samo spotka i mnie, jeśli nie będę mówił. Miał w rękach latarkę i skierował jej światło na jednego z zabitych. To był młody mężczyzna. Na czole miał wypisane imię i nazwisko - Mehran Kabiri.

Chociaż zdawałam sobie sprawę z tego, że wydarzenia tamtej nocy były prawdziwe, to traktowałam moje wspomnienia o nich jak koszmarny sen. Odsuwałam je od siebie jak najdalej. Jednak teraz wróciły jak żywe. Zaczęłam ciężko oddychać. To,

czego byłam świadkiem tamtej nocy, mogło przytrafić się Taraneh. I nic nie mogłam na to poradzić.

Taraneh powiedziała mi jeszcze, że podobno przed wykonaniem wyroku śmierci na dziewczynach strażnicy gwałcili je, wierząc, że jako dziewice poszłyby po śmierci do nieba.

- Marina, mogą mnie zabić, jeśli chcą - powiedziała - ale nie chcę, żeby mnie zgwałcili.

Była wśród nas kobieta w ciąży, Sheida. Miała około dwudziestu lat i zasądzony wyrok śmierci, lecz egzekucję odłożono, ponieważ prawo islamu zabrania zabijać ciężarnej lub karmiącej piersią kobiety. Sheida miała długie jasnobrązowe włosy i oczy w takim samym kolorze. Jej mąż także czekał na egzekucję. Nigdy nie zostawiałyśmy jej samej, by nie miała możliwości zbyt- nio się zamartwiać. Przynajmniej dwie dziewczyny dotrzymywały jej towarzystwa przez większość czasu. Lecz chociaż zawsze wydawała się spokojna, to od czasu do czasu spływały jej po policzkach łzy. Mogłam tylko domyślać się, jak było jej ciężko: obawiać się nie tylko o własny los, lecz także o los męża i nienarodzonego dziecka.

Pewnej nocy obudził nas hałas wystrzałów. Usiadłyśmy na naszych posłaniach, wpatrując się w okno. Każdy pocisk oznaczał stracone życie, ostatni oddech kochanej osoby, na której powrót czekali najbliżsi. Ofiary znajdują miejsce w nieoznaczonych grobach, a ich nazwiska nie będą wyryte w kamieniu.

- Sirus... - szeptała Sara.

- Sirusowi nic nie jest. Wiem, że nic mu nie jest - kłamałam.

Ciemne oczy Sary były niewidoczne w mroku. Zaczęła szlochać coraz głośniejsze i głośniejsze. Objęłam ją i trzymałam w ramionach. Odepchnęła mnie i zaczęła krzyczeć.

- Cii... Sara! Weź głęboki oddech.

Kilka dziewcząt podeszło do nas, próbując ją uspokoić.

Sara zaczęła bić się po głowie rękami. Próbowałam przytrzymać jej nadgarstki, ale była zadziwiająco silna. We cztery usiłowaaliśmy ją powstrzymać, lecz nadal się opierała. Zapaliły się światła i po chwili do sali wpadła Siostra Maryam oraz jeszcze jedna strażniczka - Siostra Masoomah.

- Co się dzieje? - spytała pierwsza z nich.

- To Sara - wyjaśniła Soheila. - Zaczęła płakać i krzyczeć, a potem bić samą siebie.

- Sprowadź pielęgniarkę! - Siostra Maryam wydała polecenie drugiej strażniczce, która wybiegła z pokoju.

W ciągu kilku chwil zjawiła się pielęgniarka i dała Sarze zastrzyk. Wkrótce Sara przestała wrywać się i straciła przytomność. Siostra Maryam powiedziała, że trzeba ją zabrać do szpitala więziennego, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Obie strażniczki z pomocą pielęgniarki położyły Sarę na kocu i wyniosły ją z sali. Jej drobna ręka zwisała po jednej stronie koca. Błagałam Boga, by nie pozwolił jej umrzeć. Rodzina czekała na jej powrót do domu, podobnie jak najbliżsi Arasha czekali na niego.

ROZDZIAŁ

DZIEWIĄTY

Wszyscy oczekiwaliśmy powrotu Arasha do domu, zdając sobie jednak sprawę, że nie ma na to szans.

Szach wymienił jednego premiera na drugiego, próbując odzyskać kontrolę nad krajem. Wygłaszał przemówienia, zapewniając naród, że wie o jego żądaniach i obiecując zmiany. Wszystko na nic. Manifestacje skierowane przeciwko szachowi z każdym dniem przybierały na sile i rok szkolny 1978/79 przynosił coraz więcej niepokoju i niepewności. Świat, w którym dorastałam, zasady, według których żyłam i które były dla mnie nienaruszalne jak skała, zdawały się znikać na moich oczach. Nienawidziłam rewolucji. Przyniosła gwałt i rozlew krwi, a byłam pewna, że to dopiero początek. Wkrótce ogłoszono godzinę policyjną i na rogach ulic pojawiły się opancerzone samochody. Czułam się obco w moim własnym świecie.

Któregoś dnia nasze mieszkanie zatrzęsło się od głębokiego, ogłuszającego hałasu, który stawał się coraz głośniejszy, przenikający aż do kości. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam jadący ulicą czołg. Nie miałam pojęcia, że czołgi mogą być tak potworne i głośne. Gdy przejechał, zauważyłam, że pozostawił na jezdni głębokie ślady.

Mijały tygodnie, a strach narastał. Wiele osób zajmujących wysokie pozycje w rządzie czy armii opuściło kraj. Na koniec, późną jesienią 1978 roku zamknięto szkoły. Nadeszła zima, a z powodu strajków w rafineriach oraz stanu politycznej i ekonomicznej niepewności brakowało paliwa do samochodów i systemów grzewczych, więc ciepło mieliśmy tylko w jednym pokoju. Do stacji benzynowych ustawiały się kilometrowe kolejki, ludzie zmuszeni byli do spania w samochodach w oczekiwaniu na swoją kolej. Siedziałam w domu sama, trzęsąc się z zimna i nie mając nic do roboty oprócz wyglądania przez okno i zamartwiania się. Nasza ulica, aleja Shah, zwykle zakorkowana, była teraz opustoszała przez większość dnia. Chodniki, dotąd pełne przechodniów przyglądających się wystawom czy targujących się z ulicznymi sprzedawcami, także były puste. Nawet zebracy zniknęli. Od czasu do czasu pojawiały się natomiast kilkunastoosobowe grupy mężczyzn, którzy podpalali opony, a na ścianach wypisywali: „Śmierć szachowi” i „Niech żyje Chomeini”, pozostawiając za sobą powietrze gęste od dymu i smrodu palonej gumy. Kilka razy ulicę wypełnili gniewni demonstranci - na przedzie szli mężczyźni, a za nimi kobiety owinięte czarnymi czadorami. Z uniesionymi w górę pięściami wykrzykiwali slogany przeciwko szachowi i Stanom Zjednoczonym, potrząsając transparentami z wizerunkiem Ajatollaha Chomeiniego.

Raz w tygodniu odwiedzałam Arama i jego rodzinę. Trzymając się dla bezpieczeństwa blisko budynków - zabłąkane kule raniły już i zabiły wielu ludzi - szłam najszybciej, jak mogłam, uważając, by nie natknąć się na demonstrantów czy żołnierzy. Gdy już znalazłam się w autobusie, próbowałam siadać w bezpiecznym kącie. Aram miał obsesję na temat mojego przebywania na ulicy - sam prawie nie ruszał się z domu i błagał mnie, żebym robiła to samo, ale wyjaśniłam mu, że nuda i zamknięcie

zabiją mnie wcześniej niż cokolwiek innego. Poprosił, żebym przynajmniej dzwoniła tuż przed wyjściem z domu.

- Jaki sens mają takie telefony? - spytałam.
- Takie, że jeśli się nie zjawisz, będę mógł coś zrobić.
- Co mianowicie?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem na twarzy.

- Wyjść i poszukać cię.
- Gdzie?

Zobaczyłam w jego oczach, że poczuł się urażony i zrozumiałam swój błąd: martwił się o mnie i nie chciał, żeby przytrafiło mi się to, co jego bratu.

Wzięłam go za rękę.

- Aram, przepraszam! Wybacz mi! Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Jestem głupia! Nie wiem, co sobie myślałam. Będę dzwonić. Obiecuję.

Uśmiechnął się niepewnie.

Próbując czymś zająć Irenę, poprosiłam ją, żeby nauczyła mnie robić na drutach. Gdy przychodziłam, zasiadaliśmy wszyscy w salonie, piliśmy herbatę i z racji, że telewizja i radio były cenzurowane, słuchaliśmy BBC, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w naszym kraju. Czasami słyszeliśmy z daleka odgłos wystrzałów, a potem podobny do grzmotu dźwięk przerywał nasze rozmowy i nasłuchiwałam. Irena wyglądała na bardzo kruchą, a matka Arama stawała się chudsza z tygodnia na tydzień. Jego czterdziestosześcioletni ojciec postarzał się o kilka lat. Posiwał, a na czole przybyło mu głębokich bruzd.

Prawie codziennie rozmawiałam przez telefon z Sarą. Czasami odwiedzałyśmy się. W przeciwieństwie do moich, jej rodzice popierali rewolucję i sami uczestniczyli w kilku wiecach, jednak nigdy nie brali ze sobą Sary ani Sirusa. Sara powiedziała mi, że matka, idąc na manifestację, zakładała czarny czador. Z trudem

mogłam to sobie wyobrazić: matka Sary należała do najlepiej ubranych kobiet, jakie w życiu widziałam. Sara wyznała mi też, że Sirus miał zamiar wymknąć się z domu któregoś dnia i też iść na wiec, ale odmówił zabrania jej ze sobą, mówiąc, że jest na to za młoda i że to zbyt niebezpieczne. Błagałam Sarę, żeby nie szła, przypominając jej o zniknięciu Arasha. Sara jednak twierdziła, że ludzie muszą wreszcie przestać się bać i podjąć walkę z szachem, który wykorzystywał pieniądze z ropy na powiększanie własnego bogactwa, budując pałace, wydając kosztowne przyjęcia i gromadząc na prywatnych zagranicznych kontach ogromne sumy. A do tego więził i torturował ludzi, którzy go krytykowali.

- Musisz iść ze mną - powiedziała mi Sara - ze względu na Arasha. Szach to złodziej i morderca. Musimy go obalić.

Pewnego dnia grupa ludzi wykrzykujących: „Precz z szachem!” wdarła się do małej restauracji, która znajdowała się poniżej naszego mieszkania. Wybili wszystkie okna, zabrali wszystkie puszki z piwem i cały alkohol, jaki udało im się znaleźć, po czym ustawili wszystko na środku skrzyżowania i podpalili. Od eksplodujących puszek trzęsły się szyby w naszych oknach. Znałam dobrze właścicieli restauracji: byli ormiańską rodziną i od wielu lat pozostawialiśmy sąsiadami. Nic im się nie stało, ale byli ogromnie wystraszeni.

Stopniowo obecność wojska stawała się mniej widoczna na ulicach. Wszyscy opowiadali, że szach zdał sobie w końcu sprawę z bezsensowności użycia siły, co jedynie podsycало rewolucję. Poza tym wielu twierdziło, że duża grupa żołnierzy odmawiała strzelania do protestantów. Od tej chwili, choć od czasu do czasu ulicami przejeżdżały opancerzone wozy, nie widziałam już żołnierzy celujących w tłum.

Moi rodzice zdawali się nie przejmować zbytnio tym, co działo się w kraju. Nie brali islamskiego rządu poważnie, wierząc, że to tylko przejściowe niepokoje i że szach jest zbyt potężny na to, by mogła go obalić garstka mułłów. I tak, choć matka ostrzegała mnie i kazała być ostrożną, gdy wychodziłam z domu, zapewniała mnie jednocześnie, że to tylko czarne chmury, po których wkrótce nie będzie śladu.

16 stycznia 1979 roku szach opuścił Iran, udając się na emigrację. Uwolniono więźniów politycznych. Na ulicach panowała radość. Obserwowałam z okna, jak ludzie tańczyli na ulicach przy dźwiękach samochodowych klaksonów. Po wielu latach spędzonych przymusowo w Turcji, Iraku i Francji 1 lutego powrócił do kraju Chomeini. Gdy jego samolot zbliżał się do Teheranu, jeden z reporterów spytał Chomeiniego, jakie uczucia wywołuje w nim powrót. Odpowiedział, że żadne. Taka reakcja wydała mi się odpychająca. Tylu ludzi straciło życie, by otworzyć mu drogę powrotną do kraju w nadziei, że uczyni Iran lepszym miejscem na ziemi, a on nic nie czuje? Wydawało się, jakby zamiast krwi miał w żyłach zimną wodę.

Krótko po przyjeździe Chomeiniego usłyszałam, że armia pozostaje wierna szachowi. Z ulic nie znikwały czołgi i samochody opancerzone. Przez prawie miesiąc przyszłość kraju była zupełnie niejasna. Wojskowi w trybie nadzwyczajnym przejęli kontrolę nad większością miast; nadal obowiązywała godzina policyjna. Ajatollah Chomeini wezwał ludzi, by każdego wieczoru o godzinie dziewiątej gromadzili się na dachach swoich domów i przez pół godziny nieprzerwanie wołali: *Allaho akbar*, dając w ten sposób wyraz swojemu poparciu dla rewolucji. Ani moi rodzice, ani ja nie braliśmy udziału w tych manifestacjach, ale większość ludzi odpowiedziała pozytywnie na wezwanie

Chomeiniego - nawet ci, którzy nie byli zdecydowanymi zwolennikami rewolucji. W kraju panowało poczucie narodowej solidarności. Rosła nadzieja na lepszą przyszłość i demokrację.

10 lutego 1979 roku armia ugięła się pod wołą narodu irańskiego i dzień później Ajatollah Chomeini utworzył tymczasowy rząd z Mehdi Bazarganem jako premierem.

Wkrótce uzbrogieni strażnicy rewolucji oraz członkowie komitetów islamskich byli wszędzie. Aresztowano setki osób oskarżonych o współpracę z tajną policją szacha SAYAK. Zostali uwięzieni, a ich własność skonfiskowano. Na niektórych wykonano wyroki śmierci - w pierwszej kolejności na najwyższych rangą przedstawicielach poprzedniego reżimu, którzy nie zdołali wyjechać z kraju. Gazety pełne były straszliwych zdjęć ich zmasakrowanych ciał. W tych dniach nauczyłam się przechodzić z opuszczoną głową obok kiosków z prasą.

W krótkim czasie po zwycięstwie rewolucji taniec został uznany za przejaw zła i jako taki nielegalny, w związku z czym mój ojciec stracił pracę w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Później znalazł zatrudnienie jako tłumacz i urzędnik w stalowni wujka Partefa. Pracował do późna i wracał do domu zmęczony i przygnębiony. Podobnie jak wcześniej, rzadko go widywałam, może nawet rzadziej niż kiedyś. Gdy był w domu, przybierał poważną pozę, z rodzaju „nie przeszkadzaj mi teraz”, oddając się głównie lekturze gazet i oglądaniu telewizji. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą.

Otworzono szkoły i wróciliśmy do nauki. Nasza dyrektorka - wykształcona kobieta, która za czasów szacha należała do grona bliskich znajomych ówczesnego ministra edukacji - odeszła. Podobno została skazana na śmierć. Ponieważ przez wiele lat sprawnie zarządzała naszą szkołą, jej nieobecność odczuwalna

była na każdym kroku. Krążyły plotki, że wkrótce większość nauczycieli zostanie zastąpiona zwolennikami nowego rządu. Co gorsza, nową dyrektorką została *Khanoom* Mahmoodi - dziewiętnastoletnia strażniczka rewolucji, fanatyczka, nosząca pełny muzułmański hidżab. Nie był on wówczas jeszcze strojem obowiązującym, ale wszystko wskazywało na to, że takim się stanie. „Hidżab” to arabskie słowo, oznaczające właściwe okrycie kobiety. Może mieć różne formy, z których jedną jest czador. Gdy noszenie hidżabu stało się nakazem, w dużych miastach, szczególnie w Teheranie, kobiety zakładały luźną, długą szatę, nazywaną muzułmańskim *manteau*, a włosy okrywały dużymi szalami, które - jeśli noszone były prawidłowo - mogły uchodzić za hidżab.

Przez kilka miesięcy bezpośrednio po rewolucji ciągle jeszcze tolerowana była ograniczona wolność słowa. W szkole rozmaite ugrupowania polityczne bez przeszkód rozprowadzały swoje publikacje, zaś w trakcie pauz na dziedzińcu rozbrzmiewały polityczne dyskusje. Nigdy wcześniej nie zetknęłam się z marksistami, a teraz było ich wszędzie pełno. Agitowała także organizacja o nazwie Mojahedin-e Kalagh, co oznacza „Ludowi Bojownicy Boga”. W czasach szacha wszystkie te ugrupowania były nielegalne, co nie przeszkadzało im działać przez wiele lat w ukryciu. Moja wiedza na temat mudżahedinów była znikoma i wydawało się, że mam wiele do nadrobienia. Jeden z moich przyjaciół, marksista, powiedział mi, że mudżahedini byli marksistami, którzy odłączyli się od głównego nurtu, wyznając wiarę w Boga i islam. Jako muzułmańscy socjaliści wierzyli, że islam może zagwarantować Iranowi sprawiedliwość i uwolnić go od zachodnich wpływów. Ramy organizacyjne stworzyli w latach sześćdziesiątych, walcząc o obalenie szacha. Nie należeli jednak do zwolenników Chomeiniego. Wiele lat przed jego zaistnie-

niem na scenie politycznej mudżahedini już organizowali protesty przeciwko szachowi, a wielu spośród nich, głównie studentów, było torturowanych i mordowanych w Evin. Sam fakt, że byli muzułmanami, wykluczał moje przyłączenie się do ich ugrupowania.

Aram chodził do męskiego liceum o nazwie Elbrus, które znajdowało się obok mojej szkoły. Któregoś popołudnia, mniej więcej tydzień po otwarciu szkół, idąc do domu, usłyszałam, jak mnie woła. Serce we mnie zmarło - pomyślałam, że ma wiadomości o swoim bracie, ale chciał tylko zobaczyć się ze mną i zaproponował, że odprowadzi mnie do domu. Odetchnęłam z ulgą. Choć miałam pewność, że Arash nie żyje, bałam się to usłyszeć.

Aram pytał mnie o szkołę i powiedziałam mu o naszej nowej dyrektorce, dodając, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby w kieszeni nosiła broń.

- Nie związałaś się z żadnym ugrupowaniem politycznym? - zaniepokoił się. Od czasu zniknięcia brata Aram dojrzał w ponury, przygnębiający sposób. Przed rewolucją miał w głowie jedynie koszykówkę i imprezy, podczas gdy teraz zamartwiał się o wszystko i nieustannie udzielał mi rad.

— Zdaniem mojego ojca czasy są bardzo niebezpieczne - powiedział. - Uważa, że nowy rząd zezwala na swobodne działanie wszystkich grup politycznych po to, by strażnicy rewolucji zorientowali się, kto jest ich zwolennikiem, a kto wrogiem. Prędzej czy później zaaresztują każdego, kto w jakikolwiek sposób działa na niekorzyść rządu.

Kilka dni wcześniej odwiedziła nas ciotka Zenia i mówiła dokładnie to samo. Przestrzegła mnie, żebym uważała. Za bardzo jednak interesowały mnie te rozmaite ideologie. Codziennie podczas przerw uczestniczyłam w spotkaniach i dyskusjach

organizowanych przez uczniów 11. i 12. klasy, którzy należeli do różnych ugrupowań politycznych.

Poza faktem, że odrzucali wiarę w Boga, zwolennicy Marksa i Lenina prezentowali bardzo atrakcyjne idee. Pragnęli sprawiedliwości dla każdego i równego rozdziału bogactw, ale w realnym świecie ich pomysły okazały się skażone. Dobrze wiedziałam, co stało się w Związku Radzieckim i innych państwach komunistycznych. Z drugiej strony, byłam świadkiem tego, czym mogła stać się społeczność muzułmańska. Miałam pewność, że mieszanka religii i polityki jest niebezpieczna. Każdy, kto krytykował islamski rząd, uchodził za krytyka islamu, a tym samym przeciwnika Boga. W islamie - jak to rozumiałam - taki człowiek nie ma prawa do życia, chyba że zmieni swoje poglądy.

Przed rewolucją, przynajmniej tak, jak to pamiętam za swojego życia, przekonania religijne nigdy nie stanowiły problemu. W mojej szkole uczyły się dziwaczeta różnych wyznań, ale naszym zadaniem było skupienie się na nauce, na okazywaniu szacunku nauczycielom i sobie nawzajem, na poznawaniu zasad grzeczności i elegancji charakterystycznej dla „dam”. Teraz świat wydawał się podzielony na cztery potężne sfery: fundamentalizm islamski, komunizm, lewicę islamską i monarchizm - w żadnej z nich nie widziałam dla siebie miejsca. Z wyjątkiem mnie prawie wszyscy w szkole należeli do jakiegoś ugrupowania, co sprawiało, że czułam się zagubiona i samotna.

Gita była w jedenastej klasie i należała do partii komunistycznej o nazwie Fadayan-e Khalgh. Brat Sary, Sirus, identyfikował się z mudżahedinami, których idee popierała też Sara.

Pewnego wieczoru w maju 1979, około trzy miesiące po zwycięstwie rewolucji islamskiej, byłam sama w domu. Rodzice poszli w odwiedziny do przyjaciół, a ja kończyłam odrabianie

lekcji. Włączyłam telewizor. W tym czasie mieliśmy tylko dwa kanały i rzadko trafiało się w nich coś dobrego. Jednak jakiś dokument przyciągnął moją uwagę. Dotyczył wymierzonej przeciwko szachowi manifestacji na placu Jaleh, która miała miejsce 8 września. Choć dobrze wiedziałam, że Arash nie żyje, ciągle nie mogłam pogodzić się z tą datą jako dniem jego śmierci. To był dzień jego zaginięcia. Ze łzami w oczach wpatrywałam się w ekran telewizora. Materiał był kiepskiej jakości - osoba, który go nakręciła, cały czas biegła, wykonując przy tym gwałtowne ruchy, więc trudno było śledzić obraz. Żołnierze celowali w tłum i strzelali. Ludzie uciekali, niektórzy upadli na ziemię. Potem wrzucano ciała do wojskowej ciężarówki - i wtedy je zobaczyłam. Ciało Arasha. Podniosłam się przerażona. Zrobiło mi się niedobrze. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu ani płakać. Poszłam do swojego pokoju, usiadłam na łóżku i próbowałam myśleć. Może to tylko wytwór mojej wyobraźni. Cóż mogłam zrobić? Musiałam poznać prawdę. Poszłam prosto do telefonu i zadzwoniłam do Arama. Usłyszałam panikę w moim głosie. Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć.

- Marina, o co chodzi?

Cisza.

- Odezwij się. Chcesz, żebym do ciebie przyszedł?

- Nie - usłyszałam sama siebie.

- Powiedz, proszę, co się stało?

- Pokazywali dokument z demonstracji 8 września. Żołnierze wrzucali ciała na ciężarówkę. Myślę, że było tam ciało Arasha - powiedziałam to wreszcie.

Cisza, przerażająca cisza.

- Jesteś pewna?

- Nie, jak mogę być pewna? To był ułamek sekundy, ale jak można to sprawdzić?

Aram zaproponował, żebyśmy następnego dnia po szkole pojechali do stacji telewizyjnej. Chciałam tam jechać od razu rano, ale powiedział, że nasza nieobecność w szkole może zaniepokoić rodziców, a nie chciał im nic mówić, póki się nie upewnimy.

Następnego dnia pojechaliśmy autobusem do telewizji. Nie odezwaliśmy się do siebie przez całą drogę. Recepcjonistka, kobieta w średnim wieku, wysłuchiwała ze współczuciem naszych wyjaśnień. Okazało się, że podczas tej samej demonstracji 8 września zginął jej kuzyn. Po kilku rozmowach telefonicznych zaprowadziła nas do brodatego mężczyzny urzędującego w niewielkim biurze. Nosił grube szkła i ani razu nie spojrzał mi w twarz podczas rozmowy, ale cały czas kiwał głową. Zabrał nas do dużego pomieszczenia, wypełnionego różnym sprzętem, gdzie opowiedział naszą historię niejakemu Agha-yeh Rezaii - mężczyźnie pod pięćdziesiątkę, który obiecał nam znaleźć właściwą taśmę. Udało mu się.

Razem z Aramem wpatrywaliśmy się w ekran, aż spostrzeżliśmy to, czego szukaliśmy. Na naszą prośbę Agha-yeh Rezaii zatrzymał klatkę. Ponad wszelką wątpliwość był to Arash. Miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Jego biały T-shirt był cały we krwi.

Poczułam w piersiach ogromny ciężar. Pragnęłam być z nim w chwili jego śmierci, gdy musiał czuć się opuszczony i przerażony.

Przez długi czas nie mogłam oderwać oczu od ekranu. W końcu spojrzałam na Arama. Jego wzrok był pusty i nieobecny. Podobnie jak ja, próbował zrozumieć tę rozpaczliwą, samotną przepaść, jaką zostawił po sobie Arash; ten straszny moment spadania w nieznaną i ostatecznego rozbicia na tysiące drobnych, nie znaczących odłamków. Dotknęłam jego ręki, a gdy obrócił się i spojrzał na mnie, objęłam go. Agha-yeh Rezaii płakał razem z nami.

- Muszę zadzwonić do rodziców - powiedział Aram. - Powinni natychmiast poznać prawdę.

Zjawili się w ciągu godziny, zrozpaczeni i załamani. Po ośmiu miesiącach bolesnego oczekiwania musieliśmy stawić czoła prawdzie o śmierci Arasha. Podziękowali mi, że go odnalazłam. Właśnie tak - podziękowali. Mój umysł jakby się zatrzasnął - nie byłam w stanie myśleć. Rodzice Arasha zaproponowali, że odwiozą mnie do domu, ale odmówiłam. Chciałam być sama.

W autobusie znalazłam samotne miejsce z tyłu, po czym zaczęłam się modlić. Co innego pozostało? Powtarzałam w kółko „Zdrowaś Mario”. Miałam zamiar tak powtarzać aż do chwili, gdy sama sobie wybaczę, że tak właśnie umarł i że nie byłam razem z nim. Ale czy to w ogóle było możliwe? Ogarniał mnie coraz większy smutek, bez cienia przebaczenia dla siebie samej. Musiałam go zaakceptować, pozwolić, by się wypełnił i odszedł. W przeciwnym razie zniszczyłby mi duszę, obracając ją w nicłość.

Stojąc przed drzwiami wejściowymi do domu, bezskutecznie próbowałam drżącymi rękami włożyć klucz do zamka. Wreszcie zadzwoniłam. Cisza. Czułam, jak mnie przygniata gęste, gorące powietrze, wypełnione gwarem ulicy. Wzięłam głęboki oddech i ponownie włożyłam klucz w zamek. Drzwi się otworzyły. Zamknęłam je za sobą i oparłam się wyczerpana. W korytarzu było cicho, chłodno i ciemno. Z trudem zrobiłam kilka kroków w stronę schodów, ale po pokonaniu zaledwie kilku stopni, upadłam. Przez jakiś czas jedyną rzeczą, jaką czułam, był chłód kamienia na mojej skórze. Potem usłyszałam swoje imię i coś ciepłego dotknęło mojej twarzy. Uniosłam głowę. Zobaczyłam wpatrujące się we mnie oczy matki, która zaczęła mną potrząsać.

- Marina, podnieś się!

Pociągnęła mnie za ramiona, aż wreszcie udało mi się wstać. Pozwalając, bym się na niej oparła, zaprowadziła mnie do moje-

go pokoju. Mówiła coś, ale niczego nie mogłam zrozumieć. Jej słowa były jak mgła, jak dym unoszący się w powietrzu i znikający w promieniach słońca, które wciskało się przez okno. Pomogła mi usiąść na łóżku. Musiałam pojąć, co się wydarzyło; zrozumieć, dlaczego Arash nie żyje. Popatrzyłam przez okno na niebieskie niebo.

Gdy wreszcie uświadomiłam sobie, gdzie jestem, matka stała obok z talerzem mojego ulubionego jedzenia - wołowo-selerym gulaszem z ryżem. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno, zaś w pokoju paliło się światło. Spojrzałam na zegarek - było po dziewiątej. Minęły dwie godziny, a ja nadal siedziałam na łóżku. Jakoś prześlizgnęłam się przez czas, jakby mój smutek wyizolował mnie od świata, niczym nożyczki wycinające prosty kształt z kawałka papieru.

- On nie żyje - powiedziałam głośno, mając nadzieję, że w ten sposób łatwiej mi będzie ogarnąć, co się stało.

- Kto?

Matka usiadła na brzegu łóżka.

- Arash.

Odwróciła ode mnie wzrok.

- Został zastrzelony w czasie demonstracji 8 września. Nie żyje.

- To potworne - westchnęła, potrząsając głową. - Wiem, że go lubiłaś. To bardzo, bardzo trudne, ale minie. Jutro poczujesz się lepiej. Zrobię ci herbaty.

Wyszła z pokoju. Od czasu do czasu moja matka okazywała mi trochę uczuć. Ale te chwile nie trwały długo, rozbłyskując jak spadające gwiazdy, które zaraz znikają w mroku.

Po wypiciu filiżanki rumiankowej herbaty zasnąłam, by obudzić się w środku nocy z uczuciem ognia w piersiach. Śnił mi się Arash. Podbiegłam do toaletki, chwyciłam figurkę mojego

anioła i wczołgałam się pod łóżko. Próbowałam powstrzymać szloch, ale to tylko pogarszało sprawę. Ściągnęłam z łóżka poduszkę i zakryłam nią twarz. Chciałam, by przyszedł do mnie mój anioł i wyjaśnił mi, dlaczego ludzie umierają; dlaczego Bóg odbiera mi tych, których kocham. Ale choć go wołałam, nie przyszedł.

6 września 1979 Irena zmarła na atak serca. Choć poprzednio straciłam dwie ukochane osoby, nigdy nie byłam na pogrzebie. Pierwszym był dla mnie pogrzeb Ireny. 9 września założyłam czarną koszulę oraz czarne spodnie i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Nie cierpiałam siebie w czarnym kolorze - chudej, bladej i wycieńczonej. Próbowałam trzymać się prosto. W końcu zamieniłam czerń na swoją ulubioną brązową spódnicę i kremową bluzkę. Irena wolałaby mnie w takim stroju.

Po drodze na przystanek autobusowy wstąpiłam do kwiatarni i kupiłam bukiet róż. W autobusie usiadłam przy oknie, wpatrując się w mijane ulice. Wszelki kolor i oznaki radości zniknęły z miasta. Ludzie mieli na sobie wyłącznie ciemne ubrania. Szli ze spuszczoneymi głowami, jakby próbując uniknąć zarówno innych przechodniów, jak i całej tej ponurej scenarii. Prawie wszystkie ściany pokryte były ostrymi sloganami, wzywającymi do nienawiści.

Rosyjska cerkiew prawosławna w Teheranie nie miała kapłanów, więc msza żałobna odprawiała się w kościele greckim, a pogrzeb na cmentarzu rosyjskim. Byłam wdzięczna za możliwość uczestniczenia w tej uroczystości. Nauczyłam się doceniać dar, jakim było ostatnie pożegnanie.

Po pogrzebie poprosiłam Arama, by pomógł mi odszukać grób mojej Babci. Nie wiedziałam dokładnie, gdzie jest. Rodzice nie zabrali mnie na jej pogrzeb, podobnie jak nigdy nie

pozwolili mi odwiedzić jej grobu. Chciałam go teraz odnaleźć i chwilę się pomodlić. Otoczony ceglany mumentarz nie był duży. Groby ściśnięte były jeden obok drugiego i wszędzie rosły chwasty. Wśród bardzo licznych nagrobków odnalezienie tego jednego wydawało się niełatwe. Chodziliśmy na palcach pomiędzy pomnikami. Piąty czy szósty, który sprawdziliśmy, był grobem Babci. Miałam wrażenie, że to ona znalazła mnie. Zatrzymałam dla niej jedną różę.

Rozejrzałam się wokół. Każdy nagrobek był jakby na zawsze zamkniętą książką. Chodząc od jednego do drugiego, próbowałam odczytać daty narodzin i śmierci. Niektórych śmierć zabrała w starszym wieku, inni byli jeszcze młodzi. Chciałam mieć szansę poznania ich wszystkich. Tyle nieopowiedzianych historii. Czy mój anioł znał tych wszystkich ludzi? Czy potrafił im pomóc i wysłuchiwał ich serc, gdy umierali? Jakie myśli towarzyszyły im w ostatniej chwili życia? Czego najbardziej żałowali? Czy to w ogóle możliwe, by niczego nie żałować w momencie śmierci? Czego ja żałowałabym najbardziej, gdyby przyszło mi w tej właśnie chwili umrzeć?

Przyjaciele i rodzina Arama zaczęli opuszczać cmentarz. Za-uważałam, że jego rodzice patrzą w naszą stronę i byłam pewna, że myślą o Arashu. Mieli prawo wiedzieć, gdzie został pochowany, a on miał prawo do właściwego grobu. Chciałam posadzić różę na tym małym skrawku ziemi, który skrywał jego ciało. Wielokolorowe różę. I nigdy nie pozwoliłabym, by jego grób porosły chwasty. Od śmierci Arasha minął rok. Cztery pory roku, wypełnione poczuciem straty i smutku.

1 listopada 1979 roku Ajatollah Chomeini zwrócił się do Irańczyków z apelem o udział w demonstracji przeciwko Stanom Zjednoczonym, które nazwał „Wielkim szatanem”. We-

dług niego Ameryka ponosiła odpowiedzialność za wszelkie przejawy korupcji na świecie i - obok Izraela - była głównym wrogiem islamu. Tysiące ludzi wyległy na ulice, otaczając ambasadę amerykańską. Oglądałam w telewizji relację z manifestacji, zastanawiając się, skąd wziął się cały ten tłum. Żadna ze znanych mi osób nie brała w niej udziału, a jednak morze ludzi zalewało ulice wokół budynku ambasady, otoczonego ceglany murem.

4 listopada usłyszeliśmy, że grupa studentów o nazwie Daneshjooyan Mosalman Peyro Khat Imam³ zajęła budynek ambasady i wzięła w charakterze zakładników pięćdziesięciu dwóch Amerykanów. Żądali, by Stany Zjednoczone wydal�y szacha, przebywającego tam na leczeniu antynowotworowym, co miało umożliwić postawienie go przed sądem w Iranie. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam, uznały to za zupełny absurd. Wiadomo było, że szach jest bardzo chory. Wzięcie zakładników nie miało żadnego sensu. Ale od zwycięstwa rewolucji tak naprawdę nic nie miało sensu.

³ Organizacja znana także pod nazwą angielską „Mulim Students Following the Line of the Imam”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wdniu odwiedzin wszyscy byli podekscytowani i po raz pierwszy od chwili aresztowania usłyszałam głośny śmiech dziewcząt. Siostry odczytywały przez głośniki nazwiska więźniów w porządku alfabetycznym, zwykle po piętnaście. Wymienione osoby zakładały czadory i udawały się do biura. Nie mając pewności, czy nasi rodzice otrzymali zgodę na widzenie, krążyłyśmy z Taraneh w tę i z powrotem po korytarzu. Taraneh została aresztowana ponad dwa miesiące wcześniej, ale do tej pory nikt jej nie odwiedził. Miała nazwisko rozpoczynające się na B, więc jej kolej powinna przypadać przede mną.

- ...Taraneh Behzadi...

Obie podskoczyłyśmy, wykrzykując. Taraneh była tak przejęta, że musiałam sama pobiec po jej czador i opaskę na oczy. Zniknęła za zakratowanymi drzwiami, a ja nadał przemierzałam korytarz. Większość dziewcząt płakała po powrocie z widzenia. Taraneh wróciła po około pół godzinie, spokojna i opanowana.

- Widziałaś się z rodzicami? - spytałam.

- Tak.

- Ja się mają?

- Chyba w porządku. W pokoju odwiedzin jest gruba szklana szyba i nie ma telefonów. Nie da się rozmawiać. Ale używaliśmy czegoś w rodzaju języka migowego.

Wreszcie wyczytano moje nazwisko. W biurze miałam zawiązać przepaskę na oczach. Szłam w kolejce za pozostałymi dziewczętami, najpierw w dół po schodach, a potem na zewnątrz. Zanim weszliśmy do budynku odwiedzin, kazano nam zdjąć przepaski. Wewnątrz w każdym kącie stali strażnicy. Gruba szklana szyba dzieliła pokój na połowy. Po drugiej stronie pełno było kobiet i mężczyzn, czasem płaczących, z dłońmi na szybie, którzy przeszukiwali wzrokiem naszą grupę, próbując odnaleźć swoich najbliższych. Po chwili dostrzegłam moich rodziców. Podbiegli w moją stronę, a ja zaczęłam płakać. Moja matka miała na sobie czarny *manteau*, zakrywający ją aż po kostki, i czarny szal na głowie, opadający do ramion. Prawdopodobnie zakupiła ten strój tylko na okazję odwiedzin w Evin. Wszystkie *manteau*, jakie miała przed moim aresztowaniem, były krótsze - kilka centymetrów przed kolana, a szale mniejsze.

- Czy wszystko w porządku? - udało mi się odczytać z ruchu jej warg.

Kiwnęłam głową, łykając łzy.

Złączyła ręce jak do modlitwy i coś powiedziała.

- Co? - zmarszczyłam brwi, rozpaczliwie próbując ją zrozumieć.

- Wszyscy modlą się za ciebie - powiedziała wolniej, z przesadą układając usta.

- Dziękuję - lekko się pochyliłam.

- Kiedy wypuszczą cię do domu? - spytała, ale udałam, że nie rozumiem. Za nic w świecie nie mogłam powiedzieć rodzicom, że dostałam dożywocie. To by ich zabiło. Byli przerażeni

i zrozpaczeni, ale przynajmniej nie tracili nadziei, że pewnego dnia wrócę do domu. Nie wiedziałam, co im powiedzieć. Chciałam tylko objąć matkę i nie wypuszczać jej z ramion.

- Z Sarą jest wszystko dobrze - powiedziałam wreszcie po chwili, nie odrywając od nich wzroku.

- Co?

Palcem napisałam „Sara” na szybie, a matka powtórzyła mój ruch.

- Sara?

- Tak.

- Z nią wszystko w porządku?

- Tak.

- Czas minął! - wykrzyknął strażnik.

- Bądź dzielna, Marina - powiedziała matka.

Po dniu odwiedzin w więzieniu zawsze było bardzo cicho. Siedząc samotnie po kątach, usiłowałyśmy nie myśleć o tym, jak wyglądało nasze życie przed Evin, ale były to próżne wysiłki. Wspomnienia stanowiły wszystko, co nam zostało. Tęskniłyśmy za naszymi rodzinami i poprzednim życiem. Nie miałyśmy przyszłości, jedynie przeszłość.

Dzień po odwiedzinach dostałyśmy z domu małe paczki z ubraniami. Otworzyłam swoją: koszulki, spodnie, nowa bielizna i sweter. Cała zawartość paczki pachniała domem, nadzieją. Taraneh gładziła spłowiały czerwony sweter z wełny - to był jej szczęśliwy sweter.

- Przyniesie mi szczęście - powiedziała, wyjaśniając, że jej matka zrobiła go kilka lat temu, gdy dopiero co nauczyła się robić na drutach. Zarówno Taraneh jak i jej siostry chciały sweter dla siebie. Gdy matka ostatecznie zdecydowała podarować go Taraneh, jej siostry były niezadowolone, ale matka wyjaśniła im, że sweter mogła dostać tylko jedna z nich i wydawało się

słuszne, by była to najmłodsza. Obiecała też, że każdej z nich zrobi identyczny, ale nie dotrzymała obietnicy. Taraneh wierzyła, że za każdym razem, gdy zakładała ten sweter, spotykały ją dobre rzeczy. Zastanawiała się, czy magia nadal działa.

- Taraneh, któregoś dnia wrócimy do domu - powiedziałam.

- Wiem.

- Będziemy znów robić to wszystko, co najbardziej lubiliśmy.

- Będziemy chodzić na długie spacerki, co?

- Jasne i pojedziemy do mojego letniego domku.

- Pójdziemy na zakupy.

- Będziemy gotować, piec i jeść wszystko, na co będziemy miały ochotę!

Śmiałyśmy się.

Tej nocy nie mogłam spać. Myślałam o tym, jak Alemu udało się zmienić mój wyrok i że być może byłby w stanie zrobić to samo dla Taraneh. I pomóc Sarze. Ale mówił mi przecież, że wyjeżdża, a poza tym prawda była taka, że nie chciałam go więcej oglądać. Przerazał mnie. W pewnym sensie łatwiej mi było poradzić sobie z Hamehdem, ponieważ w jego przypadku wiedziałam, czego się spodziewać. Z Alim było inaczej. Choć nigdy mnie nie skrzywdził, czułam w jego obecności głęboki, nagi strach. Pomyślałam o nocy egzekucji. Starłam się tego unikać. Mój mózg odmawiał przyzywania tych okropnych obrazów. Ale zdawałam sobie sprawę, że one tam były, wyraźne i nienaruszone. I pamiętałam spojrzenie Alego, gdy przyniósł mnie do celi. Tęsknotę w jego oczach, która sprawiała, że czułam się jak w pułapce na dnie zamrożonego oceanu. Jednak ze względu na Taraneh musiałam z nim porozmawiać.

Następnego ranka poszłam do biura i zastukałam do drzwi. Siostra Maryam siedziała za biurkiem, czytając. Spojrzała na mnie pytająco.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość zobaczenia się z Bratem Ali? - spytałam.

Zatopiła we mnie swój wzrok.

- Czemu chcesz się z nim zobaczyć?

Opowiedziałam, jak uratował mi życie, i wyjaśniłam, że chciałam go poprosić, by zrobił to samo dla mojej przyjaciółki.

- Której? - spytała Siostra Maryam.

Zawahałam się.

- Taraneh?

- Tak. /

- Brata Ali nie ma. Jest na froncie, walczy z Iraldjczykami. Iran prowadził wojnę z Irakiem od września 1980 roku. 1

- Kiedy wróci? \

- Bóg raczy wiedzieć. Ale nawet, gdyby był na miejscu, nie mógłby nic zrobić. Miałaś duże szczęście. Gdy sąd islamski skazuje kogoś na śmierć, tylko wybaczenie Imama może go ocalić. Ale Imam rzadko miesza się do takich spraw. Ufa sądom i ich decyzjom. Jedynym, który mógłby coś zrobić dla Taraneh, jest ten, kto ją przesłuchiwał.

- Czy cokolwiek możemy dla niej zrobić?

- Módlcie się.

Starałam się nie myśleć o szczęściu, o czasach przed rewolucją, zanim zdarzyły się te wszystkie okropności, tak jakby przywoływanie tamtych jasnych wspomnień mogło sprawić, że zbledną jak stare fotografie, zbyt często oglądane. Ale czasami w środku nocy wdychałam zapach dzikich drzew cytrynowych i słyszałam szelest ich grubych liści w czystym, słonym wietrze od morza. Czułam ciepłe fale Morza Kaspijskiego, owijające mi się wokół stóp i mokry piasek, klejący się do palców. W snach leżałam na łóżku w naszej daczce, wpatrując się we wschód księżyca. Potem

stawałam na podłodze, która jednak nie skrzypiała; chodziłam po domu, który był kompletnie pusty; próbowałam wołać Arasha, ale z mojego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

Przez cały czas myślałam o Andre. Przed aresztowaniem moja miłość do niego była młoda i krucha. Bałam się mu ją ofiarować, ponieważ bałam się stracić także jego - poza tym nie chciałam zdradzić Arasha. Teraz, stając twarzą w twarz z własną śmiercią, wiedziałam, że jestem w nim zakochana. Nie było niczego na świecie, czego pragnęłabym bardziej, niż bycie z nim. Ale czy on czuł to samo, co ja? Wierzyłam, że tak. Był moją nadzieją. To dla niego musiałam przetrwać. Do niego chciałam wrócić.

Którejś nocy w połowie marca Sheida zaczęła rodzić i zabrano ją do szpitala więziennego. Wróciła następnego dnia z pięknym, zdrowym chłopczykiem, któremu dała imię po mężu — Kaveh. Zebrałyśmy się wszystkie wokół niej i dziecka. Byłyśmy dumne z tego, że w naszym pokoju miałyśmy matkę, i od tej pory nazywałyśmy ją Matką Sheidą. Bardzo szybko rozpuściłyśmy chłopca, który miał wiele ciotek zawsze chętnych do opieki nad nim. I choć obecny na twarzy Sheidy cień nie zniknął całkowicie, to stała się ona nieco jaśniejsza — dziecko dawało nadzieję nie tylko swojej matce, lecz także wszystkim dookoła.

Gdy Kaveh miał około trzech tygodni, blisko siedemdziesięciu więźniów z 246 zostało przeniesionych do Ghezel Hussar — więzienia w mieście Karaj, około 25 kilometrów od Teheranu. Zdaniem większości dziewcząt warunki w Ghezel Hussar były nieco lepsze niż w Evin, więc te, które miały się przenieść, wyglądały na zadowolone. Cieszyłam się, że żadna z moich najbliższych koleżanek nie została wyczytana. Przez krótki czas po tej zamianie sale były trochę mniej zatłoczone. Jednak codziennie przybywało po kilka nowych dziewcząt i wkrótce miejsca do spania było mniej niż poprzednio.

Mniej więcej raz w tygodniu z głośników rozlegał się marsz wojskowy, a następnie podawano informacje o zwycięstwach naszej armii i rychłym końcu wojny, jednak żadna z nas nie przejmowała się zbytnio sytuacją na froncie. Nie tylko dlatego, że wojna toczyła się z dala od Teheranu, ale przede wszystkim z tego powodu, że Evin było jakby inną planetą, innym światem, rządzonym przez niezrozumiałe zasady, w którym każda z nas bez żadnego powodu mogła zostać skazana na tortury i śmierć. /

Pewnego wieczoru, gdy właśnie jadłyśmy obiad złożony z chleba i daktyli, do pokoju weszła Sara i nie zdejmując czadoru, nie mówiąc nic ani nie patrząc na nikogo, usiadła w kącie. Zaskoczona podeszłam do niej i położyłam jej rękę na ramieniu.

- Sara?

Nie podnosiła głowy.

- Sara, gdzie byłaś? Tak się o ciebie martwiłyśmy.

- Sirus nie żyje - powiedziała spokojnym głosem.

Bezsukcesyjnie próbowałam znaleźć właściwe słowa.

- Mam dwa długopisy - wyszeptała.

- Co takiego?

- Ukradłam je. Oni nie wiedzą.

Z kieszeni wyjęła czarny długopis, podwinęła lewy rękaw i zaczęła pisać na nadgarstku: „Sirus nie żyje. Pewnego lata pojechaliśmy nad Morze Kaspijskie i graliśmy na plaży w piłkę. Bardzo kolorową. Fale rozbijały się...”. Zauważyłam, że na ramieniu było tego więcej. Słowa - małe, ale czytelne. To były wspomnienia. Jej wspomnienia o Sirusie, jej rodzinie, jej życiu.

- Masz jakiś papier czy coś takiego? - spytała.

- Znajdę ci papier. Sara, gdzie byłaś?

- Brakuje mi miejsca. Proszę, znajdź mi trochę papieru.

Znalazłam kawałek, ale to było za mało. Zaczęła pisać po ścianach. W kółko to samo: o szkole podstawowej i gimnazjum, o naszych zabawach, książkach, ulubionych nauczycielach, wakacjach, o jej domu, sąsiadach, rodzicach i tym wszystkim, co lubił Sirus.

Gdy którejś nocy wreszcie pojawiła się ciepła woda, Sara odmówiła pójścia pod prysznic.

- Sara, musisz się umyć. Niezależnie od tego, czy weźmiesz prysznic, czy nie, słowa i tak zbledną. Jeśli się umyjesz, będziesz mogła pisać od nowa. Jeśli tego nie zrobisz, nie będziesz zbyt pięknie pachnieć.

- Kończą mi się długopisy.

- Znajdę ci nowe, jeśli weźmiesz prysznic.

- Obiecujesz? - upewniła się.

Nie chciałam dawać obietnic, których nie byłam w stanie dotrzymać, więc poszłam do biura i opowiedziałam o wszystkim Siostrze Maryam. Zapewniłam, że Sara nie pisze niczego związanego z polityką, a jedynie rodzinne wspomnienia.

Siostra Maryam dała mi dwa długopisy i natychmiast pobiegłam do Sary, czując się jak zdobywca największego skarbu na świecie.

Gdy Sara zdjęła pod prysznicem ubranie, nie wierzyłam własnym oczom. Jej nogi, ręce i brzuch pokryte były drobnym pismem.

- Nie mogłam sięgnąć do pleców. Wezmę prysznic pod warunkiem, że będziesz mi pisać na plecach - powiedziała.

- Obiecuję.

I zmyła z siebie wszystkie słowa. Księżkę Sary. Żywą księżkę, oddychającą, czującą, obolałą i pamiętającą.

Mniej więcej trzy miesiące po moim przybyciu do 246 wezwano mnie przez głośnik. Przyjaciółki spoglądały na mnie nerwowo. Drżącymi rękami owinęłam sobie wokół głowy szal.

- Jestem pewna, że to dobra wiadomość - powiedziała Taraneh, z oczami wypełnionymi nadzieją.

Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam drzwi prowadzące na korytarz. Siostra Maryam czekała na mnie w biurze. Wyczułam, że jest nieco zdenerwowana.

- Dokąd mam iść? - spytałam.

- Brat Hamehd przysłał po ciebie.

- Czy wiadomo, dlaczego?

- Nie, ale nie martw się. Pewnie chce zobaczyć, jak sobie radzisz.

Założyłam na oczy przepaskę i pozwoliłam się poprowadzić przez jedną z Sióstr do innego budynku. Czekałam na korytarzu, póki nie wywołał mnie Hamehd. Weszłam za nim do pokoju. Zamknął drzwi i kazał mi zdjąć przepaskę. Nic się nie zmieniło. Jego oczy były jak dwie lodowate i ciemne jaskinie. W kącie stało łóżko tortur, biurko i dwa krzesła. Na ścianie obok łóżka wisiał czarny kabel. Mój oddech stał się chrapliwy i płytki.

- Marina, jak dobrze cię znów widzieć — powiedział z uśmiechem. - Usiądź i powiedz mi, jak się miewasz.

Jego słowa były jak użądlenia pszczoły.

- Mam się dobrze - odpowiedziałam, też się uśmiechając.

- Pamiętasz, jak uciekłaś ode mnie tamtej nocy? Zastanawiałaś się, co stało się z pozostałymi?

Serce waliło mi i czułam, jakby za moment miała mi eksplodować głowa.

- Nie uciekłam. Zabrał mnie Ali i wiem dokładnie, co stało się z resztą. Zabiłeś ich.

Nie byłam w stanie oderwać oczu od plam krwi widocznych na łóżku.

- Muszę ci powiedzieć, że - choć cię nie lubię - naprawdę mnie bawisz. Czy nie żałujesz czasami, że nie umarłaś tamtej nocy?

- Żałuję.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Wiesz, że twój wyrok oznacza spędzenie całego życia w więzieniu?

- Wiem.

Jeśli zaczniesz mnie bić, nie przestaniesz, dopóki będę żyła.

- Czy to cię nie martwi? Ostatnie miesiące nie były zbyt zabawne, prawda? Wyobraź sobie, że tak będzie do końca twój życie.

- Bóg mi pomoże wytrwać.

Wstał i przez chwilę chodził po pokoju, wreszcie podszedł do mnie i uderzył w prawy policzek wierzchem dłoni tak, że poczułam jakby trzask w szyi. Dzwoniło mi w prawym uchu.

- Nie ma tu Alego, który by cię nadal chronił.

Zakryłam twarz rękami.

- Nigdy więcej nie wymawiaj słowa „Bóg"! Jesteś nieczysta i niegodna Jego imienia. Muszę iść i spłukać sobie dłonie, ponieważ cię dotknąłem. Dochodzę do wniosku, że dożywocie może być jednak lepszą karą dla ciebie. Będziesz cierpieć przez długi czas bez żadnej nadziei.

Ktoś zapukał do drzwi. Hamehd otworzył i wyszedł. Nie byłam w stanie myśleć. Czego mógł ode mnie chcieć?

Do pokoju wszedł mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziałam.

- Witaj, Marina. Nazywam się Mohammad. Zabieram cię z powrotem do 246.

Spojrzałam na niego zdezorientowana. Nie mogłam uwierzyć, że Hamehd tak łatwo mnie wypuszcza.

- Wszystko w porządku? - spytał mnie Mohammad.

- Tak.

- Załóż przepaskę i chodź.

Zostawił mnie w biurze 246, gdzie Siostra Maryam kazała mi natychmiast zdjąć przepaskę. Przy biurku siedziała Siostra Masoomeh i coś czytała.

- Dlaczego masz taką czerwoną twarz? - spytała Siostra Maryam.

Siostra Masoomeh podniosła wzrok.

Opowiedziałam im, co zaszło.

- Dzięki Bogu, że udało mi się znaleźć Brata Mohamma! Jest bliskim przyjacielem Alego. Pracowali w tym samym budynku. Zadzwoiłam i powiedziałam mu, że zabrał cię Hamehd. Obiecał odnaleźć cię i przyprowadzić z powrotem - powiedziała Siostra Maryam.

- Miałaś szczęście, Marina. Hamehd nie potrzebuje powodów, by krzywdzić ludzi, jeśli tylko ma na to ochotę - wyszeptała Siostra Masoomeh.

- Jak widzisz - Siostra Maryam zwróciła się ponownie do mnie - Siostra Masoomeh nie należy do przyjaciół Hamehda, ale nauczyła się trzymać język za zębami. Mimo że należała do grupy Daneshjooyan Mosalman Peyro Khat Imam, która wzięła zakładników w ambasadzie amerykańskiej, i osobiście zna Imama, miewała problemy z Hamehdem. Jedyne osoby, które są w stanie przeciwstawić się tutaj Hamehdowi, są Brat Ali i Brat Mohammad.

- Nie martw się, Marina. Teraz, gdy Hamehd wie, że Brat Mohammad ma na ciebie oko, zostawi cię w spokoju - powiedziała Siostra Masoomeh.

Wszystkie mieszkanki pokoju 246 ucieszyły się na mój widok i koniecznie chciały wiedzieć, gdzie byłam. Ale rzut oka na mój spuchnięty czerwony policzek wystarczył, żeby zrozumiały, że nie mam dobrych wieści. Nie miałam szans na zwolnienie warunkowe, ale nie zamierzałam się poddawać. Tego właśnie

chciał Hamehd. Próbował mnie złamać i prawie mu się udało. Prawie.

Myślałam o tym, co Siostra Maryam powiedziała mi o Siostrze Masoomeh. Trudno było uwierzyć, że wraz z innymi przetrzymywała zakładników w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie. Pamiętałam wiadomości telewizyjne dotyczące tego incydentu. Martwiłam się wówczas o zakładników. Mieli przecież rodziny w swoim kraju - najbliższych, którzy ich kochali, martwili się o nich i oczekiwali ich powrotu. Wypuszczono ich 20 stycznia 1981 roku, po 444 dniach przetrzymywania. Byli obywatelami amerykańskimi, a to coś znaczyło. Przynajmniej ich rząd próbował ich uwolnić, a świat wiedział o ich tragicznym losie. Czy o nas też wiedziano? Czy ktokolwiek próbował nas ratować? Głęboko w sercu wiedziałam, że odpowiedzią na obydwa te pytania jest „nie”.

Nieprzerwanie myślałam o kościele. Czułam zapach świec płonących przed obrazem Dziewicy, których światło migotało w nadziei, że zanoszone do Niej modlitwy będą wysłuchane. Czy zapomniała o mnie? Pamiętałam słowa Jezusa o tym, że odrobina wiary wystarczy, by kazać górą rzucić się w morze. Nie chciałam poruszać niczego tak wielkiego jak góry - chciałam tylko wrócić do domu.

W dniu moich urodzin obudziłam się bardzo wcześnie, jeszcze przed czasem przeznaczonym na poranny *namaz*. Kończyłam siedemnaście lat. Gdy byłam małą dziewczynką, marzyłam o tym wieku. Wierzyłam wówczas, że otworzy on przede mną nieograniczone możliwości. Tymczasem byłam więźniem politycznym skazanym na dożywocie. Poczulałam na ramieniu rękę Taraneh i odwróciłam się. Jej posłanie znajdowało się bezpośrednio obok mojego.

- Wszystkiego dobrego - wyszeptła.
- Dzięki. Skąd wiedziałaś, że nie śpię?
- Zorientowałam się po sposobie, w jaki oddychasz. Gdy tak długo śpisz obok innej osoby, jesteś w stanie odróżnić jej prawdziwy sen od udawanego.

Spytała, czy w mojej rodzinie obchodzi się urodziny. Powiedziałam jej, że rodzice zwykle kupowali mi ciasto i niewielki upominek. W domu Taraneh urodziny były wielkim wydarzeniem. Urządzano przyjęcia i obsypywano się podarunkami. Pomiędzy Taraneh i jej siostrami wytworzył się rodzaj współzawodnictwa: szyły dla siebie nawzajem ubrania, które z roku na rok stawały się bardziej wymyślne.

- Wiesz, Marina, tęsknię za nimi - powiedziała.

Objęłam ją.

- Wrócisz do domu i wszystko będzie jak dawniej.

Po lunchu zebrały się wokół mnie Taraneh, Sara i kilka innych przyjaciółek. Sara wręczyła mi złożony kawałek materiału. Rozwinęłam go. Był to patchwork - poszewka na poduszkę. Zaparło mi dech w piersiach, tak była piękna. Każda z moich przyjaciółek oddała kawałek swojego ubrania czy szalika, żeby ją złożyć. Rozpoznałam każdy kwadrat. W więzieniu istniał zwyczaj szycia małych woreczków, w których przechowywałyśmy nasze osobiste drobiazgi i które wieszaliśmy potem na haczykach pod półką. Jako pierwsza otrzymałam coś innego - poszewkę.

Po obiedzie zrobiliśmy z chleba i daktyli coś na kształt więziennego tortu i w wyobraźni zdmuchnęłam nieistniejące świece.

- Zapomniałaś o wypowiedzeniu życzenia! - zauważyła Taraneh.

- Zrobię to teraz: chcę, byśmy wszystkie spędziły nasze następne urodziny w domu.

Moje życzenie wywołało brawa i radosne okrzyki.

Dwa lub trzy dni później usłyszaliśmy z głośników, że wszystkie więźniarki przetrzymywane na piętrze w bloku 246 mają złożyć hidżaby i zebrać się na dziedzińcu. Choć mogłyśmy wychodzić na zewnątrz w określonych porach dnia, to nigdy nie było to obowiązkowe. Byłyśmy zaniepokojone. Gdy znalazłyśmy się już na dziedzińcu, kazano nam odsunąć się od zaznaczonego pośrodku obszaru. Czterech uzbrojonych strażników wyprowadziło z budynku dwie dziewczyny. Jedna z nich należała do moich koleżanek z pokoju, druga była z sali numer 5. Obie miały na sobie czadory. Kazano im położyć się na ziemi w oznaczonym polu. Jeden ze strażników związał im nadgarstki i stopy. Ogłoszono, że za utrzymywanie homoseksualnych stosunków zostaną ukarane zgodnie z prawem islamu. Byłyśmy przerażone. Patrzyłyśmy, jak strażnicy wymierzają karę chłosty. Wiele dziewcząt nie było w stanie tego oglądać, więc zakryły twarze rękami i modliły się. Nie mogłam zamknąć oczu. Bicz unosił się, po czym z przyszywającym ostrym świstem przecinał powietrze, opadając na plecy ofiary. Chwila ciszy, w której serce zdawało się zamierać, a płuca wstrzymywały oddech. Dziewczyny przyjmowały chłostę w milczeniu* choć wolałabym, żeby krzyczały. Ich drobne ciała podrywały się przy każdym uderzeniu. Przypomniałam sobie potworny ból, który towarzyszył moim torturom. Po trzydziestu razach dziewczyny rozwiązano i gdy udało im się podnieść, zostały odprowadzone do budynku. My pozostałyśmy na miejscu, by dobrze zapamiętać lekcję, jakiej udzielono naszym koleżankom. Cierpienie miało uczynić nas silniejszymi, ale najpierw musiałyśmy za to zapłacić właściwą cenę.

Któregoś dnia wypadła moja kolej, by pomóc Sheidzie w praniu. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, że miałyśmy tylko zimną wodę. Prałyśmy rano i rozwieszałyśmy bieliznę na dzie-

dzińcu. Chociaż wszyscy pozostali musieli czekać do następnego dnia, by zebrać swoje rzeczy ze sznurków, Sheida miała pozwolenie na wyjście wieczorem. Szła kilka kroków przede mną. Była wiosna i z oddali dobiegał świergot ptaków. Słońce właśnie zaszło, a niebo przybrało kolor ostrego różu. Pięć sznurków rozciągniętych było w głębi dziedzińca przez całą jego szerokość, pomiędzy kratami okien parteru, wszystkie zawieszane kolorowymi ubraniami. Sheida zniknęła za zasłoną suszącego się prania, a ja szłam za nią, torując sobie drogę wśród sukienek, spodni, spódnic, koszulek i czadorów. Nagle usłyszałam jej krzyk.

- Marina! Biegiem! Przynies nożyczki! Natychmiast! - zawałała.

Zanim ruszyłam w stronę biura, uchwyciłam jedynie obraz Sheidy, podtrzymującej kogoś, kto wisiał, przywiązany do krat jednego z okien. Drzwi biura otworzyła Siostra Maryam.

- Nożyczki! Szybko! Na dziedzińcu!

Chwyciła leżące na biurku nożyczki i obie pobiegłyśmy tam, gdzie przed momentem zostawiłam Sheidę. Nadal kogoś trzymała. Wtedy zdałam sobie sprawę, że była to Sara. Powiesiła się, robiąc krótką linę z kilku szalików. Przywiązana była do najwyższego poziomego pręta kraty wstawionej w okno parteru. Sara, drobna, niska dziewczyna, nie byłaby w stanie tego zrobić, gdyby miała kilka centymetrów więcej. Drżała na całym ciele. Siostra Maryam odcięła linę. Sara oddychała, ale jej twarz zrobiła się sina. Zostałyśmy z nią przez chwilę, gdy Siostra Maryam poszła zawołać pielęgniarkę. Sara była nieprzytomna. Mówiliśmy do niej, dotykaliśmy jej twarzy, ale nie reagowała.

Znów ją zabrali.

Każda upływająca chwila po trochu odbierała mi nadzieję. Była wiosna. Łagodne powietrze przynosiło zapach kwiatów. Za

murami Evin życie toczyło się nadal. Czy dla Andre byłam tylko odległym wspomnieniem? Może już o mnie zapomniał. W pokoju odwiedzin zainstalowano telefony, więc spytałam o niego rodziców. Matka powiedziała, że regularnie ich odwiedza i nie przestaje o mnie myśleć, ale być może mówili to tylko po to, by mnie nie zasmucać.

Jeden dzień podobny był do następnego, co czyniło naszą samotność i desperację jeszcze trudniejszymi do zniesienia. Każdy dzień rozpoczynał się poranną modlitwą przed wschodem słońca. Około ósmej przynoszono śniadanie, po którym musieliśmy oglądać programy religijne nadawane w telewizji. Wolno nam było czytać dostępne w więzieniu książki - wszystkie bez wyjątku dotyczyły islamu - oraz spacerować wąskimi korytarzami. Prawie nie rozmawialiśmy o polityce czy o naszym zaangażowaniu w życie polityczne przed Evin. Wiadomo było, że niektóre dziewczyny są donosicielkami. Choć ich liczba nie była duża - jedna, może dwie w pokoju - to wolałyśmy nie ryzykować opowiadaniem o rzeczach, które nie powinny trafić do uszu naszych prześladowców.

Przez około godzinę dziennie mogliśmy korzystać z niewielkiego wewnętrznego dziedzińca. Podczas tych spacerów musieliśmy zakładać hiżdab, ponieważ dachy były cały czas patrolowane przez mężczyzn, którzy uważnie nas obserwowali. Natomiast nie było konieczności zakładania czadorów - wystarczał *manteau* lub szal. Na dziedzińcu cała nasza aktywność ograniczała się do chodzenia w kółko lub siedzenia przy murze i wpatrywania się w kawałek nieba nad nami. Ten skrawek błękitu był naszym jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym. Przypominał nam o innych miejscach, w których kiedyś żyłyśmy, o naszych domach. Zwykle siadałam pod ścianą z Taraneh. Opierałyśmy się o szorstki mur, obserwując chmury, które znikwały nam z oczu

i oddalały się w stronę tamtego świata. W wyobraźni siadałyśmy na chmurze i odpływałyśmy na niej, kierując ją nad znane nam miejsca. Opisywałyśmy sobie nawzajem to, co widać z góry: znajome ulice z sąsiedztwa, nasze szkoły i domy, gdzie nasze matki wyglądały przez okno, myśląc o swoich nieobecnych córkach.

- Jak to się stało, że tu trafiłaś? - spytała mnie któregoś wiosennego dnia Taraneh, gdy pławiłyśmy się w słońcu, marząc na jawie o rodzinnym domu. Nigdy wcześniej nie rozmawiałyśmy o wydarzeniach, które doprowadziły do naszego aresztowania. Dziedziniec był pełen dziewcząt. Większość z nich chodziła w kółko, raczej żwawo, jakby miały w tym konkretny cel. Czarne, granatowe, brązowe i szare *manteau* przeplatały się, a gumowe klapki gładko sunęły po wybrukowanej ziemi. *Zdałam* sobie sprawę, że to, co widzę, przypomina obraz, jaki ma przed sobą siedzący na ruchliwej ulicy żebrak, z tym że moje pole widzenia było dużo skromniejsze i bardziej ograniczone. W tej chwili mój świat stanowił jakby pozbawiony dachu kwadratowy budynek z oknami na dwóch poziomach, które zaglądały do ciemnych pokoi - świat młodych kobiet, chodzących po okręgu. Brzmiało to jak bardzo dziwna opowieść science fiction - „Planeta uwiecznionych dziewcząt”. Zaśmiałam się.

- Co? - spytała Taraneh.

- Czuję się, jak byśmy były żebrakami, siedzącymi na chodniku na innej planecie.

Taraneh uśmiechnęła się.

- W porównaniu z nami żebrak to król - powiedziała.

- Moje kłopoty zaczęły się w dniu, kiedy wyszłam z lekcji rachunków...

ROZDZIAŁ

JEDENASTY

Na początku 1980 roku wybrano pierwszego prezydenta Iranu. Został nim Abolhassan Banisadr, który na wiele lat przed zwycięstwem rewolucji działał w opozycji, był dwukrotnie więziony, a ostatecznie udało mu się zbiec do Francji i tam przyłączyć się do Ajatollaha Chomeiniego. Nowy prezydent dawał pewne nadzieje na demokratyzację Iranu. Jednak w miarę upływu roku szkolnego 1979/1980 odnosiłam coraz silniejsze wrażenie, że zapadam się w ciemność. Było gorzej. Jedną po drugiej nasze dotychczasowe nauczycielki musiały ustąpić miejsca pozbawionym doświadczenia, młodym fanatyczkom. Hidżab stał się obowiązkowym elementem stroju, a wszystkie kobiety musiały nosić albo długie ciemne szaty oraz szale zakrywające włosy, albo czadory. Ugrupowania polityczne, które przeciwstawiały się rządowi islamskiemu lub tylko je krytykowały, zostały zdelegalizowane. Noszenie krawatów, używanie wody kolońskiej, perfum, lakierowanie paznokci i makijaż uznano za dzieło szatana i jako takie surowo karano. Codziennie przed lekcjami uczniowie byli zmuszani do formowania szeregów i wykrzykiwania pełnych nienawiści haseł, takich jak „Śmierć Ameryce!” czy „Śmierć Izraelowi!”.

Każdego ranka nasza dyrektorka *Khanoom* Mahmoodi oraz wicedyrektorka *Khanoom* Kheirkhah stały przy wejściu do szkoły z wiadrem wody i ścierką, kontrolując po kolei wszystkich uczniów. Gdy zauważyły dziewczynę ze śladami makijażu, wycierały jej twarz, aż do bólu. Pewnego ranka podczas takiej inspekcji *Khanoom* Mahmoodi wyciągnęła na stronę moją dobrą koleżankę, Nasim, uważając, że jej brwi są zbyt perfekcyjne - znak, że je regulowała. Nasim rozplakała się, mówiąc, że nic z nimi nie robiła, ale dyrektorka nazwała ją dziwką. Nasim była w naturalny sposób piękną dziewczyną i wiele z nas potwierdziło, że jej brwi zawsze tak wyglądały. Nigdy nie doczekała się przeprosin.

Z dnia na dzień narastały we mnie bunt i frustracja. Nie cierpiały większości lekcji, zwłaszcza lekcji rachunków. Nowa młoda nauczycielka należała do gwardii rewolucyjnej i zupełnie nie miała kwalifikacji do nauki przedmiotu. Przez większość lekcji zajmowała się szerzeniem islamskiej propagandy, rozpływając się nad islamem i idealnym społeczeństwem muzułmańskim, zdolnym do przeciwstawienia się wpływom zachodu i moralnemu zepsuciu. Któregoś dnia, gdy jak zwykle opowiadała o osiągnięciach i zasługach Chomeiniego dla kraju, podniosłam rękę.

- Tak? - powiedziała.

- Nie chciałabym być niegrzeczna, proszę pani, ale czy mogłybyśmy wrócić do głównego tematu lekcji?

Uniosła brew i wyzywającym tonem odpowiedziała:

- Jeśli nie odpowiada ci to, czego uczę, możesz wyjść z klasy.

Spojrzenia wszystkich skierowane były w moją stronę. Zebrałam książki i wyszłam z sali. Idąc korytarzem, usłyszałam za sobą liczne kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam, że większość moich przyjaciół z klasy poszła za moim przykładem. Zebrała się nas na korytarzu prawie trzydziestka.

Do przerwy na lunch w całej szkole panował już zamęt. Wszyscy mówili, że zainicjowałam strajk. Większość popołudniowych zajęć została odwołana, ponieważ około 90 procent uczniów znajdowało się na dziedzińcu, odmawiając powrotu do klas. *Khanoom* Mahmoodi wyszła na zewnątrz i przez głośnik kazała nam wrócić na lekcje, ale nikt się nie ruszył z miejsca. Zagroziła, że wezwie naszych rodziców, jednak i na to nikt nie zareagował. Na koniec zagroziła nam wydaleniem ze szkoły, na co odpowiedzieliśmy, że może uczynić to od razu. Wreszcie uczniowie wybrali mnie i jeszcze dwie osoby, które w imieniu protestujących miały rozmawiać z dyrekcją. Poinformowałyśmy więc *Khanoom* Mahmoodi, że do klas wrócimy pod warunkiem, że nauczyciele będą ściśle przestrzegać nauczania swoich przedmiotów, zostawiając na boku politykę.

Tego dnia, gdy wróciłam do domu, zawołała mnie matka. Było to coś niebywałego, gdyż rzadko rozmawiała ze mną przed obiadem. Znalazłam ją w kuchni, siekającą pietruszkę.

Stanęłam w drzwiach.

- Tak, mam?

- Dzwoniła twoja dyrektorka. - Nie patrzyła na mnie i nie odrywała oczu od deski. Nóż w jej rękach poruszał się sprawnie i precyzyjnie. Posiekana pietruszka pokrywała jej dłonie, które zrobiły się całe zielone.

- Co ty sobie wyobrażasz? - spytała, rzucając mi krótkie spojrzenie, tak ostre jak nóż w jej rękach.

Opowiedziałam jej, co się stało.

- Lepiej zrób coś z tą sprawą - skomentowała. - Nie chcę, żeby znowu do mnie dzwoniła. Musisz jakoś z nimi funkcjonować. Ten rząd nie przetrwa długo. A teraz idź odrabiać lekcje.

Poszłam do swojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, zdziwiona, że tak łatwo uniknęłam jej gniewu. Prawdopodob-

nie matka, podobnie jak ja, nie lubiła nowego rządu i dlatego jej reakcja nie była tak gwałtowna, jak mogłam się spodziewać.

Strajk ciągnął się przez dwa dni. Ciągłe chodziliśmy do szkoły, ale nie na lekcje. Czas wypełniały nam spacerunki po dziedzińcu lub rozmowy w małych grupach. Dotyczyły one głównie wydarzeń, których świadkami byliśmy przez ostatnie miesiące. Trudno było uwierzyć, że nasze życie uległo tak dramatycznym zmianom. Jeszcze rok wcześniej nikomu nie przyszłoby do głowy, że ubiór może stanowić zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa i że trzeba będzie uciec się do strajku, by kontynuować naukę matematyki. Trzeciego dnia *Khanoom* Mahmoodi wezwała przedstawicieli uczniów do swojego gabinetu.

Była czerwona z gniewu, mówiąc, że to jej ostatnie ostrzeżenie. Uprzedziła, że jeśli nie wrócimy do klas, nie będzie miała innego wyjścia jak wezwanie do szkoły strażników rewolucji i oddanie w ich ręce całej sprawy. Nie miała wątpliwości, że doskonale zdajemy sobie sprawę, z ich metod - strażnicy nie wykażą cierpliwości i ktoś może poważnie ucierpieć. Ostrzegła, że nasza akcja wymierzona jest w rząd islamski Iranu, a za to grozi śmierć. Dała nam godzinę na powrót do klas.

Dopięła swego. Strażnicy rewolucji cieszyli się złą sławą. W ciągu poprzednich miesięcy aresztowali setki ludzi, z których o wielu zaginęła śluch. Powodem była ich antyrewolucyjna, antyislamska postawa oraz krytyka Chomeiniego.

Strajk się zakończył.

Nie tylko strażnicy budzili lęk. Był także Hezbollah - grupy cywilnych fanatyków, uzbrojonych w noże i pałki, którzy tłumiли wszelkie przejawy publicznego protestu. Potrafili zorganizować się w błyskawiczny sposób. Byli wszędzie. Szczególną agresję wykazywali wobec kobiet, które niewłaściwie nosiły hidżab.

Wiele z nich zaatakowano i pobito za używanie szminki czy też za to, że spod szala wymykały im się kosmyki włosów.

Około miesiąca albo dwóch po zakończonym strajku moja nauczycielka chemii, *Khanoom* Bahman, poprosiła mnie, żebym została na chwilę po lekcji. Powiedziała mi wówczas o liście nazwisk, jaką zauważyła na biurku dyrektorki. *Khanoom* Bahman była jedną z niewielu nauczycielek, które uczyły w naszej szkole jeszcze przed rewolucją, i dobrze mnie znała. Mówiła do mnie, nie odrywając oczu od drzwi, na wypadek gdyby ktoś wszedł i zobaczył nas razem. Głos zniżyła prawie do szeptu i musiałam nachylić się, by ją słyszeć.

W pewnym sensie spodziewałam się, że coś podobnego nastąpi. Wiedziałam, że po tym, co zrobiłam i powiedziałam, czekają mnie kłopoty. Fakt, że nie jestem zwolenniczką nowych islamskich zasad, nie stanowił tajemnicy, a w tamtych czasach swobodne wypowiedzi na ten temat nie pozostawały bez konsekwencji. Jednak - choć zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawę - zagrożenie wydawało mi się odległe i mało konkretne. Tak jakby złe rzeczy przytrafiały się tylko innym.

Podziękowałam *Khanoom* Bahman za informację o liście. Jej zdaniem powinnam wyjechać z kraju. Spytała, czy mam rodzinę za granicą, ale wyjaśniłam jej, że nie jesteśmy bogaci i w związku z tym moich rodziców nie byłoby stać na wysłanie mnie gdziekolwiek.

Przerwała mi, podnosząc głos.

- Marina, chyba nie do końca rozumiesz. To jest sprawa życia i śmierci. Gdybym była twoją matką, wysłałabym cię dokądkolwiek, nawet gdyby mi przyszło potem głodować - powiedziała ze łzami w oczach.

Lubiłam ją i nie chciałam jej denerwować, więc obiecałam, że porozmawiam z rodzicami, choć wcale nie miałam takiego

zamiaru. Co miałabym im powiedzieć? Że wkrótce zostanę aresztowana?

Mój brat opuścił wraz zoną Iran krótko po rewolucji i udał się na emigrację do Kanady. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że nie ma dla nich przyszłości w Republice Islamskiej. Wkrótce po ich wyjeździe rząd odebrał Irańczykom prawo do emigracji. Podobała mi się nazwa „Kanada” - kojarzyła mi się z czymś bardzo odległym i zimnym, ale spokojnym. Mój brat oraz jego żona mieli szczęście. Mogli wieść normalne życie i martwić się o zwykłe sprawy. Rodzice wcześniej myśleli o wysłaniu mnie do brata, ale nie dałam się przekonać. Musiałam zostać i spróbować własnych sił.

Tamtego popołudnia obserwowałam z balkonu ulicę. Nowy reżim przyniósł jedynie zniszczenie i przemoc. Szkoła, która kiedyś była najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu, obróciła się w piekło. Słyszałam, że rząd planuje zamknięcie i re-strukturyzację wszystkich uniwersytetów - nazywał to islamską rewolucją kulturalną. Arash nie żył. Nie zostało nic.

Lato 1980 roku było raczej spokojne. Z ulgą przyjął koniec roku szkolnego i wyjazd do naszego letniskowego domu. W lipcu na około dwa tygodnie przyjechał Aram z rodzicami, zajmując dom ciotki. Czułam się bardzo samotna, więc niecierpliwie wyglądałam ich przyjazdu, jednak gdy już się zjawili, nieustannie myślałam o Arashu i tym bardziej za nim tęskniłam. Większość czasu spędzaliśmy z Aramem w domu, grając w karty lub jego ulubioną grę Master Mind. Czasami spacerowaliśmy po plaży, ale nie mogliśmy pływać, gdyż teraz kobietom nie wolno było nosić kostiumów kąpielowych w miejscach publicznych. Większość naszych przyjaciół, których rodziny posiadały w sąsiedztwie domy, w tym Neda, opuściła Iran. Spotkaliśmy

co prawda kilku znajomych, ale wszyscy baliśmy się strażników rewolucji i członków komitetów islamskich, których wszędzie było pełno i którzy krzywo patrzyli na mieszane grupy dziewcząt i chłopców - według nowych zasad obowiązujących w kraju było to niemoralne.

We wrześniu 1980 roku wybuchła wojna pomiędzy Iranem a Irakiem. Wróciliśmy już wtedy do miasta. Byłam u koleżanki. Siedziałyśmy w kuchni, popijając herbatę i jedząc ryżowe ciasteczka. Właśnie pokazywała mi swoje nowe adidasy Puma - całe białe z czerwonymi paskami po bokach. Nagle dwa potężne „bum!” przerwały naszą rozmowę. Wyglądało to na eksplozję. Byłyśmy same w domu.

Kolejne „bum!”

Wyjrzałyśmy na ulicę, ale niczego nie zauważyłyśmy. Mieszkanie mojej koleżanki znajdowało się na ostatnim piętrze pięciopiętrowego budynku, niedaleko placu Jaleh. Postanowiłyśmy pobiec na dach. W korytarzu wpadłyśmy na kilkoro sąsiadów, także w drodze na górę. Z dachu rozciągał się znakomity widok na miasto. Był bezchmurny letni dzień, a Teheran spowijała delikatna mgła. Usłyszeliśmy samoloty.

- Tam! - ktoś krzyknął.

Kilka kilometrów na południe dwa myśliwce odlatywały ku wschodowi. Po przeciwnej, zachodniej stronie wznosiły się słupy dymu. Jeden z sąsiadów miał ze sobą radio, które zaraz włączyliśmy. Podekscytowany reporter informował, że irackie migi zbombardowały lotnisko w Teheranie. Kilka dywizji armii irackiej przekroczyło granicę i znajduje się na terytorium Iranu. Byliśmy w stanie wojny.

Czytałam kiedyś o pierwszej i drugiej wojnie światowej oraz o wojnie domowej w Ameryce; o bombach, obracających mia-

sta w ruiny, w których ginęli ludzie. Ale tamte wojny należały do świata książek. Jeśli nawet dotyczyły prawdziwych wydarzeń, to opowiadały o odległych czasach. Świat był teraz inny. Nikt nie pozwoli zniszczyć całych miast i zabić tysięcy ludzi.

- Jeszcze zobaczą! - wygrażał pięścią właściciel radia. - Zdobędziemy Bagdad i ukamienujemy Saddama! I tych łobuzów!

Wszyscy przytakiwali.

Gdy wróciłam do domu, zastałam matkę, naklejającą wielkie X z taśmy na oknach, co miało chronić szyby przed zbyt gwałtownym drżeniem na wypadek bombardowania. Wyjaśniła mi, że w radiu nawoływali do podjęcia środków ostrożności, obiecując jednocześnie, że wojna nie potrwa dłużej niż kilka dni lub tygodni i że nasza armia błyskawicznie rozprawi się z Irakijczykami. Kupiła też czarny karton, by zasłonić wieczorem okna, które w przeciwnym razie mogłyby stanowić dobry cel dla migów. Nie przejmowałam się za bardzo. Nie mogło być aż tak źle.

Mijały dni. Kilka razy w ciągu dnia wyły syreny, ale rzadko słyszeliśmy eksplozje. Kanały telewizyjne i radiowe nadawały na okrągło marsze wojskowe, w przerwach informując, że nasze siły powietrzne zaatakowały Bagdad i inne miasta irackie i że Irakijczycy zostali zmuszeni do odwrotu. Wzywano wszystkich mężczyzn: młodych, starych, nawet nastolatków, by dołączyli do armii i stali się męczennikami. W końcu - jak ogłosił rząd - męczeństwo jest najszybszą i najpewniejszą drogą do nieba. To była wojna ze złem. Miasto Knorramshahr, blisko granicy z Irakiem, zostało całkowicie zniszczone i opanowane.

Zamknięto granice i nikomu nie wolno było opuścić kraju bez specjalnego zezwolenia. Jednak codziennie ludzie, którzy płacili przemytnikom ogromne sumy za przerzut przez granicę, opuszczali Iran, by uniknąć służby wojskowej lub aresztowań. Ryzykując życiem, przedostawali się do Pakistanu lub Turcji.

Któregoś razu późną jesienią usłyszałam w szkole o szykującym się wiecu protestacyjnym i zdecydowałam się wziąć w nim udział. Zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale wydało mi się, że robię to, co powinnam. Wiec miał się zacząć o czwartej po południu na placu Ferdosi, około dziesięciu minut piechotą od naszej szkoły.

W dniu zaplanowanego protestu, po ostatnim dzwonku Gita, Sara i ja wyszłyśmy na ulicę i zobaczyłyśmy tam setki ludzi, głównie młodych mężczyzn i kobiet. Dołączyłyśmy do tłumu, zmierzającego w stronę placu Ferdosi. Wszyscy byliśmy czujni. Rozglądaliśmy się wokół, wiedząc, że w końcu strażnicy rewolucji lub Hezbollah zdecydują się nas powstrzymać. Serce waliło mi jak młotem. Ulica zmieniała się w rwącą, żywą rzekę. Zauważyłam, jak właściciele zamykali swoje sklepy i odchodzili. Na placu Ferdosi młoda kobieta, trzymając przed sobą głośnik, opowiadała o brutalnych atakach Hezbollahu na kobiety:

- Jak długo jeszcze pozwalać będziemy, by kryminaliści i mordercy, działając rzekomo w imię Boga, bezkarnie napadali na nasze matki, siostry i przyjaciółki? - pytała.

Starsza kobieta, stojąca obok nas, trzymała przed sobą planszę z białego brystolu. Przewiązana w pasie białym czadorem wystawiała na słońce swoje rzadkie siwe włosy. Środek planszy zajmowało zdjęcie młodej dziewczyny z szerokim uśmiechem na twarzy, a pod nim napis: „Zamordowana w Evin”.

Nagle ulicę wypełniły głośne, podobne do grzmotu dźwięki. Ludzie zaczęli biec.

Ktoś krzyknął:

- Na dachach!

Spojrzałam w górę. Strażnicy rewolucji byli wszędzie. Młody, stojący obok nas człowiek upadł na ziemię i jęczał. Ręce przyciskał do brzucha. Między jego palcami pojawiła się cienka

czerwona strużka i spłynęła po ręce na chodnik. Patrzyłam na niego, nie mogąc się poruszyć. Ludzie krzyczeli i biegli w różne strony. W powietrzu było pełno dymu i czułam, jak pieką mnie oczy. Rozejrzałam się wokół - rozdzielono mnie z moimi przyjaciółmi. Nie mogłam tak po prostu zostawić tego rannego człowieka. Uklękłam przy nim, po czym spojrzałam w jego oczy - były nieruchome. Podobnie zginął Arash - jak ktoś zupełnie obcy. Gdzieś ktoś kochał tego człowieka i czekał na jego powrót do domu.

- Marina! - usłyszałam znajomy głos.

Gita złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Powietrze było gęste od gazu łzawiącego. Brodaci mężczyźni w cywilnych ubraniach wymachiwali drewnianymi pałkami, atakując uciekający tłum. Ludzie krzyczeli. Biegłyśmy za innymi w ogólnym chaosie.

Gdy dotarłam do domu, zamknęłam się w łazience. Żałowałam, że mnie nie zastrzelili. Nie chciałam żyć. Jaki sens miało całe to cierpienie? Poszłam do sypialni rodziców, gdzie otworzyłam szufladę, w której matka trzymała leki. Była pełna rozmaitych pudełek i słoiczków: syropy na przeziębienie, tabletki na nadkwasotę, aspiryna oraz różne rodzaje środków przeciwbólowych. Wśród nich znalazłam prawie pełną buteleczkę tabletek nasennych. Pobiełam do pokoju. Śmierć w słoiku. Wystarczyło zdjąć wieczko i połknąć małe pastylki. Przyjdzie po mnie mój anioł, a wtedy powiem mu, że widziałam już dość umierających ludzi. Napełniłam wodą kubek i otworzyłam pojemnik. Jednak głęboko w środku wiedziałam, że pomysł połknięcia tych pigułek jest zły. Co stałoby się, gdyby wszyscy, którzy wierzyli w dobro, postanowili popełnić samobójstwo z powodu ogromu cierpienia na świecie? Zamknęłam oczy i ujrzałam przed sobą twarz anioła. Chciałam, by moja babcia, Arash i Irena byli ze

mnie dumni; chciałam coś zrobić ze swoim życiem, coś dobrego i wartościowego. Widziałam, jak życie wąską strużką ucieka z młodego człowieka i zamienia się w kałużę krwi na chodniku. Nie mogłam się schować - śmierć nie była kryjówką. Zamknęłam pojemniczek z pigułkami mamy i odłożyłam go na miejsce do szuflady. Może jednak mogłam coś zrobić. Pobiełam do sklepu, kupiłam karton białego bristolu i opisałam na nim atak strażników rewolucji na uczestników pokojowej manifestacji.

Następnego dnia poszłam do szkoły wcześniej niż zwykle. Korytarze były puste. Przykleiłam plakat taśmą do ściany i stanęłam przed nim, udając, że czytam. W ciągu pół godziny zebrali się uczniowie, a wkrótce pokaźny tłum próbował poznać treść plakatu. *Khanoom* Mahmoodi nie kazała na siebie długo czekać. Na korytarzu dały się słyszeć jej szybkie, wściekłe kroki. Twarz miała purpurową ze złości.

- Cofnąć się! - krzyczała.

Zrobiliśmy jej miejsce. Przeczytawszy kilka linijek, zażądała wyjaśnień, kto jest autorem plakatu. Gdy nikt nie odpowiedział, zerwała plakat, krzycząc:

- To są kłamstwa!

- Nieprawda! - zaprotestowałam. - Byłam tam!

- Więc to ty napisałaś.

Powiedziałam jej, że strażnicy rewolucji otworzyli ogień do niewinnych ludzi.

- Niewinnych? Tylko wrogowie rewolucji, Boga i islamu biorą udział w tego typu zgromadzeniach! Będziesz miała kłopoty! - powiedziała, wskazując na mnie palcem. Po czym odwróciła się i odeszła. Byłam wściekła. Jak śmiała zarzucać mi kłamstwo!

Kilka dni później wraz z grupą przyjaciół zainicjowaliśmy szkolną gazetkę. Co tydzień pisaliśmy krótkie artykuły na bie-

zące tematy polityczne, które bezpośrednio nas dotykały, przepisywaliśmy je ręcznie i puszczaliśmy w obieg po szkole.

Rząd zamknął kilka istniejących jeszcze niezależnych gazet pod zarzutem antyislamskiej propagandy. Czuło się, jakby cały kraj powoli zanurzał się w wodzie - oddychanie stawało się z każdym dniem trudniejsze. Jednak ciągle byliśmy optymistami, wierząc, że wszystkich nie da się utopić.

Od chwili wybuchu wojny z Irakiem reżim islamski obwiniał ją o wszystko. Ceny rosły w zastraszającym tempie. Mięso, produkty mleczne, odżywki dla niemowląt i olej były racjonowane. Matka zwykle szła do sklepu około piątej rano i ustawiała się w kolejce, by wykupić nasze przydziały. Wracała około południa. Prawie wszystko można było dostać na czarnym rynku, ale dyktowane tam ceny były zbyt wysokie dla słabo i średnio zarabiających, a racje zbyt małe.

W samym Teheranie wojna wydawała się czymś odległym. Syreny odzywały się z rzadka, a jeśli nawet, to nic się nie działo. Jednak miasta znajdujące się w pobliżu granicy z Irakiem płaciły wysoką cenę. Rosła liczba ofiar. Codziennie gazety publikowały dziesiątki zdjęć młodych mężczyzn, którzy zginęli na froncie. A rząd robił wszystko, by wykorzystać dla własnych celów gwałtowne emocje i podniecać chęć odwetu. W meczetach mułłowie ogłaszali przez megafony, że w tej wojnie chodzi nie o obronę Iranu, ale o losy całego islamu - Saddam nie był prawdziwym muzułmaninem, lecz sprzymierzeńcem szatana.

Powoli wszystko, co lubiłam, stawało się nielegalne. Zachodnie powieści - moja ucieczka i pocieszenie - zostały uznane za „diabelskie” i coraz trudniej było je zdobyć. Wreszcie, wczesną wiosną 1981 roku, *Khanoom* Mahmoodi oznajmiła mi, że mam postarać się o stopnie z nauki wyznawanej przeze mnie religii. Mniejszości religijne zawsze były zwolnione od uczestnictwa w lekcjach zara-

tusztrianizmu i islamu. Teraz miałam do wyboru albo chodzić na lekcje religii islamskiej, albo dostarczyć do szkoły stopnie z mojego Kościoła. Chociaż wcześniej dobrowolnie chodziłam na lekcje islamu, teraz już nie chciałam. Moja edukacja w tym zakresie była wystarczająca. Stopnie z nauki religii poza szkołą wydawały się pomysłem praktycznym, jednak nie w moim przypadku. Rosyjska Cerkiew Prawosławna w Teheranie od lat nie miała kapłana. Moja matka skontaktowała się z przyjaciółką, a ta skierowała mnie do Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Chociaż kościół znajdował się zaledwie kilka przecznic od naszego mieszkania, nigdy nie zwróciłam na niego uwagi, ponieważ pozbawiony kolorowych witraży wychodzących na ulicę wyglądał szaro i ponuro, jak większość budynków rządowych i ambasad w okolicy. Księża zaoferowali mi pomoc w nauce i zgodzili się wystawiać mi stopnie.

Co tydzień uczestniczyłam w lekcjach katechizmu. Musiałam dzwonić do metalowych drzwi, łączących ulicę z dziedzińcem na tyłach kościoła, po czym automat wpuszczał mnie do środka. Zamykałam za sobą drzwi i szłam wąskim przejściem, wciśniętym pomiędzy kościołem a ceglany murem, który otaczał dziedzińiec. Ksiądz witał się ze mną serdecznie. Potem czytaliśmy Biblię i dyskutowaliśmy o wybranych fragmentach. Po lekcji wchodziłam przez ciężkie, drewniane drzwi do kościoła. Dźwięk skrzypiących zawiasów odbijał się echem od wysokich, sklepionych ścian. Uwielbiałam siadać w ławkach i patrzeć na obraz Maryi: jej długa, różową suknię, błękitną szatę okrywającą włosy i łagodny uśmiech na twarzy. Przed wizerunkiem migotały świece. Ona wiedziała, czym jest strata bliskiej osoby. Sama doświadczyła tego bólu. Tam, w kościele, czułam się jak u siebie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wczesnym popołudniem pierwszego maja 1982 roku Taraneh i pięć innych dziewcząt zostało wezwanych przez głośniki do biura. W więzieniu zaległa cisza. Wszyscy wiedzieli, że tamtych pięć dziewcząt ma wyrok śmierci, ale tylko ja wiedziałam o Taraneh. Jak zwykle Taraneh siedziała w kącie, czytając Koran. Z całej naszej sali została wezwana tylko ona. Zamarłyśmy, patrząc na nią. Wstała, jakby szykując się na małą przechadzkę, by rozprostować nogi. Podeszłam, ale spojrzała na mnie i pokręciła głową. Złapała małą torbę wiszącą na haczyku oraz większą, leżącą na półce i podchodząc do mnie, wcisnęła mi je w ręce.

- Wiesz, że nie mam za wiele. To wszystko. Znajdź sposób, by oddać to moim rodzicom.

Kiwnęłam głową. Taraneh założyła czador i wyszła. Wiedziałam, że moja przyjaciółka idzie na śmierć. Choćbym zdzierła sobie gardło, krzycząc, waliła głową o ścianę, nic by jej nie uratowało. Trzymając w ramionach torby Taraneh, stałam pośrodku sali przez długi czas, aż nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Przez cały dzień nie padło ani jedno słowo. Trwałyśmy w ciszy, jakby ta cisza mogła ocalić życie, dokonać cudu. Czekałyśmy

i modliłyśmy się, bezgłośnie poruszając ustami i płacząc po cichu. Dzień bezszelestnie zbliżał się ku końcowi, horyzont nabrał czerwonych i purpurowych barw. Zapadła noc. Wsłuchiwałyśmy się w nią, oczekując wystrzałów, które wkrótce zabrzmiały - jak szklane obłoki, spadające z hukiem z nieba.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Około czterech i pół miesiąca po moim aresztowaniu zostałam wezwana przez głośniki.
- Marina Morami-Bakht ma założyć hidżab i stawić się w biurze.

Nie miałam pojęcia, czego ode mnie chcieli. Może Hamehd znów za mną zatęsknił. Okryłam włosy szalem i poszłam do biura.

Siostra Maryam powitała mnie z uśmiechem.

- Wrócił Brat Ali - powiedziała - pytał o ciebie.

Założyłam opaskę na oczy i dałam się jej poprowadzić do innego budynku, gdzie miałam czekać. Ledwo oddychałam z powodu ściśniętego gardła.

- Marina, chodź za mną - usłyszałam głos Alego i posłusznie ruszyłam za nim. Zamknął za nami drzwi, kazał mi usiąść i zdjąć przepaskę. Wydawał się wyższy, niż go zapamiętałam, ale może dlatego, że trochę wyszczupłał.

Rozejrzałam się. Byliśmy w pozbawionym okien pokoju. Żadnego łóżka tortur. Na jednej ze ścian wisiał portret Ajatollaha Chomeiniego, który - jak wyjaśnił mi kiedyś Ali - cofnął mój wyrok śmierci. Jego oczy, pod ciemnymi, zmarszczonymi brwiami, patrzyły na mnie z jawnym gniewem. Wyglądał na bardzo złośliwego starca. Obok portretu Chomeiniego znajdował się

obraz przedstawiający prezydenta - Ajatollaha Khamenei, który w porównaniu z Imamem miał raczej łagodny wyraz twarzy.

Utykając, Ali podszedł do metalowego biurka i sięgnął po stojące za nim krzesło. Nie odrywał wzroku od mojej twarzy. Prawie zapomniałam, jak wygląda. Na prawym policzku miał świeżą bliznę.

- Wyglądasz dużo lepiej, niż gdy cię widziałem ostatnim razem - powiedział, uśmiechając się. - Jak się masz?

- Nie najgorzej. A pan?

- Pytasz przez grzeczność, czy rzeczywiście chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć - skłamałam. To, czego faktycznie chciałam, to wyjść z tego pokoju i pobiec z powrotem do 246.

Opowiedział mi, że przez cztery miesiące był na froncie, walcząc z Irakijczykami, ale z powodu postrzału w nogę musiał wrócić. Powiedziała mi, że mi przykro, co było prawdą: nigdy - ani jemu ani, nikomu innemu - nie życzyłam krzywdy.

Uważnie mnie obserwował, a jego twarz nabrała poważnego wyrazu.

- Marina, muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym. Chcę, żebyś mnie wysłuchała i nie przerywała, póki nie skończę.

Zdziwiona kiwnęłam głową. Powiedział mi wówczas, że to ja byłam głównym powodem, dla którego opuścił Evin. Wydawało mu się, że z dała ode mnie jego uczucia ulegną zmianie. Tak się nie stało. Próbował je ignorować, ale tym bardziej przybierały na sile. W tamtej chwili, gdy zaprowadził mnie do łazienki, poczuł, że musi mnie uratować za wszelką cenę i to go przeraziło. Gdy nie wychodziłam, zawołał mnie, ale nie odpowiadałam, więc wszedł i znalazł mnie, leżącą na podłodze. Przez moment myślał, że nie żyję, lecz potem wyczuł mój puls. Wiedział o moim wyroku śmierci i zdawał sobie sprawę z tego, że nie spodobałam się Hamehdowi. Próbował z nim rozmawiać, ale bezskutecznie. Jedynym sposobem uratowania mi życia było

zwrócenie się do samego Ajatollaha Chomeiniego. Ojciec Alego należał do kręgu jego przyjaciół. I tak Ali udał się do Imama i błagał go o darowanie mi życia, zapewniając, że jestem jeszcze bardzo młoda i powinnam mieć szansę na zmianę swoich przekonań. Zdaniem Ajatollaha, ciężące na mnie zarzuty były bardzo poważne i w pełni usprawiedliwiały wyrok śmierci. Ali nie dawał za wygraną. Wreszcie Ajatollah zgodził się zmienić wyrok na dożywotnie więzienie. Ali z pośpiechem wrócił do Evin, gdzie dowiedział się, że Hamehd zabrał mnie na egzekucję. Pojechał za nim, nie przestając się modlić.

Poczułam, jak narasta we mnie panika.

Po rozmowie z Ajatollahem Ali zdecydował wysłać mnie do bloku 246 i wyjechać. Ponieważ uzyskałam przebaczenie od Imama, byłam poza zasięgiem Hamehda. Ali, próbując zapomnieć o mnie, tym intensywniej o mnie myślał. Nadarzyła się dobra okazja do powrotu - postrzał w nogę. Ojciec zawsze mu powtarzał, że podjęcie każdej istotnej decyzji życiowej wymaga czasu i dobrego przemyślenia. Ali podjął decyzję - przez ponad cztery miesiące rozważał wszystkie za i przeciw.

- Chcę, żebyś została moją żoną, Marina. Obiecuję, że będę dobrym mężem i zaopiekuję się tobą. Nie odpowiadaj mi natchmiast. Zastanów się - powiedział.

Nie mogłam do końca zrozumieć, o czym mówi. Nie miało to żadnego sensu. Jak w ogóle mógł mu przyjść do głowy taki pomysł? Nie chciałam wychodzić za niego za męża. Nie chciałam nawet być z nim w tym samym pokoju.

- Ali, musisz zrozumieć, że nie mogę cię poślubić - powiedziałam drżącym głosem.

- Dlaczego?

- Jest mnóstwo powodów!

- Jestem gotowy ich wysłuchać. Pamiętaj, że myślałem o tym od miesięcy, ale nigdy nie wiadomo - może coś przeoczyłem. Proszę, podaj mi swoje powody.

- Nie kocham cię i nie jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Nie oczekuję twojej miłości. Ona może nadejść później, gdy dasz mi szansę. Mówisz, że nie jestem ci przeznaczony. A kto jest? Andre?

Zaniemówiłam. Skąd dowiedział się o Andre?

Powiedział mi, że kiedyś, gdy spałam, czuwał przy mnie. We śnie wołałam Andre. Zrobił więc mały wywiad i dowiedział się, kim dokładnie jest Andre i gdzie mieszka. Chociaż Andre nie miał żadnej kartoteki, Ali zapewnił mnie, że bez problemu może się o taką postarać.

Choć wiedziałam, że czasami mówię przez sen, to trudno było mi uwierzyć w jego słowa. Być może obserwowali mnie przed aresztowaniem i w ten sposób dowiedzieli się o Andre. To ja go w to wciągnęłam. Co mogłam teraz zrobić?

- Chcesz go tu zobaczyć? - spytał Ali. - Może na łóżku tortur? Pozwól mu żyć jego własnym życiem. Musisz pogodzić się z faktem, że twój świat całkowicie zmienił się w chwili, gdy zostałaś aresztowana. I nie zapominaj o rodzicach. Jestem pewien, że nie chcesz ich narażać. Dlaczego mieliby płacić za twoje błędy? Obiecuję, że będziesz szczęśliwa. Pokochasz mnie.

Powiedziałam mu, że nie ma prawa mi tego rpić. Był innego zdania - czyżbym zapomniała, że uratował mnie przed pewną śmiercią? Jako wróg islamu nie miałam żadnych praw. Ali był przekonany, że wyświadcza mi przysługę. Według niego, nie miałam pojęcia, co jest dla mnie najlepsze.

Rozpaczliwie próbowałam znaleźć jakąś drogę ucieczki. Moja śmierć rozwiązałyby wiele problemów.

- Za dobrze cię znam - powiedział, wrywając mnie z moich myśli. - Wiem dokładnie, o czym teraz myślisz. O samobójstwie. Widzę to w twoich oczach, ale wiem też, że tego nie zrobisz. Nie należysz do tych, którzy się poddają. To wbrew twojej naturze. Podobnie jak ja, jesteś typem wojownika. Zapomnij o przeszłości, a czeka nas cudowne życie. Na wszelki wypadek - jeśli w jakikolwiek sposób spróbujesz zrobić sobie krzywdę, twój Andre zginie. Zapłaci za ciebie.

„Cudowne życie”? Z nim? Groził mi śmiercią Andre i aresztowaniem rodziców.

- Daję ci trzy dni na zastanowienie. Pamiętaj, nie zrób jakiegoś głupstwa. Wszystko, co powiedziałem, traktuję bardzo poważnie.

Naraziłam na niebezpieczeństwo życie Andre i rodziców. Musiałam zrobić wszystko, by ich chronić. Dla mnie, z wyrokiem dożywocia, nie było odwrotu. Prawie żałowałam, że w ogóle poznałam Andre.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po raz pierwszy spotkałam Andre podczas niedzielnej mszy w moim nowym katolickim kościele. Tego dnia, po zakończonym nabożeństwie, poszłam do małego biura, by porozmawiać z księdzem. Gdy czekałam, wszedł Andre, sprawujący wówczas funkcję organisty. Podczas mszy, choć siedziałam z tyłu, zauważyłam, jak był przystojny. Wydawało mi się, że patrzę na wersję „Dawida” Michała Anioła, tyle że w ubraniu. Miał owalną twarz ze zdecydowanym arystokratycznym nosem, kręcone, złote włosy opadały mu na czoło, a oczy przypominały mi kolorem Morze Kaspijskie w pogodny dzień. Był piękny. Zaczerwieniona spuściłam wzrok w nadziei, że moje myśli nie są zbyt oczywiste. Przedstawiliśmy się sobie.'

Ponieważ społeczność kościelna była bardzo niewielka, każdy nowo przybyły wywoływał duże zainteresowanie. Andre spytał mnie, czy jestem studentką, a gdy mu powiedziałam, że chodzę do dziesiątej klasy, wyraźnie się zmieszał. Opowiedziałam mu o moich rosyjskich korzeniach. Andre studiował na wydziale elektrycznym uniwersytetu teherańskiego, ale z powodu zamknięcia wszystkich wyższych uczelni i oczekiwanej islamskiej rewolucji kulturalnej chwilowo uczył angielskiego, fizyki i matematyki w jednej z ormiańskich szkół.

W miarę jak rozmawialiśmy, czułam wzbierające we mnie emocje. Andre mówił spokojnie, łagodnym głosem. Powiedziałam mu, że podoba mi się jego muzyka, ale on sam uważał siebie za nowicjusza. Po rewolucji, gdy państwo przejęło wszystkie należące do kościoła szkoły dla chłopców, wielu księży zostało oskarżonych o szpiegostwo i deportowanych. Andre uczęszczał do takiej szkoły przez dwanaście lat. Jeden z księży oczekujących na deportację pracował przez długi czas jako organista. Choć Andre nigdy nie grał na żadnym instrumencie, ksiądz udzielił mu kilka lekcji muzyki i wyjeżdżając, przekazał swoje obowiązki.

- Powinnaś dołączyć do naszego chóru — stwierdził Andre.
- Właśnie poszukujemy kandydatów.

Powiedziałam mu, że nie umiem śpiewać.

- Spróbuj. Będzie miło. Najbliższą próbę mamy w środę o szóstej po południu. Nie masz innych planów na ten wieczór?

- Nie.

- Dobrze, w takim razie widzimy się w środę.

Wstał i podał mi rękę.

Gdy wyszedł, mogłam odetchnąć.

Aram nadal odprowadzał mnie do domu przynajmniej raz w tygodniu. Był w dwunastej, ostatniej klasie.

- Zamierzamy wyjechać z Iranu za kilka miesięcy i - jeśli się uda - dotrzeć do Stanów - powiedział mi któregoś ciepłego, słonecznego popołudnia na wiosnę. Spodziewałam się tego. Przez ponad dwa lata byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Nie chciałam go stracić, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że najlepszym rozwiązaniem dla Arama było opuszczenie Iranu i szansa na nowe życie z dala od bolesnych wspomnień, które dzieliliśmy.

Powiedziałam mu, że cieszę się ze względu na niego. Zatrzymał się i spojrzał na mnie - w oczach miał łzy. Żałował, że nie mogę z nim jechać i martwił się o moje bezpieczeństwo. Wielu jego

znajomych ze szkoły zostało aresztowanych i osadzonych w Evin. Nikt nie wrócił stamtąd żywy. Powiedziałam mu, że histeryzuje, ale jego zdaniem nie miało to nic wspólnego z histerią.

- Aram, nie ma powodu do niepokoju - zapewniałam.

- Arash też tak mówił... Zaczekaj. Właśnie na coś wpadłem. Nie, to chyba niemożliwe... choć z drugiej strony...

Zatrzymał się na środku wąskiego chodnika, przed niewielkim warzywniakiem. Pudła i kosze wypełnione owocami i zieleciną blokowały jego część.

- Chyba nie zamierzasz ze sobą skończyć? — spytał nagle, prawie przez łzy.

Zapewniłam go, że nie myślę o samobójstwie.

Postawna kobieta, która próbowała minąć nas i wejść do sklepu, zniecierpliwiona czekaniem na koniec naszej rozmowy powiedziała wreszcie „przepraszam” i popchnęła nas na wielką skrzynkę cebuli. Odzyskując równowagę, Aram spojrzał w moją stronę. Zeszedł z przejścia i raz jeszcze zapewniłam go, że nie ma powodu, by się o mnie martwić. Gdy ruszyliśmy dalej, wyciągnęłam do niego rękę. Odrzucił ją.

- Co robisz? Aresztują nas! - powiedział, rozglądając się wokół, a twarz zrobiła mu się purpurowa.

- Przepraszam... Idiotka ze mnie! Nie pomyślałam... - łykałam łzy.

- To ja przepraszam, Marina. Nie chciałem być niegrzeczny. Ale jak mógłbym żyć, wiedząc, że cię wychłostali, ponieważ trzymałaś mnie za rękę?

- Przepraszam.

- Widzisz, to kolejny powód, dla którego powinnaś wyjechać. Trzymanie się za rękę to nie przestępstwo. Powiedz o tym komuś, kto żyje w normalnym kraju, a pomyśli, że to kiepski żart.

Po chwili przypomniałam sobie, o co chciałam go spytać. Szukałam kogoś, kto potrafił tłumaczyć z rosyjskiego na perski. Wyjaśniłam Aramowi, że babcia podarowała mi przed śmiercią spisaną historię swojego życia. Potrzebowałam kogoś, kto przetłumaczyłby ją na perski. Spytał, dlaczego nie zwróciłam się z tym do własnych rodziców. Chodziło o to, że babcia powierzyła swój pamiętnik właśnie mnie. Może nie chciała, by trafił do rodziców. Musiałam znaleźć zupełnie obcą osobę, która pomogłaby mi w tłumaczeniu. Aram przypomniał sobie, że Irena miała przyjaciółkę, co prawda nieco ekscentryczną, ale znającą wiele języków, w tym biegle rosyjski i perski. Obiecał, że do niej zadzwoni.

Byliśmy prawie w połowie drogi do domu, gdy zauważyłam nadciągającą burzę. Czarne chmury przykryły niebo. Wydało mi się dziwne, jak piękny, słoneczny dzień może zmienić się w ciągu zaledwie kilku minut. Usłyszeliśmy pierwszy grzmot. Zaczęło padać. Może zdążymy dotrzeć do domu, zanim burza rozsiale się na dobre? Nie, było już za późno. Zagrzmiało i lwnął deszcz. Porywisty wiatr pochylał drzewa i zamieniał strugi wody we wściekłe fale. Musieliśmy stanąć. Ulica i jej ciepłe kolory zniknęły za ścianą deszczu. Nie mogąc odnaleźć drogi, staliśmy zagubieni, świadomi, że nie pozostaje nic innego, jak tylko stawić czoło burzy. Musieliśmy zamknąć oczy i uwierzyć, że zaraz minie.

Następnego dnia Aram zadzwonił z informacją, że rozmawiał z przyjaciółką Ireny - Anną, która zgodziła się ze mną spotkać. Kilka dni później wraz z Aramem udałam się do jej domu, stojącego przy cichej uliczce w okolicy alei Takht-eh Tavoos. Gdy zadzwoniliśmy do drzwi, z głębi przylegającego do ulicy podwórka dobiegło nas szczekanie psa.

- Kto tam? - usłyszeliśmy zza drzwi kobiecy głos, zwracający się do nas po persku. Odpowiedzieliśmy i Anna wpuściła nas

do środka. Mogła mieć po siedemdziesiątce, szczupła i wysoka, z pięknymi, opadającymi do ramion włosami, które były nadzwyczaj gęste i czarne. Miała na sobie białą jedwabną bluzkę i błękitne dżinsy. Przywitała nas po rosyjsku. Towarzyszył jej owczarek niemiecki. Mały, dwupoziomowy dom Anny wypełniony był tropikalnymi roślinami. By wejść do salonu, musieliśmy odgarnąć zwisające liście. W pokoju, na drążku siedziała kolorowa papuga, a z klatki dobiegał śpiew pary kanarków. Czarny kot otarł mi się o nogi. Powietrze pachniało wilgotną ziemią, a ściany zawieszane były półkami pełnymi książek.

- Gdzie macie tekst? - spytała mnie, gdy usiedliśmy. Przerzuciła przyniesiony przeze mnie rękopis.

- Przetłumaczenie tego zajmie mi kilka godzin.

Wstała i skierowała nas do drzwi.

- Irena bardzo cię lubiła, Marina. Możesz przyjść jutro o wpół do piątej.

Następnego dnia, prawie natychmiast po dzwonku Anna otworzyła nam drzwi, trzymając w ręce rękopis babci i tłumaczenie.

- Proszę, kochana. Twoja babcia była smutną, ale silną kobietą - powiedziała i zamknęła nam drzwi przed nosem.

- Mówiłem ci, że ona jest trochę dziwna - powiedział Aram i wybuchnął śmiechem.

Zaraz po powrocie do domu przeczytałam tłumaczenie. Zajęło około czterdziestu stron. Napisane było ręcznie pięknym charakterem pisma i perfekcyjnie gramatycznie. Gdybym nie wiedziała, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że perski nie był pierwszym językiem autorki.

W wieku osiemnastu lat moja babcia Ksenia Muratowa zakochała się w przystojnym, dwudziestotrzyletnim mężczyźnie o imieniu Andriej. Miał złote włosy, wielkie niebieskie oczy i był komunistą. Ksenia błagała go, by nie chodził na antycar-

skie demonstracje, ale nie chciał jej słuchać. Marzyła mu się potężniejsza Rosja, w której nie byłoby biedy. Ksenia wspominała, że Andriej wyznawał wiele pięknych, ale nierealnych idei i że był bardzo naiwny. By go chronić, zaczęła chodzić z nim na manifestacje. Podczas jednej z nich żołnierze kazali się rozejść tłumowi, a gdy nikt nie usłuchał rozkazu, otworzyli ogień.

Ludzie rzucili się do ucieczki - pisała Ksenia - Odwróciłam się. Leżał na ziemi, krwawiąc. Trzymałam go w ramionach, póki nie umarł. Żołnierze mieli litość nade mną i pozwolili mi zabrać go do jego matki. Ciągnęłam jego ciało ulicami Moskwy. Kilku młodych ludzi podeszło, by mi pomóc. Nieśli go, a ja patrzyłam, jak krew kapie na ziemię. Od tego czasu nigdy nie spałam spokojnym snem. Nadal budzę się i widzę jego krew na moim łóżku.

Kilka miesięcy później Ksenia spotkała swojego przyszłego męża - swojego dziadka Esaha. Był jubilerem - miłym, młodym człowiekiem. Nie pamiętała, jak ani kiedy zakochała się w nim. Wkrótce oświadczył się i został przyjęty. Pobrali się, mieli córkę, którą nazwali Tamara. Jakiś czas później zostali zmuszeni do opuszczenia Rosji i przyjechali do Iranu. Podróż była szczególnie uciążliwa dla Kseni, wówczas oczekującej drugiego dziecka, czyli swojego ojca. Po dotarciu do Iranu zatrzymali się w mieście Mashad, gdzie urodził się mój ojciec, a potem rodzina przeniosła się do Rasht. Dziadek miał tam kilkoro krewnych. W Rasht nie zostali jednak długo i wkrótce znaleźli się w Teheranie. Teheran był zupełnie innym miastem niż Moskwa i Ksenia bardzo tęskniła za Rosją. Brakowało jej dawnych przyjaciół i rodziny, jednak małżeństwo z Esahem dało jej wiele szczęścia. Nie trwało ono długo: pewnego ranka Esach wyszedł z domu i nigdy nie wrócił. Zamordowali go złodzieje biżuterii, którą zamierzał sprzedać, by kupić dom.

Po tym wydarzeniu życie Kseni stało się trudne i samotne. Tęskniła za powrotem do Rosji, ale tam wszystko było stracone - krwawa rewolucja zabrała jej dom i to wszystko, czym żyła. Nie miała dokąd pójść, a jednocześnie przekonana była, że nie znajdzie swojego miejsca w nowej rzeczywistości.

Zajęła się prowadzeniem pensjonatu, co okazało się ciężką pracą. Mijały lata, dzieci rosły. Tamara wyszła za mąż za Rosjanina i wyjechała do Rosji. Wówczas Ksenia poznała Petera - Węgry, który zatrzymał się w jej pensjonacie. Pomagał jej i dotrzymywał towarzystwa. Po wybuchu II wojny światowej zaproponował jej małżeństwo, a ona przyjęła oświadczenia. Jednak nie dane im było pobrać się. Kraje podzieliły się, Węgry stanęły po stronie Hitlera. Wszyscy przebywający na terytorium Iranu Węgrzy zostali uznani za jeńców wojennych i zesłani do specjalnych obozów w Indiach. Peter zaraził się tam jakąś chorobą i zmarł.

Łzy płynęły mi po policzkach, gdy skończyłam czytać wspomnienia babci. Dobrze znałam przenikające karty rękopisu uczucie przygnębienia, bezsilności i opuszczenia. Rewolucja zniszczyła nas obie. Zarówno ta komunistyczna, jak i islamska skończyły się straszną dyktaturą. Moje życie było jak życie Kseni odbite w krzywym zwierciadle. Musiałam pamiętać, że ona przetrwała. Przetrwam i ja.

W następną środę poszłam na próbę chóru. Stałam obok kobiety, która miała cudowny głos. Po próbie podszedł do mnie Andre. Żałowałam, że nie miałam na sobie lepszego ubrania niż dzinsy i zwyczajny T-shirt. Chociaż hidżab był obowiązkowy, a jego brak mógł skończyć się karą chłosty i więzienia, pod nim kobiety mogły nosić dowolny strój. Gdy szłam do kościoła, do

przyjaciół czy rodziny, zdejmowałam hidżab zaraz po przybyciu na miejsce.

- Masz piękny głos - powiedział mi Andre.

- Nie. Stałam obok pani Masoodi. Ona ma piękny głos - roześmiałam się.

Spytałam, skąd pochodzi jego rodzina. Okazało się, że oboje jego rodzice byli Węgrami, natomiast zarówno Andre, jak i jego siostra urodzili się w Teheranie. Siostra Andre miała dwadzieścia jeden lat i niedawno wyjechała na studia do Budapesztu. Andre był o rok starszy.

Fakt, że był Węgrem, wydał mi się z początku dziwnym zbiegiem okoliczności. Ale gdy później o tym myślałam, doszłam do wniosku, że nie było w tym nic niezwykłego. Chrześcijanie stanowili tak znikomą społeczność w Iranie, że wszyscy byliśmy w taki czy inny sposób ze sobą powiązani.

- Chciałabyś nauczyć się gry na organach? - spytał Andre.

- Czy to trudne?

- Wcale nie. Nauczę cię.

- W porządku. Kiedy zaczynamy?

- Może od razu?

Pomimo przerażających wydarzeń podczas manifestacji na placu Ferdosi uczestniczyłam w licznych wiecach organizowanych przez rozmaite ugrupowania polityczne, począwszy od komunistów po mudżahedinów. Chociaż tyle mogłam zrobić, by wyrazić swój protest wobec polityki rządu. Nie wspominałam o tym ani rodzicom, ani Aramowi, ani Andre. Wszystkie zgromadzenia wyglądały mniej więcej podobnie: młodzi ludzie zbierali się na jednej z głównych ulic, rozwijano transparenty potępiające rząd, tłum ruszał, skandując te same slogany, a po chwili gaz łzawiący wypełniał powietrze. Z oczu płynęły mi łzy,

a gardło płonęło. Potem wystrzały - zjawiała się gwardia rewolucyjna. Każdy ruszał biegiem najszybciej jak mógł, schylając głowę. Wyostrzał się wzrok, kolory stawały się wyraźniejsze. „Unikaj militarnej zieleni. Trzymaj się z daleka od brodatych mężczyzn” - powtarzałam sobie. Błędem była próba uciekania wąskimi uliczkami - w takich warunkach aresztowanie czy pobicie stawało się dużo bardziej prawdopodobne. Im szersza ulica, tym większa szansa na przetrwanie. Kilka razy musiałam chować się za śmierzdzącymi kontenerami na śmieci czy skrzyniami gnijących owoców i warzyw. Z wyjątkiem tamtego jednego razu na placu Ferdosi nie widziałam rannych, ale zawsze ktoś opowiadał, że był świadkiem, jak ludzie padali na ziemię albo że widział rozmażaną na chodniku krew. Za każdym razem, gdy wracałam do domu po demonstracji, serce waliło mi z podniecenia. Znów mi się udało. Może byłam odporna na kule i drewniane pałki.

Około dwóch tygodni przed letnimi wakacjami Gita, która skończyła właśnie szkołę średnią i czekała na otwarcie uniwersytetu, odwiedziła mnie w nocy, przynosząc zaproszenie od jednej ze swoich przyjaciółek o imieniu Shahrzad. Wyjaśniła, że Shahrzad była studentką, a w czasach szacha spędziła trzy lata w więzieniu za działalność polityczną. Słyszała o mojej roli w strajku szkolnym oraz o tym, że czytałam kilka książek rozprowadzanych przez jej ugrupowanie polityczne. Co więcej, przeczytała kilka moich artykułów, jakie kiedyś napisałam do szkolnej gazetki. Spytałam Gitę o powód, dla którego Shahrzad chciała się ze mną spotkać. Jak się okazało, mała być to próba zwerbowania mnie do Fadayan. Powiedziałam Gicie, że nie zamierzam przyłączyć się do tego ugrupowania. Wierzyłam w Boga i chodziłam do kościoła - niewiele miałam wspólnego z Fadayan.

- Popierasz rząd? - spytała Gita.

- Nie, nie popieram.
- Jesteś albo z nimi, albo przeciwko nim.
- Nawet jeśli jestem przeciwko nim, nie czyni to ze mnie komunistki. Szanuję ciebie i twoje przekonania, ale nie chcę się mieszać do polityki.

- Moim zdaniem, to już się stało, jakkolwiek tego nie widzisz. Daj jej szansę. Chodzi tylko o krótką rozmowę. Znajdziemy cię jutro w drodze do domu ze szkoły.

Nie chciałam spierać się z Gitą, więc zgodziłam się na spotkanie z Shahrzad.

Shahrzad i Gita zjawiły się natychmiast, gdy tylko przekroczyłam próg szkoły następnego dnia. Gita przedstawiła nas sobie, ale zaraz zniknęła, tłumacząc się jakimiś sprawami do załatwienia. Shahrzad nie przypominała żadnej ze znanej mi dziewcząt. Miała bardzo smutne oczy i bez przerwy rozglądała się nerwowo dookoła.

- Z tego co słyszałam, wynika, że jesteś urodzonym przywódcą - powiedziała, gdy ruszyliśmy w stronę mojego domu.
- Nie o każdym można to powiedzieć. Ludzie cię słuchają. Czytałam twoje artykuły w gazetce szkolnej. Są bardzo dobre. Masz wybór. Ten rząd doprowadzi kraj do ruiny a ty możesz z tym coś zrobić.

- Shahrzad, szanuję twoje poglądy, ale nic nas nie łączy.

- Myślę, że jednak tak. Mamy tego samego wroga, więc jesteśmy przyjaciółkami.

Spytała mnie, czy chciałabym czymś się odznaczyć. Wyjaśniłam jej, że moje ambicje w tym względzie są zasadniczo różne od jej ambicji. Nagle zatrzymała się, patrząc na młodego człowieka, który właśnie przeszedł obok nas. Rzuciła krótkie „do widzenia” i zniknęła za rogiem. Nigdy więcej jej nie widziałam.

Chciałam mieć nowe ubrania. Coś oprócz wytartych dżinsów, znoszonych swetrów i adidasów. Był jednak problem. Poziom inflacji po rewolucji osiągnął taki pułap, że - wiedziałam - rodzice nie mieli żadnych zaoszczędzonych pieniędzy. Nie było przyjęte, by nastoletnie dziewczyny pracowały, więc musiałam ruszyć głową i znaleźć sposób na zdobycie pieniędzy. Szczególnie drogie były ładne buty.

Moi rodzice, Ciocia Zenia i wujek Ismael z żoną spotykali się raz na kilka tygodni, by grać w remika. Grali na pieniądze i traktowali grę bardzo poważnie. Wiele razy obserwowałam ich i dobrze poznałam zasady gry. Któregoś wieczoru, gdy żona wujka była chora i nie mogła grać, zaferowałam swoją osobę w jej miejsce. Ciocia Zenia uznała to za świetny pomysł i wszyscy dali mi trochę pieniędzy, bym mogła wejść do gry. Przed świtem zamieniłam swoje sto tomanów na dwa tysiące. Następnego dnia ruszyłam w miasto na zakupy - kupiłam sobie eleganckie spodnie, bluzki i trzy pary butów na wysokim obcasie. Zaraz potem zjawiłam się w kościele, wystrojona w ciuchy kupione za wygrane w karty pieniądze. Na tę okazję wybrałam czarne spodnie, białą jedwabną bluzkę i czarne pantofle ze spiczastymi noskami.

Gdy jeszcze żyła babcia, a rodzice spotykali się w naszym domu z rodziną i przyjaciółmi, by grać w karty, babcia zawsze kręciła głową, mówiąc mi, że hazard jest zły, że niszczy przyjaźnie i rodzinne więzi i że Bóg go nie akceptuje. Uprawianie hazardu było grzechem. Wiedziałam o tym doskonale i czułam się winna. Miałam jednocześnie pewność, że Bóg rozumie moją sytuację. Na wszelki wypadek postanowiłam jednak wyznać ten grzech przy najbliższej spowiedzi.

Ogromnie podobał mi się delikatny stukot moich modnych pantofli, gdy szłam główną nawą przez kościół, by usiąść w ławce

przeznaczonej dla chóru. Jeszcze większą radość sprawiły mi pełne uznania uwagi, szeptane przez pozostałych członków chóru. A gdy zobaczył mnie Andre, czułam na sobie jego wzrok przez dłuższą chwilę. Podczas mszy obserwował mnie kątem oka.

Andre nalegał, bym uczyła się grać na organach, ale im bardziej naciskał, tym lepiej uświadamiałam sobie mój brak talentu. Większość wolnego czasu spędzał w kościele, zajmując się drobnymi naprawami, od piszczałek organowych po meble. Zwykle prosił, bym dotrzymywała mu towarzystwa. Z radością na to przystawałam. Andre opowiadał mi o swoim życiu, rodzinie i przyjaciółach.

Przed drugą wojną światową jego ojciec Mihaly, wówczas młody stolarz, przyjechał do Iranu, by pracować przy budowie nowego pałacu szacha. W Budapeszcie zostawił narzeczoną Julianę, mając nadzieję, że po zakończeniu kontraktu wróci do kraju. W Europie wybuchła jednak wojna, a Węgry opowiedziały się za Niemcami. Wojska sprzymierzone wkroczyły do Iranu, by zabezpieczyć zaopatrzenie Rosji od południa. Podobnie jak narzeczony mojej babci, Peter, także Mihaly trafił do obozu w Indiach. Jednak w przeciwieństwie do Petera, Mihaly przeżył. Po wojnie zamiast na Węgry wrócił do Iranu, gdyż jego ojczysty kraj trafił pod kontrolę komunistów. Obywatelom węgierskim nie wolno było wyjeżdżać z kraju, więc Juliana nie mogła dołączyć do narzeczonego. Musiała pozostać na Węgrzech aż do roku 1956, gdy w wyniku antykomunistycznej rewolucji otwarto granice państwa i Juliana znalazła się jako uchodźca w Austrii, by później, po osiemnastu latach rozłąki, odnaleźć swoją dawną miłość w Iranie. Mihaly i Juliana pobrali się natychmiast i mieli dwoje dzieci: syna Andre i młodszą o piętnaście miesięcy córkę. Juliana zmarła, gdy Andre miał zaledwie cztery lata, a jego siostra dwa i pół. Po jej śmierci jedna z siostr Mihala, pra-

wie sześćdziesięcioletnia samotna kobieta przyjechała do Iranu, by pomóc bratu w wychowaniu dzieci. Z czasem okazało się, że wspaniale wypełniła miejsce zmarłej matki.

Któregoś dnia, gdy siedzieliśmy przy organach w pustym kościele, opowiedziałam Andre o moich kłopotach w szkole - o strajku, o liście, którą *Khanoom* Bahman widziała w gabinecie dyrektorki, oraz o tym, że *Khanoom* Mahmoodi nienawidziła mnie. Wielkie błękitne oczy Andre zrobiły się jeszcze większe.

- Zrobiłaś to wszystko? - pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Owszem. Mój problem polega na tym, że nie potrafię trzymać języka za zębami.

- Dziwne, że jeszcze cię nie aresztowali.

- Wiem. Mnie też to dziwi.

Dotknął mojej ręki i poczułam, jak przyspiesza mi serce. Jego dłoń była lodowata.

- Musisz wyjechać z kraju - powiedział.

- Andre, bądźmy realistami. W tej sytuacji nigdy nie dostanę paszportu, a nielegalne przekroczenie granicy jest nie tylko niebezpieczne, ale przed wszystkim wymaga mnóstwa pieniędzy. Moich rodziców na to nie stać.

- Czy twoi rodzice wiedzą o wszystkim?

- Znają część prawdy.

- Chcesz więc powiedzieć, że czekasz, aż cię zaaresztują?

- A jaki mam wybór?

- Ukryć się.

- Znajdą mnie. Poza tym, gdzie miałabym się ukryć? Czy wolno mi narażać innych?

Zdałam sobie sprawę z mojego podniesionego głosu - odbijał się echem od sklepienia. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Andre objął mnie ramieniem. Oparłam się o niego, czując przyjazne ciepło jego ciała. W takich chwilach, przy nim, miałam

silne poczucie przynależności. To było jak powrót do domu po niebezpiecznej podróży. Znowu czułam się zakochana, co wzbudziło we mnie poczucie winy - nie chciałam zdradzić Arasha. Ale miłość znalazła swoją drogę - jak wiosna wkradająca się niepostrzeżenie na świat u schyłku zimy. Codziennie było odrobinę cieplej, drzewa okrywały się pąkami, słońce pozostawało na niebie kilka chwil dłużej niż poprzedniego dnia i zanim zdaliśmy sobie sprawę, świat wypełnił się ciepłem i kolorami.

Pod koniec czerwca 1981 roku, kilka dni po tym, jak wraz z matką dotarłam do naszego letniskowego domu, by spędzić w nim wakacje, zadzwonił Aram. Pytał, czy wiem, że pod naciskiem Ajatollaha Chomeiniego parlament postawił w stan oskarżenia prezydenta Banisadra, zarzucając mu sprzeciw wobec egzekucji wykonywanych na więźniach politycznych oraz kwestionowanie dyktatorskich działań Chomeiniego. O niczym nie wiedziałam. W domku mieliśmy jedynie stare, nie do końca sprawne radio, które nie pozwalało na słuchanie wiadomości BBC, a oglądanie lokalnej telewizji nie miało sensu. Kilka dni później Aram poinformował mnie, że Banisadr zdołał zbiec do Francji, lecz wielu jego przyjaciół zostało aresztowanych i skazanych na śmierć. Wyroki wykonano.

28 czerwca matka przypadkiem włączyła telewizor w chwili, gdy siadałyśmy do obiadu. Okazało się, że kilka godzin wcześniej w siedzibie Islamskiej Partii Republikańskiej, gdzie właśnie odbywała się narada, wybuchła bomba i zabiła ponad siedemdziesięciu działaczy partyjnych, z których wielu piastowało urzędy państwowe. Wśród ofiar był Ajatollah Mohammad-eh Beheshti - zwierzchnik wymiaru sprawiedliwości i sekretarz generalny partii. Rząd ogłosił, że bombę podłożyli mudżahedini.

Na początku sierpnia nowym prezydentem został Mohammad Ali Rajai, szeroko znany jako przywódca islamskiej rewo-

lucji kulturalnej. Swoją urzęd sprawował niecałe dwa tygodnie - 30 sierpnia w gabinecie premiera wybuchła bomba, która tym razem zabiła prezydenta, premiera i szefa teherańskiej policji. Winą znowu obciążono mudżahedinów, ale krążyły plotki, że obydwie zamachy były rezultatem wewnętrznej wojny pomiędzy różnymi frakcjami w rządzie.

Wydawało się, że kraj wszedł w okres permanentnej żałoby: na każdym rogu z głośników płynęły religijne śpiewy i ponura muzyka, na ulicach mężczyźni wierni tradycji szyickiej bili się w piersi i okładali po plecach metalowymi łańcuchami, podczas gdy idące za nimi kobiety zawodziły i płakały. Wydarzenia te wstrząsnęły mną do tego stopnia, że jeszcze głębiej pograżyłam się w świecie literackiej fikcji, który wydawał się na ogół bardziej przewidywalny, racjonalny i litościwy niż otaczająca mnie rzeczywistość.

Pod koniec lata zdecydowałam, że nie wracam do szkoły. Jaki miałoby to sens? Nie byłam w stanie dostosować się do nowych zasad, więc jedyne, czego mogłam oczekiwać, to nowe kłopoty z *Khanoom* Mahmoodi i innymi nauczycielami.

Po powrocie do Teheranu czekałam na odpowiedni moment, by powiedzieć matce o moim postanowieniu. Wiedziałam, że nie będzie łatwo. Matka była niezwykle dumna z tytułu wyższej uczelni, który posiadał mój brat, i zawsze ceniła osoby dobrze wykształcone. Nie mogła mnie jednak zmusić do powrotu do szkoły. Zdawałam sobie sprawę, że moja sytuacja stanie się jeszcze bardziej beznadziejna, jeśli spędzę tam choćby jeden dzień więcej.

Kupiliśmy nowe meble do pokoju, który kiedyś służył za studio taneczne mojego ojca - cztery duże krzesła z aksamitną, oliwkowozieloną tapicerką, dwa czarne stoliki kawowe, duży stół z kompletem czterech krzeseł i niski kredens. Część peł-

niąca funkcję poczekalni pozostała bez zmian - okrągły stół otoczony czterema pokrytymi czarną skórą krzesłami. Pomiędzy dwoma z nich stał grzejnik olejowy, przewidziany na chłodne zimowe dni. Matka zawsze lubiła robić na drutach i - szczególnie od czasu zwycięstwa rewolucji - większość wolnych chwil spędzała właśnie przy tym grzejniku, dziergając dla nas swetry. Oprócz tego robiła na szydełku obrusy i narzuty. Gdy tamtego dnia weszłam do pokoju, siedziała właśnie na swoim ulubionym miejscu, zajęta robótką, z okularami zsuniętymi na koniec nosa. Usiadłam na wprost niej, nie mówiąc ani słowa, gdyż nie byłam pewna, od czego zacząć.

- *Maman?*

- Tak?

Nie podniosła głowy.

- Nie mogę wrócić do szkoły. Przynajmniej nie w tym roku.

Upuściła na kolana niedokończony sweter i spojrzała na mnie znad okularów. Choć miała prawie pięćdziesiąt sześć lat i na jej czole oraz wokół oczu pojawiło się kilka zmarszczek, to nadal była piękną kobietą.

- Co takiego?

- Nie mogę wrócić do szkoły.

- Czy postradałaś zmysły?

Powiedziałam jej wówczas, że w szkole nie uczą nas niczego pożytecznego. Jeśli zostałamby w domu, nie musiałabym mieć do czynienia z nauczycielami, którzy jednocześnie byli członkami gwardii rewolucyjnej. Obiecałam, że przerobię cały materiał w domu i pójdę na egzaminy.

- Wiesz, że jestem w stanie to zrobić - powiedziałam.

- Prawdopodobnie wiem więcej niż ci nowi nauczyciele.

Matka westchnęła i spuściła oczy.

- *Maman*, nie każ mi wracać - szlochałam.

- Pomyślę o tym.

Pobiegłam do pokoju.

Następnego ranka, gdy matka weszła do pokoju, moje oczy były tak spuchnięte od całonocnego płaczu, że prawie nie mogłam ich otworzyć. Jakby cały mój smutek i poczucie bezsilności wylały się razem z łzami. Matka stanęła przy drzwiach balkonowych, wyglądając na ulicę.

- Możesz zostać w domu - powiedziała - ale tylko przez rok. Zadecydowali o tym razem z ojcem.

Pewnego wieczoru na początku września Aram przyszedł pożegnać się - następnego dnia wyjeżdżał z kraju. Miałam wrażenie, że płakał.

- Będę za tobą tęskniła. Uważaj na siebie - powiedziałam, kontrolując własny głos. Nie wspominałam mu dotąd o Andre i doszłam do wniosku, że teraz powinien wiedzieć. Wyjaśniłam więc, że spotkałam kogoś w moim nowym kościele - kogoś, kogo bardzo polubiłam.

Był zaskoczony i spytał, jak długo trwa ta znajomość. Powiedziałam mu, że Andre poznałam na wiosnę.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? Myślałam, że nie mamy przed sobą tajemnic - powiedział.

- Nie miałam pewności. Nie chciałam zbyt blisko zbliżyć się do nikogo.

Zrozumiał.

Wszyscy chłopcy mieli obowiązek odbyć służbę wojskową po ukończeniu szkoły średniej, chyba że udało im się dostać na uniwersytet lub uzyskać oficjalne zwolnienie, na przykład z powodów zdrowotnych, ale nie tylko. Ojciec Arama otrzymał takie zwolnienie dla syna dlatego, że jego brat uznany został za

męczennika, a poza tym Aram był jedynym żyjącym dzieckiem swoich rodziców. Nie musiał iść do wojska, ponieważ jego rodzina poświęciła już jednego syna. Aram widział w tym ironię losu — zmarły brat ratował mu życie. Rząd wydał oficjalny paszport, więc mógł legalnie opuścić kraj.

Pewnego dnia w listopadzie 1981 roku zadzwoniła do mnie Sara z wiadomością, że natychmiast musi się ze mną widzieć. Głos jej drżał, ale nie chciała powiedzieć nic więcej przez telefon. Pobiegłam do jej domu i znalazłam ją czekającą na progu. Rodziców i brata nie było. W swoim pokoju Sara rzuciła się na łóżko - miała oczy spuchnięte i czerwone od płaczu.

Powiedziała mi, że dwa dni wcześniej strażnicy rewolucji przyszli do domu Gity z nakazem aresztowania. Gity akurat nie było, więc zabrali jej matkę i dwie siostry, uprzedzając ojca, że jeśli w ciągu tygodnia Gita nie odda się w ich ręce, jedną z sióstr czeka egzekucja. Więc Gita stawiała się w Evin - jej matkę i siostry wypuszczono.

- Marina... wiesz, jak ona jest uparta. Zabijają ją. Ona nie umie powstrzymać języka. My pewnie będziemy następni. W każdym razie Sirus, ale on twierdzi, że każdemu, kto otwarcie wypowiadał się przeciwko rządowi, grozi aresztowanie.

Sirus miał rację. Zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później przyjdą po nas. Dobrze wiedzieli, kogo szukają. Znali nasze adresy. Nigdy nikomu nie wspomniałam o liście, ponieważ nie wiedziałam, kto jeszcze na niej figurował. Nie chciałam nikogo straszyć ani narobić kłopotów *Khanoom Bahman*.

- Tak, prawdopodobnie będziemy następni. To tylko kwestia czasu i nic nie możemy na to poradzić. Nie możemy uciec, bo wówczas skrzywdzą naszych rodziców - powiedziałam.

- Ale nie możemy tak po prostu siedzieć tutaj i czekać.

- Co zamierzasz zrobić?

- Przynajmniej powiem rodzicom - powiedziała Sara.

- Wpadną w panikę. Nic nie da się zrobić, chyba że znikniecie wszyscy razem. Gdybym ja powiedziała swoim rodzicom i tak by mi nie uwierzyli. Nie martw się na zapas. Nie może być aż tak źle. Ludzie przesadzają. Przecież niczego nie zrobiliśmy. Gita rzeczywiście zaangażowała się w politykę, ale dlaczego mieliby się przejmować nami?

- Masz rację. Nie ma co wpadać w panikę. Niczego nie zrobiliśmy.

ROZDZIAŁ

PIĘTNASTY

Po oświadczeniach Ali odprowadził mnie z powrotem do bloku 246. Gdy tylko weszłam do sali, przyjaciółki otoczyły mnie, ciekawe tego, co się wydarzyło. Powiedziały im, że Ali wrócił i chciał wiedzieć, jak sobie radzę. Widziałam w ich oczach, że mi nie wierzą. Martwiły się, ale nie mogły nic zrobić.

Nie chciałam, żeby moje koleżanki dowiedziały się o propozycji Alego. Dręczyło mnie poczucie winy i wstyd. Naraziłam Andre i rodziców na niebezpieczeństwo. Nie mając wątpliwości, że groźby Alego są realne, musiałam zrobić to, czego ode mnie oczekiwał.

Przypomniałam sobie pocałunek Arasha. Było to najwspanialsze uczucie na świecie, ponieważ go kochałam. Czy Ali też mnie pocałuje? Wytarłam rękawem usta i poczułam na ciele zimny pot.

„Mogą mnie zabić, ale nie chcę, żeby mnie zgwałcili” powiedziała kiedyś Taraneh.

Choć dokładnie nie rozumiałam sensu tego zdania, powtarzałam sobie, że to nie gwałt. Ali chciał się ze mną ożenić. Nie było w tym nic złego... A jednak... Po co się zastanawiać? Wiedziałam przecież, że nie mam wyboru.

Małżeństwo z założenia miało być na zawsze. Czy mogłam być z Alim na zawsze? Może miał na myśli jakiś związek tymczasowy. Słyszałam kiedyś, że islam dopuszcza coś, co nazywało się *sigheh* - doraźne małżeństwo, które mogło trwać zarówno kilka minut jak i wiele lat. Wiedziałam też, że w takim związku kobieta nie miała żadnych praw. To jednak nie robiło mi żadnej różnicy, gdyż byłam więźniem, co z góry wykluczało jakiekolwiek prawa. Może chciał, żebym była jego żoną przez jakiś czas, a potem pozwoli mi odejść. Jeśli tak, to nikt nie musi o tym wiedzieć. Należy utrzymać to małżeństwo w sekrecie tak długo, jak to będzie możliwe.

Mijały godziny, a ja nie byłam w stanie jeść, myśleć czy rozmawiać z kimkolwiek. Nie mogłam nawet płakać. W ciągu dnia przemierzałam w tę i z powrotem korytarz, po czym padałam ze zmęczenia.

Wreszcie trzeciego dnia zdecydowałam się porozmawiać z Siostrą Maryam. Wiedziała o oświadczeniach Alego, więc nie musiałam skrywać przed nią mojego sekretu. Powiedziałam jej, że nie chcę wychodzić za Alego. W odpowiedzi usłyszałam, że w jej rodzinie każde małżeństwo było aranżowane, a kobiety nigdy nie chciały poślubić mężczyzn wybranych przez rodziców. Jej własna matka nienawidziła człowieka, który miał zostać jej mężem, ale ostatecznie była z nim bardzo szczęśliwa. Powiedziałam Maryam, że w istniejących okolicznościach osiągnięcie szczęścia wydaje się mało prawdopodobne. Poza tym w mojej rodzinie kobiety same wybierały sobie mężów. Zwróciła mi wówczas uwagę, że już nie mieszkam ze swoją rodziną i że Alemu zawdzięczam życie. Jej zdaniem, stwarzałam nieuzasadnione trudności.

Minęły moje trzy dni. Czwartego dnia rano zostałam wezwana przez głośnik. Ali czekał na mnie w biurze.

- Nie musisz zakładać opaski - powiedział - porozmawiamy w moim samochodzie.

Wyszliśmy z biura na pozbawiony okien, oświetlony jarzeniówkami korytarz. Do tej chwili poza blokiem 246 i pokojem przesłuchań nigdy nie widziałam Evin od wewnątrz. Było dla mnie sennym koszmarem podniesionych głosów, zadawanych ciosów, krzyków, wystrzałów oraz szmeru gumowych kłapek na linoleum i kamiennych podłogach. Ale miejsce, jakie miałam przed oczami, mogło być dowolnym korytarzem, na przykład w zwykłym rządowym budynku czy w szkole. Dwóch strażników przeszło obok nas, kłaniając się lekko Alemu i pozdrawiając go sowami: *salam aleikom*. Na mnie nie zwrócili uwagi. Ali odkłonił się. Zeszliśmy po schodach w dół, Ali otworzył szare metalowe drzwi i wyszliśmy na zewnątrz. Normalność miejsca, jakie zobaczyłam, była dla mnie prawdziwym szokiem. Evin przypominało kampus uniwersytetu teherańskiego w alei Enghelab. Główna różnica polegała na tym, że więzienie miało więcej otwartej przestrzeni. Poza tym uniwersytet otoczony był ażurowym metalowym płotem, podczas gdy wokół więzienia biegł wysoki ceglany mur z wieżami strażniczymi, w których widać było strażników. Gdzieniedzie pozostawiono grupy starych klonów, a od strony północnej górował nad nami Elbrus.

Ali poprowadził mnie wąską, brukowaną uliczką za róg szarego budynku, gdzie w cieniu drzew stał zaparkowany czarny mercedes. Otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadłam do samochodu. Pachniał nowością. Czułam, jak pot spływa mi po czole. Ali usiadł na miejscu kierowcy i oparł ręce na kierownicy. Zauważyłam, jak długie i szczupłe miał palce, jego paznokcie były czyste i równo przycięte. Ręce pianisty, które przecież należały do śledczego.

- Jaka jest twoja decyzja? - spytał, wpatrując się w sznurek modlitewnych paciorków bursztynowego koloru, zawieszonych na wstecznym lusterku.

Z gałęzi drzewa zerwała się jaskółka i zniknęła w błękitie bezchmurnego nieba.

- Czy chodzi ci o tymczasowe małżeństwo? - spytałam.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- To, co do ciebie czuję, nie jest przelotnym kaprysem. Chcę cię na zawsze.

- Ali, proszę...

- Jaka jest twoja odpowiedź: tak czy nie? I nie zapominaj o konsekwencjach. Traktuję to bardzo poważnie.

- Wyjdę za ciebie - powiedziałam, czując się tak, jakby mnie grzebali żywcem.

Uśmiechnął się.

- Jesteś rozsądną dziewczyną. Wiedziałem, że dokonasz właściwego wyboru. Obiecuję, że nie pożałujesz tej decyzji. Będę się tobą opiekował. Muszę załatwić wszystkie formalności i porozmawiać z moimi rodzicami. To zajmie chwilę.

Zastanawiałam się, co jego rodzice pomyślą o ślubie z więźniarką, do tego chrześcijanką. A co z moją rodziną? Jak zareagują?

- Ali, nie chcę, żeby moja rodzina dowiedziała się o tym małżeństwie, jeszcze nie teraz - powiedziałam. - Nigdy nie byłam blisko z moimi rodzicami. Wiem, że nie rozumieją całej tej sytuacji i tylko wszystko skomplikują.

Nie byłam w stanie dalej powstrzymać łez.

- Marina, nie płacz, proszę. Nikomu nie musisz mówić, póki nie będziesz gotowa. Nieważne, jak długo. Wiem, że to dla ciebie trudne. Zrobię wszystko, żeby było ci łatwiej.

Tak długo, jak długo moi przyjaciele i rodzina nie wiedzieli o tym małżeństwie, dziewczyna, którą byłam przed Evin, miała szansę przeżyć. Mogła żyć, marzyć, mieć nadzieję i kochać, choć musiała się ukryć w nowej postaci - żonie śledczego. Nie miałam pojęcia, jak długo będę w stanie tak żyć, ale miałam zamiar ją chronić - tamtą dziewczynę, prawdziwą Marinę, którą kochali rodzice i Andre i której powrotu oczekiwali.

Ali odprowadził mnie z powrotem do bloku 246. Poprosiłam Siostrę Maryam, żeby jeśli to możliwe, przeniosła mnie do jednej z sal na parterze. Nie chciałam być zmuszona do wyjaśniania czegokolwiek moim przyjaciółkom. Kontakty między piętrami były niemożliwe, więc miałam pewność, że w ten sposób pozostanę sama i anonimowa. Siostra Maryam zgodziła się. Wezwała przedstawicielkę siódmej sali i poprosiła o przyniesienie moich rzeczy do biura, po czym wprowadziłam się do sali numer 6 na parterze, w której podobnie jak w moim poprzednim pokoju na piętrze, przebywało około piętnastu dziewcząt.

Wkrótce potem zaczęłam podupadać na zdrowiu. Wymiotowałam po każdym posiłku, paraliżowały mnie ataki migreny. Z naciągniętym na głowę kocem leżałam w kącie sali, walcząc z bezsennością. Myśli wirowały mi w głowie, by na koniec skupić się wokół Taraneh. Jak bardzo mi jej brakowało! Od chwili, gdy ją zabrali, starałam się o niej nie myśleć - nie chciałam wyobrazić sobie ostatnich godzin jej życia. Dlaczego odwracamy się od rzeczywistości, gdy staje się nie do zniesienia? Powinnam była powiedzieć Siostrze Maryam, że chcę umrzeć razem z Taraneh. Powinnam była spróbować powstrzymać egzekucję. Wiedziłam, że nic by to nie dało, ale należało podjąć próbę. Czy niewinne życie nie było warte, by o nie walczyć, nawet jeśli taka walka skazana była na niepowodzenie? Czułam się odpowiedzialna za śmierć Taraneh, ponieważ zgodziłam się

na jej los. Dlaczego milczałam? Czy z powodu strachu przed własną śmiercią? Nie wierzyłam w to. Być może powodem była nadzieja, nadzieja na powrót do domu. Andre i rodzice czekali na mnie. Jak mogłam wybrać śmierć, jeśli jeszcze nie wezwała mnie z imienia? Zło i dobro przeplatały się i nie wiedziałam, w którą iść stronę.

Stałam w samym środku ciemności. Pustka i otaczające ją czarne wzgórza. Obok mnie stała Taraneh w swoim czerwonym szczęśliwym swetrze i patrzyła przed siebie. Dotknęłam jej ręki i spojrzała na mnie bursztynowymi oczami. Z ciemności wyszedł Ali. Podszedł do nas i przystawił mi pistolet do skroni. Nie byłam w stanie poruszyć się. Swoją drobną ręką Taraneh chwyciła Alego za nadgarstek. „Nie” - powiedziała. Ali przyłożył jej lufę do głowy i pociągnął za spust. Miałam na sobie jej krew. Krzyknęłam.

Obudziłam się z krzykiem uwięzionym w gardle. Płuca odmawiały mi posłuszeństwa. Zobaczyłam nad sobą pochyloną twarz, niewyraźną i zamazaną. Głośne, niezrozumiałe okrzyki wypełniały pokój. Gdy nie można oddychać, jedyne, co się liczy, to złapanie odrobiny powietrza. Próbowałam wyciągnąć rękę i chwycić coś, co uratuje mnie przed uduszeniem. Próbowałam powiedzieć, że nie mogę oddychać. Twarz... należała do Siostry Maryam. Mówiła coś, ale jej słowa wydawały się dobiegać z bardzo daleka. Pokój odpłynął, jakby ktoś z wolna wygasił wszystkie światła.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Alego, rozmawiającego z doktorem Sheikh, który miał na sobie wojskowy mundur. Mogłam teraz oddychać. Otaczały nas białe zasłony. Leżałam w czystym, wygodnym łóżku, przykryta grubym białym prześcieradłem. Głowę okrywał mi biały szal. Z wiszącej na metalowym haczyku plastikowej torebki jasny płyn sączył się do przezroczystej

rukki, która była przymocowana do mojej ręki. Doktor Sheikh pierwszy zauważył, że nie śpię.

- Witaj, Marina. Jak się czujesz? - spytał.

Nie mogłam sobie przypomnieć, co się stało. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Doktor wyjaśnił mi, że w stanie skrajnego odwodnienia przyniesiono mnie do więziennego szpitala. Potem zniknął za zasłoną. Spojrzałam na Alego. Uśmiechał się.

- Idę do domu, żeby przynieść ci trochę jedzenia, przygotowanego przez moją matkę. Jest w stanie każdego postawić na nogi. Spróbuj odpocząć. Obudzę cię, gdy tylko wrócę. Czy chcesz, żebym ci coś przyniósł?

- Nie.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś, że jesteś chora?

- Naprawdę nie wiem, co się wydarzyło.

- Twoje koleżanki z pokoju powiedziały Siostrze Maryam, że od kilku dni wymiotowałaś.

Poczułam łzy w oczach.

- Zawsze miałam problemy z żołądkiem. To nie było nic nowego. Trochę gorzej niż zwykle, ale nie przejmowałam się. Myślałam, że to minie. Koszmary i bóle głowy. Próbowałam...
- poczułam ucisk w piersiach.

Ali nachylił się nade mną, opierając ręce na brzegu łóżka.

- Nie martw się. Już wszystko w porządku. Byłaś chora, to wszystko. Teraz możesz odpoczywać i dochodzić do siebie. Weź głęboki oddech. Bardzo głęboki.

Zrobiłam, jak powiedział.

- Doktor da ci coś na sen. Potrzebujesz odpoczynku. Żadnych koszmarów ani bólu głowy. W porządku?

Obudził mnie głos Alego. Wołał mnie po imieniu, trzymając w rękach miskę domowego rosółu. Zupa pachniała cytryną.

W domu zawsze dodawałam trochę soku cytrynowego do rosółu. Ali powiedział, że zdaniem lekarza świeże powietrze i zmiana otoczenia powinny dobrze mi zrobić. zaproponował przejażdżkę samochodem. Spytałam, czy chodzi mu o wyjście poza teren Evin. Okazało się, że tak - miałam skończyć zupę i mogliśmy jechać.

Zjadłam zupę i Ali pomógł mi usiąść na wózku, po czym odsunął białą zasłonę. Byliśmy w dużej sali, podzielonej podobnymi zasłonami na szereg odrębnych izolatek. Dwie z nich były odsłonięte i zauważyłam dwa łóżka - jedno puste, drugie zajęte przez dziewczynę mniej więcej w moim wieku. Spała. Na głowie miała granatową chustę, a ciężka biała narzuta okrywała ją aż po brodę. Sala pozbawiona była okien. Ali popchnął wózek inwalidzki, na którym siedziałam, i po chwili znaleźliśmy się na wąskim korytarzu. Podobnie jak wcześniej, nikt nie kazał mi zakładać przepaski na oczy. Ali otworzył zewnętrzne drzwi i musiałam zmrużyć oczy, oślepią jasnością słońca. Poprowadził mój wózek po schodzącej w dół rampie.

Niebo wyglądało jak morze do góry nogami - pienne fale chmur płynęły ku linii horyzontu. Minęliśmy kilka kobiet w ciemnogramatowych czadorach, z opaskami na oczach. Szły w jednym rzędzie jedna za drugą, trzymając się swoich czadorów, prowadzone przez mężczyznę z gwardii rewolucyjnej. Trzymał w ręce linkę, której koniec przywiązany był do kajdanek pierwszej z kobiet. Ciągnął ją za sobą, a reszta szła za nią. Kilka dni wcześniej byłam jedną z nich. Teraz byłam pod ochroną Alego i wszystko się zmieniło. Czułam wstyd. Zdradziłam je. Wszystkich zdradziłam.

Po prawej stronie wysokie klony zasłaniały mi widok, po lewej zobaczyłam piętrowy ceglany budynek, za którym zaparkowany był mercedes Alego. Gdy dotarliśmy do samochodu,

zdałam sobie sprawę, że nie chcę zostać z nim sama. Czułam ogarniający mnie strach.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedział i wziął mnie pod ramię, próbując pomóc mi wsiąść do samochodu. Odepchnęłam go.

- Marina, proszę, nie bój się mnie. Nigdy cię nie skrzywdziłam i nie skrzywdzę.

Miał rację. Nigdy nie sprawił mi bólu.

- Zaufaj mi. Nawet po ślubie będę wyrozumiały i łagodny. Nie jestem potworem.

Nie miałam innego wyjścia, jak tylko mu zaufać. Moje mięśnie były słabe i obolałe. Kręciło mi się w głowie, gdy wstałam, ale szczęśliwie wsiadłam do samochodu, nie tracąc równowagi. Przy wyjeździe Ali pomachał do strażników, którzy otworzyli bramę i po chwili byliśmy poza Evin. Byłam zaskoczona łatwością, z jaką wydostał mnie z terenu więzienia. Prawdopodobnie był dużo ważniejszą osobą, niż sobie dotychczas wyobrażałam.

Ulica wyglądała na opustoszałą i wymarłą, ale w miarę, jak oddalaliśmy się od Evin, świat wokół nas nabierał życia. Pojawili się ludzie, domy, sklepy. Na kawałku wolnej przestrzeni grupa młodych chłopców biegła za plastikową piłką. Ich twarze pokryte były grubą warstwą kurzu. Kobiety niosły do domu zakupy, a mężczyźni gawędzili w niewielkich grupkach. Wszystkie te zwyczajne zajęcia wydawały mi się prawdziwym cudem.

- Jesteś bardzo milcząca. O czym myślisz? - spytał mnie Ali po około pół godzinie.

- O życiu i o tym, jak normalne się tutaj wydaje.

- Obiecuję, że - choć trochę to potrwa - też będziemy mieć normalne życie. Pójdę do pracy, a ty tylko zajmiesz się domem - będziesz chodzić po zakupy, odwiedzać przyjaciół i rodzinę. Będziesz szczęśliwa.

Jak to możliwe, że mówił o swojej pracy w tak lekki sposób? Nie był przecież nauczycielem, lekarzem czy mechanikiem.

- Moi przyjaciele albo nie żyją, albo siedzą w więzieniu i nie jestem pewna, czy moja rodzina w ogóle zechce mnie widzieć - powiedziałam.

- Znajdziesz nowych przyjaciół. A dlaczego uważasz, że twoja rodzina będzie tak zdecydowanie przeciwna naszemu małżeństwu?

- Po pierwsze, z powodu twojej pracy.

- Marina, zaufaj mi. Jest nadzieja. Przekonają się, jak bardzo mi na tobie zależy. Musiałem pokonać wiele przeszkód, by utrzymać cię przy życiu i wiele osób nie akceptuje mojego wyboru. Jeszcze dużo trudności przede mną, ale wszystkim się zajmę. Twoja rodzina zobaczy, że jestem w stanie zapewnić ci dobre życie, i zmieni zdanie. Gdy tylko będziesz gotowa, razem stawimy się przed twoimi rodzicami.

Dlaczego wybrał właśnie mnie? Byłam przecież ucieleśnieniem tego wszystkiego, z czym walczył - chrześcijanką, wrogiem rewolucji, więźniem. Musiał stoczyć walkę, by ocalić mnie od śmierci, a teraz ponownie, by się ze mną ożenić. Po co to robił?

Przez jakiś czas co wieczór zabierał mnie na przejażdżki. Siedząc w samochodzie, próbowałam udawać, że jestem normalnym człowiekiem; próbowałam koncentrować się na kojącym warkocie silnika, na miękkości skórzanych foteli, wreszcie na widoku ulicy, pełnej beztroskiego życia. Chociaż miasto nie zmieniło się nic a nic od dnia mojego aresztowania, to każdy widok, zapach i dźwięk był dla mnie obcy. Głos Alego górował nad innymi doznaniem - opowiadał mi o swojej rodzinie. Był jedynym synem i miał dwudziestopięcioletnią siostrę, mężatkę.

Jego matka jeszcze dwukrotnie zachodziła w ciążę po urodzeniu córki, ale za każdym razem ciąża kończyła się poronieniem. Zgodnie z prawami islamu, mężczyźni mogą poślubić więcej niż jedną kobietę, ale ojciec Alego, Hossein-eh Moosavi, poświęcił swoje życie tylko tej jednej i dwojce dzieci. Pan Moosavi był bardzo religijnym człowiekiem i przez wiele lat wspierał Chomeiniego. Odczuwał dumę z tego, że Ali okazał się dzielnym żołnierzem podczas dżihadu przeciwko szachowi. Poza tym był dobrym biznesmenem, który dorobił się pokaźnej fortuny, ale też nigdy nie zapominał wspierać potrzebujących. Przez wiele lat rodzice czekali, by Ali założył rodzinę, ale w wieku dwudziestu ośmiu lat ich syn pozostawał kawalerem.

- Powiedziałem o tobie rodzicom - wyznał mi podczas jednej z naszych wieczornych przejażdżek.

- I co oni na to? - spytałam.

- Byli przerażeni - powiedział, śmiejąc się.

Może istniała jakaś szansa, że jednak nie będę musiała go poślubić.

- Ale zapewniłem ich, że ty jesteś tą jedyną - ciągnął. - Ze pragnę cię bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Zawsze byłem dla nich dobrym synem. Słuchałem ich, ale ta decyzja należy wyłącznie do mnie. Nie zgodzę się na nic innego. Mam dwadzieścia osiem lat, wiele w życiu przeszedłem i podjąłem decyzję. Chcę, żebyś została moją żoną, moją towarzyszką i matką moich dzieci.

- Ali, pochodzimy z różnych światów. Twoi rodzice nigdy mnie nie polubią. Zawsze będą krytykować moje poglądy.

Zapewnił mnie, że jego rodzice są mili i serdeczni i że bez wątplenia mnie pokochają.

Zamknęłam oczy, próbując nie myśleć.

Po chwili Ali powiedział, że pozostaje jeszcze jedna rzecz, którą musimy omówić. Wiedział, że mi się to nie spodoba, ale nalegał, twierdząc, że chodzi tylko o formalność.

- Ojciec powiedział mi, że jeśli przejdiesz na islam, to nie tylko nie będzie sprzeciwiał się naszemu małżeństwu, ale będzie mu więcej niż przychylny. Rodzice z dumą zaakceptują cię jako córkę. Będą cię wspierać i chronić jak własne dziecko. Marina, bardzo mi na tym zależy. Chcę, żebyś była ze mną i żeby moja rodzina cię kochała. Od chwili, gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że musimy być razem.

Straciłam rodzinę, mężczyznę, którego kochałam, wolność, dom, wszystkie moje nadzieje i marzenia. Teraz miałam zdradzić swoją wiarę.

To, że w sercu pozostanę chrześcijanką, nie miało dla niego znaczenia. Błagałam go, żeby pozwolił mi odejść, ale nie chciał o tym słyszeć.

- A jeśli odmówię? - spytałam.

- Nie utrudniaj wszystkiego - powiedział. - To dla twojego własnego dobra. Nie chcesz przecież, żeby twoi najbliżsi cierpieli z powodu twojej dumy. Masz dopiero siedemnaście lat. Jest tyle rzeczy na świecie, których nie rozumiesz. Obiecuję, że będziesz ze mną szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem.

Jak mogłam go przekonać, że nigdy nie będę z nim szczęśliwa?

Zatrzymał samochód w cichej uliczce. Znałam tę część miasta - w pobliżu znajdował się dom Cioci Zeni. Spytałam go, czy zdaje sobie sprawę, że muszę zapomnieć o rodzicach, przyjaciółach i moim kościele i że będą mnie za to nienawidzić. Jego zdaniem - jeśli znienawidziliby mnie z powodu przejścia na islam - znaczyłoby to, że nigdy tak naprawdę mnie nie kochali.

Wysiadł z samochodu i otworzył moje drzwi.

- Co robisz? - spytałam.

- Chodź. Kupiłem dla nas dom.

Weszliśmy po schodkach prowadzących do dużego parterowego domu z cegły. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Zawałałam się.

- Na co czekasz? Nie chcesz zobaczyć?

Weszłam za nim. W środku był pokój rodzinny, salon połączony z jadalnią, największa kuchnia, jaką kiedykolwiek widziałam, cztery sypialnie i trzy łazienki. Ściany świeżo pomalowano w spokojnych kolorach, ale brakowało mebli. W głównej sypialni stanęłam przed rozsuwanymi drzwiami, które wychodziły na ogród. Trawnik był gruby i soczyście zielony, a na rabatach rosły bratki, geranium i nagietki. Czerwone, białe, fioletowe i żółte. Biały motyl przelatywał z jednego kwiatka na drugi, próbując utrzymać równowagę na wietrze. Jak możliwe było takie piękno w tak okrutnym świecie?

Ali rozsunął drzwi.

- Chodźmy na zewnątrz. Kwiaty potrzebują wody.

Podwinął rękawy, odkręcił kran na podwórku i chwycił ogrodowy wąż. Na twarzy poczułam chłodną mgiełkę. Ali podlewał rośliny, uważając, by nie naruszyć ziemi zbyt silnym strumieniem. Na liściach pojawiły się wielkie krople wody, zatrzymujące słoneczny blask w swoim perłowym wnętrzu. Zbierał zwiednięte kwiaty, mruczając pod nosem jakąś melodię i uśmiechając się. Wyglądał normalnie, jak każdy inny mężczyzna. Czy kiedykolwiek kogoś zabił, nie na wojnie, ale w Evin? Czy pociągnął za spust i zamknął czyjeś życie?

- Podoba ci się dom? - spytał.

- Jest piękny.

- Sam zasadziłem dla ciebie kwiaty.

- Ali, jestem więźniem z wyrokiem dożywocia. Jak mogłabym tu zamieszkać?

- Przekonałem najważniejszych urzędników w Evin, żeby pozwolili ci przenieść się tutaj do mnie - coś w rodzaju aresztu domowego. Zgodzili się. To jest nasz dom, Marina - twój i mój.

Nasz dom. Nawet już nie wiem, kim jestem. Ten dom to przedłużenie Evin.

- A więc będę więźniem tutaj.

- Musimy to zrobić od razu. Dobrze wiesz, że ludzie tacy jak Hamehd są przeciwni naszemu małżeństwu i obserwują nas. Nie możemy pozwolić sobie na żaden błąd. Zostałaś skazana na karę śmierci przez sąd islamski i...

- Ale nigdy nie miałam procesu.

Tamtej nocy, po egzekucjach, Ali powiedział mi, że zostałam skazana na śmierć, ale zakładałam, że to Hamehd i może kilku jemu podobnych zdecydowali o mojej śmierci. O tym, jak wygląda proces, wiedziałam z książek i filmów: wielka sala, sędzia, przysięgli, obrońca i prokurator.

Ali powiedział mi, że mój proces miał miejsce, choć nie byłam na nim obecna. Potem przyszło ułaskawienie od Imama i wyrok śmierci został zmieniony na dożywotnie więzienie. Kolejne odwołanie się do Imama nie byłoby właściwe, ale Ali dostał zgodę na wszczęcie ponownego procesu. Wierzył, że jako osoba nawrócona na islam i jego żona dostałabym nie więcej niż dwa, trzy lata.

Spytałam go, dlaczego Hamehd tak bardzo mnie nienawidzi. Zdaniem Alego, Hamehd i jemu podobni nie mają zrozumienia dla osób myślących inaczej niż oni.

Westchnęłam. Nie rozumiałam tej dziwnej islamskiej spójności.

- Wszystko będzie dobrze - ciągnął. - Nie kupiłem żadnych mebli, ponieważ pomyślałem, że sama zechcesz zająć się wystrojem domu. Jeśli od jutra zaczniemy zakupy, to wszystko powinno być gotowe na czas. Wiem, że nadal obawiasz się reakcji swoich rodziców, ale zaufaj mi. Gdy tylko zobaczą, jakie warunki jestem w stanie ci zapewnić, będą zadowoleni.

Może Ali miał trochę racji. Nie byliśmy bogaci i taki dom pozostawał poza naszym zasięgiem. Ojciec nigdy nie wierzył w Boga i śmiał się z moich przekonań, natomiast zawsze cenił pieniądze. Duże, kosztowne rzeczy robiły na nim wrażenie. Być może polubi Alego. Ojciec uwielbiał luksusowe samochody, a Ali był właścicielem najnowszego mercedesa. Matka nigdy nie miała niczego kosztownego i od ślubu zawsze mieszkała w wynajmowanych mieszkaniach. Z pewnością bardzo spodoba jej się ten dom. Czy miałam jakiegokolwiek szanse na bycie szczęśliwą z Alim? Niewątpliwie zależało to od niego, ale także ode mnie. Kochał mnie na swój sposób. Choć tak bardzo się różniliśmy, widziałam miłość w jego oczach, gdy na mnie patrzył.

Wracaliśmy do Evin.

- Moim zdaniem nie powinnaś wracać do 246 - zauważył Ali. - Cele w bloku 209 będą lepszym rozwiązaniem na teraz. Będę mógł ci częściej odwiedzać i przynosić jedzenie z domu. Co ty na to?

Kiwnęłam głową.

Po drodze zatrzymaliśmy się w małej restauracyjce, gdzie Ali kupił dwie kanapki z jajkiem i butelkę coli. Uwielbiałam jajka, a od miesięcy nie miałam okazji ich jeść. Siedzieliśmy w samochodzie. Chleb był świeży, z masłem, a między plasterkami ugotowanych na twardo jajek znajdowały się kawałki pomidora. Gdy skończyłam swoją kanapkę, Ali był w połowie jedzenia. Zapro-

ponował mi jeszcze jedną, a gdy chętnie się zgodziłam, kupił nam obojgu po kanapce.

W Evin Ali zaparkował samochód przed jakimś budynkiem i weszliśmy do środka. Po obydwu stronach długiego, słabo oświetlonego korytarza następowały po sobie liczne metalowe drzwi. Podeszedł do nas strażnik.

- Czy cela, o którą prosiłem, jest gotowa?

- Tak. Tędy.

Podeszliśmy z nim do drzwi o numerze 27. Włożył klucz do zamka i z głośnym skrzypnięciem otworzył drzwi. Ali wszedł do celi i rozejrzał się, potem dał mi znak, żebym i ja weszła. Prostokątne pomieszczenie, długie na około dwa i szerokie na trzy metry, zaopatrzone było w toaletę i małą umywalkę, wykonaną z nierdzewnej stali. Na podłodze leżał zniszczony brązowy dywan, a jedyne kwadratowe okno, szerokie na 30 centymetrów, było zakratowane i całkowicie poza moim zasięgiem. Ali stał przy drzwiach.

- Będzie ci tu znośnie. Rano przyjdę ze śniadaniem. Spróbuj zasnąć.

Drzwi zamknęły się i usłyszałam kliknięcie przekręcanego w zamku klucza. Brzmiało to dla mnie jak „zdrajca”.

Z głośników popłynął wojskowy marsz. Kolejne zwycięstwo. Gdyby wszystkie te „zwycięstwa” były prawdą, to Iran powinien już podbić cały świat.

Zdjęłam szal i podeszłam do umywalki, by się odświeżyć. Było to bardzo miłe uczucie. Spłukiwałam twarz chyba ze trzydzieści razy, aż stała się odrętwiała. Dźwięk płynącej wody i jej chłód działały kojąco. W jakiś sposób ten strumień łączył mnie ze światem. Ale związek ten, choć tak namacalny, był jak wspomnienie - smutne i pełne tęsknoty. Ukojenie, które niosła ze sobą woda, nie należało do chwili obecnej, lecz do przeszłości.

Byłam wykończona. W kącie leżały dwa wojskowe koce. Rozłożyłam je na podłodze i położyłam się. Ściany celi pomalowane były na jasny beż, ale w niektórych miejscach farba odpadła, pozostawiając plamy gipsu. To, co zostało z farby, pokryte było odciśkami palców - dziwnymi, wyglądającymi na tłuste znakami, rozmaitych kształtów i rozmiarów — oraz kilkoma brązowo- czerwonymi plamami, zapewne krwi. Widać też było kilka wydrapanych w ścianie napisów i liczb, w większości nieczytelnych. Wodziłam po nich palcami, jakby zostały napisane brailem. „Shirin Hashemi, 5 stycznia, 1982. Czy ktoś mnie słyszy?”.

Tego dnia byłam w domu, a ta dziewczyna Shirin, tutaj. Gdzie jest teraz? Być może nie żyje. Jak bardzo była torturowana, zanim napisała te słowa?

„Czy ktoś mnie słyszy?” - pytała.

Nie, Shirin, nikt nas nie usłyszy. Jesteśmy tu same.

Były też inne imiona: Mahtab, Bahram, Katayoon, Pirooz i więcej dat: 2 grudnia 1981, 28 grudnia 1981, 12 lutego 1982, i tak dalej. Udało mi się odczytać zdanie, które brzmiało: „*Firoozehjan* kocham cię”. Schwymane i stracone życie zostawiło swój ślad na tych ścianach. Podążałam za tą dziwną mapą, łącząc słowa, daty i zdania, które otaczały mnie jak pomniki na cmentarzu. Czułam obecną tam śmierć, jej cień wynurzający się z każdego pozostawionego słowa. „Czy ktoś mnie słyszy?”

Jestem zdrajcą. Zastąpiłam sobie na to wszystko: ten ból i tę celę. W chwili, gdy przekroczyłam próg Evin, byłam skazana na zdradę samej siebie. Nawet śmierć odwróciła się ode mnie. Będą mnie nienawidzić: rodzice, Andre, moi przyjaciele. A Ty, Boże? Czy też mnie nienawidzisz? Nie, nie sądzę, choć mógłbyś. To nie ma sensu. Kim jestem, by znać Twoje myśli? Ale to Ty mnie tutaj doprowadziłeś, prawda? Mogłeś pozwolić mi umrzeć. Ale żyję.

Więc to jest bardziej Twoja decyzja niż moja. Czego ode mnie oczekiwałeś? Błagam, odezwij się do mnie...

Bóg milczał.

Zgodnie z obietnicą Ali przyniósł mi rano śniadanie: chleb *barbari* z domowym dżemem wiśniowym. Herbata była w plastikowym kubku i cudownie pachniała, bez śladu kamfory. Spędziłam rano na rozmyślaniu o tym, co robią rodzice i Andre. Byłam prawie pewna, że matka siedzi na swoim ulubionym krześle, robi na drutach i popija herbatę. Ojciec był w pracy, a Andre... Cóż, nie miałam pojęcia, co on może robić. Wiosna miała się ku końcowi, więc szkoły były już zamknięte - znaczyło to, że nie uczył. Czy stałam się dla nich odległym, zepchniętym w najdalszy kąt świadomości wspomnieniem? Czy też byłam stale obecna w ich myślach - Marina, której wybaczyli i za którą nie przestawali się modlić?

Czy ktoś mnie słyszy?

Tamtego wieczoru Ali przyjechał po mnie około szóstej, oznajmiając, że mam poznać jego rodziców. Ich dom znajdował się stosunkowo blisko Evin. Zaparkowaliśmy w cichej uliczce. Po obu stronach wznosiły się stare ceglane mury, a za nimi wiekowe klony, wierzby i topole, które wyglądały jak chwasty na tle dominujących w oddali potężnych wzniesień Elbrusu. Czułam suchość w gardle, miałam zimne i spocone ręce. Chociaż Ali zapewniał mnie, że jego rodzice są niezwykle mili, to nie wiedziałam, czego oczekiwać. Podeszłam za Alim do zielonych metalowych drzwi. Zadzwoił. Otworzyła nam drobna kobieta w białym czadorze. Domyśliłam się, że to matka Alego, Fatemeh *Khanoom*. Wyobrażałam ją sobie wyższą.

- *Salam, Madar joon* - powiedział Ali, całując ją w czoło.
- *Madar*, to jest Marina.

- *Salam*, kochanie. Miło mi cię poznać. - Uśmiechnęła się. Jej małe brązowe oczy przyglądały mi się z ciekawością. Miała sympatyczną twarz.

Weszliśmy przez drzwi do ogródka przed domem. Wąska ścieżka wysypana szarymi kamykami skręcała w prawo, znikając wśród starych drzew orzechowych i klonów. Zobaczyłam rozległy dom, którego ściany pokryte były bujną winoroślą. Po obu stronach szerokich schodów, które prowadziły na duży ganek, stały gliniane doniczki, wypełnione kwitnącym geranium i nagietkami.

Podłogi wewnątrz przykryte były perskimi dywanami, kosztownymi i pięknymi. Czekająca już na nas siostra Alego, Akram, wraz z mężem Massoodem. Miała okrągłą twarz, wielkie brązowe oczy i różowe policzki. Nie byłam pewna, czy powinnam ją objąć, uścisnąć jej dłoń, czy unikać fizycznego kontaktu - niektórzy fanatyczni muzułmanie uważali chrześcijan za nieczystych, więc postanowiłam jej nie dotykać na wypadek, gdyby poczuła się tym urażona. Ali uścisnął ojca i pocałował go w oba policzki. Był o kilka centymetrów wyższy od syna, raczej szczupły, z przystryżoną szpakowatą brodą. Przywitali się ze mną uprzejmie, ale wyczuwałam, że czują się niezręcznie. Chrześcijanka i więzień polityczny - nie był to, ich zdaniem, ideał żony dla Alego. Nie miałam im za złe, że próbowali dociec, cóż takiego zobaczył Ali w tej bladej i dziwnej dziewczynie.

Przeszliśmy do salonu, niezwykle przestrzennego i urządzonego ze smakiem. Na kilku małych stolikach kawowych ustawiono srebrne i kryształowe patery z owocami i słodyczami.

Usiadłam na sofie obok Akram. Matka Alego zaproponowała nam herbatę Earl Grey. Zauważyłam, że nie przestaje mnie

obserwować i dostrzegłam ślad współczucia w jej oczach. Sączyłam swoją herbatę z delikatnej, szklanej filiżanki o pozłacanym brzegu i poczułam odrobinę ulgi. To było jak zwyczajna wizyta w domu znajomych. Akram zaproponowała mi ryżowe ciasteczko, które zjadłam. Pan Moosavi rozmawiał z Alim o interesach. Był właścicielem sklepu na Bazarze Teherańskim, zajmował się importem i eksportem, handlował między innymi dywanami perskimi i pistacjami. Wkrótce podano obiad, złożony z długoziarnistego szafranowego ryżu z pieczonym kurczakiem i wołowo-ziołowym gulaszem oraz sałatą. Chociaż wszystko cudownie pachniało, nie czułam głodu. Być może moi rodzice też jedli w tym momencie obiad.

- To trudna sytuacja, Marina - zwrócił się do mnie pan Moosavi, gdy skończyliśmy jeść. - Masz prawo znać moje zdanie. Musisz wiedzieć, na czym stoisz, zwłaszcza że jesteś tak młoda.

Jako pobożny muzułmanin, pan Moosavi przestrzegał zwyczaju niepatrzenia prosto w oczy *namahra* - kobiecie, która nie była bliską krewną.

- *Babah*, rozmawialiśmy o tym setki razy - zaprotestował Ali.

- Owszem, ale nie przypominam sobie, by Marina była obecna podczas naszych dyskusji. Więc proszę, pozwól mi porozmawiać z moją przyszłą synową.

- Tak, *Babah*.

- Moja droga, powinnaś wiedzieć, że rozumiem twoją trudną sytuację. Muszę zadać ci kilka pytań i chciałbym, żebyś na nie odpowiedziała zgodnie z prawdą. Czy zgadzasz się na to?

- Tak, proszę pana.

- Czy mój syn dobrze cię traktował?

- Tak - odpowiedziałam, patrząc na Alego. Uśmiechnął się do mnie.

- Czy chcesz za niego wyjść?

- Ja nie chcę go poślubić - powiedziałam - ale jego życzeniem jest poślubić mnie. Zadał sobie wiele trudu, by uratować mi życie. Rozumiem swoją sytuację. Obiecał, że się mną zaopiekuje.

Miałam nadzieję, że nie powiedziałam niczego niewłaściwego.

Pan Moosavi orzekł, że jestem mądrą dziewczyną, bardzo dojrzałą jak na swój wiek. Jego zdaniem byłam wrogiem Boga oraz rządów islamu i zasługiwałam na śmierć, ale Ali uważał, że mogę wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów i zmienić się. Pan Moosavi miał nadzieję, że osoba, którą byłam przed Evin, już nie istnieje. Wkrótce zacznę nowe życie jako muzułmanka, a moje nawrócenie zmyje poprzednie grzechy. Powiedział mi także, że czyni Alego w pełni odpowiedzialnym za złożone wobec mnie obietnice. Próbował odwieść syna od zamiaru poślubienia mnie, ale ten nie chciał słuchać. Ali był zawsze dobrym synem i nigdy w przeszłości nie sprzeciwiał się woli ojca, jednak w tym wypadku okazał się nieugięty. Tak więc pan Moosavi zezwalał na ten ślub pod warunkiem jednak, że zgodzę się przejść na islam. Rozumiał, że moja rodzina może mnie z tego powodu odrzucić, ale obiecał traktować mnie jak własną córkę i osobiście mnie chronić, jeśli będę szanować nową wiarę, muzułmańskie zwyczaje oraz pozostanę wierną żoną jego syna.

- Czy wszyscy zgadzają się w tej sprawie? - spytał na koniec.

- Tak - przytaknęli wszyscy obecni.

Byłam zaskoczona wysiłkiem, jaki podjął ojciec Alego, by rozwiązać tę kłopotliwą sytuację. Choć mieliśmy na nią zupełnie odmienny pogląd, stwierdziłam, że szanuję pana Moosavi. Widziałam, że kocha syna i pragnie jego szczęścia. Gdyby mój brat chciał ożenić się z dziewczyną wbrew woli ojca, ten nigdy nie zwołałby rodzinnego zebrania, lecz oznajmił mojemu bratu, że - jeśli ją poślubi - może się więcej nie pokazywać mu na oczy.

- Więc, Marina - powiedział pan Moosavi - witam cię w tej rodzinie. Od tej chwili jesteś moją córką. Z powodu dość nietypowych okoliczności ceremonia ślubna będzie miała charakter prywatny i odbędzie się w tym domu. Nie musisz jeszcze powiadamiać swojej rodziny. My nią jesteśmy dla ciebie i zapewnimy ci wszystko, czego potrzebujesz. Ali, byłeś zawsze dobrym synem i życzymy ci szczęścia w tym małżeństwie. Masz nasze błogosławieństwo.

Ali wstał, ucałował ojca i podziękował mu. Jego matka objęła mnie, płacząc.

- Co myślisz o mojej rodzinie? Polubiłaś ich? - spytał mnie Ali w drodze/powrotnej do Evin.

- Są dla ciebie bardzo dobrzy. Moja rodzina jest inna.

- Co rozumiesz przez „inna”?

Wyjaśniłam mu, że kocham rodziców i tęsknię za nimi, ale nigdy nie byłam z nimi blisko - tak naprawdę nie pamiętałam, bym kiedykolwiek odbyła z nimi poważną rozmowę. Powiedział, że mu przykro i że jego ojciec bardzo poważnie traktował moje wejście do rodziny.

- Mniej więcej za tydzień będzie mała uroczystość w Evin, związana z twoim przejściem na islam, a nasz ślub zaplanowany jest na piątek, około dwóch tygodni później.

Wszystko toczyło się tak szybko, że nie mogłam nadążyć za biegiem wydarzeń. Według Alego, nie powinnam się niczym martwić i myśleć jedynie o wystroju naszego przyszłego domu. Następnego dnia planował wspólne wyjście na zakupy. Nie rozumiałam, jak to w ogóle jest możliwe.

Spodziewałam się, że rodzina Alego będzie wobec mnie złośliwa i nieprzyjemna, tymczasem wszyscy okazali się niezwykle

serdeczni. Byli tym wszystkim, czym nigdy nie była moja własna rodzina. Wcześniej nie potrafiłam wyobrazić sobie Alego w roli syna, ale teraz zdawałam sobie sprawę, że kochał i był kochany.

- Przy okazji, każda osoba, która przyjmuje islam, musi uczęszczać na lekcje religii i Koranu i wybrać sobie muzułmańskie imię. Od czasu twojego aresztowania studiowałam islam, więc jedyne, czego potrzebujesz, to imię. Chcę, żebyś wiedziała, że twoje imię jest piękne - bardzo mi się podoba i nigdy nie będę nazywał cię inaczej, ale musisz coś wybrać dla zasady.

Miałam więc otrzymać nowe imię. Było to jakby pozbawianie mnie samej siebie, kawałek po kawałku. Taka sekcja za życia. Mógł mnie nazywać jak chciał.

- Sam możesz wybrać dla mnie imię - powiedziałam.

- Nie. Chcę, żeby to był twój wybór.

Pierwsze imię, jakie mi przyszło do głowy, to Fatemeh i to właśnie mu powiedziałam.

- Imię mojej matki! Bardzo się ucieszy.

Miałam odwrócić się od Chrystusa. Nie było innego wyjścia. Myślałam o Judaszu. On też Go zdradził. Czy szłam tą samą ścieżką? Dopiero na koniec Judasz zdał sobie sprawę z powrotności tego, co zrobił, więc odebrał sobie życie. W rozpacz stracił wszelką wiarę i poddał się ciemności. Czy nie to było jego największym błędem? Może gdyby stawił czoła prawdzie, może gdyby prosił Boga o wybaczenie, ocaliłby swoją duszę. Po aresztowaniu Jezusa Piotr trzy razy się go zaparł, ale ostatecznie uwierzył w Jego miłosierdzie i szukał przebaczenia. Bóg jest miłością. Jezus był torturowany i umarł straszną, bolesną śmiercią. Niczego nie musiałam Mu wyjaśniać. On wiedział.

Należało tylko pożegnać się z Andre, powiedzieć mu „do widzenia” i nic więcej. Nie było potrzeby, by wiedział więcej. Musiałam też powiedzieć rodzicom. Na początek o moim przejściu

na islam i zobaczyć ich reakcję. Poza tym chciałam ostatni raz zobaczyć mój kościół. Może wówczas byłabym w stanie rozpocząć nowe życie.

Następnego ranka Ali przyniósł mi na śniadanie świeży chleb *barbari* z serem.

- Jesteś gotowa na zakupy? - spytał, gdy skończyliśmy jeść.

- Tak, ale muszę cię o coś prosić, zanim pójdziemy.

- O co?

- Czy naprawdę chcesz pomóc, bym cię pokochała?

- Oczywiście, że tak - wyglądał na zaskoczonego.

- Więc zabierz mnie do mojego kościoła, tylko raz, żebym mogła się pożegnać.

- Zawiozę cię. Coś jeszcze?

Powiedziałam mu, że jest jeszcze jedna rzecz, która mu się zapewne nie spodoba. Zawarliśmy układ. Miałam zamiar dotrzymać danego słowa i zrobić wszystko, by być dla niego dobrą żoną, ale musiałam pożegnać się z Andre. Inaczej przeszłość nigdy nie da mi spokoju.

Widziałam w jego oczach, że nie był na mnie zły.

- Cóż, muszę pogodzić się z faktem, że twoje serce nie odmieni się z dnia na dzień. Pozwolę ci raz się z nim zobaczyć, ale wiedz, że robię to wbrew sobie i tylko ze względu na ciebie.

- Dziękuję.

- Dopilnuję, żeby mógł cię zobaczyć w dniu odwiedzin. Prawdopodobnie nie najbliższym, ale następnym.

Podziękowałam mu i powiedziałam, że wkrótce planuję powiedzieć moim rodzicom o decyzji zmiany wyznania.

- Czy powiesz im także o naszym ślubie?

- Nie, jeszcze nie teraz. Zrobię to krok po kroku.

- Zrób, co uważasz za słuszne i najlepsze dla siebie - powiedział.

Tydzień później zmieniałam wyznanie. Ceremonia miała miejsce po piątkowej modlitwie w cichej, porośniętej drzewami części Evin. Na pokrytej trawą ziemi rozłożono dywany. Pracownicy Evin i strażnicy siedzieli w rzędach, z przodu mężczyźni, za nimi kobiety, ale większość stanowili mężczyźni. Wszyscy zwróceni byli w stronę drewnianej platformy, z której ajatollah Ghilani - *imam-eh Jomeh* odpowiedzialny za piątkową modlitwę miał wygłosić stosowną mowę i poprowadzić *namaz*. Wraz z Alim skierowaliśmy się ku ostatniemu rzędowi, przeznaczonemu dla kobiet. Zajęły już swoje miejsca, z wyjątkiem jednej wysokiej kobiety. Była to Siostra Maryam. Uśmiechnęła się do mnie, zapraszając, bym usiadła obok niej. Zaraz potem ajatollah Ghilani rozpoczął swoje przemówienie. Koncentrowało się ono na oskarżaniu Stanów Zjednoczonych o wszystko, co złe na świecie, oraz na pochwaleniu gwardii rewolucyjnej i sądów rewolucji islamskiej, które stały na straży islamu. Następnie, po odmówieniu modlitwy, ajatollah Ghilani wypowiedział moje imię i poprosił o podejście do platformy. Siostra Maryam uściśnęła moją dłoń. Wstałam, czując lekkie zawroty głowy. Oczy wszystkich zebranych skierowane były w moją stronę. Na drżących nogach podeszłam do ajatollaha, który polecił mi wypowiedzieć jedno proste zdanie: „Oświadczam, że nie ma innego Boga niż Allah oraz że Mahomet jest jego prorokiem”. Tłum potwierdził moją deklarację, wykrzykując trzykrotnie *Alkho akbar*. Przestałam być chrześcijanką.

Wśród gałęzi otaczających nas drzew wesoło ćwierkały wróble, a nadlatujący od strony gór wiatr poruszał liśćmi - promienie słoneczne drgały na ziemi. Niebo nadal było błękitne. Czekałam na jakiś przejaw Bożego gniewu. Chciałam, by z nieba spadł piorun i zabił mnie tam, gdzie stałam. Ali siedział w pierwszym rzędzie. Jego pełen miłości wzrok uderzył mnie bardziej, niż ja-

kikolwiek piorun byłby w stanie. Serce bolało mnie z poczucia winy. „Miłujcie się, jak ja was umiłowałem” - powiedział Jezus. Czy oczekiwał ode mnie, bym kochała Alego? Czy w ogóle mógł tego ode mnie oczekiwać?

Ali wstał i wręczył mi złożony czarny czador.

- Szyjąc go, matka płakała z radości i modliła się za ciebie. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Szkoda, że nie mogłam tego powiedzieć o sobie.

W dniu odwiedzin powiedziałam rodzicom o moim przejściu na islam. Nie oczekiwałam, że będą chcieli poznać moje powody i miałam rację. Nikt nie śmiał pytać, co dzieje się w Evin. Patrzyli na mnie i płakali. Prawdopodobnie zdawali sobie sprawę z tego, że więzień Evin nie jest niczym synem czy córką, mężem czy żoną, matką czy ojcem - jest tylko więźniem i niczym innym.

Ali dotrzymał słowa i kilka dni później zabrał mnie do kościoła. Towarzyszył nam jego przyjaciel Mohammad, który - jak wyjaśnił mi Ali - nigdy nie był w kościele i chciał go zobaczyć od środka. Zaparkowaliśmy przed budynkiem. Nic się w nim nie zmieniło, a jednak czułam się jak ktoś zupełnie obcy. Wysiadłam z samochodu i podeszłam do głównych drzwi. Były zamknięte. Poszłam więc do drzwi bocznych i zadzwoniłam.

- Kto to? - odezwał się przez domofon Ojciec Martini.

Poczułam, jak zamiera we mnie serce

- Marina - powiedziałam.

Usłyszałam szybkie kroki i drzwi otworzyły się. Przez moment Ojciec Martini stał bez ruchu, kompletnie zaskoczony, nie wierząc własnym oczom.

- Marina, cieszę się, że cię widzę. Proszę, wejdź - powiedział wreszcie.

Poszłam za nim przez podwórko do małego biura. Ali i Mohammad byli tuż za nami.

- Czy mogę zadzwonić do jej matki i do Andre, jednego z jej przyjaciół, żeby przyszli się z nią zobaczyć? - spytał Alego Ojciec Martini.

Wymieniliśmy z Alim spojrzenia. Moje serce na moment przestało bić.

- Tak - odpowiedział Ali i poprosił Mohammada, by z nim wyszedł.

Mohammad wrócił po chwili, ale nie było z nim Alego. Z pewnością został w samochodzie. Domyśliłam się, że nie chce widzieć Andre. Ojciec Martini spytał mnie, jak się miewam i powiedziałam mu, że w porządku. Jego wzrok wędrował ode mnie do Mohammada i z powrotem. Zdałam sobie sprawę, jak musi być przerażony moją obecnością. Nie pomyślałam wcześniej o tym, że moja wizyta może wywołać taki strach. Sama wiedziałam, że nie naraziłam księży na żadne niebezpieczeństwo, ale skąd oni mieli o tym wiedzieć? Przyszłam odnaleźć tu radość i poczucie bezpieczeństwa, ale było oczywiste, że te uczucia opuściły mnie w dniu mojego aresztowania.

W ciągu kilku minut zjawiała się moja matka i Andre. Jak bardzo chciałam opowiedzieć im o wszystkim, a jednocześnie uświadomiłam sobie, że to niemożliwe. Czy w ogóle można tyle bólu zawrzeć w słowach? Przyszłam pożegnać się z nimi. Tylko to miało sens. Musiałam dać im i sobie szansę, by zapomnieć i wyleczyć rany. Musiałam zamknąć drzwi do mojej przeszłości.

Matka miała na sobie obszerny granatowy szal, okrywający jej włosy, czarny muzułmański *manteau* i spodnie w tym samym kolorze. Objęła mnie i nie chciała puścić. Pod palcami czułam jej żebra - schudła i jak zawsze pachniała papierosami.

- Czy wszystko w porządku? - szepnęła mi do ucha.

Jej dłonie uważnie przesuwają się po moich plecach i ramionach - próbowała upewnić się, że nie zostałam okaleczona. Wreszcie odsunęłam się od niej, a jej wzrok uważnie śledził całą moją postać. Ponieważ jednak miałam na sobie czarny czador, niewiele mogła zobaczyć. Jedyne moją twarz.

- Mamo, ze mną wszystko w porządku - uśmiechnęłam się. Z trudem odwzajemniła uśmiech.

- Skąd masz czador? - spytała.

Powiedziałam jej, że podarowała mi go przyjaciółka.

- Wie pani, że Marina przeszła na islam? - głęboki głos Mohammada wypełnił pokój.

- Tak - odpowiedzieli równocześnie matka i Ojciec Martini. Matka otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę i wytarła łzy.

- Czy na pewno wszystko w porządku? - spytał Andre, spoglądając najpierw na mnie, potem na Mohammada.

- Nic mi nie jest. - Miałam tyle do powiedzenia, ale nie byłam w stanie myśleć.

Andre dostrzegł w moich oczach tę wewnętrzną walkę.

- O co chodzi? - spytał.

Słowa zapadły się gdzieś głęboko w moje wnętrze. Ostatnie miesiące wzniosły wokół mnie mur bólu i niepewności, byłam zakładnikiem, niezdolnym do pokonania nie tylko fizycznego zamknięcia, lecz także tej niewidzialnej blokady od wewnątrz. Otworzyłam bezgłośnie usta.

- Kiedy wracasz do domu? - spytał Andre.

- Nigdy - wyszeptalam.

- Będę na ciebie czekał - powiedział, uśmiechając się z przekonaniem. Jego oczy mówiły mi, że kochał mnie wbrew wszystkiemu. Nie musiałam nic mówić. Wiedziałam, że nawet gdybym go błagała, żeby o mnie zapomniał, nie usłucha. Gdy ktoś na ciebie czeka, masz nadzieję. Andre był nadal moim życiem,

tak samo jak przed Evin, i musiałam się go trzymać, by przeżyć. Łzy płynęły mi po twarzy. Odwróciłam się i wyszłam. Wsiadliśmy z Mohammadem do samochodu i Ali ruszył. Po kilku minutach zjechał jednak na pobocze i zatrzymał się.

- Dlaczego stajemy? - spytałam.
- Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak bladej.
- Nic mi nie jest. Dziękuję, że mnie tam zawiozłeś. Nie musiałeś pozwalać na to, by przyszli zobaczyć się ze mną. Jestem ci wdzięczna. Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.
- Zapomniałaś, że cię kocham.
- Nie wiem, jak ci dziękować.
- Nieprawda. Wiesz jak - powiedział.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wdniu naszego ślubu, 23 lipca 1982 roku, po porannej modlitwie Ali zabrał mnie z mojej samotnej celi w bloku 209, gdzie spędziłam prawie miesiąc, pozbawiona kontaktu z innymi więźniami. Strach okazał się dla mnie wybawieniem - paraliżował moje myśli i czynił odrętwiałą. Siedziałam w kącie, patrząc w małe, okratowane okno. Szare, metalowe pręty dzieliły rozciągający się za nimi ciemnobłękitny bezkres na małe, płaskie prostokąty. Zawsze lubiłam wczesne poranki, gdy światło wolno wsączało się w ciemność nocy jak deszcz w piasek pustyni. Jednak z tego miejsca całe to piękno wydawało się nierealne.

Ali delikatnie zapukał do drzwi. Drżącymi rękami naciągnęłam na siebie czador i wstałam. Patrząc mi prosto w oczy, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Spuściłam wzrok.

- Nie będziesz żałować - powiedział, podchodząc do mnie.
 - Spałaś?
 - Nie.
 - Ja też nie. Jesteś gotowa?
- Kiwnęłam głową.

Jechaliśmy do jego rodziców w milczeniu. Gdy tylko dotarliśmy, Ali wyszedł z ojcem. Jego matka uściśnęła mnie i ucałowała, nalegając, bym zjadła śniadanie. Nie byłam głodna, ale nie chciała o tym słyszeć, więc poszliśmy razem do kuchni. Tam kazała mi usiąść, a sama zabrała się za smażenie jajek. W przeciwieństwie do kuchni mojej matki, ta była przestronna i jasna. Wielki stalowy samowar szumiał łagodnie, wypełniając niezręczną ciszę.

- Cała moja rodzina i wszyscy znajomi chcieli być na ślubie - przerwała ją po chwili matka Alego. - Mam trzy siostry i dwóch braci i wszyscy mają dzieci. Większość z nich jest dorosła i założyła już własne rodziny. Ojciec Alego ma trzech braci i siostrę - też mają dzieci. Byli bardzo rozczarowani, że nie dostali zaproszeń na ślub Alego, ale gdy im wyjaśniliśmy powody, zrozumieli. Przesyłają ci najlepsze życzenia. Gdy tylko ty i Ali będziecie gotowi, zaproszę wszystkich, żebyś ich poznała.

Mówiła powoli, z przerwami, szukając właściwych słów.

Znow niezręczna cisza. Drewniana łyżka skrobiąca dno patelni.

- Wiem, że jesteś wystraszona - Matka Alego westchnęła, cały czas stojąc przy kuchni, obrócona do mnie plecami. - Pamiętam dzień mojego ślubu z ojcem Alego. Byłam młodsza od ciebie. Mieliśmy zawrzeć uzgodnione wcześniej małżeństwo i okropnie się bałam. Ali mówił mi, że jesteś bardzo dzielna i widzę, że tak jest naprawdę. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że możesz być przerażona i masz do tego prawo, zwłaszcza że nie ma tu twoich najbliższych. Ale zapewniam cię, że Ali jest dobrym człowiekiem, bardzo podobnym do swojego ojca.

Gdy odwróciła się do mnie, obie płakałyśmy. Podeszła i przygarnęła moją głowę do piersi, głaszcząc mnie po włosach. Od czasu śmierci mojej Babcji nikt nie okazał mi tyle czułości. Usiadłyśmy potem, by zjeść jajecznicę. Wyjaśniła mi, że zgodnie

z tradycją jako przyszła panna młoda mam wziąć długą kąpiel. Za mniej więcej dwie godziny miała zjawić się *bandandaz*, jej bliska przyjaciółka. Od miesięcy nie brałam kąpieli, jedynie szybkie prysznice. Przypomniała mi się tamta niedoszła kąpiel w noc mojego aresztowania.

Przed pójściem do łazienki matka Alego zabrała mnie do sypialni, opróżnionej dla potrzeb *sofreh-yeh aghd*, co można tłumaczyć jako „obrus ślubny”. Na podłodze rozciągał się biały prostokąt jedwabiu, pośrodku którego stało wielkie lustro w srebrnej ramie - po obydwu jego stronach znajdowały się duże kryształowe świeczniki z białymi świecami, a przed nim - Koran. Resztę obrusu zajmowały srebrne talerze wypełnione słodyczami i owocami. Wiedziałam, że zgodnie z obyczajem muzułmańskim, gdy mułła przewodniczył ceremonii ślubnej, narzeczeni siedzieli przed *sofreh-yeh aghd*.

W łazience połyskiwały drogie płytki. Napełniłam wannę i zanurzyłam się w parującej wodzie. Chociaż było lato, od rana czułam zimno. W miarę jak przestrzeń wokół mnie wypełniała się odurzającym ciepłem, moje napięte dotąd mięśnie zaczęły powoli się rozluźniać. Zamknęłam oczy. Bóg dał mi pewną zbawienną właściwość: zwykle mogłam wyłączyć własne myśli, gdy stawały się nie do zniesienia. Nie zamierzałam zastanawiać się nad tym, co czeka mnie zbliżającej się nocy.

Jakiś czas później, gdy woda stała się chłodniejsza, usłyszałam delikatne pukanie do drzwi łazienki i Akram powiedziała mi, że przyszła już *bandandaz Shirin Khanoom*.

- Nie potrzebujesz hidżabu. Mężczyźni wyszli i nie wrócą do popołudnia - dodała. Ubrałam się i wyszłam z łazienki. W dawnej sypialni Akram postawna kobieta rozkładała na podłodze prześcieradło. Gdy tylko weszłam, zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Piękna dziewczyna - pokiwała głową z uznaniem. - Choć trochę za chuda. Będziesz musiała ją podkarmić. Pełniejsza będzie wyglądać jeszcze lepiej. - Podeszła i unosząc mój podbródek, przyjrzała się mojej twarzy. - Ładna cera. Brwi będą wymagały trochę pracy.

- Będę z Akram w kuchni, gdybyście czegoś potrzebowały - zwróciła się do Shirin *Khanoom* matka Alego i uśmiechając się do mnie, wyszła z córką z pokoju.

Shirin *Khanoom* usiadła na prześcieradle.

- No, kochanie, jestem gotowa. Zdejmij ubranie i usiądź przede mną.

Nie ruszyłam się.

- Na co czekasz? Daj spokój - roześmiała się - nie ma powodu do wstydu. Trzeba to zrobić. Chcesz przecież wyglądać jak najlepiej dla swojego męża, prawda?

„Nieprawda” - pomyślałam, ale nie odezwałam się ani słowem.

Drżąc na całym ciele, powoli zdjęłam ubranie, usiadłam na prześcieradle i podciągnęłam kolana pod brodę. Shirin *Khanoom kazała*, mi wyprostować nogi. Nie protestowałam. Wzięła długi kawałek sznurka, kilka razy okręciła wokół palców jeden jego koniec, przytrzymując drugi między zębami, po czym, nachyliwszy się nad moimi nogami, przesunęła nim po skórze z zadziwiającą szybkością, usuwając włosy. Był ostry jak żyłotka. Bolało. Na koniec kazała mi wziąć zimny prysznic. Potem zaplotła moje włosy, które sięgały mi prawie do pasa, i zebrała je w kok na karku.

W południe głos muezina zwołał wszystkich wiernych z sąsiedztwa na drugi *namaz* w ciągu dnia. Dokonałyśmy rytualnego obmycia *vozo* - rąk, ramion i stóp. Za drzwiami łazienki czekała na mnie matka Alego z białym jedwabnym zawiniątkiem w rękach. Podała mi je - była to piękna modlitewna mata,

zrobiona przez nią własnoręcznie. Poczułam falę wdzięczności za jej dobroć.

Po modlitwie Akram rozstawiła na stole w jadalni najlepszą chińską porcelanę i zasiadliśmy do lunchu, złożonego z duszonej wołowiny z bakłazanami i ryżu. Udało mi się coś przełknąć. Po lunchu podano herbatę. Sącząc ją małymi łydkami, zauważyłam, że matka Alego przygląda mi się uważnie, jakby chciała powiedzieć mi coś ważnego, ale nie wiedziała, jak zacząć. Spuściłam oczy.

- Marina, jest coś, co dotyczy Alego, o czym być może nie wiesz - powiedziała w końcu. - Czy mówił ci, że za czasów szacha trafił do Evin jako więzień?

Byłam zaskoczona.

- Nie, nigdy mi o tym nie mówił.

- SAYAK, tajna policja szacha, aresztowała go na mniej więcej trzy lata przed wybuchem rewolucji. Byłam zrozpaczona, nie sądziłam, że przeżyje. Ali był bardzo oddany Imamowi. Nienawidził szacha i jego skorumpowanych rządów. Spodziewałam się, że zaaresztują męża, ale oszczędzili go. Jednak zabrali Alego. Wiem, że był torturowany. Poszliśmy do Evin, prosząc o możliwość zobaczenia się z nim, ale dopiero po trzech miesiącach uzyskaliśmy zgodę na widzenie. Był strasznie wychudzony i słaby. Mój piękny, silny syn.

Łzy wolno płynęły po twarzy Fatameh *Khanoom*.

— Wypuścili go trzy miesiące przed zwycięstwem rewolucji, nie uprzedziwszy nas wcześniej. Tamtego dnia siedziałam dokładnie tutaj w kuchni, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi. Był pochmurny jesienny dzień, liście przykrywały podwórko. Podbiegłam do drzwi i spytałam „Kto tam?”, ale nikt mi nie odpowiedział. Wiedziałam, że to on, nie wiem skąd, ale wiedziałam. Otworzyłam drzwi. To był on. Uśmiechnął się, objął

mnie i nie chciał wypuścić z uścisku. Wydawał się taki mizerny. Po palcami czułam jego żebra. Jego uśmiech był inny - znużony i smutny. Wiedziałam, że oglądał straszne rzeczy. Wiedziałam, że ten smutek pozostanie już na zawsze w jego oczach. Wrócił co prawda do życia, ale odmieniony. Ból, który niósł w sobie, nigdy go do końca nie opuścił. Czasami słyszałam, jak chodzi po domu przez całą noc. I wtedy, kilka miesięcy temu, któregoś dnia wrócił do domu z pracy, spakował się i wyjechał na front walczyć z Irakijczykami. Tak po prostu. Bez słowa wyjaśnienia. Byłam zszokowana. To nie było w jego stylu. Nie zrozum mnie źle - nie chodziło o pójście na front, to zdarzało się wcześniej. Ale moment był dziwny. Wiedziałam, że coś się stało, ale nie powiedział mi, co. Przez te cztery miesiące, gdy go nie było, prawie nie spałam. Wreszcie któregoś dnia otrzymaliśmy wiadomość, że został postrzelony w nogę i jest w szpitalu. Milion razy dziękowałam za to Bogu. Gdy poszłam się z nim zobaczyć, uśmiechał się do mnie jak za dawnych czasów, jak tamten mały chłopiec, którym był. Powiedział mi, że przydarzyło mu się coś cudownego. W pierwszej chwili myślałam, że postradał zmysły.

Więc Ali był więźniem Evin. Torturowali go. Może to był jeden z powodów, dla których - po tym, jak mnie wychłostali - spytał, czy potrzebuję czegoś na złagodzenie bólu, i postarał się, by mnie obejrzał lekarz. Może zrobił to, ponieważ doświadczył tego, co ja.

Po rewolucji Ali chciał zemsty, więc podjął pracę w Evin. W pierwszych miesiącach większość więźniów stanowili byli agenci SAVAK-u. Dawało to możliwość wyrównania rachunków. Oko za oko. Nie tylko zagrażali islamowi, lecz także byli jego osobistymi wrogami. Ale to się zmieniło. Do Evin zaczęli trafiać ci, którzy walczyli z nim ramię w ramię za czasów szacha - mudżahedini, członkowie Fadayan. Byłam pewna, że

z początku nie stanowiło to dla niego problemu. Aresztowania wśród jego dawnych towarzyszy z celi miały swoje uzasadnienie: stali się wrogami państwa islamskiego, a tym samym - jak to ujął Chomeini - wrogami Boga i jego proroka Mahometa. Ali był wychowywany na gorliwego muzułmanina i gotów byłby poświęcić życie dla Imama, ale prawdopodobnie zaczął dostrzegać, że to, co działo się w Evin w imię islamu, nie było w porządku. Jednak jego religijne przekonania utrudniały zaakceptowanie tego faktu. Nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Wiara zaślepiła go, ale być może z powodu wcześniejszych osobistych doświadczeń potrafił czasami spojrzeć na sytuację w Evin z perspektywy więźnia. Rodzice byli z niego dumni - walczył w pierwszym szeregu z wrogami islamu. Jego praca jako śledczego wydawała się im jedną z najgodniejszych rzeczy, jaką mógł robić muzułmanin. Wszystko, co działo się w Evin po rewolucji, było w ich przekonaniu całkowicie uzasadnione, ponieważ służyło obronie ich stylu życia i wartości. W końcu wierzyli, że trwa wojna między dobrem a złem.

Gdy skończyłyśmy sprzątać ze stołu, matka Alego spytała mnie, czy umiem gotować.

- Tak, ale nie tak dobrze jak pani i Akram. Uczyłam się z książek kucharskich. Moja mama nie lubiła, jak kręciłam się po kuchni.

- Czy zechciałabyś pomóc nam przy obiedzie? Musimy się zaraz za to zabrać. *Agha* - mułła będzie tu o piątej i zaraz po ceremonii ślubnej zasiądziemy do jedzenia.

Pomogłam im w kuchni. Wraz z Akram posiekałyśmy i podsmażyliśmy cebulę, natkę, szczypior i inne zioła. Matka Alego krojła wołowinę i ugotowała długoziarnisty ryż. Wcześniej zamarynowała kawałki kurczaka w zalewie z jogurtu, żółtek i sza-

franu. Przygotowałyśmy *khoresh-eh ghormeh sabzi* — duszoną wołowinę w ziołach oraz *tachin* — mieszaninę kurczaka, ryżu, jogurtu, żółtek i szafranu.

Około czwartej wrócił pan Moosavi z Alim i mężem Akram — Massoodem. Matka Alego wypchnęła mnie do łazienki, mówiąc, że muszę wziąć jeszcze jeden prysznic, gdyż pachnę cebulą.

Po kąpieli założyłam biały muzułmański *manteau*, obszerny biały szal, białe spodnie i biały czador, który matka Alego zostawiła dla mnie na łóżku. Wkrótce rozległo się pukanie do drzwi.

- Marina, już czas - zawołała mnie Akram.

Otworzyłam drzwi i wyszłam, nie dając sobie czasu na myślenie. Ali siedział już przed *sofreh-yeh aghd*. Dołączyłam do niego, zastanawiając się, czy ktoś zauważył, jak bardzo się trzęsę. Wszedł mułła. Odśpiewał kilka zdań po arabsku, które prawdopodobnie zrozumiałabym, gdybym mogła się skoncentrować. Potem zapytał mnie po persku — Fatameh *khanoom-eh* Morami-Bakht, czy jesteś gotowa wziąć sobie za męża Seyeda Ali-eh Moosavi?

Wiedziałam, że zgodnie z tradycją panna młoda nie powinna odpowiadać na to pytanie za pierwszym razem. Mułła zwykle czekał na odpowiedź i dopiero po chwili, nie uzyskawszy jej, dwukrotnie powtarzał to samo pytanie. Powiedziałam „tak” od razu za pierwszym razem. Chciałam mieć to za sobą.

Po obiedzie pojechaliśmy do domu, który kupił dla nas Ali. Wziął mnie za rękę, którą trzymałam swobodnie na udach i nie puścił jej aż o chwili, gdy przyjechaliśmy. Pierwszy raz tak mnie dotykał.

Na progu mojego nowego domu i nowego życia obiecałam sobie, że nie będę oglądać się za siebie, ale nie było to łatwe.

Ali poprowadził mnie do sypialni, gdzie na łóżku piętrzyły się prezenty ślubne.

- Otwórz je - powiedział. - Niektóre są ode mnie, reszta od rodziny.

Było tam mnóstwo biżuterii, kryształów, posrebrzanych pa-ter. Ali siedział na brzegu łóżka, obserwując mnie.

- Jestem teraz twoim mężem, nie potrzebujesz hidżabu - powiedział.

Chciałam się gdzieś schować. Pociągnął za koniec szala, okrywającego moje włosy. Sięgnęłam po niego z powrotem.

- Rozumiem twoje zmieszanie, ale naprawdę nie potrzebujesz tego. Przyzwyczaisz się do mnie.

Rozplótł moje włosy i zanurzył w nich palce.

- Masz piękne włosy. Miękkie jak jedwab.

Zapiął mi kolię na szyi i bransoletkę na nadgarstku. Spojrzałam na mój ślubny pierścionek, błyszczący wielkim diamentem.

- Zapragnąłem cię od chwili, gdy cię pierwszy raz zobaczyłem - powiedział, obejmując mnie i całując po włosach i szyi. Odepchnęłam go.

- Marina, w porządku. Wiesz, jak długo na to czekałem. W końcu jesteś moja, mogę cię dotknąć. Nie bój się, Nie sprawię ci bólu. Będę uważał, obiecuję.

Rozpiął koszulę. Sparaliżowana strachem zamknęłam oczy. Po chwili poczułam jego palce na guzikach mojego *manteau*. Otworzyłam oczy i próbowałam z nim walczyć, ale swoim ciężarem przygniótł mnie do materaca. Błagałam, żeby przestał, ale powiedział, że nie może. Zdarł ze mnie ubranie. Krzyczałam. Czułam na sobie jego skórę i dziwne, nieznanne mi ciepło jego ciała. Pachniał mydłem i szamponem. Zebrałam w sobie wszystkie siły, jeszcze raz próbując go odepchnąć, ale na próżno. Był zbyt duży i silny. Gniew, strach i potworne uczucie upokorzenia

wzbierały we mnie jak ogromna fala, która nie miała ujścia, aż do chwili, gdy cała energia mnie opuściła i zrozumiałam, że nie ma ucieczki. Poddałam się. Bolało. Nie był to jednak taki sam ból, jaki odczuwałam w trakcie chłosty. Wtedy, torturowana, zachowałam jednak poczucie wyższości, jakiś rodzaj siły, której żadne fizyczne cierpienie nie mogło mi odebrać. Ale teraz byłam jego. Dostał mnie.

Przepłakałam całą noc. Paliło mnie całe moje wnętrze, Ali trzymał mnie mocno w ramionach. Przed świtem wstał na *namaz*, ale ja nie ruszyłam się z łóżka. Usiadł na brzegu obok mnie i pocałował najpierw w policzek, a potem w ramię.

- Muszę cię dotknąć, żebyś uwierzyła, że jesteś moją żoną. Czy to było dla ciebie bolesne?

^^ I a k .

- Będzie lepiej.

Zasnęłam, gdy sobie poszedł. Sen był moją jedyną ucieczką.

Około ósmej rano obudziło mnie wołanie z kuchni: „Śniadanie gotowe!”. Słoneczne światło wlewało się do pokoju przez tarasowe okna. Wstałam i rozsunałam je. Lekki wiatr przynosił świergot wróbli. Ogródek wyglądał pięknie - geranium i nagietki były w pełnym rozkwicie. Sąsiadka wołała dzieci na śniadanie. Idealny letni dzień bez jednej chmurki na niebie. Chciałam, żeby śnieg pokrył całą ziemię, a jego ostry chłód dotknął mojej rozgrzanej skóry. Na szczypiącym, bolesnym mrozie chciałam stracić czucie w palcach. Chciałam, by pod ciężarem zimy i w jej bieli zniknęły wszystkie odcienie zieleni i czerwieni. Wówczas mogłabym marzyć, że z nastaniem wiosny wszystko będzie inne.

- Tutaj jesteś - usłyszałam jego głos za plecami. - Śniadanie gotowe. Stygnie ci herbata. Na stole jest świeży chleb.

Znów byłam w jego ramionach.

- Nie masz pojęcia, jak jestem szczęśliwy — szeptał mi do ucha. Powiedział, że gdy pierwszy raz mnie zobaczył, siedziałam na podłodze w korytarzu. W przeciwieństwie do innych kobiet, ubranych w czadory, miałam na głowie beżowy kaszmirowy szal. Choć dostrzegł, że byłam niska i szczupła, to z prostymi plecami opartymi o ścianę, wydałam mu się wyższa niż inni. Trzymając uniesioną do góry głowę, poruszałam lekko ustami, jakby zanurzona w modlitwie - pełna spokoju w samym środku rozpacz i strachu, które mnie otaczały. Powiedział, że próbował oderwać ode mnie wzrok, ale nie mógł.

Przez następne dni Ali rozpieszczał mnie do tego stopnia, że poczułam się niezręcznie. Zawsze radziłam sobie sama. Nie chciałam być traktowana jak dziecko. Dziewczynka, którą kiedyś byłam, odeszła. Teraz, jako zamężna kobieta, nie mogłam schować się pod łóżko, jak kiedyś. Może Ali był moim krzyżem, który miałam zaakceptować i ponieść. Przynajmniej należało spróbować. Chciałam jedynie, żeby dał mi spokój w łóżku. Za każdym razem, gdy zdejmował z siebie ubranie i dotykał mnie, błagałam go, by przestał. Czasami mnie słuchał, a czasami nie, mówiąc, że muszę do tego przywyknąć, że to ważna część małżeńskiego życia i że jeśli przestanę się opierać, ból będzie mniejszy.

Wreszcie, mniej więcej tydzień po ślubie, wstałam któregoś dnia o świcie z decyzją, że muszę żyć dalej i przestać roztkliwiać się nad sobą. Co się stało, to się stało i nic nie mogłam na to poradzić. Zaczęłam od porządków w domu i przygotowania śniadania. Powiedziałam Alemu, że chciałabym zaprosić na obiad jego rodziców i siostrę, co wywołało jego protest. Nie przypuszczałam, że potrafię gotować, ale w końcu ustąpił.

- W porządku. Zadzwoń do rodziców i siostry. Potem pójdziemy po zakupy. Marina?

- Tak?
- Dziękuję ci.
- Za co?
- Za to, że się starasz.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam ciepło wokół serca. Zabrałam się do obiadu zaraz po lunchu. Ali wyszedł na kilka godzin, a gdy wrócił, dom wypełniał zapach lazanii, duszonej wołowiny z grzybami i ryżu. Właśnie zaczęłam robić ciasto z jabłkami. Ali wszedł do kuchni, mówiąc, że z powodu tych wszystkich zapachów robi się coraz bardziej głodny. Chciał wiedzieć, czy moja matka uczyła mnie gotować. Prawda była taka, że matka nigdy nie miała cierpliwości, by uczyć mnie czegokolwiek, więc — ponieważ lubiłam gotować — korzystałam z książek kucharskich. Ali zaproponował przygotowanie herbaty i nalał trochę wody do samowaru. Włożył do porcelanowego czajniczka liście herbaty i podszedł do mnie. Właśnie rozbijałam jajko. Nadal się go bałam. Za każdym, razem, gdy zbliżał się do mnie, gdy czułam na skórze jego oddech i jego ręce, chciałam rzucić się do ucieczki. Wziął w dłonie moją twarz i pocałował mnie w czoło. Pomyślałam o tym, czy kiedykolwiek przywyknę do jego dotyku.

Rodzice Alego, Akram i Massood, chwalili wszystko, co przygotowałam. Pani Moosavi była trochę przeziębiona, więc po obiedzie i deserze przyniosłam jej filiżankę herbaty z cytryną i pled, by mogła odpocząć na sofie. Akram przyszedł do kuchni, by pomóc mi w zmywaniu naczyń.

- Obiad był pyszny - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. Wyraźnie czuła się niezręcznie. Doceniałam, że próbuje być dla mnie miła.

- Dziękuję. Nie jestem dobrą kucharką, ale staram się. Jestem pewna, że gotujesz dużo lepiej ode mnie.

- Nie, niekoniecznie.

Zapadła cisza. Zaczęłam chować do lodówki to, co zostało z obiadu.

- Dlaczego wyszłaś za mojego brata? - spytała nagle.

Spojrzałam jej prosto w oczy, ale odwróciła wzrok.

- Czy twój brat mówił ci cokolwiek na temat tego, co między nami zaszło?

- Niewiele.

- Więc dlaczego go nie spytasz?

- Nic mi nie powie, a poza tym chciałabym to usłyszeć od ciebie.

- Poślubiłam go, ponieważ tego chciał.

- To nie wystarczy.

- Nie? A dlaczego ty wyszłaś za swojego męża?

- Moje małżeństwo zostało zaaranżowane. Gdy byłam jeszcze dzieckiem, moi rodzice ustalili z rodzicami mojego męża, że gdy dorosnę, poślubię ich syna. Ty pochodzisz z innej rodziny, z innej kultury. Jeśli nie chciałaś za niego wyjść, mogłaś odmówić.

- Skąd wiesz, że nie chciałam go poślubić?

- Po prostu wiem. Kobiety wyczuwają takie rzeczy.

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie zapominaj, że jestem więźniem. Ali zagroził mi, że jeśli go nie poślubię, ucierpią moi bliscy.

- Ali nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

- Widzisz? Właśnie dlatego nie chciałam ci powiedzieć.

Wiedziałam, że mi nie uwierzysz, bo kochasz brata.

- Powtórzyłabyś to z ręką na świętej księdze Koranu?

- Tak, mówię ci prawdę.

Opadła na krzesło, kręcąc głową.

- To straszne! Nienawidzisz go za to?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie dlatego, że nie chciałam ujawniać moich uczuć, ale dlatego, że nie znałam właściwej odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze kilka dni temu bez wahania powiedziałabym, że tak - nienawidzę go. Teraz jednak nie miałam już takiej pewności. Coś się zmieniło, może nie zasadniczo, ale jednak... Sama nie rozumiałam, dlaczego moje uczucia względem Alego były inne. Chociaż miałam pełne prawo do tego, by go nienawidzić.

- Nie. Sama nie wiem... Owszem, kiedyś go nienawidziłam, ale teraz już nie. Nienawiść to bardzo mocne słowo.

Spojrzała mi w oczy.

- Czy przeszłaś na islam również dlatego, że musiałaś?

- Tak.

- Więc to nie jest naprawdę —

- Nie, ale nie zapominaj, że mówię ci to wyłącznie dlatego, że nalegałaś. Nie chcę cię okłamywać. Już po wszystkim. Jestem muzulmanką i żoną twojego brata. Przysięgałam, że będę mu wierna i mam zamiar dotrzymać słowa. Co się stało, już się nie odstanie.

- Oby Bóg dał ci siłę - powiedziała. - Wiem, jak musi ci być trudno.

- Przynajmniej dobrze jest wiedzieć, że jest ktoś, kto to rozumie.

Prawdziwy, szczery uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Od jak dawna jesteś mężatką? - spytałam.

- Od siedmiu lat.

- Kochasz męża?

Spojrzała na mnie zaskoczona, jakby nigdy w życiu nie zastanawiała się nad własnymi uczuciami względem męża.

- Miłość to takie wielkie słowo - zaśmiała się, patrząc na połyskujący diamentem ślubny pierścionek. - Chyba istnieje tylko

w bajkach. Mój mąż jest dla mnie dobry, wierny i zapewnia mi wygodne życie. Tak, chyba można powiedzieć, że jestem szczęśliwa, tylko że... - Odwróciła oczy, w których zdążyłam rozpoznać pełen tęsknoty ból, jaki pozostawia utrata czegoś drogiego. Serce we mnie zamarło.

- Tylko, że co...? - wyszeptałam.

- Nie mogę mieć dzieci - powiedziała i westchnęła, jakby to było najtrudniejsze zdanie, jakie kiedykolwiek przyszło jej wypowiedzieć. - Próbowałam wszystkiego. Na początku wszyscy pytali mnie, czy jestem w ciąży, ale po kilku latach dali spokój. Teraz jestem tylko kobietą, która nie może urodzić dziecka. Ale jak ci powiedziałam, mój mąż jest dla mnie dobry. Wiem, jakie to dla niego ważne, by mieć syna, ale zapewnił mnie, że nie poślubi innej kobiety.

- Co tu robicie moje panie? Zniknęłyście na dobre - powiedziała matka Alego, wchodząc do kuchni. - Wasi mężczyźni chcieliby herbaty.

Ledwie zdążyliśmy zasiąść w salonie, gdy zadzwonił telefon. Odebrał Ali. Domyśliłam się, że to z Evin. Głównie słuchał, wyraźnie przejęty. Milczeliśmy. Gdy skończył rozmowę, spytałam go, co się stało.

- Od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że mudzahedini planują zamachy na kilka osób, zajmujących wysokie stanowiska w Evin. Próbowaliśmy odnaleźć i zatrzymać ich przywódców. Niedawno udało się nam aresztować kilku z nich i przesłuchać. To był Mohammad. Zadzwonił, by mnie uprzedzić, że według informacji uzyskanych od więźniów jestem na liście zamachowców. Koledzy i przyjaciele uważają, że ze względów bezpieczeństwa powinienem z Mariną przenieść się na jakiś czas do Evin. Nie chodzi o mnie, ale nie chcę narażać Mariny.

Domyślałam się, że był wysoko w Evin. Teraz miałam pewność.

- Myślę, że pozostanie przez jakiś czas w Evin to dobre wyjście. Lepiej, żeby było bezpiecznie niż miło - powiedział pan Moosavi. Wyglądał na zmartwionego.

- Marina, czy zgadzasz się na takie rozwiązanie? Tak będzie dużo bezpieczniej - spytał Ali.

- Oczywiście — wiedziałam, że i tak nie mam wyjścia.

- Wynagrodzę ci to, gdy wszystko się uspokoi.

Po wyjściu gości poszliśmy do łóżka.

- Ali, widzisz, co przemoc robi z ludzi? Ty zabijasz ich, oni zabijają ciebie. Kiedy to się skończy? Czy dopiero wtedy, gdy nie będzie nikogo żywego? /

- Jesteś naiwna - powiedział. - Myślisz, że gdybyśmy ich ładnie poprosili, tak po prostu przestaliby zwalczać rząd? Musimy chronić islam, Boże prawa i lud Boży przed siłami zła, które zbierają się przeciwko niemu.

- Bóg nie potrzebuje ochrony. Chodzi mi o to, że przemoc rodzi przemoc. Nie znam rozwiązania, ale wiem, że nie jest nim zabijanie.

Pociągnął mnie ku sobie.

- Nie każdy ma w sobie tyle dobroci, co ty. - powiedział.
- Świat jest okrutny.

- Owszem, ale tylko dlatego, że jesteśmy okrutni dla siebie nawzajem.

Roześmiał się.

- Nie dajesz za wygraną, prawda?

- Kiedy jedziemy do Evin? - spytałam.

- Jutro rano. Mam nadzieję, że zrozumiesz: w momencie, gdy się tam znajdziemy, mimo że jesteś moją żoną, nie będziesz traktowana inaczej niż poprzednio. Oficjalnie nadal jesteś więźniem. Wolisz pojedynczą celę, czy chcesz wrócić do 246?

Powiedziałam mu, że wszystko mi jedno. Jego zdaniem pojedyncza cela miała tę zaletę, że moglibyśmy się częściej widywać. Nie protestowałam. Nadal nie czułam się gotowa na wyjaśnienie czegokolwiek koleżankom w 246.

- Czy było dużo aresztowań ostatnio? - spytałam.

- Tak.

- Biedacy. Muszą być przerażeni.

- Marina, wiele z tych osób to terroryści.

- Może niektórzy, ale sam wiesz, że w większości to tylko dzieciaki. Najczęściej nie zrobili nic złego. Czy jeśli dostanę pojedynczą celę, pozwolisz, żeby ci młodszy byli ze mną na etapie przesłuchań? Ali, nie cierpię bezczynności. Mogę im trochę pomóc i sama w ten sposób będę czuła się lepiej.

Uśmiechnął się.

- To będzie interesujące. W porządku, umowa stoi.

- Tylko nie mów im, że jestem twoją żoną, bo będą się mnie bać.

Jeśli pozostało we mnie coś dobrego, może należało to wykorzystać.

- Ali, gdzie jest Sara Farahani? - spytałam.

- Przez długi czas była w szpitalu, ale nie w tym, który sama znasz. Dla więźniów z problemami psychicznym jest inny oddział. Teraz jest w bloku 209.

- Ona musi wrócić do domu. Wystarczająco dużo przeszła. Niczego nie zrobiła. Po prostu za dużo mówiła. Nie przeżyje Evin.

- Jej sprawą zajmuje się Hamehd, a sama wiesz, jaki potrafi być trudny. Nie sadzę, żeby w najbliższym czasie Sara mogła zmienić miejsce pobytu.

- Czy jej brat rzeczywiście został zabity?

- Tak. Należał do mudżahedinów i całkowicie odmawiał współpracy - powiedział Ali rzeczowo.

- Więc wasza polityka polega na zabijaniu każdego, kto stoi wam na drodze.

- Gdyby Sirus miał taką szansę, strzeliłby mi w głowę.
- Mogliście zatrzymać go w Evin, zamiast zabijać.
- To nie była moja decyzja i nie zamierzam się o to sprzeczać.
- Mogę zobaczyć Sarę?
- Zabiorę cię do jej celi, gdy wrócimy do Evin.

Musiałam zadać mu pytanie, które nie dawało mi spokoju. Żaden moment nie był odpowiedni, podobnie i tym razem.

- Ali, zabiłeś kogoś? Nie chodzi mi o frontymam na myśli Evin.

Wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Poszłam za nim. Odkręcił kurek, napełnił szklankę wodą i wziął kilka łyków.

- Zabiłeś, prawda?
- Marina, dlaczego nie przestaniesz?
- Nienawidzę cię!

Czułam ciężar tych słów, ale ich nie żałowałam. Chciałam go zranić. To była zemsta, na jaką zasługiwał. Próbowałam zaakceptować moją nową sytuację i zrozumieć go, ale nie mogłam udawać, że nie wiem o tych potwornych rzeczach, które robił.

Wolno odstawił szklankę na stół, nie odrywając od niej wzroku. Gdy podniósł głowę, jego oczy były ciemne, pełne gniewu połączonego z bólem. Podeszedł do mnie. Zrobiłam kilka kroków do tyłu, wpadając na kredens. Nawet gdybym rzuciła się do ucieczki, nie na wiele by się to zdało. Złapał mnie za ramiona, a jego palce wbijały mi się w ciało.

- Sprawiasz mi ból - powiedziałam.
- Ja sprawiam ci ból?
- Tak, od samego początku. Ranisz innych i ranisz samego siebie.

Podniósł mnie i zaniósł do sypialni. Kopałam i krzyczałam, ale na próżno.

Następnego ranka nie wstałam z łóżka, choć Ali trzykrotnie wołał mnie na śniadanie. Naciągnęłam na głowę prześcieradło, szlochając. Łóżko zaskrzypiało. Otworzyłam oczy i przez delikatny biały materiał zobaczyłam obok sylwetkę Alego. Siedział bokiem na brzegu łóżka, z łokciami opartymi na kolanach i zaciśniętymi dłońmi. Nie poruszyłam się.

- Marina? - powiedział po kilku minutach.

Nie odpowiedziałam.

- Przykro mi, że dałem się ponieść. Masz wszelkie prawo winić mnie za to. Ale musisz zrozumieć, że jest jak jest, jeśli nawet nie lubię tego, co robię. Świat nie jest przyjaznym ani pozbawionym przemocy miejscem i pewne rzeczy musimy robić. Wiem, że się ze mną nie zgadzasz. Ale nie ja za to odpowiadam. Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale ja i tak cię kocham. Nie zamierzałem skrzywdzić cię wczoraj. Chodź. Zjedzmy śniadanie.

Nie reagowałam.

- Daj już spokój. Proszę. Jak mogę ci wynagrodzić to, co się stało?

- Pozwól mi wrócić do domu.

- Marina, jesteś moją żoną. Twój dom jest tutaj, ze mną. Musisz do tego przywyknąć.

Mój szloch był coraz bardziej rozpaczliwy. Delikatnie zsunął ze mnie prześcieradło i próbował wziąć mnie w ramiona. Odepchnęłam go.

- Musisz pogodzić się z tą sytuacją. Czy jest coś w granicach rozsądku, co mogłoby cię uszczęśliwić?

Próbowałam dostrzec coś dobrego w tym bólu. Inaczej pograżyłby mnie całkowicie.

- Pomóż Sarze.
- Pomogę.

Ali miał na sobie tylko dół od piżamy. Na jego nagich plecach zobaczyłam białe linie. Blizny. Dużo blizn. Ślady po chłostcie. Nie zauważyłam ich wcześniej, ponieważ za każdym razem, gdy się rozbierał, zamykałam oczy.

Dotknęłam jego pleców.

- Masz blizny...

Wstał i założył koszulę.

Po raz pierwszy poczułam coś w rodzaju bliskości pomiędzy nami. Nie chciałam tego. Ale to uczucie było realne, jak okrywające mnie prześcieradło, jak jego i moje własne blizny. Ponure zrozumienie, które nie wymagało słów, które zawierało się w milczącym spojrzeniu i delikatnym dotknięciu.

- Chodź. Zjemy coś - powiedział.
- Zjedliśmy śniadanie.

Mniej więcej trzy godziny później znalazłam się w mojej samotnej celi. Nie mogę powiedzieć, że za nią tęskniłam. Ali przyniósł mi górę książek - wszystkie dotyczyły islamu - i uprzedził, że będzie bardzo zajęty. Przypomniałam mu o jego obietnicy dotyczącej Sary. Zabrał mnie do jej celi, uprzedzając jednak, że dostała dużą dawkę środków uspokajających, więc kontakt z nią będzie raczej ograniczony.

- Możesz z nią zostać godzinę, najwyżej dwie, ale nie więcej. Nie chcę drażnić Hamehda.

Gdy weszłam do celi, Sara pisała na ścianie. Schudła jeszcze bardziej, a jej skóra zrobiła się żółta. Położyłam ręce na jej ramionach. Nie zareagowała.

- Sara, tęskniłam za tobą.

Ściany pokryte były jej pismem. Wróciło do mnie całe nasze poprzednie życie: dom Sary z kwiatowym klombem; jej matka, siedząca na huśtawce; ojciec, recytujący poematy Hafeza; Sirus, grający w piłkę z kolegami; nasza szkoła z jej wysokimi oknami; powroty do domu i kupowane w sklepie pana Rostami lody. I tak dalej, i tak dalej. Nie zapomniała nawet o moim piórniku. Ja nie chciałam pamiętać. Za każdym razem, gdy oglądałam się za siebie, czułam potworny ból i tęsknotę za domem. Dom. Wydawał się należeć do innego świata. Ale przecież był, gdzieś tam poza murami Evin. Gdyby odgradzał mnie od niego nawet Mount Everest, wróciłabym. Najwyższe szczyty nie stanowiłyby dla mnie przeszkody.

- Sara, wiem, że mnie słyszysz. Mamy wiele wspólnych wspomnień. Gdzieś tam są nasze domy. Musisz przeżyć, żeby wrócić. Twój dom czeka na ciebie. Nie zapominaj, że zawsze jest jakieś jutro, ale sama musisz się o tym przekonać. Tego chciałby Sirus. Musisz walczyć dla niego, dla twoich rodziców.

Chwyciłam ją za ramiona i obróciłam ku sobie.

- Tego właśnie chce Hamehd - żebyś się poddała. Nie daj mu tej satysfakcji. Wrócisz do domu. Gdybyś tylko wiedziała, co robiłam. Tak trudno dzielić z Alim to samo łóżko, ale on nie jest taki jak Hamehd. Ma w sobie dobro i kocha mnie, ale... to takie trudne. Nie wyobrażasz sobie.

Sara objęła mnie ramionami i ścisnęła, coraz mocniej i mocniej. Trzymałyśmy się tak nawzajem i płakałyśmy.

Po około dwóch tygodniach, które - poza spotkaniami z Alim - spędziłam w większości na czytaniu, dostałam pierwszą współlokatorkę, Simę. Miała wielkie jasnobrązowe oczy i - chociaż nie dałabym jej więcej niż trzynaście lat - okazało się, że miała pięć-

naście. Strażnik, który ją przyprowadził do mojej celi, kazał jej zdjąć z oczu przepaskę, po czym zatrzasnął za sobą drzwi. Sima przetarła oczy, zamrugała i spojrzała na mnie z przerażeniem.

Spytała, kim jestem. Powiedziałam jej, jak się nazywam, wyjaśniając jednocześnie, że jestem więźniem. Usiadła z wyraźną ulgą, choć w bezpiecznej odległości ode mnie. Jej stopy były nieco opuchnięte. Spytałam, czy ją boła.

- Torturowali mnie! - wykrzyknęła w odpowiedzi.

Przysunęłam się do niej i powiedziałam, że ja także byłam torturowana i to bardziej niż ona. Chciała wiedzieć, jak długo jestem w Evin.

- Siedem miesięcy - odpowiedziałam.

- Siedem miesięcy? Tak długo? I przez ten cały czas w tej celi?

Wyjaśniłam jej, że wcześniej byłam w bloku 246 i że po zakończeniu przesłuchań też mogą ją tam odesłać w oczekiwaniu na proces. Chciała wiedzieć, ile to potrwa. Powiedziałam jej, że od kilku dni do kilku miesięcy. Interesowało ją, czy ja miałam swój proces.

- Tak jakby - odpowiedziałam.

- Jaki dostałaś wyrok?

- Dożywocie.

- O, mój Boże!

Nie mogła wyobrazić sobie pobytu w Evin dłuższego niż tydzień. Spytałam, kto ją przesłuchiwał. Okazało się, że Ali i że był bardzo nieprzyjemny.

- Czasami taki jest - powiedziałam. - Ale są inni, dużo gorsi od niego.

Mówienie jej prawdy w niczym by nie pomogło.

Sima chciała wiedzieć wszystko o regułach obowiązujących w Evin i o bloku 246. Powiedziałam jej wszystko, co mogłam.

Około ósmej wieczorem Ali zapukał do drzwi naszej celi i zawołał mnie. Chwyciłam czador i podeszłam do drzwi.

- Czego od ciebie chce? - wyszeptwała Sima.

- Nie martw się. Nie zrobi mi krzywdy - uspokoiłam ją, po czym założyłam czador i wyszłam.

Na pytanie Alego, jak czuje się Sima, powiedziałam mu, że trochę lepiej. Spytałam go, czy bicie było konieczne. Odpowiedział, że nie miał wyboru - jej brat należał do mudżahedinów i był zamieszany w zabójstwo jednego z urzędników państwowych. Od miesięcy Ali próbował go namierzyć i aresztować. Musiał upewnić się, że Sima nie zna miejsca pobytu brata.

- Proszę, powiedz mi, że więcej nie będziesz jej bił.

- Nie będę. Ona nic nie wie. Odsyłam ją do 246. Wypuścimy ją, gdy jej brat odda się sam w nasze ręce.

Spytałam go, dokąd mnie zabiera.

- Do innej celi. Jestem wykończony. Potrzebuję cię.

Po porannej modlitwie wróciłam do swojej celi. Sima spała.

- O której wczoraj wróciłaś? - spytała mnie zaraz po obudzeniu. - Czekałam na ciebie, ale chyba w końcu zasnęłam.

- Wróciłam rzeczywiście bardzo późno.

- Co robiłaś przez cały ten czas?

- Nic takiego.

- Nie chcesz o tym mówić?

- Nie. Nie martw się o mnie.

Płakała. Objęłam ją, mówiąc, że nic jej nie będzie i że nie wolno tracić nadziei. Powiedziałam też o planie przeniesienia jej do bloku 246, gdzie miała spotkać moje przyjaciółki. Byłam pewna, że jej pomogą. Poprosiłam Simę o przekazanie im, żeby się o mnie nie martwiły.

Następnego dnia Sima została odesłana do 246. Moje dni stały się nudne aż do bólu i wypełnione samotnością. Na moją prośbę Ali przyniósł mi kilka tomików poezji. I tak dzieliłam czas między czytaniem a uczeniem się na pamięć utworów Hafiza, Kadiego i Rumiego. I spałam.

Kilka dni później Ali zabrał mnie wieczorem na obiad do domu swoich rodziców. Zatrzymaliśmy się przed bramą więzienia, czekając, aż strażnicy przepuszczą samochód. Ali opuścił szybę, by ich pozdrowić. Choć przyjaźni wobec Alego, mnie zawsze ignorowali, jakby mnie w ogóle nie było. Tym razem jednak, życząc Alemu dobrej nocy, strażnik ukłonił mi się.

- Dobranoc, pani Moosavi.

Zmieszana rozejrzałam się wokół i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówił do mnie.

Ali dotknął mojej ręki. Podskoczyłam.

- Wyglądasz na mocno zaskoczona - powiedział.

- Do tej pory traktowali mnie jak powietrze.

- Zaakceptowali cię. Wiedzą, że jesteśmy małżeństwem.

W domu Alego uściskała mnie jego matka i siostra.

- Skóra i kości - poskarżyła się matka Alego, kręcąc głową. Poszłam za nią do kuchni, by pomóc w przygotowaniach do obiadu. Akram doglądała jagnięciny, która już była w piecu. Idąc do salonu z herbatą dla mężczyzn, matka Alego poprosiła mnie o zrobienie sałatki. W durszlaku obok zlewu była umyta sałata, pomidory i ogórki. Chwyciłam nóż i krojąc warzywa, przypomniałam sobie mój niedawny sen o Akram.

- Śniłaś mi się ostatniej nocy - powiedziałam jej.

- Jak?

Zawahałam się, nie wiedząc, czy powinnam jej mówić.

- Powiedz, proszę! Czy to było coś złego?

- Nie, nie. Wcale.

- W takim razie, co? Wierzę w sny. Pamiętasz?

Wyznałam jej, że to był dziwny sen: Akram zapalała świecę w moim kościele. Zwróciła się do mnie, mówiąc, że kazałam jej odmawiać „Zdrowaś Mario” dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni, by mogła mieć dzieci.

Zaskoczona spytała, co oznacza „Zdrowaś Mario”. Wytłumaczyłam jej.

- Naprawdę wierzysz, że Maryja była Matką Boga? - spytała, wysłuchawszy do końca modlitwy.

Wyjaśniłam jej, że według chrześcijan Bóg chciał, by jego Syn przyjął ludzkie ciało za pośrednictwem Maryi, i że Maryja nie była zwyczajną kobietą. Po to się narodziła.

- My wierzymy, że Maryja była niezwykłą kobietą, ale nie Matką Boga!

- Nie proszę cię, żebyś w cokolwiek wierzyła. Spytałaś mnie o mój sen, więc ci powiedziałam - odcięłam się.

Spuściła oczy, próbując podjąć jakąś decyzję.

- Zrobię to. Będę odmawiać tę modlitwę. W końcu nie mam nic do stracenia, prawda?

Kilka dni później, wczesnym popołudniem niespodziewanie odwiedził mnie w mojej celi Ali. Zwykle przychodził wieczorem. Właśnie drzemałam, więc poderwałam się zaskoczona. Usiadł obok mnie i oparłszy się plecami o ścianę, zamknął oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

- Nic mi nie jest.

Objął mnie.

- O co chodzi?

- Kilka dni temu wieczorem strażnicy przyprowadzili dziewczynę, mniej więcej siedemnastoletnią. Przyłapali ją, jak pisała sprayem na murze w alei Enghelab „Śmierć Chomeinie-

mu", „Chomeini to morderca" i inne podobne hasła. Gdy ją aresztowali, powiedziała, że nienawidzi Chomeiniego, bo zabił jej młodszą siostrę. To samo mówiła tutaj. Hamehd nieźle ją pobił, ale ona nie przestaje powtarzać tych samych słów. Jeśli nie zmieni swojego zachowania i nie będzie współpracować, dostanie wyrok śmierci. Porozmawiasz z nią? Przydałby się jej jakiś psycholog, ale na to nie ma co liczyć - westchnął. - Nic nie mów. Sam wiem, że to nie porządku. Wiem też, że być może nie uda ci się przemówić jej do rozsądku. Nie chciałem tego robić, ale nic innego nie przychodzi mi go głowy.

- Porozmawiam z nią. Gdzie ona jest?
- W budynku przesłuchań. Pójdę po nią.

Mniej więcej pół godziny później Ali zjawił się w mojej celi, popychając przed sobą wózek inwalidzki. Siedząca na nim dziewczyna okryta była ciemnoniebieskim czadorem. Pochylała się na jedną stronę, opierając głowę na ramieniu.

- Mina, możesz zdjąć opaskę - powiedział Ali, ale dziewczyna nie zareagowała. Dopiero gdy ściągnął jej z oczu przepaskę, poruszyła się lekko. Jej prawy policzek był siny i spuchnięty. Wiedziałam, że niewiele widziała, słyszała czy rozumiała. Wszystko wydawać jej się musiało sennym koszmarem.

- Mam na imię Marina - powiedziałam, klękając na wprost niej. - Jestem więźniem. Jesteś w celi. Pomogę ci zjeść z wózka. Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Podciągnęłam ją do góry za ramiona i oparła się o mnie niemal bezwładnie. Pomogłam jej usiąść na podłodze. Ali zabrał wózek i wyszedł z celi.

- Layla nie żyje - wyszeptała Mina.
- Słucham?
- Layla nie żyje.

- Kim jest Layla?

- Layla nie żyje.

Rozkładając koc na podłodze, żeby mogła się położyć, zobaczyłam jej stopy i znieruchomiałam. Były bardziej opuchnięte niż moje w swoim czasie.

- Zdejmę ci klapki. Zrobię to bardzo delikatnie.

Skóra na jej stopach przypominała nadmuchany balon, ale klapki zeszyły łątwo.

Nalałam trochę wody do plastikowego kubka i przystawiłam go do jej wyschniętych warg. Wzięła kilka łyków.

- Napij się jeszcze.

Pokręciła głową. Pomogłam jej położyć się i zdjąć czador oraz szal. Drżała, więc przykryłam ją kilkoma kocami. Wkrótce zasnęła. Siedziałam obok niej. Była wysoka i szczupła. Miała kręcone, brązowe włosy, które - z powodu chusty noszonej nieprzerwanie od chwili aresztowania - były brudne i posklejane. Pomyślałam o jej spuchniętych stopach i poczułam mrowienie we własnych nogach. Ból, który pamiętałam z moich pierwszych dni w Evin, nie był jedynie wspomnieniem - ciągle we mnie żył.

Po około czterech godzinach Mina zaczęła jęczeć. Chwyciłam kubek z wodą i pomogłam jej usiąść.

- Posłuchaj. Wiem jak się czujesz. Wiem, że wszystko cię boli, ale, uwierz mi, będzie lepiej, jeśli to wypijesz. Nie poddawaj się.

Wzięła kilka łyków, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

- Kim jesteś? - spytała.

- Więźniem. Mam na imię Marina.

- Myślałam, że nie żyję, a ty jesteś jakimś aniołem.

Zaśmiałam się.

- Wierz mi, nie jestem aniołem, a ty bez wątpienia nie umarłaś. Mam trochę chleba i daktyli. Musisz coś zjeść. Twoje ciało potrzebuje energii, by dojść do siebie.

Zjadła kilka daktyli i trochę chleba. W chwili, gdy znowu się położyła, ktoś zapukał do drzwi.

- Marina, załóż czador i wyjdź - powiedział Ali zza drzwi. Zabrał mnie do innej celi, gdzie zjedliśmy przyniesiony przez niego chleb i ser. Nie spytał mnie o Minę.

- Nie chcesz wiedzieć, czy z nią rozmawiałam? - spytałam.

- Szczerze? O niczym nie chcę teraz wiedzieć. Muszę się wyłączyć. Chcę po prostu iść spać.

Gdy wróciłam do swojej celi przed czwartą nad ranem, Mina pogrążona była we śnie. Obudziła się, gdy wzeszło słońce.

- Kim jest Layla? - spytałam ją.

Chciała wiedzieć, skąd wiem o Layli. Powiedziałam jej, co mówiła, gdy znalazła się w celi.

- Layla to moja siostra.

- Jak zginęła?

- Na manifestacji. Postrzelili ją.

Mina opowiedziała mi, jak przyjaciółka jej siostry, Darya, została któregoś dnia zaatakowana przez Hezbollah. Powodem były niedokładnie przykryte włosy. Matka Miny właśnie szła do sklepu i widziała całe zajście. Napastnicy pobili Daryę, po czym wciągnęli ją do samochodu i odjechali. Rodzice dziewczyny szukali jej wszędzie - w szpitalach, w komitetach islamskich, ale ślad po niej zaginął. Kilka miesięcy po tym zdarzeniu Layla usłyszała o planowanym wiecu protestacyjnym i postanowiła wziąć w nim udział. Namawiała Minę, by z nią poszła. Mina próbowała odwieść ją od tego zamiaru, jednak siostra była zdecydowana iść na manifestację — z Miną lub bez niej. Nie przemawiał do niej argument, że może jej się przytrafić to samo co Daryi. Wreszcie Mina dała za wygraną i postanowiła towarzyszyć siostrze. Dała także słowo, że o niczym nie powie rodzicom.

- Więc poszliśmy razem - ciągnęła Mina. - Były tłumy ludzi. Gwardia rewolucyjna otworzyła ogień. Wszyscy zaczęli biec. Złapałam Laylę za rękę, próbując wyprowadzić nas w bezpieczne miejsce, ale upadła. Odwróciłam się i zobaczyłam, że nie żyje.

Opowiedziałam Minie o wiecu na placu Ferdosi, o młodym człowieku, który wówczas zginął od kul, i o mojej decyzji o samobójstwie po powrocie do domu. Powiedziałam jej także, że zamiast wziąć tabletki nasenne mojej matki, postanowiłam zrobić coś z tym, czego byłam świadkiem - zrobić to, co należało.

- I co zrobiłaś? — spytała Mina.

- Opisałam przebieg wydarzeń na kartonie, który powiesiłam na ścianie w szkole. Potem zaczęłam wydawać szkolną gazetkę.

- Ja wychodziłam dwa, trzy razy w tygodniu późno w nocy i pisałam farbą w sprayu na murach o tym, co stało się z Laylą. Pisałam też slogany przeciwko Chomeiniemu i rządowi. To morderycy.

- Mina, byłam bardzo blisko egzekucji. Jeśli będziesz powtarzała te hasła, zabiją cię. Sama straciłam przyjaciół, więc wiem, co czujesz. Ale twoja śmierć niczego nie zmieni.

- Więc poszłaś na współpracę i przeżyłaś - zwęziła oczy.

- To nie było dokładnie tak. Zagrozili, że skrzywdzą moich najbliższych. Nie mogłam ich narażać.

- Rozumiem. Ale moja rodzina i tak jest skończona. Ojciec ma cukrzycę i problemy z sercem, był już w szpitalu. Od śmierci Layli moja matka nie odzywa się do nikogo. Ostatnio mieszkaliśmy u babci, która opiekuje się mamą. Strażnicy mogą straszyć mnie, ile chcą. Gorzej już być nie może. Częściowo to moja wina. Powinnam była powstrzymać Laylę. Żyłaby teraz. Nikomu nic by się nie stało.

Powiedziałam jej, że dyskusja ze śledczym jest niemal równoznaczna z samobójstwem, ale nie zgodziła się ze mną.

- Nie będę współpracować z ludźmi, którzy zabili mi siostrę
- powiedziała.

- Nie wiesz, co zdarzy się jutro czy za kilka miesięcy. Powin-
naś dać sobie szansę. Bóg dał ci życie - wykorzystaj je.

- Nie wierzę w Boga. Jeśli nawet istnieje jakiś Bóg, to jest
okrutny.

- Cóż, ja wierzę w Boga i nie uważam, że jest okrutny. To
my czasami tacy jesteśmy. Nawet gdybyś nie istniała, Layla ży-
łaby tak jak żyła i tak samo by umarła. Teraz możesz ją wspomi-
nać. Możesz żyć i zrobić coś dobrego z uwagi na pamięć o niej.

- Nie wierzę w Boga. - Odwróciła ode mnie twarz.

Mina przespała resztę dnia. Rozumiałam jej gorycz. Gniew
zmienił się w nienawiść, która ją wypełniła bez reszty. Moja wia-
ra w Boga dała mi nadzieję. Pomogła mi wierzyć w dobro pomi-
mo całego zła, które mnie otaczało.

Wieczorem przyszedł Ali i wywołał mnie z celi. Mina nie
poruszyła się, nawet nie otworzyła oczu. Próbowałam porozma-
wiać o niej z Alim, ale nie chciał.

Było jeszcze ciemno, gdy przed poranną modlitwą Ali od-
prowadził mnie z powrotem do mojej celi. Gdy zamknął za
sobą drzwi, ogarnęła mnie kompletna ciemność. Niczego nie
widziałam. Usiadłam od razu na podłodze, by nie przeszkadzać
Minie. Cisza. Badając rękami przestrzeń wokół siebie, zaczęłam
przesuwać się w głąb celi. Była pusta.

- Mina? - zawołałam.

Na głos muezina zapaliły się światła. *Allaho akbar...*

- Mina!

- *Allaho akbar...*

Miny nie było. Ali spędził ze mną całą noc w innej celi. Do-
bry Boże. Hamehd zabrał ją i Ali o niczym nie wie. Próbowa-
łam pomyśleć. Może jeszcze nie jest za późno. Co robić? Byłam

pewna, że Ali jest w drodze do budynku przesłuchań. Mogłam
zastukać do drzwi i poprosić strażnika, żeby zawołał Alego.
Z drugiej strony, w ten sposób Ali nie dotarłby na miejsce prze-
słuchania. Musiałam czekać.

Chodziłam wokół celi: pięć, sześć kroków wzdłuż i nieca-
łe trzy wszere. Pamięć podsuwała mi przebłyski tamtej nocy
- nocy mojej niedoszłej egzekucji. Byłam świadkiem ostatnich
chwil życia dwóch młodych mężczyzn i dwóch kobiet. Nawet
nie znałam ich imion. Czy ich rodziny zostały powiadomione
o tym, że ich najbliższych stracono? Gdzie były ich groby? To
samo mogło przytrafić się Minie. Zaczęłam walić pięściami do
drzwi celi, najmocniej jak mogłam.

- Coś nie tak? - spytał męski głos.

- Czy mógłby pan znaleźć Brata Alego i przekazać mu, że
muszę z nim natychmiast porozmawiać?

Zgodził się.

Serce łomotało mi w piersi, gdy dalej chodziłam po celi.
Z powodu braku zegarka nie byłam w stanie określić, jak dłu-
go czekam. Muezin nie wzywał jeszcze wiernych na południo-
wą modlitwę, więc musiało być przed dwunastą. Zaczęło mi
się kręcić w głowie, więc co chwilę obijałam się o ściany. Musi
być coś, co mogę zrobić. Pomyślałam o wszystkich znanych mi
świętych: „Święty Pawle, pomóż Minie. Święty Marku, pomóż
Minie. Święty Mateuszu, pomóż jej. Święty Łukasz, pomóż
Minie. Święta Bernadetto, pomóż jej. Święta Joanno d'Arc po-
móż Minie”. Gdy wyczerpały się wszystkie znane mi imiona,
ponownie zastukałam do drzwi.

- Mówiłem mu - powiedział ten sam męski głos.

- I co?

- Powiedział, że przyjdzie, jak tylko będzie mógł.

Usiadłam w kącie, szlochając.

- *Allaho akbar...* - rozległ się głos muezina, wzywającego na poranną modlitwę. — *Allaho akbar...*

Drzwi do celi otworzyły się. Ali wszedł, zamykając je za sobą. Chwilę stał, patrząc na mnie.

- Spóźniłem się - powiedział wreszcie. - Zmarła w nocy podczas przesłuchania.

- Jak?

- Hamehd twierdzi, że mu pyskowała, więc ją uderzył. Upadła i uderzyła o coś głową.

- O Boże! I ty mu wierzysz?

- To nie ma znaczenia.

Chciałam płakać, ale nie mogłam. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. Chciałam zapobiec tym strasznym rzeczom, ale nie mogłam.

Ali usiadł obok mnie.

- Próbowałem - powiedział.

- Za mało się starałeś - krzyknęłam.

Wyszedł.

Ali nie zjawił się przez następnych pięć czy sześć dni, które głównie przespałam, przygnębiona śmiercią Miny. Wreszcie któregoś ranka przyprowadził do celi młodą kobietę - Bahar, z niemowlęciem na ręku. Nie odezwał się do mnie słowem, ale z jego oczu wyczytałam, że chciał ze mną porozmawiać. Wyszedł jednak natychmiast.

Dziecko Bahar miało pięć miesięcy - r śliczny chłopczyk o imieniu Ehsan. Bahar pochodziła z miasta Rasht w północnym Iranie, które znajdowało się w niewielkiej odległości od naszej daczy nad Morzem Kaspijskim. Miała krótkie, falujące czarne włosy i choć troska wypełniała cieniem jej oczy, poruszała się i mówiła w spokojny, pewny sposób. Wraz z mężem

należała do zwolenników Fadayan. Oboje zostali aresztowani w domu i przywiezieni do Evin. Bahar nie była torturowana podczas przesłuchania.

Tamtej nocy Ali wywołał mnie z celi. Gdy wychodziłam, Bahar wzięła mnie za ręce, mówiąc, że na pewno wszystko będzie w porządku. Miała największe dłonie, jakie kiedykolwiek widziałam u kobiety. Czułam ich ciepło na mojej zimnej skórze.

Jak zwykle Ali zabrał mnie do innej, wolnej celi. Milczał. Gdy byliśmy na miejscu, usiadł w kącie, obserwując, jak zdejmuję czador.

- Nie oceniaj mnie tak surowo - powiedział nagle.

- Mina nie żyje. - powiedziałam mu. - Niewinna dziewczyna nie żyje, a ty martwisz się o to, jak cię oceniam? Oczywiście, że surowo. Uważasz, że nie powinnam? Ty jesteś tu szefem.

- Nie jestem szefem. Próbowałem nim być, ale nie jestem.

- Kto w takim razie jest?

- Marina, robię wszystko, co mogę. Musisz mi zaufać. To nie takie proste. I zrozumi: nie chcę o tym mówić.

Było bardzo cicho, gdy wróciłam do celi około czwartej nad ranem. Stąpając na palcach, udałam się na swoje miejsce.

- Wszystko w porządku? - z ciemności dobiegł mnie głos Bahar.

- Tak. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie obudziłaś. Nie spałam. Chcesz pogadać?

- O czym?

- O tym, co cię dręczy. Do tej pory rozmawialiśmy głównie o mnie, teraz twoja kolej. Nie mów mi, że wszystko w porządku, bo widzę, że tak nie jest.

Próbowałam powstrzymać łzy. Trafiła w sedno. Od czego miałabym zacząć?

- Chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę.

- Spróbuj. Nie musisz zdradzać mi wszystkiego.

- Jestem żoną Alego.

- Me mówisz poważnie.

- Wręcz przeciwnie. Naprawdę jestem jego żoną.

- Jak to możliwe? Aresztował własną żonę?

- Nie. Nie znałam go, zanim mnie tu przywieźli. Przesłuchiwał mnie. Gdy inny śledczy, Hamehd, zabrał mnie na egzekucję, Ali powstrzymał go. Zagroził mi, że jeżeli go nie poślubię, skrzywdzi moich najbliższych. Nie miałam wyboru.

- To jest gwałt!

- Nie mów o tym nikomu. Moje przyjaciółki z 246 o niczym nie wiedzą.

- Jesteś jego *sigheh* ?

- Nie, chciał trwałego związku.

- W tych okolicznościach sama nie wiem, czy takie małżeństwo jest lepsze czy gorsze. W przypadku *sigheh* wiedziałyby przynajmniej, że po jakimś czasie cię zostawi. Ale tak...

- Nic mi nie jest.

- Jak możesz tak mówić?

Tego było za wiele. Zaczęłam szlochać. Dziecko Bahar obudzilo się. Matka wzięła je na ręce, zaczęła kołysać i śpiewać wymyśloną przez siebie kołysankę. Opowiadała o Morzu Kaspijskim, gęstych lasach północy i beztrąsko bawiących się tam dzieciach.

Łatwo rozmawiało mi się z Bahar. Opowiedziałam jej o Gicie, Taraneh i Minie, o mojej nienawiści do samej siebie za to, że nie byłam w stanie im pomóc. Bahar powiedziała mi, że sama też straciła przyjaciół i tak samo obwiniała się za to, że przeżyła.

Spytałam ją o wydarzenia w kraju poprzedzające jej aresztowanie. Jej zdaniem w ciągu ostatniego roku niewiele się zmieni-

ło — władze islamskie coraz skuteczniej zaciskały obręcz swych rządów. Ludzie o znikomym lub żadnym wykształceniu ślepo ufali Chomeiniemu, chcąc zapewnić sobie miejsce w niebie, podczas gdy wykształcona część społeczeństwa milczała w obawie przed aresztowaniem, torturami i egzekucjami. Byli też tacy, którzy co prawda nie wierzyli szerzonej przez mułłów oficjalnej propagandzie, ale poddawali się jej, by dostać lepszą posadę czy wyższe zarobki.

Po około trzech tygodniach Bahar została odesłana do bloku 246 i zaczęła doskwierać mi samotność. Któregoś wieczoru w połowie września poprosiłam Alego, by pozwolił mi wrócić do 246. Zgodził się. Jedliśmy właśnie przyniesiony przez niego obiad, złożony z pieczonego kurczaka i ryżu.

- Jutro zostanie wznowiony twój proces - powiedział Ali.

Nie czułam ani podniecenia, ani radości. Wiedziałam, że jeśli nawet zostanę oczyszczona z zarzutów, niewiele to zmieni. Byłam żoną Alego i miałam nią pozostać na zawsze.

Powiedział mi, że tym razem będę miała prawo być obecna na procesie.

- Czy będę musiała coś mówić?

- Nie, chyba że o coś spytają. Nie martw się, będę tam.

Miał dla mnie jeszcze inną wiadomość: Sara czuła się lepiej i wróciła do 246. Została skazana na osiem lat więzienia.

- Osiem lat? Obiecałeś, że jej pomożesz!

- Marina, pomogłem jej. Gdyby nie moja interwencja, wyrok byłby znacznie poważniejszy. Nie będzie musiała odsiedzieć wszystkiego. Spróbuję umieścić jej nazwisko na liście zwolnień warunkowych.

- Przepraszam, Ali. Masz rację. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem - roześmiał się i zdałam sobie sprawę, że ma rację.

Następnego ranka Ali przyszedł po mnie do celi. Sala sądowa mieściła się w innym budynku, dziesięć minut drogi od mojego bloku. Pracownicy więzienia i strażnicy przemieszczali się w pośpiechu między budynkami, czasami ciągnąc za sobą kilku więźniów. Prawie wszyscy pozdrawiali Alego, kłaniając się lekko, z ręką na sercu. Potem kiwali głową w moją stronę, z oczami skierowanymi w dół. Muzułmance nie wolno było patrzeć mężczyźnie prosto w oczy, z wyjątkiem męża, ojca, brata, i kilku innych bliskich krewnych. Z ulgą stosowałam się do tej zasady. Ali odpowiadał na pozdrowienia przyjaciół i kolegów, zwracając się do nich w uprzejmych słowach. Weszliśmy do siedziby sądu - piętrowego ceglanego budynku z zakratowanymi oknami i ciemnymi korytarzami. Ali zapukał do zamkniętych drzwi, a głęboki głos odpowiedział mu zaproszeniem do środka. Weszliśmy. Za trzema stołami siedziało trzech mułłów, którzy na nasz widok podnieśli się i wymienili uściski dłoni z Alim. Spuściłam oczy, mówiąc jedynie *salam aleikom* w odpowiedzi na ich pozdrowienie. Poproszono nas o zajęcie miejsc.

- W imię Boga miłosiernego i łaskawego - zaczął siedzący pośrodku mułła - ogłaszam otwarcie sesji niniejszego sądu islamskiego. Pani Marina Moradi-Bakht została skazana na karę śmierci w styczniu 1982, ale w wyniku ułaskawienia wyrok został zamieniony na karę dożywotniego więzienia. Od tego czasu jej sytuacja uległa znaczącej zmianie. Pani Moradi-Bakht przeszła na islam i poślubiła pana Ali-eh Moosavi, który zawsze z najwyższym oddaniem strzegł wiary islamskiej, wykazując wiele osobistego zaangażowania w służbie Imamowi. W obliczu powyż-

szych okoliczności niniejszy sąd skrócił dotychczasowy wyrok do trzech lat więzienia, zaliczając już odbyte osiem miesięcy kary.

Wszyscy mułłowie wstali i uścisnęli rękę Alego, zapraszając nas na herbatę. Tak zakończył się mój ponowny proces.

Kilka dni później wróciłam do pokoju 6 w bloku 246. Gdy tylko przeszłam przez próg, stanęłam przed Sheidą i Sarą. Objęłyśmy się jak odnalezione po latach siostry, by po chwili znaleźć się w zapierających dech w piersi uściskach Simy i Bahar. Nie mogłam się nadziwić, jak bardzo urósł synek Sheidy - Kaveh. Miał teraz prawie sześć miesięcy.

- Co robisz na dole? - spytałam Sheidę, gdy usiadłyśmy w cichym kącie.

- Przenieśli mnie tutaj kilka tygodni temu. A ty, gdzie byłaś przez cały ten czas?

- W pojedynczych celach bloku 209.

- Dlaczego?

- Miałam coraz częstsze ataki migreny. Przenieśli mnie do 209, bo nie mogłam znieść tutejszego hałasu.

- Rozumiem - wiedziałam, że mi nie wierzy, ale nie zadawała dalszych pytań. Wyrok Sheidy został zamieniony na dożywocie, ale jej mąż pozostawał na liście śmierci.

_ - Zastanawiam się nad odesłaniem synka do moich rodziców. Co prawda mam prawo zatrzymać go tutaj do czasu, gdy skończy trzy lata, ale wydaje mi się to egoistyczne. Kaveh nigdy nie widział drzewa, kwiatów, huśtawki czy innego dziecka - wyznała mi Sheida. Była to prawda: mury, drut kolczasty i uzbrojeni strażnicy zamykali jego świat. Nie zasługiwał na to. Jednak sama myśl o odesłaniu dziecka do rodziców łamała Sheidzie serce. Nie była pewna, czy znajdzie siłę, by go wypuścić.

Zaczęłyśmy z Sarą pracować w niewielkiej szwalni, którą otwarto na terenie więzienia. Praca, polegająca na szyciu męskich koszul, bardzo nam odpowiadała, gdyż wypełniała całe dni. Strażnicy powiedzieli nam, że po wyjściu z więzienia dostaniemy pieniądze za wykonaną pracę, ale stawka była śmiesznie niska. Wyglądało na to, że Sara czuje się lepiej. Choć nadal - gdy nadarzyła się okazja - pokrywała pismem swoje ciało, to w pracy koncentrowała się na powierzonym jej zadaniu.

Modliłam się, mając nadzieję, że Ali wreszcie znudzi się mną, ale moje prośby pozostawały bez odpowiedzi. Mniej więcej co trzecią noc byłam wywoływana po imieniu z sali. Po nocy spędzonej z Alim w jednej z cel w 209 wracałam do swojego bloku 246 tuż przed poranną modlitwą. Większość dziewcząt nie zadawała pytań, a jeśli nawet się to zdarzało, to miałam gotowe wyjaśnienie: pracowałam jako ochotniczka w więziennym lazarecie. Jeszcze trzy, może cztery inne dziewczyny były podobnie jak ja wzywane na noc. I tak jak-ja wracały przed wschodem słońca. Unikałyśmy rozmów. Mogłam jedynie domyślać się, że ich sytuacja była zbliżona do mojej.

Na codziennych rutynowych czynnościach w Evin upływały nam dni, tygodnie i miesiące. Z każdą chwilą nasze życie przed aresztowaniem odpływało w coraz bardziej odległą przeszłość. I choć nadzieja na powrót do domu słabła z każdym dniem, w skrytości serc wciąż ją pielęgnowałyśmy, nie pozwalając jej umrzeć.

ROZDZIAŁ

SIEDEMNASTY

Mam dobrą wiadomość - powiedział mi Ali, któregoś lutowej nocy. Miał na twarzy promienny, chłopięcy uśmiech. - Dzwoniła dziś do mnie Akram. Lekarz powiedział jej, że jest w ciąży!

Byłam bardzo szczęśliwa ze względu na nią.

- Opowiedziała mi także o twoim śnie i o modlitwie. Jest pewna, że właśnie tobie zawdzięcza swoje szczęście. Kazała mi obiecać, że natychmiast zabiorę cię do niej.

Milczałam. Ali spojrzął na mnie, uśmiechając się.

- Co jeszcze zdziałałaś za moimi plecami? — spytał.

- Nie robiłam niczego bez twojej wiedzy.

- Dlaczego mi nie wspomniałaś o Akram?

- To było coś między dwiema kobietami.

- Już się mnie nie boisz, prawda?

- A powinnam?

- Nie, nigdy. To prawda, że myślimy inaczej, ale w pewnym sensie ufam ci bardziej niż sobie samemu. Jeśli to dziecko przeżyje, Akram będzie do końca życia uważać się za twoją dłużniczkę.

- Bóg wysłuchał jej prośb. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

Akram była w euforii. W życiu nie widziałam kogoś tak szczęśliwego.

- Gdy Ali zadzwonił i powiedział, że jesteście w drodze, posłałam Massooda do cukierni po ptysie. Pamiętam, jak bardzo ci smakowały - powiedziała Akram, gdy razem przygotowywałyśmy obiad. Wyjęła z lodówki dwa ogromne pudła.

- Akram, masz tutaj ptysie dla całej armii!

- Massood jest tak szczęśliwy, że wykupiłby całą cukiernię, gdybym go o to poprosiła.

- Powiedziałas mu o modlitwie? - spytałam. Byłabym więcej niż zdziwiona, gdyby tak faktycznie było.

- Powiedziałam o wszystkim!

- Nie był na mnie wściekły?

- Wściekły? Dlaczego?

- No wiesz, to chrześcijańska modlitwa...

- To nie ma dla niego znaczenia! Zadziałała i tylko to się liczy. Będziemy mieć dziecko! Massood mówi, że Koran wspomina Maryję jako wielką kobietę, więc nie ma nic złego w kierowaniu do niej próśb w potrzebie.

Szczęście Akram było jak wymierzony mi policzek. Nie chciałam się jednak denerwować z powodu jej radości.

- O co chodzi, Marina? Czy Ali jest na ciebie zły? Bo jeśli tak, to...

- Ali nie jest zły.

Zaczęłam układać ptysie na tacy. Pachniały świeżo i słodko, ale nie czułam głodu. Akram nie miała prawa do takiego szczęścia, gdy inne młode matki, takie jak Sheida, cierpiały w Evin. To niesprawiedliwe.

- Wyglądasz jednak na zmartwioną. Coś nie tak?

- Przepraszam. Cieszę się twoim szczęściem, ale nie mogę przestać myśleć o jednej z moich przyjaciółek, Sheidzie. Gdy

aresztowano ją i jej męża, była w ciąży. Oboje dostali wyrok śmierci. Urodziła syna w więzieniu. Kaveh wkrótce skończy rok - jest uroczy. Wyrok Sheidy został zamieniony na dożywocie, ale jej mąż wciąż pozostaje na liście śmierci. Sheida chce odesłać syna do swoich rodziców, ale nie ma siły, by się z nim rozstać. To całe jej życie. Z drugiej strony, małe dziecko wychowuje się w więzieniu. Nigdy nie widział innego świata.

- To okropne. Dlaczego jest w więzieniu?

- Nie wiem dokładnie. Nie rozmawiamy do tym. Myślę, że należała do zwolenników mudżahedinów.

- Mudżahedini to terroryści, Marina. Są źli.

- Ale nie Sheida. Jest bardzo smutną kobietą i matką. Przekonanie o tym, że ktoś jest zły, nie daje nam prawa do rozporządzania jego życiem według naszej woli ani do odpłacania mu tym samym. Zło jest złem niezależnie od tego, z której strony na nie patrzysz. Nie wierzę, żeby Sheida zasługiwała na dożywocie.

- Porozmawiam z Alim. Może mógłby dla niej coś zrobić.

- Cóż, spytać zawsze można, ale nie sądzę, by był w stanie cokolwiek zdziałać. Nie jest jej śledczym. Ali próbował już pomagać ludziom, ale nie zawsze mu się to udaje.

Samowar zaczął bulgotać.

- Chodź, Marina, wypijemy herbatę i zjemy ptysie.

Objęłam ją i powiedziałam, że jest mi bardzo bliska. Ból i smutek, z jakimi stykałam się na co dzień w Evin, sprawiły, że zapomniałam, co znaczy być szczęśliwym.

Około czterech miesięcy później, w rocznicę naszego ślubu rodzice Alego zaprosili nas na obiad. Przez ostatnie jedenaście miesięcy odwiedzaliśmy ich przynajmniej raz na dwa tygodnie. Zawsze byli dla mnie mili. Cięża Akram przebiegała bez zastrzeżeń. Miała urodzić za około trzy miesiące.

- Czy masz dla swojej żony jakiś prezent na pierwszą rocznicę ślubu? - spytał ojciec Alego po zakończonym obiedzie.

Ali odpowiedział, że postanowił zabrać mnie nad Morze Kaspijskie na kilka dni.

- Czy to nie zbyt ryzykowne? - spytałam.

- Tylko rodzice wiedzą, dokąd pojedziemy. Zatrzymamy się w domku mojego wuja na pustkowiu i nawet on nie wie, że tam będziemy. Myśli, że przyjadą tam moi rodzice. Poza tym wyjeżdża w podróż służbową. Więc jak? Chcesz jechać?

Kiwnęłam głową. Okazało się, że możemy jechać od razu. Matka Alego spakowała mi walizkę.

Wsiadliśmy do samochodu pana Moosavi - białego peugeot-a i przed dwudziestą drugą byliśmy już w drodze.

- Skąd ten pomysł? - spytałam Alego.

- Wspomniałaś kiedyś, że bardzo lubisz Morze Kaspijskie, a ja chciałem spędzić z tobą kilka szczególnych chwil. Oboje potrzebowaliśmy wyrwać się z Eyin. Przed rewolucją domek należał do jednego z ministrów szacha. Mniej więcej w tym samym czasie co szach człowiek ten opuścił kraj. Sąd islamski skonfiskował jego dom - a raczej pałac - w Teheranie i tę willę niedaleko Ramsar. Wystawiono je na sprzedaż. Mój wuj kupił dom po bardzo korzystnej cenie.

- Musi być piękny.

- I jest. Sama zobaczysz. Powiedz mi, dlaczego tak lubisz wybrzeże kaspijskie?

Powiedziałam mu, że spędziłam tam wiele radosnych wakacji. Wszystko w Teheranie było ponure i pozbawione kolorów, podczas gdy nad morzem czuło się tętniące życie.

Czułam na twarzy chłodny wiatr, wpadający do samochodu przez otwarte okno. Z początku rozpoznawałam jedynie kurz i spaliny, ale w miarę, jak samochód pisał się po krętych dro-

gach Elbrusu, noc wypełnił zapach czystych strumieni, topól i klonów. Dla mnie był on wspomnieniem utraconego świata - wolności, szczęścia i tych wszystkich dobrych rzeczy, które już nie istniały.

- Gdy ty byłeś na froncie, a ja w bloku 246, dowiedziałam się, że jedna z moich przyjaciółek, Taraneh Behzadi, została skazana na śmierć - powiedziałam.

- Taraneh Behzadi? Nie kojarzę.

- Nie ty ją przesłuchiwałaś. Powiedziała mi, że jej śledczym był niejaki Hossein z czwartej jednostki. Pomyślałam wtedy, że mógłbyś jej pomóc. Spytałam Siostrę Maryam, czy mogę z tobą pomówić, ale okazało się, że jesteś na froncie.

- Marina, nie mogę wtrącać się w sprawy innych jednostek. Choć byłem jedną z przesłuchujących cię osób, nie było mi łatwo uzyskać złagodzenie twojego wyroku.

- Ona nie żyje. Została stracona.

- Przykro mi.

- Naprawdę?

- Tak. Przykro mi, że musiało do tego dojść. Ale islam ma swoje prawo - twoja przyjaciółka złamała je i za to została ukarana.

- Ale czy jakiegokolwiek przestępstwo usprawiedliwia egzekucję?

- Nie do mnie należy decydowanie o tym. Nawet jej nie znałem. Nie wiem, co zrobiła.

- Bóg daje życie i tylko On może je odebrać.

- Marina, masz prawo być zdenerwowana. Była twoją przyjaciółką, chciałaś jej pomóc. Ale nawet gdybym wtedy był na miejscu, prawdopodobnie nie udałooby mi się jej uratować. Owszem, śledczy, a nawet sądy popełniają błędy. W kilku przypadkach pomogłem ludziom, którzy - w moim przekonaniu - dostali zbyt surowe wyroki, ale nie zawsze było to możliwe. Próbowałem pomóc Minie, pamiętasz? Nie udało się.

- Taraneh nie zasłużyła na śmierć.

Wszystko, o czym w tej chwili myślałam, to bursztynowe oczy Taraneh i jej smutny uśmiech. Ali nie odrywał wzroku od drogi.

- Słyszałam coś okropnego i muszę cię spytać, czy to prawda – powiedziałam.

- Co takiego?

- Wierzysz, że dziewice idą po śmierci prosto do nieba?

- Marina, wiem do czego zmierzasz.

- Proszę, odpowiedz.

- Nie, nie wierzę. Do Boga należy decydowanie o tym, kto pójdzie do nieba, a kto do piekła - nie do mnie. Młode dziewczęta nie są gwałcone przed egzekucją. Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co słyszysz.

Było zbyt ciemno, bym mogła wyraźnie zobaczyć twarz Alego, ale jego oddech stał się szybszy.

- Byłaś o krok od egzekucji. Czy cię zgwałcono?

- Nie - odpowiedziałam. Chciałam dodać: „nie wtedy, ale sześć miesięcy później”, jednak zdecydowałam się milczeć.

- Marina, rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale wierz mi, twoja przyjaciółka nie została zgwałcona.

Jego zapewnienia nie przyniosły mi jednak ulgi.

Dotarliśmy na miejsce około drugiej nad ranem. Ali otworzył ogromną, kutą bramę i pod baldachimem drzew wjechaliśmy wybrukowanym podjazdem na teren posesji. Była dużo większa niż działka rodziców na wybrzeżu, ale zadziwiająco do niej podobna. Przez otwarte okno samochodu wpadał do środka śpiew cykad, a szumiąca wśród liści bryza rzucała srebrne cienie na przednią szybę. Dopiero gdy zaparkowaliśmy, usłyszałam morze - fale rozbijały się o brzeg, wypełniając noc znajomym rytmem.

Biały, piętrowy budynek był dwa razy większy od dachy rodziców. Po obu stronach wejścia siedziały kamienne lwy wielkości dużego psa. Ali otworzył główne drzwi i weszliśmy do środka. Salon umeblowany był krzesłami we francuskim stylu i szklanymi stolikami kawowymi, a podłogę pokrywały jedwabne perskie dywany. Szerokie schody, przywołujące na pamięć „Przeminęło z wiatrem”, prowadziły na piętro, gdzie znajdowało się sześć sypialni. Ali wybrał największą, której okna wychodziły na morze. Centrum pokoju zajmowało ogromne małżeńskie łóżko. Była tam też toaletka z mnóstwem szuflad i szufladek, szafa oraz dwa nocne stoliki. Wszędzie panował nienaganny porządek - prawdopodobnie wynik niedawnej wizyty wujka Alego z rodziną. Odsunęłam białe koronkowe zasłony i otworzyłam jedno z dwóch okien. Słony, nasączony wilgocią wiatr wpadł mi we włosy. Pomyślałam o pierwszych właścicielach tego domu. Musieli kochać to miejsce i - niezależnie od tego, gdzie teraz przebywali - bez wątpienia za nim tęsknili.

- Twoje nazwisko jest na liście zwolnień warunkowych - powiedział Ali z moich pleców.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że za mniej więcej trzy miesiące będziesz formalnie wolna.

Formalnie. Co za dziwne stwierdzenie. Czy kiedykolwiek będę naprawdę wolna? Nie miałam pojęcia, co słowo „wolność” oznacza dla Alego. Moją wolność odebrał mi na zawsze. Milczałam.

- Nie cieszysz się?

- Nie wiem, Ali. Nie wiem, co myśleć. Nawet „formalnie” wolna nie będę mogła nigdzie pójść.

- Owszem, będziesz. Pojedziemy do domu. Sytuacja się poprawia. Do czasu, gdy w pełni odzyskasz wolność, będzie już bezpiecznie.

Chwycił mnie za ramiona, obrócił ku sobie i dotknął mojego policzka.

- Dlaczego płaczesz?

- Nie wiem. To chyba wspomnienia. Nic na to nie poradzę.

Jego oczy zwykle były nieprzeniknione, ale czasami dostrzegałam w nich dziwną, głęboką tęsknotę, która mnie przerażała. Spuściłam wzrok. Gdy znów podniosłam oczy, Ali wyglądał przez okno, odwrócony do mnie plecami.

- Marina, czy nadal mnie nienawidzisz? - spytał, obracając się do mnie.

- Nie, już nie. Nienawidziłam cię na początku, ale nie teraz.

- Czy kiedykolwiek mnie pokochasz?

- Nie wiem. Wiem jedynie, że jak długo pozostaniesz w Evin, krzywdząc ludzi, nie będę w stanie cię pokochać. I nie zapominaj, że zmusiłeś mnie do tego małżeństwa. Jestem twoją zakładniczką.

- Nie chcę, żebyś tak o mnie myślała.

- Ale to prawda.

- Nie rozumiesz? Byłaś prawie po tamtej stronie, a ja przyniosłem cię z powrotem. Czy naprawdę myślałaś, że tak po prostu odejdziesz? Myślisz, że Hamehd i jemu podobni pozwoliliby na coś takiego? Jesteś naiwna. Pragnąłem cię, ale nie jestem aż takim egoistą. Gdyby był jakiś sposób, wypuściłbym cię, a potem czystym strzałem w głowę skończył ze sobą. W pewnym sensie oboje jesteśmy zakładnikami.

Objął mnie.

- Przed rewolucją przez trzy lata byłem więźniem politycznym. Wiem, co znaczy tęsknota za domem. Ale pozwól, że ci coś powiem: twój dom nie jest tym, czym był, gdy odeszłaś, a jeśli nawet jest, to ty stałaś się inną osobą. Twoja rodzina nigdy cię nie zrozumie; będziesz samotna do końca życia. Pewnie mar-

nuję twój czas, mówiąc ci to wszystko, ponieważ jesteś jeszcze zbyt młoda i zbyt dobra. Nie masz dokąd pójść. Jedyne miejsce, jakie ci pozostało na tym świecie, jest przy mnie, tak jak moje miejsce jest przy tobie.

Poszliśmy do łóżka, ale nie mogłam zasnąć. Obserwowałam przesuwające się po podłodze promienie księżyca. Ali spał odwrócony ode mnie. Z każdym oddechem jego lewe ramię podnosiło się i opadało. Powiedziałam Taraneh, że nie zostałam zgwałcona przed egzekucją i było to prawdą. Ale zarówno Hamehd jak i inni strażnicy wiedzieli, że jestem chrześcijanką. W ich przekonaniu - dziewica czy nie - i tak zmierzałam prosto do piekła. Taraneh wiedziała, jednak zadała mi to pytanie, ponieważ - choć pogodziła się z wyrokiem śmierci - rozpaczliwie szukała choć odrobiny nadziei, że umrze z godnością. Ali powiedział mi, że młode dziewczęta nie były gwałcone, zanim stanęły przed plutonem egzekucyjnym. Nie przyszło mu do głowy, że sam dokonał na mnie gwałtu. Z jego punktu widzenia, zmusił mnie do ślubu dla mojego własnego dobra. Może gwałcił inne dziewczęta, które nazywał swoimi *sigheh*, ale nigdy się nad tym nie zastanawiał. Chciałam wierzyć, że nigdy nie zrobił czegoś podobnego, ale nie było sposobu, bym zdobyła pewność.

Wyślizgnęłam się z łóżka i poszłam nad morze. Drobne fale szemrały na skalistym brzegu, a gwiazdy, których perłowe światło odbijało się od powierzchni wody, płynęły między srebrzystoszarymi chmurami. Morze wołało mnie jak stary przyjaciel. Myślałam, że jestem gotowa, że potrafię unieść ten potworny ciężar straty. Ale nic nie wydawało się takie, jakie być powinno. Teraz morze przyzywało mnie i chciałam odpowiedzieć na to wezwanie. Ta straszna chęć, to neodparte pragnienie, by zniknąć. W tym miejscu mogłam stać się wspomnieniem, ale wówczas wszystko to, co nosiłam w sercu, zniknęłoby wraz ze mną.

„Życie jest zbyt cenne, nie poddawaj się, żyj” - usłyszałam głos anioła.

- Potrzebowałam cię. Wołałam. Nie przyszedłeś. A teraz mówisz mi, że bym się nie poddawała? Czemu?

„Życie jest zbyt cenne, nie poddawaj się, żyj na nowo”.

- Co zrobisz, jeśli zanurzę się, wciągając w płuca wodę zamiast powietrza? Pozwolisz mi umrzeć, obwiniając mnie o to, że poddałam się rozpacz i smutkowi? Czy może uśmiechniesz się, wzbudzając we mnie poczucie winy za to, co robiłam i czego nie robiłam? Wyślesz mnie znów na tę męczarnię?

Powiew wiatru otarł się o moją twarz i odleciał w stronę lasu i doliny rzeki. Potem, w ciszy pustyni, odnalazł swoją drogę ku oceanowi.

Wróciłam do domu, ociekając wodą. Ali stał przy furtce, prowadzącej na plażę. Płakał. Dlaczego nie mogłam po prostu go pokochać? Musiałam poddać się rytmowi istnienia, jak dziecko, które po raz pierwszy odkrywa, w jaki sposób utrzymać się na falach.

- Obudziłem się i cię nie było - powiedział. Podniósł mnie z mokrego piasku i zaniósł na rękach do domu, jak dziecko.

Po pięciodniowym pobycie nad morzem wróciliśmy do Evin. Wszystko było jak dawniej. Minęły cztery tygodnie, aż w połowie sierpnia zaczęłam odczuwać straszne nudności. Przez kilka dni wymiotowałam. Ali zabrał mnie do lekarki swojej matki. Zaordynowała kilka testów, po czym oznajmiła mi, że jestem w ósmym tygodniu ciąży. Nawet nie przysłała mi do głowy taka możliwość. Gdy zgodziłam się na ślub z Alim, rozważałam konsekwencje mojej decyzji jedynie dla mnie samej, dla moich rodziców i dla Andre. Nigdy nie myślałam o dzieciach. Teraz do pozostałych dołączyło jeszcze jedno życie - życie niewinnego

dziecka. Dziecka uzależnionego ode mnie, potrzebującego matki, ale - czy mi się to podobało czy nie - także ojca.

Ali czekał na mnie w samochodzie. Był oszołomiony, gdy mu powiedziałam.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał.

Jego pytanie rozdrażniło mnie. Nie czułam się szczęśliwa, a to nie było w porządku. Dziecko, które kryło się w moim wnętrzu, nic nie wiedziało o moim życiu. Potrzebowało jedynie mojej miłości i uwagi. W pewnym sensie byłam dla niego aniołem. Jak mogłam się od niego odwrócić?

- Jestem szczęśliwa - powiedziałam - ale jednocześnie zszokowana.

- Jedźmy do rodziców. Chcę, żeby natychmiast się dowiedzieli.

Zdawałam sobie sprawę, że także moi rodzice powinni wiedzieć. I Andre. Kto pierwszy rzuci kamieniem?

Gdy tylko dotarliśmy do rodziców, Ali zadzwonił do Akram. Rodzice Alego byli w siódmym niebie i z przyjemnością patrzyłam, jak się cieszą. Przez cały wieczór jego matka udzielała mi rad, dotyczących kolejnych etapów ciąży. Już wtedy czułam się, jakbym znała ją lepiej niż swoją własną matkę. Tak bardzo potrzebowałam normalności i odrobiny szczęścia, że czasem pragnęłam zapomnieć o wszystkim i kochać Alego. Nie było to jednak możliwe. Nie potrafiłam wybaczyć mu tego, co zrobił - nie tylko mnie, innym także.

- Powinnaś zostać tutaj z nami - zaproponowała matka Alego. — Potrzebujesz odpoczynku i właściwego jedzenia.

Odmówiłam, ale nalegała.

- Zostanie tam, gdzie będzie chciała - wtrącił się pan Mosavi. - Jest bardziej niż mile widziana. To tak samo jej dom, jak i Alego, ale być może Marina wolałaby zostać przy mężu. Ciąży to nie choroba. Nie martwmy się o nią na zapas.

Zjawiła się Akram. Wyściskała mnie i ucałowała. Miała termin za około cztery tygodnie, a jej brzuch - zważywszy niewielki wzrost Akram - wydawał się ogromny. Poszliśmy do jej dawnej sypialni, by porozmawiać w spokoju.

- Marina, jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa! To cudowne! Nasze dzieci będą razem dorastać. Będą prawie w tym samym wieku.

Odwrociłam głowę.

- Coś nie tak? - spytała.

- Nie. Tylko cały czas mam mdłości.

- Cieszysz się, że jesteś w ciąży?

Obawiałam się tego pytania, a już na pewno nie chciałam na nie odpowiadać. Nie czułam się szczęśliwa i ta świadomość była rozziewająca. Próbowałam, ale nie mogłam odczuwać szczęścia. Nie chciałam tego dziecka — i to bolało.

- Nie chcesz tego dziecka, prawda?

- Nie, ale próbuję z tym walczyć.

- To nie twoja wina. Boisz się. Chodź, poczuj jak się rusza.

Położyła moją dłoń na swoim brzuchu i poczułam kopanie jej dziecka.

- Twoje dziecko będzie rosło i ruszało się w twoim wnętrzu, podobnie jak moje. To najcudowniejsze uczucie pod słońcem. Daj sobie szansę. Jestem pewna, że pokochasz je bardziej niż możesz to sobie teraz wyobrazić. Będę przy tobie, żeby ci we wszystkim pomóc. Nie ma powodu do zmartwień. Marina, Ali cię kocha, jesteś dla niego wszystkim.

Akram stała się naprawdę moją siostrą i - czy tego chciałam, czy nie - należałam już do tej rodziny. Będąc z nimi, czułam się bardziej akceptowana i kochana niż w całym moim poprzednim życiu. Ta ich miłość wywoływała we mnie poczucie winy, ponieważ zdałam sobie sprawę z tego, że odwzajemniam to uczucie.

Czy oznaczało to, że któregoś dnia pokocham także Alego? I że całkiem zdradziłam własnych rodziców i Andre?

Tej samej nocy, w celi leżeliśmy w ciemnościach, nie mogąc zasnąć.

- Marina, jutro składam wypowiedzenie z pracy - odezwał się Ali.

Byłam zaskoczona, choć w pewien sposób spodziewałam się takiej decyzji. Mimo że Ali na ogół nie rozmawiał ze mną o swojej pracy, żyłam w Evin i zauważyłam, jak narastającego frustracja. Stało się to szczególnie wyraźne po śmierci Miny. Obwiniałam o nią Alego, wierząc, że powinien był zrobić dla niej więcej, ale jednocześnie dzieliłam jego poczucie bezsilności. Tę walkę wygrał Hamehd.

- Dlaczego? - spytałam.

Nie chciał o tym mówić, ale w końcu przekonałam go, że mam prawo wiedzieć. Powodem okazał się poważny konflikt z głównym prokuratorem Teheranu, Assadollahem Ladjevardi, odpowiedzialnym za Evin.

- Przez lata byliśmy przyjaciółmi - powiedział Ali. - W czasach szacha razem siedzieliśmy w Evin. Ale teraz posunął się za daleko. Próbowałem coś zmienić w Evin, ale bez skutku. Ladjevardi nie chce słuchać.

Widziałam go dwukrotnie. Raz przyszedł na kontrolę do szwalni, w której pracowałam. Drugi raz miał miejsce przy samochodzie Alego - właśnie wysiadałam z niego, a Ladjevardi miał odjeżdżać własnym wozem. Podszedł do nas, by się przywitać. Ali przedstawił mnie. Ladjevardi powiedział, że słyszał o mnie i że jest dumny z powodu mojej decyzji o przejściu na islam. Życzył nam szczęścia.

- Gdy się pobieraliśmy, obiecałem ci dobre życie - powiedział Ali - i takie właśnie będziemy mieli, z dala od tego miejsca.

Zamierzam pracować z ojcem. Będziemy żyć normalnie. Tak jak oczekiwałem, okazałaś się silna, cierpliwa i odważna. Nadszedł czas, by wrócić do domu. Potrzebuję około trzech tygodni, by uporządkować wszystkie sprawy.

Nagle perspektywa opuszczenia Evin stała się realna, ale nie czułam się szczęśliwa. Byłam żoną Alego - na zawsze pozostanę więźniem.

- Muszę powiedzieć rodzicom - odezwałam się. Nie mogłam bez końca trzymać w tajemnicy mojego małżeństwa, zwłaszcza teraz, gdy spodziewałam się dziecka.

Z oddali doszły nas strzały. Ali wyznał, że często myśli o nocy, podczas której o mały włos nie zostałam rozstrzelana.

- Gdybym spóźnił się o kilka sekund, już byś nie żyła. Nigdy ci nie mówiłem, ale czasem śnię ten sam koszmar: przyjeżdżam, ale jest już za późno. Znajduję cię nieżywą i całą we krwi.

- To powinno było się stać.

- Nie! Bóg pozwolił mi cię uratować.

- A pozostali? Gdzieś tam są ludzie, którzy ich kochali. Tak jak ty nie chciałaś, bym zginęła, tak samo oni zamartwiali się o los swoich najbliższych.

- Większość z nich sama się o to prosiła - powiedział Ali.

Chciałam nim potrząsnąć.

- Nie, mylisz się! Jesteś tylko człowiekiem. Czy myślisz, że wszystko o nich wiesz? Podejmowanie decyzji o życiu i śmierci wymaga pełnego zrozumienia świata, a takiego zrozumienia nie mamy. Tylko Bóg ma takie prawo, ponieważ jest wszechwiedzący.

Nie mogłam opanować łez. Podniosłam się, by złapać oddech.

- Przepraszam - powiedział - nie próbuję usprawiedliwiać przemocy, ale czasami nie ma innego wyboru. Gdyby ktoś przystawił ci pistolet do głowy, a ty miałabyś szansę strzelić we

własnej obronie, zrobiłabyś to, czy zgodziłabyś się na śmierć bez walki?

- Nigdy nie zabiję człowieka.

- W takim razie źli zwyciężą, a ty przegrasz.

- Jeśli zwyciężać znaczy zabijać, to wolę przegrać. A ci, którzy byliby świadkami mojej śmierci lub usłyszeli o niej, wiedzieliby, że umarłam, ponieważ nie chciałam poddać się nienawiści i przemocy. Pamiętaliby, a pewnego dnia znaleźliby sposób, jak pokonać zło bez walki.

Czuwałam przez resztę nocy, gdy Ali już zasnął. Wyglądało na to, że nareszcie zaczął dostrzegać bezsensowność przemocy - torturowanie i skazywanie na śmierć nastolatków nie mogło prowadzić do żadnego dobra ani w żaden sposób podobać się Bogu. I może właśnie to był powód, dla którego mnie uratował przed śmiercią i poślubił. W pewnym sensie stałam się dla niego sposobem na zaprotestowanie przeciwko temu wszystkiemu, co działo się w Evin.

W poniedziałek 26 września poszliśmy do rodziców Alego na obiad. Minęły dwa tygodnie od momentu jego rezygnacji z pracy w Evin. Podczas obiadu Ali obiecał mi, że w ciągu mniej więcej tygodnia opuścimy więzienie, by wrócić do naszego domu.

Około jedenastej pożegnaliśmy się ze wszystkimi i wyszliśmy na zewnątrz. Było już zimno, więc rodzice Alego nie odprowadzali nas. Zaskrzypiały metalowe drzwi prowadzące z ogrodu na ulicę, po czym Ali zamknął je z głośnym kliknięciem. Szliśmy w stronę samochodu, zaparkowanego około trzystu metrów dalej w miejscu, gdzie uliczka robiła się nieco szersza. W oddali zaszczekał pies. Nagle nocną ciszę wypełnił głośny warkot motocykla. Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam, jak wyjeżdża w naszą stronę zza zakrętu. Zauważyłam siedzące na nim dwie

ciemne postacie i natychmiast instynktownie wiedziałam, co zaraz się stanie. Wiedział też Ali. Odepchnął mnie od siebie. Tracąc równowagę, upadłam na chodnik. Usłyszałam strzały. Przez jeden jedyny moment, zawieszona między życiem a śmiercią, poczułam spowijającą mnie delikatną i jedwabistą ciemność. Potem dostrzegłam słabe światło, a wraz z nim dotarł do mojej świadomości dotkliwy ból. Ali leżał na mnie bezwładnie. Z trudem udało mi się go obrócić.

- Ali, wszystko w porządku?

Zajączał, a jego oczy, wpatrzone we mnie, pełne były bólu i niedowierzania. Czułam na nogach i całym ciele dziwne ciepło, jakby okrywał mnie gruby koc.

Rodzice Alego biegli w naszym kierunku.

- Karetka! - krzyknęłam. — Wezwijcie karetkę!

Matka wbiegła z powrotem do domu. Jej biały czador opadł na ramiona, odsłaniając siwe włosy. Ojciec Alego ukląkł obok mnie.

- Nic ci nie jest? - spytał Ali.

Czułam się trochę obolała, ale nic więcej. Wszędzie na sobie miałam jego krew.

- Nie.

Ali chwycił moją dłoń.

- Tato, zabierz ją do jej rodziców — wyszeptał z trudem.

Trzymałam go w ramionach, z głową przyciśniętą do mojej piersi. Gdyby mnie nie odepchnął, strzały dosięgłyby i mnie. Po raz kolejny Ali ratował mi życie.

- Boże, błagam, nie pozwól mu umrzeć! - krzyczałam.

Uśmiechnął się.

Nienawidziłam go, byłam na niego zła, próbowałam przebaczyć i - na próżno - próbowałam dać mu miłość.

Usiłował zaczerpnąć tchu. Jego pierś uniosła się i opadła. I już tak pozostała. Świat poruszył się wokół nas, ale byliśmy już

po dwóch stronach, oddzieleni nieubłaganą przepaścią. Chciałam sięgnąć rękami w czarną głębię śmierci i pociągnąć go z powrotem ku sobie.

Migające światła karetki... Ostry ból w dole brzucha... Świat pogrążył się w ciemności.

Stałam w gęstym lesie z niemowlęciem w ramionach. Był pięknym chłopczykiem z wielkimi, ciemnymi oczami i zaróżowionymi policzkami. Wyciągnął małą rączkę, chwycił mnie za włosy i zagulgotał z radości. Zaśmiałam się, a gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam Anioła Śmierci. Podbiegłam do niego. Uśmiechał się do mnie swoim znajomym ciepłym uśmiechem. Poczułam jego słodki zapach. Wydawało mi się, że niedawno się widzieliśmy, jakby nigdy mnie nie opuścił.

— Chodźmy na spacer—powiedział i ruszył ścieżką, znikającą w gęstwinie lasu. Poszłam za nim. Był piękny dzień, świeży po deszczu: liście otaczających mnie drzew migotały wielkimi kroplami wody. Wszędzie rosły krzewy róż, a powietrze było słodkie i ciepłe. Zostałam w tyle. Anioł zniknął za jednym z drzew, więc przyspieszyłam kroku, by go dogonić. Znalazłam go siedzącego na mojej skale modlitwy. Usiadłam obok.

— Masz pięknego syna — powiedział.

Dziecko zaczęło płakać. Nie wiedziałam, co robić.

— Pewnie jest głodny. Musisz go nakarmić—powiedział anioł.

Robiąc to jakby po raz setny, przystawiłam dziecko do piersi. Chłopczyk chwycił ją swoimi ciepłymi, drobnymi wargami.

Otworzyłam oczy. Jedna po drugiej okrągłe krople spływały z przezroczystej plastikowej torebki do rurki. Kap. Kap. Kap. Przebiegłam wzrokiem po rurce - była podłączona do mojej prawej ręki. W pokoju panowała ciemność, jeśli nie liczyć słabego

światełka nocnej lampki. Leżałam w czystym białym łóżku. Na niewielkim stoliku obok stał telefon. Wyciągnęłam w jego stronę lewą rękę i natychmiast poczułam ostry ból w brzuchu. Opadłam na poduszkę i wzięłam głęboki oddech. Ból zniknął. Przystałam słuchawkę do ucha. Cisza. Łzy popłynęły mi z oczu.

Otworzyły się drzwi, wypełniając pokój oślepiającym światłem. Kobieta w średnim wieku ubrana w biały *manteau* i z białym szalem na głowie weszła do środka.

- Gdzie jestem? - spytałam.

- Wszystko w porządku, moja droga. Jesteś w szpitalu. Co pamiętasz?

- Mój mąż nie żyje.

Mój mąż nie żyje. Dobry Boże, dlaczego to tak boli?

Kobieta wyszła, a ja zamknęłam oczy. Nie żyje, odszedł, a ja czuję się samotna. Tak strasznie samotna. Prawie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam żołnierzy wrzucających ciało Arasha na ciężarówkę. Ale Arasha kochałam, a Alego - nigdy. Co się ze mną dzieje?

To był smutek - niechciany, ale obecny i głęboki.

Ktoś wołał mnie po imieniu. Otworzyłam oczy i zobaczyłam mężczyznę w średnim wieku, łysego i z siwą brodą. Wyjaśnił, że jest lekarzem. Chciał wiedzieć, czy coś mnie boli i odpowiedziałam mu zgodnie z prawdą, że nie. Potem powiedział mi, że straciłam swoje dziecko. Rozsypało się wszystko, co jeszcze ze mnie zostało.

Przez dwa następne dni dryfowałam między sennymi koszmarami i majakami a rzeczywistością, nie wiedząc, co jest czym. Za którymś razem wśród zamazanych obrazów i stłumionych głosów wyłowiłam twarz pana Moosavi. Dotknęłam jego ramienia. Spojrzał na mnie. Ściany pokoju usiane były plamami słońca.

- To za wiele dla nas wszystkich - powiedział, płacząc. - Ale musimy poddać się woli Boga.

Bardzo chciałam zrozumieć Jego wolę, ale nie potrafiłam.

Pan Moosavi mówił nadal, lecz jego głos stawał się coraz słabszy i słabszy, aż wreszcie znikł zupełnie. Śniłam, że idziemy z Andre po plaży, trzymając się za ręce. Była tam też Taraneh, Sara, Gita i Arash. Chwilę potem stałam na progu daczy moich rodziców, wpatrując się w podjazd. Ali odchodził, machając ręką na pożegnanie. Rzuciłam się gwałtownie w jego stronę, wykrzykując jego imię, ale zniknął.

Obudził mnie chłód na czole. Akram stała przy łóżku, dotykając zimną dłońią mojej głowy. Miała ciemne obwódki wokół oczu i cicho płakała. Nie mogłam przypomnieć sobie, gdzie jestem. Powiedziała mi, że w szpitalu. Spytałam, czy Ali rzeczywiście nie żyje. Przytaknęła, po czym - szlochając - położyła się obok mnie i delikatnie objęła ramieniem.

Gdy ponownie odzyskałam przytomność, pan Moosavi zapewnił, że załatwi mi zwolnienie, ale póki co musiałam na jakiś czas wrócić do Evin. Dodał też, że na kilka dni przed zamachem Ali sporządził testament, zostawiając mi wszystko, co miał. Nie uważałam za właściwe skorzystanie z tej dyspozycji.

- Nie chcesz powiedzieć swojej rodzinie o ślubie, prawda? - spytał pan Moosavi.

Milczałam.

- Dałaś mojemu synowi prawdziwe szczęście - powiedział. - Zasługujesz na nowe życie.

Siedział na krześle obok mojego łóżka, trzymając w dłoni sznurek modlitewnych paciorków w bursztynowym kolorze. Znałam je - należały do Alego. Spytałam, jak sobie radzi jego żona. Powiedział, że jest bardzo dzielna.

- A Akram?

- Była tutaj kilka dni temu, ale nie byłaś w stanie z nią rozmawiać.

- Tak, pamiętam.

- Urodziła chłopczyka - na twarzy pana Moosavi pojawił się słaby, ale pełen dumy uśmiech.

- Kiedy?

- Skurcze pojawiły się po tym, jak powiedzieliśmy jej o Alim.

Akram znajdowała się w tym samym szpitalu co ja. Wcześniej mocno krwawiła, na szczęście lekarze poradzili sobie z tym problemem. Dziecko miało żółtaczkę, ale z każdym dniem czuło się coraz lepiej.

Zanim udaliśmy się do Evin, pan Moosavi zabrał mnie do Akram i jej synka, któremu dano na imię Ali. W drodze do jej pokoju zatrzymaliśmy się przy wielkiej szybie, za którą około trzydziestu niemowląt spało lub płakało w małych łóżeczkach. Pan Moosavi wskazał jedno z nich. To był mały Ali. Miał czerwona, pomarszczoną twarzyczkę i krzyczał, wyraźnie zły. Spytałam pielęgniarkę, czy mogę go potrzymać i przyniosła mi małe zawiniątko. Gdy tylko wzięłam go na ręce, kołyszac delikatnie, malec przestał płakać i zaczął ssać mój *manteau*. Był głodny. Nie panując nad łzami, zaniiosłam go do Akram, która przystawiła syna do piersi.

Moje dziecko umarło. Kochałabym je, gdyby żyło. Nie było mi dane go karmić, przewijać, bawić się z nim i patrzeć, jak rośnie.

Gdy weszłam do biura bloku 246 i zdjęłam opaskę z oczu, zobaczyłam przed sobą nieznaną strażniczkę. Była po czterdzieste. Przyglądała mi się z szyderczym uśmiechem na twarzy.

- Słynna Marina, a może raczej Fatameh Moradi-Bakht. Wreszcie się spotykamy. Zapamiętaj sobie, że teraz ja tu rządzą i od tej chwili nie spodziewaj się żadnego specjalnego traktowania. Nie różnisz się od pozostałych więźniów. Zrozumiano?

Kiwnęłam głową.

- Gdzie jest Siostra Maryam?

- Siostry gwardii rewolucyjnej w Evin zostały przydzielone do innych zadań. Ja nazywam się Siostra Zeinab i należę do komitetu islamskiego, który przejął kontrolę nad Evin. Jakies pytania?

- Nie.

- Idź do swojej sali.

Okazało się, że - wbrew temu, co myślałam - może być jeszcze gorzej. Ale byłam zbyt zmęczona, by płakać. W pokoju zebrały się wokół mnie wszystkie dziewczyny. Głos Bahar górował nad pozostałymi.

- Dziewczeta, zróbcie jej trochę miejsca. Marina, wszystko w porządku?

Spojrzałam jej w oczy i wszystkie głosy odpłynęły gdzieś w dal.

Leżałam na podłodze przykryta kocem, gdy wróciła mi świadomość. Obok mnie siedziała Bahar, czytając Koran.

- Bahar - powiedziałam.

Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że zapadłś w śpiączkę czy coś takiego. Co się z tobą działo?

Powiedziałam jej o zamachu na Alego. Była zszokowana.

- Dostał to, na co zasłużył - powiedziała.

- Nie, Bahar. On na to nie zasłużył.

- Czy nie nienawidziłaś go za to, co ci zrobił?

Dlaczego wszyscy zadawali mi to pytanie?

- Nie był do końca zły. Miał w sobie dobro. Czuł się samotny i przygnębiony. Chciał się zmienić, pomóc innym, ale nie wiedział dokładnie, jak to zrobić. A może wiedział, tylko nie mógł, ponieważ ludzie tacy jak Hamehd nie pozwalali mu na to.

- To, co mówisz, nie ma sensu. Zgwałcił cię i to nie jeden raz.

- Wyszłam za niego.

- Chciałaś tego?

- Nie.

- Zmusił cię do małżeństwa.

- Tak.

- Gwałt w majestacie prawa pozostaje jednak gwałtem.

- Bahar, wszystko wydaje się bez sensu. Czuję, jakby to była moja wina.

- W niczym nie zawiniłaś.

Spytałam o jej syna, Ehsana. Powiedziała mi, że śpi. Nie miała żadnych wiadomości od męża.

Około dwóch tygodni później zostałam wezwana przez głośnik do biura. Czekał tam na mnie pan Moosavi. Siostra Zeinab poprosiła go o podpisanie jakiegoś dokumentu, mówiąc, że przed dziesiątą wieczorem mam stawić się z powrotem w Evin.

- Zabieram cię do domu na obiad - powiedział ojciec Alego, gdy tylko przekroczyliśmy próg biura.

- Te nowe siostry nie są zbyt miłe.

- Nie, zdecydowanie nie są.

Wydawał się błędzić gdzieś myślami, gdy szliśmy w stronę samochodu.

Gdy przejechaliśmy przez bramę więzienia, spytał, czy czuję się lepiej. Powiedziałam, że tak. Ich rodzina też dawała sobie jakoś radę - przy Bożej pomocy czas wypełniała opieką nad

dzieckiem Akram. Potem ojciec Alego wziął głęboki oddech i wyznał, że według jego informacji mordercy Alego należeli do grona jego współpracowników. Nie mogłam uwierzyć.

- Hamehd? - spytałam.

- Tak. To jeden z nich, ale niczego nie można udowodnić.

Powiedziałam mu wówczas o tym, że Ali przyznał mi się do problemów, jakie miał z Ladjevardim. Zdaniem pana Moosavi, to on właśnie stał za zamachem.

- Czy można coś zrobić, by odpowiedzialni za śmierć Alego stanęli przed sądem? - spytałam.

- Nie. Tak jak powiedziałem, nie mamy dowodów. Świadczenie nigdy nie będą zeznawać.

Pan Moosavi stracił jedyne dziecko i wszystko wskazywało na to, że jego zabójcy - koledzy z pracy — pozostaną bezkarni. Musiało to być dla niego wyjątkowo bolesne. Dostrzegłam ponurą ironię w tym, że Ali zginął prawie tak samo, jak młodzi mężczyźni i kobiety w Evin: członkowie tych samych plutonów egzekucyjnych, które rozstrzelały Gitę, Taraneh i Sirusa, wykonali wyrok śmierci na Alim.

- Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć, Marina. Próbowałam uzyskać twoje zwolnienie, ale bez skutku.

- Dlaczego?

- Ponieważ twarogłowi, tacy jak Ladjevardi, którzy mają duże wpływy w Evin, twierdzą, że nie należy pozwolić ci wrócić do poprzedniego życia. Według nich takie posunięcie zachwiałoby twoją wiarę w islam. Jesteś żoną męczennika zamordowanego przez mudżahedinów, jako taka wymagasz ochrony przed niewiernymi i powinnaś czym prędzej poślubić jakiegoś dobrego muzułmanina.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Prędzej umrę - powiedziałam.

Pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby posuwać się tak daleko, Marina. Obiecałem synowi, że wrócisz do swojego domu i zamierzam do tego doprowadzić. Będę musiał zobaczyć się z Imamem. Jestem pewien, że uda mi się przekonać go, by wydał nakaz twojego zwolnienia. Niektórym to się nie spodoba i będą próbowali robić problemy, więc wszystko może potrwać dłużej, niż oczekiwałem. Ale nie martw się. Musisz być silna. Być może nie uda mi się postawić przed sądem zabójców Alego, ale ciebie będę chronił, ponieważ on tego chciał.

- Zabierze mnie pan na grób Alego?

Obiecał, że tak.

- Marina, czy ty go w ogóle kochałaś? - spytał nagle.

Byłam zaskoczona takim pytaniem. Nigdy nie sądziłam, że będzie ze mną tak szczery.

- Na jakiś czas przed śmiercią Ali spytał mnie, czy go nienawidzę. Powiedziałam mu, że nie. Nie kochałam go, nie, ale nie był mi obojętny.

Nigdy nie byłam u rodziców Alego inaczej niż w jego towarzystwie. Co chwilę zdawało mi się, że zaraz wejdzie do pokoju.

Po obiedzie matka Alego poprosiła mnie o chwilę rozmowy. Poszłyśmy do dawnej sypialni Akram. Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku, wskazując mi miejsce obok. Powiedziała mi, że jej mąż robi wszystko, bym mogła wrócić do rodziców. Odpowiedziałam, że wiem o tym.

- Tak, wiem, ale chciałam osobiście ci to powtórzyć. Takie było ostatnie życzenie Alego i to bardzo wiele dla nas znaczy.

Wyznała mi, że po aresztowaniu Alego przez SAYAK i osadzeniu go w Evin nie oczekiwała, że jeszcze zobaczy syna. Owszem, zostać matką męczennika to wielki honor, ale ona była przerażona. Nie chciała stracić jedyne go syna. Gdy poszedł na

front, znów się bała i kiedy wrócił, odetchnęła, wierząc, że w Teheranie będzie bezpieczniejszy.

— I zobacz, co się stało - szlochała - ludzie, z którymi pracowałam, zadali mu cios w plecy. Ci, którzy mieli go chronić. Którym ufałam. I nic nie można zrobić. Przeżył szacha i front, by zginąć w ten sposób. Wszystko, co możemy teraz zrobić, to spełnić jego ostatnie życzenie. I tak będzie, obiecuję ci. Wiemy też bardzo dobrze, że Akram tobie zawdzięcza swoje dziecko. Mały Ali to cud. Jest naszą nadzieją.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Akram z małym Alim w ramionach. Urósł od czasu, gdy go widziałam w szpitalu: miał duże różowe policzki i wielkie ciemne oczy. Był piękny. Wzięłam go na ręce, myśląc o moim własnym dziecku. Byłam wdzięczna, że dane mi było trzymać je w ramionach, choćby tylko we śnie.

Kilka dni później pan Moosavi zabrał mnie na cmentarz Behesht-eh Zahra, gdzie pochowano Alego. Miejsce to znajduje się na południu Teheranu, przy drodze do Quom - miasta słynącego z islamskich szkół religijnych. Towarzyszyła nam Akram. Siedziała ze mną z tyłu i przez dwie godziny podróży milczałyśmy, trzymając się za ręce. Droga była ciemną, wyraźną linią, biegnącą przez środek pustyni. Poprzedniej nocy padał deszcz, ale teraz niebo się przejaśniało. Oparłam głowę o fotel, oddając twarz na zmianę promieniom słońca i smugom cienia. Już wcześniej traçałam przyjaciół i bliskich, ale Ali nie pasował do nich. Był inny niż wszyscy, których znałam. Nie mogłam zmienić tego, co mi zrobił, ani tego, co wydarzyło się między nami. Umarł w chwili, gdy podjął próbę odejścia od swojego dawnego ja. Tyle niewinnych istot straciło życie za murami Evin, ich ciała spoczywały w bezimiennych grobach. Choć Ali ponosił odpowiedzialność

za te wszystkie straszne rzeczy, to tak naprawdę jego śmierć nie była sprawiedliwa. Odpowiedzialni za nią twardogłowi zamordowali go, ponieważ stał się dla nich zagrożeniem, ponieważ chciał coś naprawić i uwolnić się.

Na cmentarzu nie mogłam się skupić. Świat stał się mozaiką niezwiązanych ze sobą obrazów. Dopiero Akram przywołała mnie do rzeczywistości, zwracając uwagę, że weszliśmy do Golzar-eh Shohadah - części cmentarza poświęconej męczennikom. Było prawie południe i mimo chłodnego, łagodnego wiatru słońce mocno grzało. Pociłam się. Miejscami widać było pojedyncze drzewa, ale jak okiem sięgnąć, ziemia usłana była marmurowymi lub cementowymi płytami, leżącymi na grobach. Otaczały nas blaszane kapliczki ze szklanymi okienkami, poświęcone zmarłym. Były to głównie ofiary wojny, w większości bardzo młodzi ludzie.

Pan Moosavi i Akram wreszcie się zatrzymali. Byliśmy przy grobie Alego. Jego ojciec osunął się na kolana i położył dłonie na białym marmurze. Drgały mu ramiona, a łzy kapały na lśniąca płytę nagrobka, by zniknąć w wyżłobionych literach epitafium:

Sayed Ali-eh Moosavi
Dzielny Żołnierz Islamu

21 kwietnia 1954 - 26 września 1983

Akram położyła dłonie na ramionach ojca i nasunęła czador na twarz.

Wewnątrz blaszanej kapliczki, umieszczonej u szczytu nagrobka, znajdowały się trzy zdjęcia Alego. Na pierwszym miał jakieś osiem, dziewięć lat: prawą nogę trzymał na piłce futbolowej, rękę miał oparte na biodrach. Uśmiechał się do obiektywu. Na dru-

gim mógł mieć około szesnastu lat: rzadka broda, poważny wyraz twarzy. Wreszcie na ostatnim zdjęciu wyglądał tak, jak w czasie, gdy go znałam: ciemnowłosa mężczyzna z gęstą, przystrzyżoną brodą, raczej wyrazistym nosem i smutnymi, ciemnymi oczami **0** intensywnym spojrzeniu. Zdjęcia ozdobione były sztucznymi różami, a po obu stronach kapliczki stały doniczki z czerwonym geranium. Obraz miałam zamazany z powodu łez w oczach. Usiadłam na żwirze, którym wysypana była ziemia wokół grobu, i odmówiłam różaniec za mojego męża, mużułmanina pochowanego na Golzar-eh Shohadah, co znaczy „ogród męczenników”. Chciałam ofiarować mu swoje przebaczenie, wiedząc, że nie przychodzi ono od razu gotowe, pięknie zapakowane i obwiązane czerwoną wstążką, ale krok po kroku. Moje przebaczenie nie mogło wymazać bólu, jaki mi sprawił - ten miał pozostać we mnie do końca życia, ale mogło pomóc mi wznieść się ponad przeszłość i stawić czoła temu wszystkiemu, co się wydarzyło. Musiałam pozwolić mu odejść, by poczuć się wolna.

Kilka grobów dalej drobna zgarbiona staruszka szorowała żółtą gąbką namoczoną w spienionej wodzie marmurowy nagrobek. Potem spłukała go i wytarła do sucha białą szmatką. Gdy płyta była już nieskazitelnie czysta, podeszła do sąsiedniego grobu, powtarzając cały rytuał. Chudy starszy mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach siedział na ziemi pomiędzy obydwojma grobami i coś mruzczał, przesuwając między palcami modlitewne paciorki i obserwując kobiety.

Nikt nie miał umyć nagrobków Taraneh, Sirusa czy Gity i postawić im blaszanych kapliczek na cmentarzu, gdzie przyjaciele, rodzina i nieznajomi mogliby wspominać ich i ofiarować im swoje modlitwy. Ale ja pamiętałam, a skoro żyłam, musiałam znaleźć sposób, by to wspomnienie o nich przechować. Moje życie bardziej należało do nich niż do mnie samej.

Podniosłam się, otworzyłam szklane okienko w kapliczce na grobie Alego, wyjęłam z kieszeni mój różaniec i włożyłam do środka.

Akram spojrzała na różaniec.

- Co to jest? - spytała.
- Moje modlitewne paciorki.
- Są piękne. Nigdy takich nie widziałam.
- Modlę się na nich do Maryi.

Gdy ruszyliśmy już w stronę samochodu, spojrzałam na nagrobki, tak pieczołowicie czyszczone przez tamtą staruszkę. Ona i towarzyszący jej stary mężczyzna odeszli wcześniej. Jeden z grobów należał do Rezy Ahmadięgo, drugi - do Hassana Ahmadięgo. Urodzili się tego samego dnia i tego samego dnia zginęli. Bliźniacy, którzy razem znaleźli śmierć na froncie.

Zdałam sobie wówczas sprawę, jak spowszedniała mi śmierć. W moim świecie zabierała ona częściej młodych niż starych.

Odwieźliśmy Akram, po czym pan Moosavi zabrał mnie z powrotem do Evin, obiecując, że zrobi wszystko, bym jak najszybciej mogła wrócić do domu.

Pod koniec października podczas odwiedzin Sheida oddała Kaveha pod opiekę rodziców. Miał około dziewiętnastu miesięcy - energiczny, kochany malec, który stał się dla nas źródłem prawdziwej radości. Nie umiał wymówić mojego imienia, więc nazywał mnie ciocią Manah. Upłynął czas odwiedzin i Sheida wróciła do pokoju. Wyglądała, jakby oddała własną duszę. Usiadła w kącie i zaczęła się kołysać w przód i w tył, nieprzerwanie przez kilka godzin, aż wreszcie zasnęła.

Kilka dni później wypełniłam ostatnią prośbę Taraneh, przekazując wszystkie jej rzeczy rodzicom za pośrednictwem bliskiej przyjaciółki, której osiemnastomiesięczny wyrok więzienia zbli-

żał się ku końcowi. Traciłam nadzieję na to, że kiedykolwiek wrócę do domu.

W Boże Narodzenie 1983 roku spadł śnieg. Wczesnie rano obserwowałam przez zakratowane okna naszej sali migoczące na wietrze lekkie jak puch płatki. Gdy nadeszła nasza kolej spaceru, większość dziewcząt - zebrawszy z dworu pranie - wróciła z pośpiechem do budynku, ponieważ było zbyt zimno. Nasze gumowe klapki nie dawały ochrony przed zimnem i wilgocią. Zgłosiłam się jako ochotnik, by zebrać ubrania Bahar i Sary. Było chłodniej, niż sądziłam, ale z przyjemnością powitałam płatki śniegu na twarzy. Dziedziniec był pusty. Zdjęłam klapki i skarpetki i stałam nieporuszona w białych objęciach zimy. Między palcami u nóg czułam zbierający się puch. Boże Narodzenie. Dzień, w którym narodził się Chrystus. Dzień radości i świętowania, wypełniony śpiewem kolęd, obfitujący w smakołyki i prezenty. Jak to możliwe, że życie toczyło się dalej, jakby tamci, którzy odeszli, nigdy nie istnieli?

Po chwili poczułam ból w stopach, potem odrętwienie. Zobaczyłam siebie w noc egzekucji, kiedy miałam umrzeć — stojącą w samym środku ciemności, czekającą na śmierć. Evin odebrało mi dom, odebrało mi samą siebie, taką, jaką byłam. Rzuciło mnie w rzeczywistość poza strachem, pokazało ból większy, niż wydawał się możliwy do zniesienia. Już wcześniej poznałam ból straty i smutek. Ale ten smutek, w Evin, miał kształt ciemności bez granic, która nie dawała swoim ofiarom wytchnienia. Czy powrót do życia był w ogóle możliwy?

Nie wolno mi było oddawać się rozmyślaniam. Na ich końcu czekała mnie jedynie rozpacz. Musiałam wierzyć, że pewnego dnia wrócę do domu.

Mniej więcej trzy miesiące później, rankiem 26 marca 1984 roku przez rżęjący głośnik wywołano moje nazwisko.

- Marina Moradi-Bakht stawi się w biurze.

To mogło oznaczać wszystko: zwolnienie, pluton egzekucyjny albo wizytę pana Moosavi.

- Marina, idziesz do domu, wiem to - powiedziała Bahar.

- Niczego tutaj nie da się przewidzieć.

- Marina, Bahar ma rację - przekonywała Sheida.

Sara objęła mnie, śmiejąc się i płacząc na zmianę.

- Marina, porozmawiaj z moją matką. Powiedz jej, że nic mi nie jest. Powiedz, że któregoś dnia wrócę do domu - mówiła.

- Idź, Marina! Biegnij! - wołały dziewczęta, ciągnąc mnie za sobą przez korytarz.

Przeszłam przez zakratowane drzwi i zanim ruszyłam po schodach w górę, obejrzałam się i zobaczyłam ręce moich koleżanek, które między kratami machały mi na pożegnanie. I ja zamachałam. Gdy tylko przeszłam przez próg biura, Siostra Zeinab wydała przez głośniki polecenie przyniesienia moich rzeczy z pokoju numer sześć.

- Wygrałeś - powiedziała. - Nigdy nie sądziłam, że wypuszczą cię tak szybko.

- Straciłam tylu przyjaciół, straciłam męża i dziecko, a pani myśli, że wygrałam?

Spuściła wzrok.

Wracałam do domu. Nareszcie.

Ojciec Alego i Akram z dzieckiem czekali na mnie w małym pomieszczeniu przy bramie. Pan Moosavi uśmiechnął się do mnie.

- Dotrzymałem obietnicy? - spytał.

- Tak. Jak się to panu udało?

- Rozmawiałem z Imamem. Ladgevardi był temu przeciwny, ale w końcu przekonałem Imama, że powinni cię wypuścić. - Przerwał na moment. - Czy będziesz mnie dobrze wspominać?

- Tak, będę. A pan? Jak pan będzie wspominał mnie?

- Jako silną i dzielną córkę - odpowiedział, ocierając łzy. Kazał mi zadzwonić, gdyby cokolwiek było nie tak. Zapewnił też, że przechowa na rachunku bankowym wszystkie pieniądze, jakie zostawił mi Ali, na wypadek gdybym jednak chciała z nich skorzystać. Najdelikatniej, jak umiał, przekazał mi również wiadomość, że przez kilka lat nie wolno mi będzie wyjechać z kraju. Takie były zasady dotyczące byłych więźniów Evin.

Powiedziałam mu, że Ali obiecał kiedyś pomóc Sarze. Na moją prośbę zgodził się poprosić Mohammada, by nad nią czuwał.

- Mam dla ciebie ostatnią radę - powiedział pan Moosavi. - Nie odwiedzaj wszystkich rodzin swoich przyjaciół z Evin. Jedną, dwie - nie ma problemu, ale nie więcej. Hamehd będzie cię obserwował i jeśli dasz mu jakikolwiek powód do ponownego aresztowania, z pewnością go wykorzysta. A w takim wypadku może okazać się, że nie będę w stanie ci pomóc. Siedź w domu, nie zwracaj na siebie uwagi.

- Zostanę w domu.

Pan Moosavi zaproponował, że odwiezie mnie do parku Luna, gdzie miała na mnie czekać moja rodzina. Podziękowałam mu jednak za uprzejmość, tłumacząc, że wolę się przejść. Potrzebowałam świeżego powietrza i czasu, by przygotować się na spotkanie z rodzicami.

Park Luna, znajdujący się około dwóch i pół kilometra na południe od Evin, był miejscem rozrywki. Władze przejęły jego część i zamieniły na parking dla autobusów, które dowoziły osoby odwiedzające Evin. W wypadku zwolnienia więźnia jego rodzina miała czekać na niego właśnie tam.

Wyszłam na zewnątrz. Było to najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam: po prostu szłam do domu. Ciągle nie

miałam odwagi się cieszyć. Poczułam nagły powiew wiatru, który niosł ze sobą zimne krople deszczu. Owijając się dokładnie moim czadorem, ruszyłam po schodkach w dół, w stronę cichej, wąskiej uliczki. Po chwili stanęłam i spojrzałam w górę, gdzie chmury przesuwwały się, poganiane silnym wiatrem; przez jedną krótką chwilę pokazała się plama bladoniebieskiego nieba. Zaparło mi dech w piersiach. Choć blade, było nadal pełne życia i piękne na tle różnych odcieni szarości. Przebiegłam wzrokiem po drodze i dostrzegłam wyjeżdżający zza rogu biały samochód. Kierowca - mężczyzna w średnim wieku - zwolnił i przyglądał mi się, ale nie zjechał z drogi. Moje skarpetki były przemoczone wewnątrz gumowych kłapek i czułam, jak przemarzają mi stopy.

Uzbrojony strażnik stał na wieżycze obserwacyjnej, ze wzrokiem utkwionym w ulicę.

- Bracie, którędy do parku Luna? - wykrzyknęłam w jego stronę.

- Prosto, w dół ulicą - pokazał mi.

Co mam powiedzieć rodzicom? Że przez ostatnie dwa lata byłam torturowana, bliska śmierci, wydana za męża? Że zostałam wdową i straciłam dziecko? Jak miałam to wszystko ubrać w słowa? A Andre?... Czy nadal mnie kochał, mimo czasu, jaki nas rozdzielał?

Zauważyłam dziewczynę, idącą w niewielkiej odległości przede mną. Niosła - podobnie jak ja - plastikową torbę, a jej klapki musiały być co najmniej trzy numery za duże. Co kilka kroków stawała i oglądała się na pozostające z tyłu góry. Wyglądało na to, że mnie nie zauważa. Gdy dotarła do ulicy, a w oddali pojawił się park, zatrzymała się pomimo zielonego światła dla pieszych. Stanęłam kilka kroków za nią. Nie ruszała się. Światła zmieniły się na czerwone, potem znów na zielone. Samochody ruszały, zatrzymywały się przed przejściem i znowu ruszały.

- Czemu nie przechodzisz przez ulicę? - spytałam. Zaskoczona obróciła się i spojrzała na mnie przez ścianę deszczu. Uśmiechnęłam się.

- Ja też wracam do domu z Evin. Możemy razem przejść przez jezdnię - zaproponowałam.

Uśmiechnęła się niepewnie. Trzymając się za ręce, przeszłyśmy na drugą stronę. Jej dłoń była jeszcze zimniejsza niż moja.

Gdy tylko dotarliśmy do bramy parku, zatrzymał nas strażnik. Przeklinał zimno i deszczową pogodę. Spytał o nasze nazwiska, wyjął z kieszeni kawałek mokrego papieru, sprawdził coś i przepuścił przez bramę. Rozejrzałyśmy się. Nie licząc kilku baraków z tyłu, miejsce wyglądało na pusty parking, strzeżony przez licznych żołnierzy gwardii rewolucyjnej. Nie widziałam żadnych znajomych twarzy, ale moja towarzyszka ruszyła biegiem w stronę mężczyzny i kobiety, którzy właśnie się zjawili. Oboje płakali. Kilka minut później zobaczyłam moich rodziców. Podbiegłam do nich, objęłam i nie chciałam wypuścić z uścisku. Gdy zśliśmy w stronę samochodu, matka zaczęła mocować się z parasolem, który nie chciał się otworzyć.

- *Maman*, co robisz?

- Ten głupi parasol się zaciął.

- Dochodzimy już do samochodu.

- Przemokłaś. Nie chcę, żebyś się przeziębila.

Chciała chronić mnie przed deszczem. Przez ostatnie dwa lata nie była w stanie mi pomóc. Była zupełnie bezradna, prawdopodobnie bardziej niż ja. Parasol wreszcie się otworzył i - choć byliśmy już prawie u celu - wzięłam go od niej.

Ociekając deszczem, wsiadłam do samochodu ojca. Za kierownicą siedział Andre. Odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął się. Jego obecność oznaczała, że dotrzymał obietnicy - czekał na mnie. Nadal mnie kochał. Nareszcie poczułam się szczęśliwa. To dziwne, że przed moim aresztowaniem nie zdawaliśmy sobie do

końca sprawy z naszych uczuć. Odkryliśmy je dopiero w chwili, gdy wydawało się, że jesteśmy dla siebie straceni.

Głos matki wypełniał samochód.

- W taką pogodę powinni byli pozwolić nam podjechać pod bramę więzienia! Spójrz na siebie! Na pewno będziesz chora. Zdejmij skarpety.

- *Maman*, nie martw się. Nic mi nie jest. Naprawdę. Przebiorę się zaraz, gdy tylko dotrzemy do domu.

- Uszyłam ci nowe ubrania. Wiszą w twojej szafie.

Gdy byłam w więzieniu, rodzice zamieszkali w domu należącem do dawnej przyjaciółki - miłej samotnej kobiety o imieniu Zenia. Był to spory jednopiętrowy dom z pięcioma sypialniami, w ekskluzywnej okolicy. Taki układ odpowiadał obu stronom: Zenia nie była sama, a rodzice nie musieli płacić wysokiego czynszu za niewielkie mieszkanie. Ceny wynajmu gwałtownie wzrosły po rewolucji i dla wielu rodzin należących do klasy średniej, które nie posiadały własnych domów, nowe stawki były dużym problemem finansowym.

- Jak poradziliście sobie z przeprowadzką? - spytałam.

- W porządku. Musieliśmy sprzedać trochę rzeczy. Zenia ma mnóstwo mebli i na wszystko nie starczyłoby miejsca. Andre okazał się prawdziwym aniołem - pomagał nam w dniu przeprowadzki. Dzięki Bogu ma kombi. Nie wiem, jak poradziłybyśmy sobie bez niego.

- Ciągłe masz ten sam samochód? - spytałam Andre.

- Tak.

Zdziwiłam się, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że choć czas, jaki spędziłam w Evin, wydawał mi się wiecznością, były to tylko dwa lata, dwa miesiące i dwanaście dni.

ROZDZIAŁ

OSIEMNASTY

W domu Zeni przydzielono mi sypialnię z oknem prawie na całą ścianę, wychodzącym na tył budynku. Ściany i zasłony były w moim ulubionym różowym kolorze. Obok okna stały dwa fotele. Przesuwając palcami po miękkim materiale, którym obciążone były fotele, wyobrażałam sobie siebie w jednym z nich, czytając powieść czy tomik poezji. Na niewielkim stoliku, stanowiącym część meblościanki, stały moje dwie fotografie w ramkach z Isfahan. Na pierwszej mogłam mieć około ośmiu lat - opierałam się plecami o błyszczącą maskę niebieskiego oldsmobila ojca. Miałam na sobie białą letnią sukienkę i wpatrywałam się w obiektyw z niepewnym, pytającym uśmiechem na twarzy. Czy to możliwe, że byłam kiedyś tak młoda? Drugie zdjęcie przedstawiało mnie jako trzynastolatkę w błękitnym podkoszulku i białych szortach, siedzącą na rowerze przed daczą ciotki i wyraźnie spieszącą się na spotkanie z Arashem na plaży. Obydwa zdjęcia zrobił mój brat.

Zamiast mojego starego łóżka w kącie stała rozkładana sofa, pokryta brązowym, tweedowym materiałem. Dotykałam po kolei każdego mebla. Wszystko wydawało się prawdziwe. Dlaczego więc czułam się, jakbym śniła? W jakiś sposób moje prawdziwe

życie wciąż należało do Evin, a ten świat, do którego właśnie wkroczyłam, to miejsce, które nazywałam domem i za którym tęskniłam, było nieuchwytnie i obce. A jednak to się dzieje naprawdę. Jestem w domu. Z powrotem. Koszmar się skończył. Dobrze, że się przeprowadziliśmy. To nowy początek. Muszę zapamiętać o przeszłości.

Wyjęłam z torby moje rzeczy zabrane z Evin. Przyszło mi na myśl, żeby je wszystkie wyrzucić do śmieci, ale nie mogłam się na to zdobyć. Na wierzchu znajdował się mój biały ślubny szal. Owinęłam nim pierścionek. Wzięłam głęboki oddech i powoli rozwinęłam delikatny jedwab. Przed oczami stanął mi obraz Alego w moich ramionach, próbującego oddychać. Żałując, że świat nie może być miejscem, w którym ludzie są albo dobrzy, albo źli, ponownie zawińęłam ślubny pierścionek i schowałam go w najdalszym kącie szafy. Podeszłam do okna. Przestało padać i promienie słoneczne spływały przez chmury jak koronkowe złote wstążki. Podwórko, dzięki wysokiemu ceglanemu murowi wokół, zapewniało pełną prywatność. Liczne, teraz pozbawione liści krzaki róż otaczały pusty basen. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedziałam, nie odrywając oczu od ogrodu, który emanował spokojem.

Wszedł Andre. Stanął za mną i położył mi ręce na ramionach. Czułam zapach jego wody kolońskiej i ciepło jego ciała.

- Byłem przygotowany na to, że wrócisz z dzieckiem na rękach. Kochałbym cię tak samo - powiedział. - Niczego by to nie zmieniło.

Nie poruszyłam się. Nie było możliwe, by wiedział o moim dziecku, ale i tak powiedział to, co najbardziej chciałam usłyszeć. Prawdopodobnie słyszał, że dziewczęta były gwałcone w Evin. Z trudem powstrzymywałam łzy.

- Nie jestem w ciąży.

- Torturowali cię?

- Tak. Chcesz wiedzieć, dlaczego zmieniłam wyznanie?

Chciałam, żeby wiedział, co się zdarzyło, ale nie mogłam znaleźć właściwych słów.

- To nie ma dla mnie większego znaczenia, ale wiem, że zrobiłaś to, bo nie miałaś innego wyboru. Mam rację?

- Tak.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Odróciłam się w jego stronę. To był pierwszy raz, gdy sobie to powiedzieliśmy.

Objął mnie. Dotknął wargami moich ust i przez kilka chwil Evin stało się jedynie wspomnieniem, które nie miało mnie już w swojej mocy.

Tego wieczoru wszyscy zasiedliśmy wokół stołu. Matka przygotowała wołowinę duszoną z selerem i ryż. Początkowo ciszę przerywał jedynie dźwięk sreber stukających o porcelanę albo czyjś delikatny kaszel.

- Dzięki Bogu, że dzisiaj popadało. Zbyt długo było sucho. Trawnik wyglądał już fatalnie, ale jest lepiej - w ciszy zabrzmiał melodyjny, ciepły głos Zeni. Miała około 180 cm wzrostu, niecałe 60 kilo wagi, krótkie blond włosy i ciemne oczy.

- Im więcej teraz popada, tym piękniej będą kwitły róże - dodał Hooshang *Khan*, bliski przyjaciel rodziny Zeni, który jadł z nami kolację.

Sisi, jeden z trzech kotów Zeni, ocierał się pod stołem o moją nogę. Schyliłam się i podrapałam go po głowie. Kot zamruczał z zadowolenia.

Przez większość czasu ojciec wpatrywał się w talerz, ale od czasu do czasu powoli przeciągał wzrokiem po zebranych wokół

stołu, przez moment zatrzymując spojrzenie na mnie. Próbowałam odczytać wyraz jego twarzy. Jak kiedyś wydawała się pusta. Gdy odwiedzał mnie w więzieniu, wyglądał na zdruzgotanego, ale teraz, gdy wróciłam, wszystko wróciło do normy. Prawdopodobnie wszystkim łatwiej było udawać, że mój pobyt w więzieniu w ogóle nie miał miejsca. Ale czy to milczenie miało chronić mnie czy też ich samych?

Matka Alego przygotowała gulasz wołowo-selerowy i ryż w dniu, w którym jej syn został zamordowany. Jak miałam powiedzieć mojej rodzinie o Alim, o moim małżeństwie, o jego śmierci? Czułam się obco - jak gość, którego zaproszono nie z troski o niego samego, ale z poczucia obowiązku. Po zjedzonej kolacji powinnam była wszystkim powiedzieć „dobranoc” i pójść do domu. Tylko którego? Do Moosavich czy do Evin?

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć, obserwując nieznanne cienie na ścianach. Ali dwukrotnie ocalił mnie w dniu swojej śmierci: raz, gdy popchnął mnie na ziemię, i drugi raz, gdy poprosił ojca, by ten zwrócił mnie mojej rodzinie. Gdyby nie wsparcie pana Moosavi, prawdopodobnie spędziłabym resztę życia w Evin lub - co gorsza - zgodnie z jego przewidywaniami Hamehd wydałby mnie za któregoś ze swoich przyjaciół. Wówczas jedyne co mogłabym zrobić, to popełnić samobójstwo.

Po powrocie z frontu Ali zagroził mi, że jeśli go nie poślubię, aresztuje Andre i moich rodziców. Uwierzyłam mu wtedy, ale teraz cień podejrzewania wkradł się w moje myśli. A jeśli była to tylko groźba? Jeśli tak, to mogłam odmówić, nie narażając nikogo z najbliższych. Co by się stało, gdybym powiedziała „nie”?

Teraz, gdy leżałam bezpieczna we własnym łóżku, bycie odważnym wydawało się znacznie łatwiejsze.

Następnego dnia postanowiłam odszukać moje książki - w większości подарowane przez dawnego właściciela księgarni,

Alberta - oraz pudełko, zawierające wspomnienia Babci. Nigdzie ich nie było. Poszłam do matki, która siedziała w salonie, paląc papierosa.

- *Maman*, nie mogę znaleźć moich książek. Gdzie one są?

Pokręciła głową i spojrzała na mnie, jakby to było najbardziej bezsensowne pytanie, jakie kiedykolwiek jej zadano.

- Twoje książki? Niczego się więc nie nauczyłaś? Twoje książki były jak bomba zegarowa. Zdajesz sobie sprawę, jak byliśmy przerażeni po twoim aresztowaniu? Zniszczyłam wszystkie książki, których nie zabrali żołnierze. Zajęło mi to wiele dni, ale pozbyłam się ich.

Nie mogła ich spalić, ponieważ nie mieliśmy kominka ani podwórka. Wrywała kartka po kartce, wrzucała je do pralki wirnikowej, po czym taką maź mieszała ze śmieciami.

Opadłam na krzesło, myśląc o tych wszystkich pięknych słowach zamienionych w obrzydliwą maź.

Wyprane książki. Świat słowa zatopiony, uciszony na zawsze.

Najbardziej żałowałam „Opowieści z Narni”. Miały dedykację Alberta.

- Pod łóżkiem było małe złote pudełko. Co się z nim stało? - spytałam matki.

- Zapiski twojej babki. Pomyśl, Marina! Gdyby strażnicy gwardii wrócili i znaleźli te papiery, pokryte rosyjskimi literami, co wówczas pomyśleliby? Całe lata zajęłoby nam udowadnianie, że nie jesteśmy komunistami.

Nie winiłam matki, była wystraszona - jeszcze jeden owoc islamskiej rewolucji.

Smutek to dziwne uczucie. Ma wiele kształtów i form, wiele rodzajów. Zastanawiałam się, czy ktoś je wszystkie kiedyś usystematyzował i ponazywał.

Zbliżały się moje dziewiętnaste urodziny i matka zaprosiła z tej okazji kilku krewnych i przyjaciół. Przed przyjściem gości przejrzałam zawartość mojej szafy z ubraniami: wszystkie były czarne, granatowe, brązowe, wszystkie z długimi rękawami i ponure. Nie miałam osiemdziesięciu lat. Chciałam jasnej sukienki bez rękawów. Chciałam wciągnąć ją na siebie, spojrzeć w lustro i odnaleźć dziewczynę, którą kiedyś byłam. Chciałam powrócić do mojego życia w momencie, gdy je opuściłam.

Zwróciłam się do matki, mówiąc, że — choć uszyte przez nią ubrania są ładne i bardzo mi się podobają - to na urodziny wolałabym coś weselszego i jaśniejszego. Spytałam, czy pożyczę mi jedną ze swoich dawnych wyjściowych sukienek. Miała kiedyś taką jedną - różową, bez ramion - która bardzo mi się podobała. Wiedziałam, że prawdopodobnie jest na mnie nieco za duża, ale potrafiłam temu zaradzić. W końcu w Evin nauczyłam się szyć. Matka zgodziła się. Pół godziny przy maszynie do szycia i sukienka pasowała na mnie idealnie. Weisnęłam stopy w pantofle na wysokim obcasie. Miałam zamiar odzyskać swoje dawne życie.

Goście uśmiechali się na mój widok, ściskali mnie i całowali, prawiąc komplementy. Byłam szczęśliwa, że ich widzę, ale jednocześnie dostrzegałam między nami wyraźny dystans: między dziewczyną, która odeszła, a tymi, którzy wiedli normalne życie. Nasze rozmowy obfitowały w niezręczne chwile milczenia.

- Marina, pięknie wyglądasz. Jak się masz? - pytali mnie.
- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiadałam automatycznie.

Potem zdobywali się na uśmiech, próbując ukryć zmieszanie, tak wyraźne jak kolor ich oczu.

- Och, ciasta wyglądają smakowicie. Czy to mama je zrobiła?

Nie winiłam ich za to. Byli uprzejmi, mili i na tym koniec. Nie chcieli wiedzieć. Dołączył do nas jeden z księży, Ojciec

Nicola: przygrywał na akordeonie rosyjskie ludowe piosenki, śpiew pozostawiając moim rodzicom. Przyjemnie było widzieć wokół uśmiechnięte, znajome twarze i słuchać melodii, przywołujących na pamięć dzieciństwo. Ali miał rację. Dom nie był już tym samym, co kiedyś, bo ja byłam kimś innym. Na zawsze utraciłam niewinność dzieciństwa.

Po obiedzie moja matka chrzestna, Siran, usiadła obok mnie. Była mądrą kobietą i zawsze ceniłam jej opinie.

- Jak się masz? — spytała.

- Dobrze, jak nowo narodzone dziecko - odparłam.

Roześmiała się.

- Cieszę się, że nie straciłaś poczucia humoru. - Była jak zawsze elegancka, w kremowej bluzce i dobrze skrojonej brązowej spódnicy. — Możesz być z siebie dumna. Większość osób zwolnionych z Evin zamyka się w pokoju i przez długi czas do nikogo się nie odzywa. Odziedziczyłaś tę siłę po babce.

- Dlaczego nikt mnie nie zapyta o te dwa lata? - spytałam ją.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. Boimy się zapytać, ponieważ boimy się wiedzieć. Myślę, że to rodzaj naturalnej obrony. Może, jeśli nie będziemy o tym rozmawiać, jeśli będziemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, zapomnimy.

Oczekiwałam, że mój powrót do domu uczyni wszystko prostym. Nienawidziłam otaczającego mnie milczenia. Chciałam być kochana. Ale jak miłość mogła odnaleźć swoją drogę przez ciszę? Milczenie i ciemność były do siebie bardzo podobne: ciemność to brak światła, a cisza - brak dźwięku, głosów. Jak można poruszać się w takiej pustce?

Po urodzinach postanowiłam skończyć szkołę. Musiałam żyć dalej. Mogłam uczyć się w domu i zdawać egzaminy eksternistycznie. Choć Andre kończył właśnie studia inżynierskie,

przychodził codziennie i pomagał mi w matematyce i fizyce. Opowiadał o swoich wykładach, profesorach i przyjaciółach. Czasami zabierał mnie do któregoś z nich na spotkania czy przyjęcia urodzinowe. To był nasz - trochę nietypowy - okres „chodzenia ze sobą”.

W tym czasie gwardia rewolucyjna posiadała wiele punktów kontrolnych w całym mieście. Mieli zwyczaj zatrzymywać samochody o różnych porach dnia, ale przede wszystkim wieczorem, i przeprowadzać przypadkowe rewizje. Przebywanie w jednym samochodzie kobiety i mężczyzny, którzy nie byli małżeństwem lub bliskimi krewnymi, uważane było za przestępstwo. I tak, na wszelki wypadek, choć nigdy nie rozmawialiśmy o małżeństwie, Andre poprosił księdza o dokument zaświadczający, że jesteśmy zaręczeni. Trzymał go zawsze w samochodzie na wypadek kontroli.

Uczyłam się przez dziesięć godzin dziennie w pokoju lub chodząc z książką wokół pustego basenu. Być może podświadomie starałam się wypełnić czas matematyką i innymi naukami ścisłymi, by uchronić się przed myśleniem o przeszłości. Ojciec pracował na okrągło przez sześć dni w tygodniu - nadal zatrudniony jako urzędnik u Wujka Partefa - a matka spędzała większość czasu w kolejkach po żywność, w kuchni lub robiąc na drutach. Starałam się nie wchodzić jej w drogę.

Któregoś ciepłego dnia, gdy siedzieliśmy na dworze, Andre przysunął do mnie swoje krzesło i otoczył mnie ramieniem. Wokół bawiły się wróble, a powietrze nasycone było słodkim zapachem różowych, czerwonych i białych róż.

- Kiedy się pobierzemy? - spytał.

W Evin Mohammad ostrzegał, że nie wolno mi wyjść za chrześcijanina. Prawo islamu zabraniało muzułmance poślubić chrześcijanina, choć muzułmanin mógł ożenić się z chrześcijanką. Fakt, że zmieniałam wyznanie pod przymusem i w wyjątko-

wych okolicznościach, nie miał znaczenia z punktu widzenia władz islamskich. Przyznanie się do odrzucenia islamu i ponownego przyjęcia wiary chrześcijańskiej było równoznaczne z karą śmierci.

- Wiesz, że jeśli się pobierzemy, a oni dowiedzą się o tym, prawdopodobnie oboje zostaniemy skazani na śmierć — powiedziałam.

Wiatr odwracał kartki w leżącym na stole podręczniku do matematyki.

- Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Tamtego dnia w kancelarii kościoła? - zwrócił się do mnie Andre. - To była miłość od pierwszego wejrzenia. Od tego momentu wiedziałem, że jesteś mi przeznaczona. I czułem, że muszę się o ciebie troszczyć. A kiedy cię zabrali, wiedziałem, że wrócisz. Należymy do siebie. Tak właśnie miało być.

Dotknęłam jego miękkich, jasnych włosów i twarzy i pocałowałam go.

- Przez cały ten czas w Evin chciałam do ciebie wrócić. Choć zdawałam sobie sprawę, że to może nigdy nie nastąpić, nie traciłam nadziei.

Wtedy po raz pierwszy Andre powiedział mi, że 19 marca, na tydzień przed moim zwolnieniem, rodzice odebrali wcześniej rano telefon z Evin, informujący ich, że tego dnia mnie wypuszczą. Razem z Andre natychmiast udali się do więzienia. Czekali przez cały dzień, po czym zostali odprawieni z niczym, bez słowa wyjaśnienia. Wiadomość ta była dla mnie prawdziwym szokiem: dlaczego wcześniej nikt mi o tym nie powiedział? Czy ta zwłoka była wynikiem próby sił pomiędzy Ladjevardim a panem Moosavi? Jeśli tak, to ojciec Alego musiał stoczyć o mnie prawdziwą walkę. Byłam pewna, że bez poparcia Chomeiniego nic by nie wskórał.

- Tak się martwiliśmy - kontynuował Andre. - Nie wiedzieliśmy, dlaczego zmienili zdanie, a strażnicy nie chcieli z nami rozmawiać. 26 marca zadzwonili ponownie, więc natychmiast stawiliśmy się pod bramą więzienia. Wtedy kazali nam zaczekać na ciebie w parku Luna. Zaparkowałem samochód w pobliżu, a twoi rodzice postanowili iść dalej na piechotę. Czekałem w samochodzie. Byłem naprawdę przejęty, ale z drugiej strony wiedziałem, że nic nie jest pewne i starałem się nie oczekiwać zbyt wiele. Kilka minut po odejściu twoich rodziców do samochodu podszedł brodaty mężczyzna w cywilnym ubraniu i pozdrowił mnie słowami „*Salam aleikom*”. Odpowiedziałem na jego pozdrowienie, myśląc, że pewnie chodzi mu o jakąś informację. Ale mężczyzna nachylił się do mnie i powiedział: „Pamiętaj, że nie możesz poślubić Mariny.” Spytałem go, kim jest. Odpowiedział, że to nie ma znaczenia. Powtórzył: „Ostrzegam cię - ona jest mużłmanką, a ty chrześcijaninem, więc nie możecie się pobrać”. Potem odwrócił się i odszedł.

Ta rozmowa bardzo zdenerwowała Andre. Zdawał sobie co prawda sprawę z tego, że - ponieważ był w kościele podczas mojej krótkiej wizyty przed ślubem - władze wiedziały o naszej znajomości, ale dopiero wtedy dotarło do niego, że przez cały czas był pilnie obserwowany. Wówczas jego strach przerodził się w gniew: to, z kim zamierza się ożenić, było jego prywatną sprawą. Kochał mnie i tylko to się liczyło.

- Marina, rozumiem, że małżeństwo z tobą stwarza niebezpieczeństwo. Mimo wszystko chcę to zrobić. Nie możemy się poddać. Nie robimy niczego złego. Kochamy się i chcemy się pobrać. Jak dalece pozwolimy sobą manipulować? Musimy stawić opór.

Miał rację.

Domyślałam się, że tamtym brodatym mężczyzną był Mohammad. Dobrze wiedziałam, że to małżeństwo mogło oznaczać wyrok śmierci, ale paradoksalnie, musiałam zaryzykować własnym życiem, by je na powrót odzyskać. W Evin byłam bliska śmierci, przed którą uratował mnie Ali. Ale on nie zwrócił mi mojego życia - zatrzymał je dla siebie. Moje życie było ceną, jaką musiałam zapłacić, by je zachować. Teraz musiałam walczyć, by je odzyskać.

Powiedziałam rodzicom o mojej decyzji. Myśleli, że postradałam zmysły. Nawet większość księży uważała, że nie powinniśmy się pobierać, jednak ustaliliśmy datę ślubu na 18 lipca 1985 roku - sześć miesięcy po moim zwolnieniu z Evin. Przyjaciele i rodzina nie ustalali w próbach odwiedzenia nas od tego zamiaru. W ostatnim akcie desperacji rodzice poprosili pana Hooshang, by ze mną porozmawiał. Był miłym, mądrym człowiekiem i rodzice wiedzieli, że darzę go szacunkiem. Zapukał do moich drzwi pewnego wieczoru, gdy czytałam, siedząc na kanapie w swojej sypialni. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i usiadł na krześle. Pochylając się do przodu, oparł łokcie na kolanach i spojrzał mi prosto w oczy.

- Nie rób tego.

- Czego?

- Nie wychodź za Andre. Wiem, że się kochacie, ale czasy są trudne. Możesz stracić życie z tego powodu. Poczekaj. Świat się zmienia. Nie ma sensu tak ryzykować.

Jego słowa wyzwoliły we mnie długo skrywany gniew.

- Nie ma pan prawa mówić mi, za kogo mam wyjść za mąż, a za kogo nie! Ani pan, ani moi rodzice, ani z pewnością ten rząd! Zrobię to, co zechcę! Zrobię to, co słuszne! Dość kompromisów!

Nigdy w całym swoim życiu nie podniosłam w ten sposób głosu. Nigdy nie byłam tak niegrzeczna wobec osoby dużo ode mnie starszej. Wiedziałam, że zachowałam się niewłaściwie. Krew odpłynęła z twarzy pana Hooshanga. Wyszedł z pokoju, a ja wybuchnęłam płaczem. Nie pozwolę, by rząd, który uwięził mnie, torturował fizycznie i psychicznie, zrujnował mi życie. Zostałam zmuszona do przejścia na islam i poślubienia obcego człowieka. Wiedziałam, jak cierpią i umierają moi przyjaciele. Jediną słuszną rzeczą, jaką mogłam zrobić, było pokazanie im, że choć zmusili mnie do zmiany wiary, to poślubię człowieka, którego kocham. Nawet za cenę narażenia życia i ponownego aresztowania. Tym razem nie zamierzałam ulegać. Nie udało im się zniszczyć mnie wcześniej, nie uda się i teraz.

W dniu, w którym razem z Andre poszliśmy kupić ślubne obrączki, próbowałam powiedzieć mu o Alim. Chciałam tego. Wiedziałam, że zrozumie. Chodziliśmy po sklepie jubilerskim, oglądając witriny. Miał prawo wiedzieć. Moją uwagę zwróciła złota obrączka, która wyglądała jak dwa przeplatające się koła i poprosiłam, by mi ją pokazano. Obojgu nam bardzo się spodobała. Gdy wróciliśmy do samochodu, za wycieraczką znaleźliśmy mandat. Andre powiedział, że to jego pierwszy mandat w życiu i oboje roześmialiśmy się.

W drodze powrotnej do domu zastanawiałam się, od czego zacząć. Musiałam zacząć od samego początku, od chwili, gdy przekroczyłam próg Evin. Potem należało opowiedzieć o każdej spędzonej tam sekundzie. Nie mogłam. Nie byłam w stanie cofnąć się w czasie i przeżyć tego wszystkiego od nowa.

Tamtego lata pojechaliśmy wszyscy na kilka dni do naszej daczki: rodzice, Andre i ja. Miejsce było piękne i spokojne, tak jak je pamiętałam, ale radość, która mi tam zawsze towarzyszy-

ła, była już jedynie wspomnieniem. Wczesnym rankiem, gdy wszyscy jeszcze spali, pobiegłam do mojej skały modlitwy. Na pozór nic się nie zmieniło. Stare drzewa pochylały się na wietrze, a promienie słońca przedzierały się przez ich gałęzie. Buty i spodnie miałam mokre od porannej rosy. Położyłam się na kamieniu i czując na skórze jego wilgotną szorstkość, wspominałam dzień, w którym modliłam się tu razem z Arashem. Tyle się zmieniło od tamtej chwili. Z kieszeni wyjęłam moją pierwszą ślubną obrączkę, uklękłam obok skały i próbowałam bezskutecznie wydłubać jeden z drobnych kamyków. Nie poddawałam się, ale kamyki były dobrze zacementowane. Bolały mnie palce. Pobiegłam do domu, w którym nadal panowała kompletna cisza, jeśli nie liczyć chrapania ojca. Weszłam na palcach do kuchni, chwyciłam nóż i wróciłam do mojej skały. Tym razem udało mi się wydłubać trzy kamyki. W ich miejsce wcisnęłam obrączkę, wyobrażając sobie, że zawijam ją w kokon modlitw.

Gdy wróciliśmy do Teheranu, matka wyznała mi, że na wiadomość o moim przejściu na islam, ojciec wyrzekł się mnie. Powiedziała mi to, zmywając naczynia i nawet nie podniosła na mnie wzroku. Nie byłam zaskoczona, choć poczułam ból. Kiedyś oczekiwałam, że dom rodzinny stanie się moim schronieniem, ale on okazał się dla mnie zamknięty. Dystans pomiędzy nami zdawał się powiększać. Matka wytarła ręce i wyszła z kuchni. Nawet gdybym zdradziła jej moje sekrety, nie byłaby w stanie dać mi tego, czego najbardziej potrzebowałam: zrozumienia. Była, jaka była. Jej spojrzenie na świat i na to, co najważniejsze, było zupełnie inne niż moje. Nie odważyłabym się powiedzieć, że to ja mam rację, a nie ona. Różniłyśmy się i należało przestać liczyć na to, że podzielili mój punkt widzenia. Musiałam zaakceptować ją taką, jaka była, ponieważ tego

samego ja oczekiwałam od niej. Nie rozumiałam, dlaczego zdecydowała się powiedzieć mi o gwałtownej reakcji ojca na moją zmianę wyznania. On sam nie wspomniał o tym ani słowem. Domyślałam się, że - jej zdaniem - powinnam zdawać sobie sprawę z opinii ojca na ten temat.

W dniu ślubu matka pomogła mi zrobić makijaż. Jedna z ciotek uszyła mi suknię. Nie mogłam powstrzymać łez, wyjmując ją z szafy. Trudno było uwierzyć, że dożyłam tego dnia. Wyjrzałam przez okno sypialni. Kwitły róże. Odmówiłam modlitwę za wszystkich moich przyjaciół, których kochałam i straciłam. Brakowało mi każdego z nich.

Układając sukienkę na krześle obok łóżka, pomyślałam o Alim i tamtym ślubie, o moim strachu. Dziś było inaczej - ten dzień należał do mnie.

Zastanawiałam się, czy Andre i ja będziemy mieć dzieci. Myśl o ciąży napawała mnie przerażeniem. Często myślałam o chwilach, które spędziłam we śnie z moim dzieckiem. O jego śmiejących się oczach, radosnym gaworzeniu, drobnej rączce, która ciągnęła mnie za włosy i wargach, którymi łapczywie chwycił pierś.

Andre wyszedł wcześniej rano, by kupić świeże owoce oraz napoje i zawieźć je do kościoła. Zaprosiliśmy naszych gości na mały poczęstunek po ceremonii ślubnej i mszy. Ustaliliśmy, że - aby nie przyciągać zbytnej uwagi - przyjdę do kościoła wcześniej i na miejscu przebiorę się w suknię ślubną.

Przy dźwiękach marsza weselnego ojciec poprowadził mnie do ołtarza w kościele pełnym ludzi. Czułam się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Ołtarz zdobiły wielkie kosze białych gladioli. Otaaczały nas uśmiechnięte twarze.

Zrobiliśmy sobie zdjęcia wewnątrz kościoła i na dziedzińcu. Jedząc tort, rozmawialiśmy z gośćmi, aż nadszedł czas, by udać

się do naszego domu: niewielkiego apartamentu, który Andre wynajmował od czasu, gdy zmarł jego ojciec, a ciotka wróciła na Węgry. Mieszkanie znajdowało się w wieżowcu usytuowanym na Wzgórzach Jordańskich na północ od Teheranu, w pobliżu autostrady. Roztaczał się stamtąd piękny widok na góry Elbrusu. Tuż przed wyjściem z kościoła założyłam na głowę szal, a muzułmańskim manteau okryłam ślubną suknię. Idąc w stronę granatowego fiata Andre, czuliśmy się szczęśliwi i wystraszeni, ale także pełni nadziei: podjęliśmy decyzję, by żyć własnym życiem.

Zaraz po ślubie Andre znalazł pracę w teherańskiej elektrowni, a kilka miesięcy później wynajęliśmy mieszkanie wspólnie z rodzicami, by ograniczyć wydatki. W piątym roku konfliktu iracko-irańskiego działania wojenne przybrały na sile. Od samego początku wojna omijała Teheran, dzięki jego usytuowaniu w dużej odległości od linii frontu. Nazwy ulic w sąsiedztwie zmieniały się na nowe, przybierając imiona młodych ludzi poległych na wojnie. Przed moim aresztowaniem proces ten był powolny i prawie niezauważalny. Teraz zorientowałam się, że wiele ulic stanowiło rodzaj pomników, poświęconych ofiarom wojny.

Na krótko przed naszym ślubem Teheran i kilka innych większych miast stało się celem ataków lotniczych. Pierwsza eksplozja zaskoczyła nas któregoś wczesnego ranka. Rakieta spadła na dzielnicę mieszkalną, w miejscu oddalonym o nie więcej niż cztery kilometry od domu Zeni. Ziemia zatrzęsa się i wielki huk wyrwał mnie ze snu. Choć w pierwszej chwili nie wiedziałam, co było jego przyczyną, to czułam, że stało się coś strasznego. Od tego dnia syreny ostrzegały o atakach kilka razy dziennie, a także w środku nocy i choć brakowało prawdziwych schronów, a rząd nie zwracał sobie głowy ich budowaniem,

ludzie próbowali kryć się w bezpiecznych miejscach z dala od okien. W następstwie wybuchów wiele osób zginęło od odłamków szkła z wybitych szyb.

Śmierć spowszedniała. Ci, którzy mogli przenieść się do mniejszych miasteczek i wsi, opuszczali Teheran, ale większość nie miała dokąd uciekać. Jednak podobnie jak rzeka, która zawsze znajdzie swe koryto, choćby ukryte wśród skał, życie szukało najprostszych dróg ku „normalności”, z uporem walcząc ze strachem. Rodzice chodzili do pracy i posyłali do szkoły swoje dzieci, choć ściskali je trochę dłużej przy pożegnaniu i z większością czułością mówili im „do widzenia”. W wyniku ataków zniszczonych zostało kilka szkół i setki dzieci straciły życie w momencie, gdy siedziały w ławkach lub bawiły się na szkolnych dziedzińcach. Na froncie Saddam Hussein sięgał po broń chemiczną, taką jak sarin czy gaz musztardowy, zabijając tysiące żołnierzy.

Gdy wraz z Andre jechałam przez miasto do kościoła czy w odwiedziny do przyjaciół, widziałam wielkie czarne leje w miejscach, gdzie jeszcze wczoraj stały domy. Czasami wśród ruin wiodły donikąd samotne schody lub pokryta wzorzystą tapetą ściana rzucała cień na pogrzebane ludzkie istnienia.

Mniej więcej dwa lata po moim zwolnieniu z Evin, pewnego środowego ranka zadzwonił telefon. Właśnie wychodziłam do sklepu spożywczego i trzymałam w ręce torebkę.

- Czy mogę mówić z Mariną? - odezwał się nieznajomy głos.

- Przy telefonie.

- Marina, dzwonię z Evin.

Świat się zatrzymał. Położyłam torebkę na podłodze i oparłam się o ścianę.

- Chcielibyśmy, żebyś przyszła do Evin w sobotę, by odpowiedzieć na kilka pytań. Bądź przy głównej bramie o dziewiątej rano. Nie spóźnij się.

- Jakie pytania?

- Zobaczysz. Pamiętaj, dziewiąta rano w sobotę.

Stałam jak skamieniała. Nie byłam w stanie odłożyć słuchawki. Moje życie po Evin to tylko sen. Pora obudzić się i wrócić do rzeczywistości. Przynajmniej nie pytali o Andre. Wreszcie odwiesiłam słuchawkę i poszłam do sypialni. Nikogo nie było w domu, więc miałam czas, by się pozbierać. Próbowałam przekonywać samą siebie, że wszystko będzie dobrze, że tylko mnie sprawdzają. Na próżno. Wykończona położyłam się na łóżku i zapadłam w sen. Obudziła mnie matka, wołając po imieniu i dotykając mojego ramienia.

- Dlaczego śpisz w szalu na głowie i *manteau*? — spytała.

Przez moment nie mogłam sobie przypomnieć. Potem jej powiedziałam.

- Co takiego? - miała taki wyraz twarzy, jakby rzeczywiście nie rozumiała, co do niej mówię.

Powtórzyłam moje słowa. Matka zrobiła się biała.

Najlepsze, co mogłam zrobić, to iść spać. Rozmyślanie o Evin w niczym by nie pomogło. Czasami, gdy budziłam się, by pójść do łazienki czy napić się wody, zastawałam Andre siedzącego obok mnie, z oczami utkwionymi w pustkę. Jego twarz była blada, a całe ciało sztywne i nieporuszone. Wiedział, że nic nie może zrobić i że musi mi pozwolić odejść. Dom, pogrążony w niczym nie zakłóconej ciszy, był jak brzuch wieloryba, który nas połknął.

W sobotę rano pożegnałam się krótko z Andre, nie patrząc mu w oczy. Nie chciałam go objąć, wiedząc, że nie będę miała siły puścić. Dokonaliśmy wyboru i musieliśmy się go trzymać.

W końcu zawsze wiedziałam, że to może się stać. Ojciec odwoził mnie pod bramę Evin - uznałam, że obecność Andre byłaby zbyt ryzykowna. Nie odzywał się. Powiedziałam mu, żeby natychmiast odjechał. Patrzyłam, jak jego samochód znika za rogiem. Zastanawiałam się, czy będą mnie torturować. Właściwie w jakim celu? Dla nich byłam muzułmanką, która przyjęła chrześcijaństwo i poślubiła mężczyznę katolika, więc zasługiwałam na śmierć. Nie chodziło im o informacje, ale o najwyższy wymiar kary. „Umrę z godnością” pomyślałam i dopiero wtedy przemknęła mi przez głowę myśl, że jest to możliwe, jeżeli pozostanę wierna moim przekonaniom. I nie miałam wątpliwości, że - niezależnie od tego, co jej zrobili - Taraneh też umarła z godnością.

Poprawiając czador, podeszłam do jednego ze strażników przy bramie i powiedziałam mu o telefonie. Spytał mnie o nazwisko i zniknął w budynku. Wrócił po kilku minutach i kazał mi iść za sobą. Ciężkie metalowe drzwi zamknęły się za mną. Weszliśmy do małego pokoju. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał jakiś numer.

- Jest tutaj - powiedział. Nic więcej.

To mógł być ostatni dzień mojego życia. Prawdopodobnie Hamehd jest w drodze, by mnie przywitać. Obiecałam sobie trzymać głowę podniesioną. Otworzyły się drzwi i wszedł Mohammad. Odetchnęłam.

- Marina, dobrze cię widzieć. Jak się miewasz? - spytał.

- Bardzo dobrze, dziękuję, a ty?

- Dzięki Bogu dobrze. Chodź ze mną.

Nie kazał mi zakładać na oczy przepaski. Wszędzie kwitły kwiaty, co w Evin wydawało się zupełnie nie na miejscu. Mohammad zaprowadził mnie do jakiegoś budynku, a potem do

pokoju, w którym stało biurko i pięć czy sześć krzeseł. Na ścianie wisiał portret Chomeiniego.

- Usiądź, proszę - zwrócił się do mnie Mohammad. - Powiedz, co robiłaś od momentu, gdy opuściłaś to miejsce.

- Nic takiego. Przez większość czasu uczyłam się i skończyłam szkołę.

- To wspaniale. Coś jeszcze?

- Raczej nie.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Znow wpadłaś w poważne tarapaty. Chyba wiesz, o czym mówię. Na twoje szczęście masz tu jeszcze kilkoro przyjaciół. Hamehd miał plany wobec ciebie, ale udało nam się go powstrzymać.

- O czym mówisz?

- Dowiedział się, że ponownie wyszłaś za mąż i próbował doprowadzić do skazania cię na śmierć przez Sąd Rewolucji Islamskiej. Wiedziałaś, że może to tego dojść?

- Tak.

- I mimo wszystko to zrobiłaś?

- Tak.

- Według ciebie to odwaga czy głupota?

- Ani jedno, ani drugie. Zrobiłam to, co uważałam za słuszne.

- Cóż, tym razem miałaś szczęście. Twardogłowi pokroju Hamehda tracą pozycję w Evin. Myślę, że w wyniku zabójstwa Alego ludzie zdali sobie sprawę, że tacy jak on posuwają się za daleko. Ali prosił mnie, bym nad tobą czuwał, w razie gdyby jemu coś się przytrafiło i choć nie popieram tego, co zrobiłaś, dotrzymałem słowa. Ale to był ostatni raz. Poprosiłem cię tutaj, żeby cię ostrzec: następnym razem pomyśl, zanim zrobisz coś podobnego.

- Jestem wdzięczna.

- Państwo Moosavi pytali o ciebie. Powiedziałem im, że będziesz tu dzisiaj. Przyszli, żeby się z tobą zobaczyć.

Otworzyły się drzwi. Ucieszyłam się, że ich widzę. Mały Ali był uroczym brzdącem. Patrzył na mnie podejrzliwie. Akram uściskała mnie. Usiedliśmy.

- Jestem szczęśliwy, że cię widzę, Marina. Wszystko u ciebie w porządku? - spytał pan Moosavi.

- Tak, dziękuję.

- Słyszę, że ponownie wyszłaś za męża. Jesteś szczęśliwa?

- Tak, proszę pana.

- Jesteś bardzo uparta. Gdybyśmy nad tobą nie czuwali, mogłabyś narobić sobie niezłych kłopotów.

- Wiem i dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił.

- Nie ruszyłem twoich pieniędzy. Weź je, jeśli chcesz, należą do ciebie.

- Nie, dziękuję. Nie ma takiej potrzeby.

- To twoja ciocia Marina, Ali. Idź i ucałuj ją - powiedziała Akram do synka. Powoli podszedł do mnie.

- Chodź, Ali - powiedziałam. - Jesteś już takim dużym chłopcem!

Podszedł posłusznie, pocałował mnie w policzek i biegiem wrócił do matki.

Pani Moosavi płakała. Objęłam ją. Gdyby Ali nie zginął, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. To oni byliby teraz moją rodziną, jak przez tamte piętnaście miesięcy. Nigdy nie życzyłam źle Alemu. Czułam się winna za to, że go nie kochałam, ale i za to, że nie mogłam go nienawidzić. Jednak to była przeszłość, na którą nic nie mogłam poradzić. Moje uczucia względem Alego na zawsze miały pozostać mieszkanką gniewu, frustracji, strachu i niepewności.

Opuściwszy Evin, ruszyłam w stronę głównej ulicy i zamachałam na taksówkę. Przeżyłam. Jakby śmierć próbowała mnie odepchnąć, chronić i nie rozumiałam, dlaczego. Świat przesuwał mi się przed oczami. Dlaczego właśnie ja przeżyłam, a tylu innych nie? Sara nadal przebywała w więzieniu. Należało spytać o nią pana Moosavi, ale podczas naszego spotkania nie byłam w stanie normalnie myśleć.

Otworzyłam drzwi na podwórko i natychmiast znalazłam się w ramionach Andre. Ścisnął mnie mocno, dygocąc.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu! Wszystko w porządku? Nie mogę uwierzyć, że pozwolili ci odejść! Co się stało?

Powiedziałam mu, że to była rutynowa kontrola, jaką przechodzą wszyscy byli więźniowie Evin.

- Pytali cię, czy wyszłaś za męża?

- Nie - skłamałam. Nie chciałam go niepokoić. Nie chciałam też niczego wyjaśniać. - Albo nie wiedzą, albo wiedzą, ale nie ma to dla nich większego znaczenia.

- Czy to oznacza, że nie będą nas więcej niepokoić?

- Nie wiem, ale przynajmniej przez jakiś czas powinniśmy mieć spokój. Jednak nie zapominaj, że oni są nieprzewidywalni. Nie wiadomo, co zrobią jutro.

Wiedziałam, że gdyby Hamehd i jemu podobni zdobyli większe wpływy w Evin, moja sytuacja zmieniłaby się diametralnie.

Wojna przerażała mnie, nie tylko z powodu ataków rakietowych, ale głównie dlatego, że za kilka miesięcy Andre miał rozpocząć swoją obowiązkową służbę wojskową. Wtedy właśnie usłyszeliśmy o specjalnym programie rządowym, który zezwalała absolwentom wyższych uczelni na podjęcie trzyletniej pracy w roli wykładowców na uniwersytetach zlokalizowanych w od-

ległych miastach. Zwalniała ona z obowiązku służby wojskowej. Była to nasza jedyna nadzieja na to, by trzymać Andre z daleka od frontu. Ponieważ właśnie uzyskał stosowny tytuł naukowy, został włączony do programu.

Musieliśmy przeprowadzić się do miasta Zahedan w południowo-wschodnim Iranie, blisko granicy z Pakistanem i Afganistanem. Andre został wykładowcą na Uniwersytecie Sistan i Baluchestan. Na mniej więcej miesiąc przed podjęciem pracy musiał pojechać na kilka dni do Zahedan, by dopełnić wszystkich formalności. Postanowiłam mu towarzyszyć, ponieważ nie znałam tamtej części kraju, a poza tym byłam ciekawa, jak będzie wyglądał nasz przyszły dom.

Lot z Teheranu na miejsce trwał około półtorej godziny. Gdy samolot podchodził do lądowania, wyjrzałam przez małe okienko. To, co zobaczyłam, wyglądało, jakby ziemia udała się na spoczynek: pokrywała ją welon piasku. Zauważyłam w oddali niewielką plamę bladej zieleni, która robiła się coraz większa pośród spokoju nieskończonej pustyni. Prosto z piachu wyrastały ceglane i gliniane budynki, tłocząc się wokół dających trochę cienia nielicznych drzew.

Po wyjściu z samolotu wzięliśmy taksówkę, by obejrzeć miasto. Światło słoneczne, niezmacone oparami wilgoci i spaliniami, było tak intensywne, że aż obce i wrogie. Droga, łącząca lotnisko z miastem była w zadziwiająco dobrym stanie i przecinała płaskowyż jak stara blizna. Wąskie uliczki w centrum Zahedan obfitowały w małe sklepiki, między którymi uwijała się miejscowa ludność, ubrana w tradycyjne stroje: mężczyźni w luźnych spodniach i długich koszulach, kobiety w długich do kostek, ręcznie haftowanych sukniach i obszernych szalach. Nigdy przedtem nie widziałam z bliska wielbłąda. Tutaj, przy samej drodze, zobaczyłam jednego: wolno i cierpliwie coś prze-

zuwał, obserwując uliczny ruch z wyrazem znudzenia w wielkich oczach, które zdawały się widzieć już wszystko. W nowszej, bardziej dostatniej części miasta duże domy zbudowane były z wysokiej jakości cegieł, ale w miarę jak przemieszczaliśmy się na północ, budynki robiły się coraz mniejsze i w większości gliniane. Tuż za miastem zauważyliśmy wysokie, skaliste wzgórza, które wyglądały jak podziurawione - kierowca taksówki wyjaśnił nam, że ludzie wykuli w skałach jaskinie, by mieć gdzie zamieszkać. Zobaczyłam grupkę bosych chłopców, którzy śmiejąc się, w pełnym słońcu biegali za podartą plastikową piłką. Kierowca spytał o cel naszej wizyty i Andre wyjaśnił mu, że będzie uczyć na tutejszym uniwersytecie.

- To szach zbudował tu uniwersytet - powiedział mężczyzna. To było bardzo mądre posunięcie. Teraz wykształceni ludzie przyjeżdżają z Teheranu uczyć dzieci - zarówno nasze jak i te, które przybywają z różnych odległych miejsc kraju.

W marcu 1987 roku spakowaliśmy nasz dobytek do samochodu i wyruszyliśmy w drogę do Zahedan. Mieliśmy do pokonania dwa tysiące kilometrów. Po kilku godzinach nasze małe żółte renault 5 wydawało się samo na całym ogromnym świecie. Przez otwarte okna wpadał gorący wiatr i smagał mnie po twarzy. Żółty ocean piasku falował przed naszymi oczami, a dalej, na horyzoncie, ziemia wydawała się zatapiać w rozedrganym, srebrzystym morzu. Jechaliśmy godzinami przez niezmienny krajobraz drogą, która w żadnym momencie nie zakręcała. Czasami, gdy zatrzymywaliśmy się, by rozprostować nogi, zauważałam, jak cicha jest pustynia, pozbawiona monotonnego warkotu samochodów. Nad morzem słysząc szum fal, a w lesie - nawet jeśli jego mieszkańcy zamilkną - zawsze można usłyszeć szelest liści. Tutaj cisza była absolutna. O zachodzie słońce barwiło og-

nistą czerwienią krańce ziemi i z wolna, po cichu nadchodziła noc, chłodząc gorący wiatr. Wydawało mi się, że mogę dotknąć skrzących się gwiazd, wypełniających nocne niebo pulsującym światłem. Dźwięki nie odbijały się od niczego, nie było echa, a cały obszar wydawał się znajdować poza granicami czasu.

Do uniwersytetu w Zahedan należał kampus z domkami przeznaczonymi dla pracowników naukowych i wykładowców. Domki nie były luksusowe, ale porządne, wygodne i czyste. Mieliliśmy tu wszystko, czego potrzebowaliśmy do życia. Jedyne woda z kranu, bardzo zmineralizowana, nie nadawała się do picia, więc dwa, trzy razy w tygodniu jeździliśmy do punktu uzdatniania wody, odległego o jakieś dziesięć minut drogi, i tam napełnialiśmy wielkie kanistry.

Andre był bardzo zajęty. Jeśli akurat nie miał wykładów, to w domu przygotowywał się do zajęć i poprawiał prace. Samotność i cisza pustyni pomagały mi oderwać się od przeszłości. Całe dnie schodziły mi na wykonywaniu rutynowych czynności, jak sprzątanie czy gotowanie, a gdy już wszystko zrobiłam, zaczynałam od początku. Rzadko słuchałam radia czy włączałam telewizor. Mało też czytałam. Nie pozostały mi co prawda żadne książki, ale, co dziwne, nie tęskniłam za nimi. Czułam się wykończona jak maratończyk po wielogodzinnym biegu, który doczołgał się do linii mety i na koniec padł bez tchu. Mój umysł pracował tylko w takim stopniu, w jakim było to konieczne. Przypominał mi o codziennych obowiązkach: pranie było zawsze zrobione, podłogi - idealnie czyste, a posiłki - na stole o właściwej porze.

Andre znalazł na uniwersytecie wspaniałych kolegów. Czasami spotykaliśmy się z nimi oraz ich rodzinami i zawsze okazywali nam wiele serdeczności. Nic nie wiedzieli o mojej przeszłości,

więc bez obaw mogłam z nimi gawędzić o nowych przepisach czy pomysłach na urządzenie domu.

Wojna omijała Zahedan z powodu znacznej odległości od granicy irańsko-irackiej, ale ataki na Teheran i kilka innych miast nie ustawały. Prawie codziennie dzwoniłam do matki, by upewnić się, czy u nich wszystko w porządku. Choć dobrze było przesypiać w spokoju całą noc, nie troszcząc się o to, że w każdej chwili przypadkowa eksplozja mogła rozerwać cię na kawałki, to czułam się jak zdrajca. Błagałam rodziców, by przyjechali do Zahedan i zostali z nami przez jakiś czas, ale ojciec odmawiał, tłumacząc się obowiązkami w pracy. Prosiłam go, by pozwolił przyjechać przynajmniej matce, ale twierdził, że nie ma powodu do niepokoju: Teheran to duże miasto, a szanse na to, że akurat w nasz dom trafi rakieta, są niewielkie. Któregoś ranka zadzwoniła matka.

- *Maman*, wszystko w porządku?

- Tak. Przyjechałam na kilka dni do Marie. Tu jest bezpieczniej.

Marie mieszkała w wieżowcu niedaleko mieszkania rodziców w Teheranie. To wydawało się bez sensu.

- *Maman*, o czym ty mówisz? Bezpieczniej to jest tutaj, w Zahedan, a nie w Teheranie, niezależnie od tego, gdzie się przeniesiesz.

- Zaufaj mi. Tutaj jest lepiej.

- *Maman*, powiedz mi o co chodzi albo wsiądę w najbliższy samolot i przylecę, by sprawdzić to sama.

- Rakieta trafiła wczoraj w naszą ulicę.

Rodzice mieszkali na małym podwórku. Jeśli rakieta uderzyła w ulicę, gdy matka była w domu, nie rozumiałam, jak mogła nie ucierpieć.

- Gdzie dokładnie?

- Pierwszy dom na rogu.

Cztery domy dalej i nic jej się nie stało?

- Tego domu już nie ma, została tylko wielka czarna dziura, jakby nigdy nie istniał. Nie znałam ich dobrze. To byli spokojni ludzie, w naszym wieku. Mężczyzna był w pracy. Zginęła jego żona i wnuk, podobnie jak dwoje ludzi jadących akurat samochodem. Kilku sąsiadów zostało rannych, ale nie poważnie. Dom był prawie pusty; mieszkańcy poszli albo do pracy, albo po zakupy.

Próbowałam wyobrazić to sobie, ale nie mogłam.

- Ten człowiek wrócił do domu, a jego rodziny już nie było - ciągnęła matka. - Tylko dziura. Kilka minut wcześniej wyła syrena. Rozmawiałam w kuchni przez telefon z twoją ciotką Negar. Powiedziała: „To syrena. Odwieś słuchawkę i schowaj się gdzieś”. Wcisnęłam się pomiędzy lodówkę a kredens. Po chwili usłyszałam wybuch. Głośne „bum!”. Wydawało mi się, że sama eksplodowałam. A potem zrobiło się zupełnie cicho, jakbym straciła słuch. Wyszłam z ukrycia. Wszędzie było pełno szkła. Część zamieniła się w skrzypiący pył. Większe kawałki wbiły się w ściany jak strzały. Dom był cały, ale zrujnowany. Na dziedzińcu znalazłam kawałek drzwi z twojej szafy.

Wojna zakończyła się w sierpniu 1988 roku. Byłam w czwartym miesiącu ciąży. Rząd Iranu przyjął rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ. Ogłoszono zawieszenie broni pomiędzy Iranem a Irakiem. Nie było zwycięzcy. Liczba zabitych przekraczała milion.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych organizacja Mojahe-din-e Khalgh zgromadziła około siedmiu tysięcy swoich członków, którzy walcząc u boku Saddama, mieli osłabić irański rząd. Nie mogłam zrozumieć, jak mudżahedini mogli stać po tej samej

stronie co Saddam, który zamordował tylu Irańczyków. Wkrótce po przerwaniu działań wojennych mudżahedini, którzy mieli swoje bazy w Iraku, zaatakowali prowincję Kermanshah w zachodnim Iranie, wierząc, że będą w stanie zyskać poparcie dla swoich planów obalenia rządu islamskiego. Jednak gwardia rewolucyjna łątwo sobie z nimi poradziła. Wielu zostało zabitych, a ci, którzy przeżyli, wycofali się do Iraku. W następstwie tych wydarzeń setki więźniów Evin, oskarżonych o sprzyjanie mudżahedinom, zostało straconych.

Miałam straszne mdłości przez pierwsze trzy miesiące ciąży i często wymiotowałam, ale od czwartego miesiąca było lepiej. Dziecko rosło. Wkrótce zaczęłam odczuwać jego ruchy, co wywoływało we mnie płacz, gdyż zdałam sobie sprawę z tego, że kocham je bardziej, niż to uważałam kiedyś za możliwe. Chciałam dać Andre zdrowe dziecko.

Matka zaoferowała swoją pomoc przez kilka pierwszych dni po urodzeniu. Łóżeczko było gotowe, a małe ubranka leżały idealnie złożone w szafie.

Pod koniec ósmego miesiąca poszłam do szpitala na USG. Zahedan było niewielkim miastem i tak się złożyło, że mój ginekolog zjawił się w momencie, gdy robiono mi badanie. Głowa dziecka była zbyt duża. Zdaniem lekarza, przyczyną mogło być wodogłowie - poważne schorzenie polegające na tym, że woda zbiera się w czaszce płodu. Jednak radiolog wykonujący badanie stwierdził, że rozmiar główki nie jest wystarczająco duży, by rozpoznać hydrocefalię. Powinny jej towarzyszyć inne objawy, których nie było. Leżałam na łóżku, słuchając dwóch lekarzy, spierających się o moje dziecko.

- Powinniśmy po prostu wywiercić mu dziurę w głowie, cesarka nie ma sensu - zaproponował ginekolog.

Mieliśmy z Andre dość. Byłam przerażona i zła. Nie miałam zamiaru stracić kolejnego dziecka. Chciałam polecieć do Teheranu, by zasięgnąć opinii innego lekarza, ale moja ciąża była zbyt zaawansowana i linie lotnicze nie zgodziłyby się na przelot. Jazda samochodem nie wchodziła w grę. Co by było, gdyby moje dziecko postanowiło przyjść na świat w samym środku pustyni?

Jeden z kolegów Andre miał znajomego w biurze linii lotniczych, który używając swych wpływów, załatwił nam bilety. Wkrótce byliśmy w drodze do Teheranu, gdzie jedna z moich kuzynek umówiła mnie ze swoim ginekologiem.

Prosto z lotniska pojechaliśmy do szpitala. Lekarz zlecił kolejne badanie USG. Powiedziano mi po nim, że dziecko jest zdrowe, choć faktycznie ma dużą głowę. Poród naturalny był niewskazany, więc ustaliliśmy datę cesarskiego cięcia na 31 grudnia 1988 roku. Nie czułam się w pełni uspokojona. A jeśli coś pójdzie nie tak? Rozpaczliwie potrzebowałam zatrzymać to dziecko na tym świecie. Chciałam karmić je i słyszeć, jak płacze. Musiałam mieć pewność, że ta nowa istota, bezpieczna w moim wnętrzu, urodzi się i będzie żyć.

Nasz syn Michael przyszedł na świat 31 grudnia 1988 roku. Gdy otworzyłam oczy po operacji, byłam bardzo obolała, miałam mdłości, a w ustach czułam suchość i gorzki smak. Andre powiedział mi, że dziecko jest zdrowe. Gdy wzięłam na ręce mojego syna, pomyślałam o Sheidzie i jej smutku po tym, gdy odešlała swoje dziecko do rodziców. Teraz rozumiałam, jak strasznie musiała się czuć.

Ajatollah Chomeini zmarł 3 lipca 1989 roku. Cierpiał na raka i właśnie przeszedł operację. Ludzie wiedzieli, że rychła śmierć jest nieunikniona. Siedziałam na swoim łóżku w Zahe-

dan, karmiąc piersią Michaela, który miał niecałe pięć miesięcy, gdy usłyszałam przez radio tę wiadomość. Spiker płakał. Przez głowę przemknęły mi moje dwa lata w Evin. Rewolucja miała być końcem Evin, ale tak nie stało. Zamiast tego nasiliła więzienne represje i uczyniła je bardziej krwawymi niż kiedykolwiek wcześniej. To Chomeini ponosił odpowiedzialność za wszystkie okrucieństwa, do jakich dochodziło za murami więzienia. Był odpowiedzialny za śmierć Gity, Taraneh, Sirusa, Layli i tysięcy innych. Jednak nie czułam radości, słysząc o jego śmierci. W pewnym sensie budził moją litość. Jaki jest sens w osądzeniu martwego człowieka? Byłam pewna, że - podobnie jak Ali - nie był samym złem. Podobno lubił poezję i sam pisał wiersze. Zmienił świat, ale nikt nie był w stanie zrozumieć do jakiego stopnia, dopóki historycy z perspektywy lat nie podsumowali i nie przeanalizowali jego działań oraz ich konsekwencji. Modliłam się za dusze tych wszystkich, którzy zginęli po rewolucji, o to, by znaleźli spokój. Prosiłam, by ich rodziny miały siłę i odwagę żyć dalej i czynić Iran lepszym miejscem na ziemi.

Michael zasnął. Był pięknym dzieckiem. Nie miał pojęcia o tym, że człowiek o nazwisku Chomeini zmienił życie jego rodziców. Zastanawiałam się, jaki wpływ będzie miała śmierć Chomeiniego na nas i na cały kraj. Wielu uważało, że rząd islamski nie przetrwa po jego odejściu i że starcie rozmaitych frakcji wewnątrz rządu doprowadzi do rozpadu republiki islamskiej.

W dniu pogrzebu Chomeiniego pod lejącym się z nieba żarem prawie dziewięć milionów ludzi ubranych na czarno niczym rzeka wylało się na ulice Teheranu, po czym skupiło się w jednym korycie, jakim była droga prowadząca na cmentarz Behesht-eh Zahra. Oglądaliśmy relację na żywo w telewizji. Nigdy jeszcze nie widziałam takiej masy ludzi - nikt nie widział. Żałobnicy płakali, zawodzili i bili się w piersi na sposób szyicki, opłakując

swojego męczennika. Jedyne, o czym myślałam, to młode ludzkie istnienie, jakie pochłonęła rewolucja i Evin. Ale dla obecnych na pogrzebie ludzi nie miało to znaczenia. Chomeini był ich Imamem, przywódcą, bohaterem, człowiekiem, który w sposób niezachwiany i bezkompromisowy stawiał czoła Zachodowi. „Za co tak go kochają?” zastanawiałam się. Czy nienawiść wobec zachodniego świata była tak głęboka, że godzili się, by więziono i mordowano ich niewinne dzieci? A może ich stosunek do Chomeiniego nie miał nic wspólnego z miłością, lecz raczej z nabożnym, ale przepełnionym strachem podziwem dla człowieka, który - urodzony w ubogiej rodzinie - stał się symbolem oporu wobec bezwzględnego i pełnego pogardy świata.

Tłum otaczał ciężarówkę, która wiozła drewnianą trumnę Chomeiniego. Każdy z obecnych chciał wziąć kawałek jego całunu, zobaczyć po raz ostatni twarz Imama. Wydawało się, że ciężarówka pograża się w czarnej masie. Siły bezpieczeństwa próbowały odepchnąć załobników, polewając ich wodą ze strażackich węży, ale na nic się to nie zdało. W chmurze wilgoci, kurzu i gorąca ryk helikoptera zagłuszył krzyki i zawodzenia - maszyna wylądowała tuż przed ciężarówką. Trumna Chomeiniego miała być zdjęta z samochodu i przeniesiona na pokład śmigłowca. Jednak tłum uczeplił się trumny, która nie wytrzymała obciążenia i w końcu rozpadła się. Setki rąk wyciągnęły się, by chwycić kawałek białego całunu. Można było zobaczyć nogi zmarłego. Ostatecznie ciało zostało umieszczone w helikopterze, który musiał gwałtownie wznieść się, by uwolnić się od ludzi zwisających u jego płóz.

Kilka godzin później podjęto kolejną, bardziej zorganizowaną próbę pochowania Chomeiniego. Ta zakończyła się sukcesem. Kilka wojskowych śmigłowców otoczyło miejsce pochówku. W jednym z nich przywieziono metalową trumnę. Wyjęto

z niej ciało Imama - zgodnie z szyicką tradycją ciało może spocząć w ziemi owinięte jedynie całunem - i ostatecznie złożono je pośród szczątków tysięcy innych męczenników.

Mijały miesiące, a reżim islamski pozostawał u władzy. Miejsce zmarłego Chomeiniego zajął ajatollah Ali-eh Khamenei - najważniejszy przywódca kraju. Wcześniej przez dwie kadencje pełnił funkcję prezydenta. Rządy terroru nasilały się. Mniejsza liczba aresztowań spowodowana była nie większymi swobodami, ale strachem: każdy znał cenę krytykowania reżimu. Ci, którzy odważyli się protestować, byli natychmiast uciszani. Kobiety przechodziły „lepsze” i „gorsze” okresy. Co kilka miesięcy gwardia rewolucyjna zaciskała swą obręcz, ostro reagując na makijaż czy nieprawidłowo noszone hidżaby. Potem przez kilka tygodni przymykano oko na pomalowane usta czy wystające spod szala kosmyki włosów.

Choć wiedzieliśmy z Andre, że Iran nigdy nie będzie dla nas bezpiecznym miejscem do życia, nie mogliśmy opuścić kraju. Gdy wychodziłam z Evin, powiedziano mi, że przez trzy lata mam zakaz wyjazdu poza granice Iranu. Jednak nawet po upływie tych lat zakaz nie był automatycznie uchylany. Przede wszystkim musiałam postarać się o paszport. Biuro paszportowe miało zaopatrzyć mnie w stosowne pismo do władz Evin, w którym zwracało się o opinię na temat mojego ewentualnego wyjazdu. Andre nie mógł opuszczać kraju do chwili ukończenia swojego trzyletniego kontraktu w Zahedan. Moja sytuacja okazała się - o czym z początku nie wiedziałam - dużo bardziej skomplikowana.

Złożyłam podanie o paszport i oczywiście dostałam odmowę. Zabrałam wspomniane pismo do Evin. Tam usłyszałam, że

będę mogła wyjechać z kraju pod warunkiem wpłacenia kwoty 500 tysięcy tomanów - około trzech i pół tysiąca dolarów - jako depozytu, gwarantującego mój powrót. Jeśli wróciłabym przed upływem roku, pieniądze miały być zwrócone. W przeciwnym razie trafiały na konto rządowe. W tym czasie pensja Andre wynosiła około siedmiu tysięcy tomanów miesięcznie, co odpowiadało mniej więcej sześćdziesięciu dolarom amerykańskim. Nie mieliśmy więc potrzebnych pieniędzy.

Poprosiłam ojca o pożyczkę. By pomóc rodzicom, po naszej przeprowadzce do Zahedan pokryliśmy połowę kosztów związanych z wynajęciem mieszkania. Ojciec sprzedał daczę, więc miał na koncie sumę, jakiej potrzebowałam.

- Tato, proszę tylko o pożyczkę — powiedziałam mu. — Nigdy wcześniej nie prosiłam cię o pieniądze. Gdy tylko przyjmie nas jakiś wolny kraj i znajdziemy pracę, stopniowo wszystko ci zwrócę.

- Myślisz, że tam będzie łatwiej? - spytał. - Życie bywa trudne. Skąd wiesz, że ci się uda?

- Wiem, ponieważ przywykliśmy do ciężkiej pracy i ponieważ Bóg jest wielki. Pomoże nam.

Ojciec roześmiał się.

- Pozwól, że ci opowiem pewną historię. Dwóch rybaków wypłynęło na morze małą łódką. Gdy oddalali się od brzegu, woda była spokojna, ale gdy byli już daleko, zmieniła się pogoda. Wkrótce znaleźli się w samym środku burzy. „Co teraz zrobimy?” - pytał jeden drugiego, gdy ich łódka miotana była przez fale. „Musimy modlić się do Boga, który jest wielki i potężny i może wybawić nas z tej opresji” - odpowiedział pytany rybak. „Bóg może jest wielki, drogi przyjacielu, ale ta łódka, z pewnością bardzo mała” - powiedział jego towarzysz, po czym obaj utonęli w morzu.

Nie wierzyłam własnym uszom. Choć ojciec nie znał całej prawdy o moim pobycie w Evin, to wiedział, że były więzień polityczny nie ma przyszłości w Iranie. Miałam żyć w ciągłym strachu, a z powodu mojej przeszłości nie pozwalano mi studiować. Potrzebowałam jego pomocy. Był w stanie mi jej udzielić, ale nie chciał.

- Bardziej zależy ci na pieniądzach niż na mnie! Powiedziałam ci przecież, że oddam. Nie prosiłabym, gdybym nie była zdesperowana.

- Nie - zakończył sprawę.

W końcu musiałam stawić czoła prawdzie o własnym ojcu: niczego dla mnie nie poświęci. Nie wiedziałam, dlaczego był właśnie taki. Przez całe życie czułam dzielący nas dystans, ale ignorowałam go, wierząc, że ojciec po prostu nie należy do osób, które chętnie okazują uczucia. Nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek okazywał miłość, czy przywiązanie do kogokolwiek, nie wyłączając matki czy brata. Przez lata mimowolnie obserwowałam ojców, którzy kochali swoje córki i otwarcie obdarzali je uczuciem; którzy byli gotowi do największych wyrzeczeń dla swoich dzieci. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mój ojciec jest inny. Chciałam wierzyć, że jest miły, wielkoduszny i kochający.

Pomyślałam o panu Moosavi. Wiedziałam, że wystarczy podnieść słuchawkę i zadzwonić, a na pewno dostałabym pieniądze, które zostawił mi Ali. Nie chciałam jednak tego zrobić - ten rozdział mojego życia miał być na zawsze zamknięty. Pragnęłam, by moja własna rodzina traktowała mnie tak, jak rodzina Alego. To były jednak marzenia, które nie miały się spełnić.

Przez ostatnie lata swojego życia ojciec Andre pracował w fabryce mebli. Z pomocą jej właściciela, wraz z kilkoma innymi pracownikami zainwestował w kawałek ziemi, gdzie miał stanąć

niewielki apartamentowiec. Ojciec Andre nie doczekał realizacji tego projektu, ale Andre nadal go finansował. Pewnego dnia otrzymaliśmy telefon od kobiety pracującej w fabryce. Poinformowała nas, że inwestycja ruszyła. Powiedzieliśmy jej, że planujemy wjazd z kraju, ale borykamy się z problemami finansowymi. Zaproponowała nam odkupienie naszego udziału za 500 tysięcy tomanów więcej niż do tej pory zainwestowaliśmy. Tego właśnie potrzebowaliśmy.

Andre dostał paszport, gdy tylko skończył swój trzyletni kontrakt w Zahedan. Ja udałam się do Evin, złożyłam żądany depozyt i także dostałam paszport. Ponieważ słyszeliśmy o działającej w Madrycie katolickiej organizacji, która wspierała uchodźców, postanowiliśmy pojechać do Hiszpanii. Kupiliśmy bilety, a uzyskane ze sprzedaży całego naszego dobytku pieniądze - nie było ich zbyt dużo - zamieniliśmy na amerykańskie dolary. Ciągłe jednak nie było pewności, czy dostaniemy pozwolenie na wjazd. Na lotnisku gwardia rewolucyjna zatrzymywała wiele osób legitymujących się ważnymi paszportami. Nie mogliśmy się czuć wolni, póki nasz samolot nie opuścił przestrzeni powietrznej Iranu.

Nasz lot przewidziany był na wczesny piątkowy ranek 26 października 1990 roku. Rodzice mieli nas odwiedzić na lotnisko około północy dzień wcześniej. Michael, wówczas prawie dwuletni, marudził i popłakiwał, kiedy go ubierałam, ale zasnął w moich ramionach, gdy tylko ruszyliśmy. Miasto było wyludnione. Patrzyłam na uciekające za oknami znajome ulice. Najpierw, w dzielnicy Davoodieh, gdzie mieszkaliśmy po powrocie z Zahedan, potem szerokie aleje ze sklepami. Niemal każda ulica i każdy róg wiązały się z jakimś wspomnieniem.

Iran uczynił mnie tym, kim byłam. Miałam zostawić za sobą kawałek mojego serca, mojej duszy. W tej ziemi spoczywali ci,

których kochałam - i musiałam ich opuścić. Nie było tu jednak dla nas przyszłości, jedynie przeszłość. Chciałam, by moi dziadkowie poznali kiedyś mój dom: drogę, którą chodziłam do szkoły, park, w którym się bawiłam, i kościół, od którego otrzymałam dar wiary i pokoju. Chciałam pokazać im Morze Kaspijskie, most łączący dwie części portu i pola ryżowe na łagodnych zboczach wysokich gór. Chciałam, by poznali pustynię, jej mądrość i pustkę. Wiedziałam jednak, że nie będzie im to dane. Dla nas nie było powrotu.

Gdy minęliśmy plac Azadi z jego wysokim pomnikiem - symbolem Teheranu, postawionym tam w czasach szacha i stanowiącym rodzaj wrót do miasta - wiedziałam, że to definitiveczne pożegnanie. Po raz ostatni spojrzałam w stronę Elbrusu, ledwie widocznego na tle nocnego nieba.

Zaparkowaliśmy samochód na lotnisku i ruszyliśmy w stronę terminalu w zupełnej ciszy. Byliśmy dużo przed czasem, wiedząc o długich kolejkach do odprawy. Członkowie gwardii rewolucyjnej otwierali każdy bagaż i bardzo dokładnie go przeszukiwali. Zgodnie z obowiązującymi przepisami nie wolno było wywozić antyków, większej ilości biżuterii i gotówki. Poszło gładko. Pomachałam rodzicom na pożegnanie. Wszyscy płakaliśmy.

Samolot linii Swissair wzbił się w zimne, ciemne niebo wczesnego poranka. Wkrótce potem przekroczył granicę Iranu. Większość kobiet zdjęła hidżaby i zajęła się makijażem. Ukołysana jednostajnym mruczeniem silników zamknęłam oczy, zastanawiając się, czy w niebie mają „Zgubione, znalezione”. Musiałam zostawić mnóstwo rzeczy. Jedną z nich była srebrne puzderko, w którym babcia - kobieta praktyczna - miała zwyczaj przechowywać cukier. Był to prezent od jej męża. Zdawało mi się, że za każdym razem, słodząc herbatę, wspominała wszystko to, co razem przeżyli. Zostawiłam też flet Arasha i naszyjnik, które-

go nie zdążył mi ofiarować; i mój pierwszy pierścionek ślubny. Może nie wszystko było stracone. Może pewnego dnia odnajdę wszystkie te rzeczy pod moją pokrytą mchem skałą modlitwy, w dziwnym lesie, zamieszkanym przez anioły.

EPILOG

28 sierpnia 1991 roku, po ośmiu dniach spędzonych w Madrycie, a potem dziesięciu miesiącach w Budapeszcie, gdzie czekaliśmy na dopełnienie formalności, kolejny samolot Swissair zabrał nas na lotnisko w Zurychu. Stamtąd mieliśmy się udać do Toronto. Nauczyłam Michaela trochę angielskiego, opowiadając mu o pięknym kraju Kanadzie, gdzie zimą jest dużo śniegu, z którego lepi się wielkie bałwany, a latem, gdy jest ciepło i zielono, można kąpać się w błękitnych jeziorach. Przed nami w kolejce do odprawy stało kilku kanadyjskich studentów. Zazdrościłam im i zastanawiałam się, jak to jest być Kanadyjczykiem.

- Nie mogę doczekać się powrotu do Toronto — powiedział jeden z nich.

- Ja też - odpowiedział inny. - Było miło, ale nie ma to jak w domu.

W tym momencie, patrząc na tych roześmianych, beztroskich nastolatków, wiedziałam, że będzie nam dobrze w Kanadzie. To miał być nasz nowy dom, gdzie będziemy wolni i bezpieczni, gdzie będziemy patrzeć, jak dorastają nasze dzieci. Nasze miejsce na ziemi.

ODAUTORA

Zahra Kazemi zmarła 11 lipca 2003 roku w Evin.

23 czerwca tego roku kanadyjska fotoreporterka o irańskich korzeniach Zahra Kazemi, robiąc zdjęcia w trakcie manifestacji studentów pod więzieniem Evin, została aresztowana. Wkrótce poinformowano, że pozostaje w śpiączce.

W kilka dni po jej śmierci prezydent Iranu Mohammad-eh Khatami zarządził wewnętrzne dochodzenie w tej sprawie. Syn Kazemi oraz przedstawiciele kanadyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych zażądali wydania jej ciała. Choć Iran przyznał, że kobieta zmarła w wyniku pobicia, to pochowano ją na miejscu, bez możliwości zbadania jej ciała przez niezależnych lekarzy. Władze irańskie aresztowały kilku agentów bezpieczeństwa, rzekomo odpowiedzialnych za śmierć Zahry, ale wkrótce ich zwolniono.

Ostatecznie winą obarczono śledczego wywiadu, Moham-mada Reza Aghdam Ahmadi, który stanął przed sądem, ale został uniewinniony. Zdaniem prawników rodziny Kazemi, w tym laureatki Pokojowej Nagrody Nobla, Shirin Ebadi, Aghdam Ahmadi był jedynie kozłem ofiarnym.

31 marca 2005 roku doktor Shahram Azam, lekarz pogotowia w teherańskim szpitalu Baghiattulah, ujawnił wstrząsające szczegóły tej sprawy, przekazane rok wcześniej przedstawicielowi ministerstwa spraw zagranicznych Kanady w Szwecji. Zahra

została brutalnie zgwałcona, pobita i podrapana, miała złamane dwa palce, nos, złamane i wyrwane paznokcie, pęknięcie czaszki, zmiażdżony lewy palec u nogi, zmasakrowane stopy.

Nie znałam Zahry Kazemi. W połowie lipca 2003 roku któregoś poranka otworzyłam frontowe drzwi, by zabrać z progu gazetę. Był piękny dzień: świeciło słońce, moje róże i klematisy były w pełnym rozkwicie, więc postanowiłam przeczytać gazetę na ganku. Wyjęłam ją z plastikowej niebieskiej torebki i rozwinęłam: z pierwszej strony uśmiechała się przystojna kobieta o żywych oczach. Zaciekawilo mnie, kim była, więc natychmiast przeczytałam artykuł. Każde słowo było jak pętla zaciskająca mi się na gardle.

Zaczęłam pracę nad moją książką w styczniu 2002 roku. Właśnie skończyłam trzeci rozdział, więc wszystkie wspomnienia z Evin wydawały się całkiem świeże. Wiedziałam, że to, co mi się przytrafiło w więzieniu, nadal dzieje się za jego murami, ale widok twarzy Zahry i jej pięknego uśmiechu nadał tej wiedzy bolesnego i wstrząsającego wymiaru. Umarła jak Mina. Ale twarz Myny nigdy nie pojawiła się na pierwszej stronie żadnej gazety. Świat zauważył śmierć Zahry, ponieważ była Kanadyjką. Gdyby wcześniej zwrócono uwagę i zareagowano na to, co dzieje się w Iranie, Zahra nie zostałaby zamordowana; uratowano by wiele niewinnych ludzkich istnień. Ale świat milczał, także dlatego że wielu świadków, takich jak ja, bało się mówić. Dosyć. Nie pozwolę, by strach nadal mnie paraliżował.

Rano 31 marca 2005 roku zadzwoniła do mnie moja droga przyjaciółka Michelle Shephard - reporterka „Toronto Star”, pisząca o Bliskim Wschodzie, terroryzmie i zagadnieniach bezpieczeństwa. Ucieszyłam się, słysząc jej głos. Miała dla mnie informacje.

- Lepiej, żebyś usiadła - uprzedziła.

Usiadłam. Powiedziała mi o raporcie doktora Shahram Azama na temat obrażeń Zahry. Żałowałam, że nic nie mogłam dla niej zrobić. Żałowałam, że nie zginęłam razem z nią. Ale moja śmierć nikomu by nie pomogła. Miałam do opowiedzenia pewną historię. Zahra dała politycznym więźniom Iranu imię i twarz. Teraz była moja kolej, by dać im głos.

PODZIĘKOWANIA

Szczerze przyznam - nie wiem od czego ani jak zacząć. Może powinnam wymyślić nowe słowa, gdyż zwykłe „dziękuję” i „jestem wdzięczna” wydają się zbyt powszednie i niewłaściwe i sprawiają, że czuję się, jakbym popełniała jakiś akt zdrady.

Andre, miłości mego życia: głęboko wierzę, że jesteś najuczciwszym i najwierniejszym człowiekiem, jakiego Bóg stworzył. Twoja dobroć to wyzwanie rzucone prawom natury. Stałeś przy mnie, dając mi nadzieję i siłę, by wytrwać. Wiem, jak trudno ci pogodzić się z faktem, że musiałam pójść za głosem serca i napisać tę książkę. Ty jeden zawsze mnie wspierałeś. Dziękuję ci za twoją bezwarunkową miłość, zaufanie i wybaczenie.

Michael i Thomas: dziękuję wam, że jesteście, że otrzymałam od was dar macierzyństwa i miłości. Przez was stałam się w pełni sobą. Dziękuję, że obdarowywaliście mnie waszą energią, zachwytem; dziękuję za waszą cierpliwość podczas tych wielu godzin, które spędziłam nad książką.

Beverly Slopen, moja niezwykła agentka i cudowna współpracowniczką. Przysłaś mi na ratunek, uczyniłaś tę książkę czymś realnym, podarowałaś ją światu. Twoja rada była mi pomocą w trudnych chwilach. Nigdy nie będę w stanie wyrazić ci całej mojej wdzięczności.

Moi wspaniali wydawcy - Dianę Turbide i David Davidar („Penguin” Kanada), Eleonor Birne i Roland Philips („John

Murray Publisher" Wielka Brytania) oraz Liz Stein i Martha Levin („Free Press" Stany Zjednoczone). Dziękuję wam za niezwykle wsparcie, przemyślane uwagi i błyskotliwe pytania. Wierzyliście, że muszę opowiedzieć moją historię i mądrze prowadziliście mnie przez to przedsięwzięcie.

Jim Gifford: pojawiłeś się jak cud w moim życiu, dodałeś mi odwagi, stając się moim nauczycielem i przyjacielem. Dzięki tobie mój rękopis przeszedł długą drogę i stał się książką. Jestem na zawsze twoją dłużniczką.

Michelle Shephard: dzięki tobie mogłam spojrzeć z perspektywy na moją opowieść. Kazałaś mi zajrzeć głębiej we wspomnienia i przypomnieć sobie detale, które wydawały się niemożliwe do odtworzenia. Pozwoliłaś mi stanąć wobec tego, co podświadomie próbowałam ominąć. W moim sercu masz specjalne miejsce.

Rachel Manely: nieważne jak bardzo będę próbowała wyrazić, co dla mnie znaczysz - i tak mi się to nie uda. Tak, jesteś moim mentorem i kimś dużo ważniejszym. Byłaś dla mnie jak matka, najlepsza przyjaciółka, ukochana siostra. Zawsze będziesz dla mnie wzorcem. Dziękuję ci za wsparcie, za najpiękniejszą, najbardziej niezwykłą recenzję tej książki. Jesteś wielką pisarką, poetką, nauczycielką i prawdziwie wolnym duchem.

Scott Simmie: oboje poznaliśmy, czym jest strata, wysiłek i smutek i oboje znaleźliśmy wolność, szczęście i pociechę w słowie pisanym i w nieoczekiwanym zapachu róż i żonkili - zapachach, które wypełniają życiem i ciepłem tę ogromną pustkę, jaką pozostawia po sobie śmierć.

Joan Clark: musisz być aniołem - inaczej nie potrafię wytłumaczyć sobie twojej dobroci. Twoja dbałość o szczegół jest niewiarygodna. Pomogłaś mi uporządkować fragmentaryczne

wspomnienia, co pozwoliło mi pracować nad moim rękopisem. Twoja przyjaźń to prawdziwe błogosławieństwo.

Stevie Beattie: gdy moje nadzieje legły w gruzach, nieoczekiwanie zjawiłeś się, by dać mi nową nadzieję. Dziękuję ci za to, że wierzyłeś w to przedsięwzięcie i moją zdolność do jego pomyślnego ukończenia. Dziękuję za wszystkie korekty, bezcenne wskazówki i wsparcie.

Olive Koyama: dziękuję za stawianie właściwych pytań i dawanie mi otuchy.

Lee Goran: to, co wiem na temat pisania, zawdzięczam głównie tobie. Marzę, by umieć pisać tak jak ty. Podnosiłeś mnie na duchu, gdy wątpiałam, że kiedykolwiek skończę tę książkę. Otworzyłeś mi drzwi, które przywiodły mnie do tego miejsca. Dziękuję za nieskończoną dobroć i bezwarunkową przyjaźń.

Gillian Bartlett: pomogłaś mi uwierzyć w moje własne zdolności pisarskie. Nigdy nie znałam kogoś tak pełnego energii, wielkodusznego i mądrego jak ty. Twoja radość życia udziela się wszystkim wokół i czyni świat lepszym, szczęśliwszym miejscem.

Karina Dahlin, Kim Echin, Kent Nussey i wszyscy moi przyjaciele oraz wykładowcy w School of Continuing Studies na uniwersytecie w Toronto: bez waszej pomocy ta książka nigdy by nie powstała. Podobnie jak ja, macie wiarę w siłę literatury oraz w to, że droga do uzdrowienia naszego nękanego przemocą świata zaczyna się od wolnego, wypowiedzianego głośno słowa.

Martha Batiz Zuk i Sonia Worotyńec. Dziękuję wam za dar przyjaźni, za wiarę w sens mojego wysiłku, za wszelkie cenne uwagi, które pokazywały mi drogę, gdy nie wiedziałam, którą iść dalej. I dziękuję za wszystkie wasze e-maile, które pozwalały mi nie tracić kontaktu ze światem, gdy pogrążona byłam

w pracy nad rękopisem. Jesteście moim wybawieniem. Martha, zawsze podnosiłaś mnie na duchu, gdy czułam się zniechęcona. Gdybym mogła wybrać sobie siostrę, twoje imię byłoby na samej górze mojej listy.

Panie z klubu literackiego: Romana Dolcetti, Karen Eckert, Neva Lorenzon, Flavia Silano, Joannę Thomson i Dorothy Whelan. Przez czternaście lat oddawałyśmy się wspólnemu czytaniu. Cóż to była za podróż! Przyjęłyście mnie do swojego kręgu, gdy byłam samotna i obca; potraktowałyście mnie tak, jakbym była jedną z was, odnalezioną po latach kuzynką; okazywałyście mi tyle serca, dzieliłyście się doświadczeniami wychowawczymi i przepisami. Zechciałyście przeczytać pierwszy szkic tej książki - jeszcze surowy i koślawy, obdarowując mnie potem słowami pełnymi wsparcia i zachęty.

Mary-Lynn VanderWielen: dziękuję, że pozwoliłaś mi poczuć się jak u siebie oraz za uważną redakcję mojego pierwszego brudnopisu.

Jeszcze wiele specjalnych podziękowań dla mojego szefa, współpracowników i stałych klientów Swiss Chalet⁴, którzy okazali mi wiele dobroci, wsparcia i zrozumienia.

Zahra Kazemi. Twoja brutalna śmierć była potwierdzeniem, że historia więźniów politycznych w Iranie musi być opowiedziana - dałaś nam nazwisko i twarz. Dzięki Tobie świat dowiedział się o okrucieństwach Evin. Spoczywaj w pokoju.

Ta książka jest dla wszystkich moich towarzyszy niedoli.

O wszystkich pamiętam. Kocham was.

Wybaczcie mi, proszę, moje długie milczenie i wiele błędów.

⁴ Swiss Chalet - kanadyjska sieć restauracji.